KOLEJ
PODZIEMNA
COLSON WHITEHEAD
DWUKROTNY ZDOBYWCA PULITZERA
NOW AN
ORIGINAL SERIES ON
PRIME VIDEO
ALBATROS

Powieść wyróżniona
NAGRODĄ PULITZERA 2017
oraz
NATIONAL BOOK AWARD 2016

Jedna z najważniejszych książek o Ameryce, jakie kiedykolwiek napisano!

Na platformie Prime Video dostępny serial na podstawie powieści!

Cora jest niewolnicą na plantacji bawełny w stanie Georgia. Jej i tak niełatwe życie wkrótce ma zamienić się w koszmar. Kiedy więc Caesar, najnowszy nabytek plantatora, opowiada jej o „kolei podziemnej”, oboje ryzykują ucieczkę. Po piętach depcze im pościg, a schwytanie oznacza los gorszy od śmierci…

Colson Whitehead odsłania przed czytelnikami tajniki systemu przerzutowo-ratunkowego dla zbiegłych niewolników, odtwarzając jego konstrukcję i szlaki ucieczkowe. Ale w jego

powieści ten organizacyjny majstersztyk, pozwalający czarnoskórym zbiegom odnaleźć wolność na północy, zyskuje także metaforyczny wymiar.

Cora niczym mityczny Odyseusz lub Swiftowski Guliwer przemierza kolejne stany Ameryki, z których każdy przeraża i zadziwia ją bardziej niż poprzedni. Poszukuje bezpiecznej przyszłości, ale też rozprawia się z przeszłością, która wciąż jest dla niej więzieniem. Poznając samą siebie, dowiaduje się sporo o ludzkości jako takiej.

COLSON WHITEHEAD

KOLEJ PODZIEMNA

Z angielskiego przełożył
RAFAŁ LISOWSKI

COLSON WHITEHEAD
ur. 1969 r.

Amerykański pisarz i dziennikarz; absolwent Uniwersytetu Harvarda, laureat National Book Award i dwukrotny laureat Nagrody Pulitzera za powieści ***Kolej podziemna*** i ***Miedziaki***. Jako jedyny autor otrzymał tę nagrodę za dwie kolejno wydane powieści, jest też jednym z trzech pisarzy — obok Williama Faulknera i Johna Updike'a — którzy w kategorii „literatura piękna" otrzymali Pulitzera dwukrotnie.

Urodził się i dorastał na Manhattanie. Jego pierwsze teksty ukazały się w magazynie „The Village Voice". Jest autorem siedmiu powieści i dwóch książek z dziedziny literatury faktu. Był trzykrotnie nominowany do Nagrody Pulitzera. Od 2015 roku ma stałą kolumnę w „The New York Times Magazine". Wykładał między innymi na Uniwersytecie Columbia i uniwersytecie w Houston.

W kwietniu 2017 roku Colson Whitehead trafił na prestiżową listę stu najbardziej wpływowych ludzi na świecie według tygodnika „Time”.

Kolej podziemna otrzymała: Pulitzer Prize 2017, National Book Award 2016, Carnegie Medal for Fiction, Heartland Prize, została też nominowana do Kirkus Prize.

Miedziaki otrzymały: Pulitzer Prize 2020, Kirkus Prize, zostały też nominowane do: National Book Critics Circle Award, The National Book Award, The Orwell Prize for Political Fiction 2020.

Redakcje wszystkich najważniejszych gazet w Stanach Zjednoczonych okrzyknęły obie książki najlepszymi powieściami roku. Przetłumaczono je na ponad 30 języków.

colsonwhitehead.com

Tego autora

KOLEJ PODZIEMNA
MIEDZIAKI

Tytuł oryginału:
THE UNDERGROUND RAILROAD

Copyright © Colson Whitehead 2016
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Rafał Lisowski 2017

Redakcja: Agnieszka Łodzińska

Opracowanie graficzne okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Skład: Laguna

ISBN 978-83-8215-623-2

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros |
Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

Spis treści

Ajarry
Georgia
Ridgeway
Karolina Południowa
Stevens
Karolina Północna
Ethel
Tennessee
Caesar
Indiana
Mabel
Północ
Podziękowania
Przypisy

Dla Julie

Ajarry

Kiedy Caesar po raz pierwszy zaproponował Corze ucieczkę na północ, odmówiła.

Przemawiała przez nią jej babka. Babka Cory nigdy nie widziała oceanu aż do tamtego słonecznego popołudnia w porcie w Ouidah, gdy po pobycie w lochu fortu oślepił ją blask wody. W forcie trzymano ich do czasu przybycia statków. Dahomejscy bandyci najpierw porwali mężczyzn, a po miesiącu wrócili do jej wioski po kobiety i dzieci, by dwójkami zaprowadzić je, zakute w łańcuchy, nad morze. Patrząc w głąb ciemnego wejścia, Ajarry myślała, że tam na dole, w mroku, dołączy do ojca. Mężczyźni z wioski, którzy przeżyli, opowiedzieli jej potem, że kiedy nie był w stanie znieść tempa długiego marszu, handlarze niewolników rozbili mu głowę i zostawili zwłoki przy szlaku. Matka zmarła wiele lat wcześniej.

W drodze do fortu babkę Cory kilkakrotnie sprzedawano, przechodziła z rąk do rąk za muszelki i szklane paciorki. Trudno powiedzieć, ile zapłacono za nią w Ouidah, ponieważ weszła w skład większej transakcji – osiemdziesiąt osiem

istnień ludzkich w zamian za sześćdziesiąt skrzyń rumu i prochu; była to stawka ustalona po zwyczajowych targach przeprowadzonych nadmorską mieszanką języków. Sprawni mężczyźni oraz kobiety w wieku rozrodczym kosztowali więcej niż nieletni, co utrudniało jednostkowe obliczenia.

Nanny płynęła z Liverpoolu i miała już dwa postoje na Złotym Wybrzeżu. Kapitan mieszał nabytki, tak by nie skończyć z ładunkiem o wspólnej kulturze i jednym usposobieniu. Któż mógł wiedzieć, czy więźniowie nie wymyślą jakiegoś buntu, jeśli będą się posługiwać tym samym językiem? Ouidah było ostatnim portem, do którego przybijali przed wyruszeniem przez Atlantyk. Dwóch żółtowłosych marynarzy, nucąc, przewiozło Ajarry na statek łodzią wiosłową. Skórę mieli białą jak kość.

Smród w luku, mrok, ciasnota i krzyki ludzi przykutych do Ajarry łańcuchami doprowadzały ją do obłędu. Ze względu na młody wiek ciemiężcy nie od razu wyładowali na niej swoje żądze, ale po sześciu tygodniach rejsu kilku bardziej doświadczonych marynarzy wyciągnęło ją z luku. Podczas podróży do Ameryki dwa razy usiłowała się zabić, raz odmawiając sobie jedzenia, a raz próbując się utopić. W obu

przypadkach marynarze jej to udaremnili, ponieważ dobrze znali pomysły i skłonności żywego towaru. Kiedy chciała rzucić się do morza, nie dotarła nawet do burty. Zdradziły ją służalcza postawa i żałosna mina, widziane już wcześniej u tysięcy niewolników. Skuto ją od stóp do głów, od stóp do głów, w straszliwej niedoli.

Choć na aukcji w Ouidah bliscy Ajarry próbowali nie zostać rozdzieleni, resztę jej rodziny kupili portugalscy handlarze z fregaty *Vivilia*, którą cztery miesiące później znaleziono dryfującą dziesięć mil od wybrzeża Bermudów. Zaraza zabiła wszystkich na pokładzie. Władze kazały podpalić statek i patrzyły, jak skwierczy i tonie. Babka Cory nie wiedziała nic o jego losie. Do końca życia wyobrażała sobie, że kuzyni pracują gdzieś na północy dla dobrych i życzliwych panów, oddają się lżejszym zajęciom niż ona, tkają i plotą, a nie harują w polu. W jej opowieściach Isay, Sidoo i cała reszta znaleźli sposób, by wykupić się z niewoli, i żyli jako wolni ludzie w mieście Pensylwania, o którym usłyszała kiedyś w rozmowie dwóch białych. Te fantazje przynosiły Ajarry pocieszenie, ilekroć czuła, że pod ciężarem swych nieszczęść rozpadnie się na tysiąc kawałków.

Kolejny raz babka Cory została sprzedana po miesiącu spędzonym w lazarecie na Wyspie Sullivana, gdy lekarze potwierdzili, że ona i reszta ładunku przywiezionego na pokładzie *Nanny* są wolni od chorób. To był kolejny gorący dzień na giełdzie. Duże aukcje zawsze ściągały barwny tłum. Handlarze i pośrednicy z całego wybrzeża zjeżdżali do Charlestonu, by badać oczy, stawy i grzbiety wystawionych na sprzedaż, wypatrując chorób wenerycznych i innych przypadłości. Gapie żuli świeże ostrygi i gorącą kukurydzę, słuchając okrzyków licytatorów. Niewolnicy stali nadzy na podwyższeniu. Paru kupców zaciekle rywalizowało o grupę krzepkich Aszantów, Afrykanów słynących z pracowitości i muskulatury, a brygadzista z kamieniołomu nabył gromadę murzyniątek za niezwykle korzystną cenę. Pośród widzów babka Cory dostrzegła małego chłopca jedzącego kryształki cukru i zastanawiała się, co on takiego wkłada sobie do ust.

Tuż przed zachodem słońca pewien pośrednik kupił ją za dwieście dwadzieścia sześć dolarów. Poszłaby za więcej, gdyby nie zalew młodych dziewcząt w tym sezonie. Pośrednik miał ubranie z najbielszego materiału, jaki Ajarry w życiu widziała. Na jego palcach połyskiwały pierścienie

wysadzane barwnymi kamieniami. Kiedy uszczypnął ją w piersi, by sprawdzić, czy już dojrzała, poczuła zimno tych pierścieni na swojej skórze. Została oznaczona piętnem, nie po raz pierwszy ani ostatni, a potem skuta wraz z resztą zakupów dnia. Wieczorem, słaniając się w łańcuchach, karawana ruszyła na południe za małym powozem handlarza. *Nanny* popłynęła z powrotem do Liverpoolu wypełniona cukrem i tytoniem. Tym razem pod pokładem mniej było krzyków.

Można by myśleć, że nad babką Cory ciążyła klątwa, tyle razy sprzedawano ją, wymieniano i znowu zbywano przez kolejne kilka lat. Właściciele Ajarry bankrutowali z zaskakującą regularnością. Jej pierwszego pana oszukał człowiek, który sprzedał mu urządzenie mające przetwarzać bawełnę dwa razy szybciej niż odziarniarka Whitneya. Na papierze wszystko wyglądało obiecująco, w końcu jednak Ajarry została elementem majątku zlikwidowanego z rozkazu magistratu. Poszła za dwieście osiemnaście dolarów na pośpiesznie urządzonej aukcji. Na spadek ceny wpłynęły realia miejscowego rynku. Kolejny właściciel zmarł na puchlinę. Wdowa urządziła wyprzedaż, żeby sfinansować powrót do Europy, gdzie było

czysto. Ajarry przez trzy miesiące była własnością pewnego Walijczyka, który ostatecznie przegrał ją, troje innych niewolników oraz dwa tuczniki w wista. I tak dalej.

Jej cena się wahała. Kiedy sprzedają cię tyle razy, świat uczy cię uważności. Ajarry prędko zaczęła dostosowywać się do nowych plantacji, odróżniać tych, co łamią czarnuchów, od zwykłych okrutników, obiboków od pracowitych, donosicieli od potrafiących dochować tajemnicy. Przywykła do właścicieli i właścicielek o rozmaitym stopniu podłości, majątków różniących się środkami i ambicjami. Czasem trafiali się plantatorzy, którzy chcieli tylko żyć skromnie, a czasem ludzie pragnący zapanować nad światem, jakby wystarczyło ku temu przejęcie odpowiednio dużych gruntów. Dwieście czterdzieści osiem, dwieście sześćdziesiąt, dwieście siedemdziesiąt dolarów. Ajarry zawsze trafiała na plantacje cukru i indygo, raz tylko przez tydzień zwijała liście tytoniu, zanim znowu ją sprzedano. Do majątku zawitał handlarz szukający niewolnic w wieku rozrodczym, najlepiej uległych i z kompletem zębów. Ajarry była już kobietą. Wyjechała.

Wiedziała, że biali naukowcy zaglądają w głąb różnych rzeczy, by zrozumieć ich działanie. Ruch

gwiazd po nocnym niebie, relacje humorów w organizmie. Temperatura potrzebna do obfitych zbiorów bawełny. Ajarry stworzyła naukę badającą jej własne czarne ciało i gromadziła spostrzeżenia. Każda rzecz miała wartość, a wraz z jej zmianą zmieniało się wszystko inne. Pęknięta tykwa była mniej warta od takiej, która trzyma wodę, a haczyk pozwalający schwytać suma – od tego, z którego zdobycz się ześlizgnie. Amerykańska specyfika polegała na tym, że ludzie też są rzeczami. Starca, który nie przetrwa podróży przez ocean, lepiej się pozbyć, by ograniczyć straty. O młodego byczka z silnego plemienia klienci potrafili się zabijać. Młoda niewolnica zdolna wyrzucać z siebie małe była jak mennica: pieniądze, które rodzą pieniądze. Jeśli byłeś rzeczą – wozem albo koniem, albo niewolnikiem – twoja wartość określała twoje perspektywy. Ajarry pilnowała swego miejsca.

Wreszcie Georgia. Wysłannik plantacji Randallów kupił ją za dwieście dziewięćdziesiąt dwa dolary, mimo jej pustego spojrzenia, które pojawiło się niedawno i sprawiało, że wydawała się niespełna rozumu. Do końca życia nie wystawiła już nosa poza ziemię Randallów. Tu był jej dom, na tej wyspie, z dala od wszystkiego.

Babka Cory trzykrotnie wychodziła za mąż. Upodobała sobie szerokie ramiona i duże dłonie, zupełnie jak Stary Randall, choć pan i jego niewolnica całkiem inne prace mieli na myśli. Obie plantacje były dobrze zaopatrzone, dziewięćdziesięciu czarnuchów w północnej połówce i osiemdziesięciu pięciu w południowej. Ajarry zazwyczaj miała w czym wybierać. A gdy nie miała, czekała cierpliwie.

Jej pierwszy mąż zagustował w kukurydzianej whisky i z dużych dłoni zaczął robić duże pięści. Ajarry nie było żal, kiedy zniknął sprzedany na plantację trzciny cukrowej na Florydzie. Potem zeszła się z uroczym chłopcem z południowej połówki. Zanim zmarł na cholerę, lubił dzielić się z nią opowieściami z Biblii, bo jego poprzedni właściciele liberalniej podchodzili do tematu niewolników i religii. Lubiła te historie i przypowieści i uważała, że biali chyba mają rację: od gadania o zbawieniu Afrykaninowi różne myśli mogą przyjść do głowy. Biedni synowie Chama. Jej ostatniemu mężowi przebili uszy za kradzież miodu. Z ran sączyła się ropa, aż w końcu umarł.

Ajarry urodziła tym mężczyznom piątkę dzieci, zawsze w tym samym miejscu na deskach chaty, które wskazywała im później, ilekroć były

niegrzeczne. Stąd się wzięliście i tam wrócicie, jeżeli nie będziecie się słuchać. Miała nadzieję, że jeśli nauczy dzieci, by były posłuszne jej, będą posłuszne wszystkim przyszłym panom i przeżyją. Dwóch chłopców zmarło w gorączkach. Jeden zranił się w stopę, bawiąc się zardzewiałym pługiem, i wdało się zakażenie. Najmłodszy już się nie obudził, kiedy nadzorca uderzył go w głowę drewnianym klocem. Jedno dziecko po drugim. Przynajmniej ich nie sprzedano, powiedziała do Ajarry pewna stara kobieta. To prawda – wtedy jeszcze Randall rzadko sprzedawał maluchy. Wiedziało się, kiedy i jak umrą twoje dzieci. Jedynym, które dożyło dziesiątych urodzin, była matka Cory, Mabel.

Ajarry umarła wśród bawełny, pomiędzy torebkami nasiennymi, które kołysały się wokół niej niczym białe grzywy wzburzonego oceanu. Jako ostatnia ze swej wioski, od zakrzepu w mózgu, zgięta wpół między rzędami roślin, krwawiąc z nosa i tocząc pianę z ust. Jakby mogło się to stać gdziekolwiek indziej. Wolność była przeznaczona innym, obywatelom miasta Pensylwania, tętniącego życiem tysiąc mil na północ stąd. Od tamtej nocy, gdy Ajarry została porwana, stale ją wyceniano, codziennie budziła się na szali nowej wagi. Znaj swoją wartość,

a poznasz swoje miejsce w szeregu. Ucieczka z granic plantacji byłaby ucieczką od fundamentalnych zasad własnej egzystencji – niemożliwością.

Tamtego niedzielnego wieczoru, kiedy Caesar opowiedział Corze o kolei podziemnej, a ona powiedziała „nie”, przemawiała przez nią babka.

Trzy tygodnie później powiedziała „tak”.

Tym razem przemówiła przez nią matka.

Georgia

TRZYDZIEŚCI DOLARÓW NAGRODY

Piątego dnia bieżącego miesiąca zbiegła prenumeratorowi zamieszkała w Salisbury murzyńska dziewczyna imieniem LIZZIE. Przypuszcza się, iż rzeczona dziewczyna przebywa w okolicach plantacji pani Steel. Wypłacę powyższą nagrodę za dostarczenie dziewczyny lub za informację o jej pobycie w jakimkolwiek areszcie tego stanu. Przestrzega się wszystkich przed udzieleniem schronienia rzeczonej dziewczynie pod karą przewidzianą prawem.

W.M. DIXON
18 lipca 1820

Urodziny Jockeya zdarzały się tylko raz lub dwa razy w roku. Starali się uczcić je porządnie. Zawsze przypadały w niedzielę, kiedy mieli pół dnia wolnego. O piętnastej nadzorcy ogłaszali koniec pracy, a wtedy północna plantacja rzucała się do przygotowań, po łebkach wykonując domowe obowiązki: naprawy, zbieranie mchu, łatanie cieknącego dachu. Święto miało pierwszeństwo, chyba że dostałeś przepustkę na wyjście do miasta, by sprzedawać towary albo nająć się na dniówkę. Nawet gdybyś chciał zrezygnować z dodatkowego zarobku – a nikt nie rezygnował – nie do pomyślenia byłby niewolnik tak zuchwały, by powiedzieć białemu, że nie będzie pracował, bo inny niewolnik ma urodziny. Każdy wiedział, że czarnuchy nie mają urodzin.

Cora siedziała na skraju swojej działki na klocku z klonu cukrowego i wydłubywała brud spod paznokci. Gdy tylko mogła, na urodzinowe uroczystości przynosiła rzepy albo zieleninę, ale nic akurat nie wyrosło. W głębi alejki ktoś krzyknął, pewnie jeden z nowych chłopców

niewytresowanych jeszcze przez Connelly'ego, i wkrótce okrzyki przerodziły się w sprzeczkę. Głosy były bardziej rozdrażnione niż gniewne, ale za to głośne. Zapowiadały się pamiętne urodziny, skoro ludzie już teraz tak się gorączkowali.

– Gdybyś mogła sobie wybrać datę urodzin, to jaką? – zapytała Lovey.

Cora nie widziała jej twarzy, bo zza pleców dziewczyny świeciło słońce, ale znała minę przyjaciółki. Lovey była prostą dziewczyną, a dziś wieczór szykowało się święto. Rozkoszowała się tymi rzadkimi chwilami ucieczki, czy to w urodziny Jockeya, w Boże Narodzenie, czy w te wieczory podczas zbiorów, gdy każdy, kto miał dwie sprawne ręce, nie kładł się spać i pracował w polu, a Randallowie kazali nadzorcom roznosić kukurydzianą whisky, by niewolnicy byli zadowoleni. To wciąż była praca, ale w świetle księżyca szła lżej. Lovey zawsze pierwsza kazała skrzypkowi łapać za smyczek i pierwsza rwała się do tańca. Próbowała pociągnąć za sobą stojącą z boku Corę, nie zważając na jej protesty. Chciała wirować z nią ramię w ramię, z każdym obrotem łapać na moment spojrzenie jakiegoś chłopca, i chciała, żeby Cora robiła to samo. Ona jednak zawsze

wyrywała rękę i nigdy nie dołączała do tańca. Patrzyła.

– Już ci mówiłam, kiedy się urodziłam – odparła Cora.

Przyszła na świat zimą. Jej matka, Mabel, często skarżyła się na trudny poród, tęgi mróz tamtego poranka i wiatr wyjący w szparach chaty. Na to, że krwawiła przez wiele dni, a Connelly'emu nie chciało się wezwać lekarza, dopóki nie wyglądała jak zjawa. Czasem mózg Cory płatał figle, zmieniając opowieść matki w jedno z jej własnych wspomnień, wplatając w nią twarze duchów, martwych niewolników, patrzących na nią z góry z miłością i troską. Nawet tych, których nienawidziła, którzy ją kopali albo kradli jej jedzenie, kiedy matki zabrakło.

– Ale gdybyś mogła wybrać – powtórzyła Lovey.

– Tego się nie wybiera – powiedziała Cora. – Jest postanowione za ciebie.

– Skończ z tymi humorami – odparła Lovey i sobie poszła.

Cora masowała łydki, szczęśliwa, że przez chwilę nie musi stać na nogach. Święto czy nie, to właśnie tutaj trafiała co niedziela, kiedy pół dnia pracy dobiegało końca: przycupnięta na swoim

siedzisku patrzyła, co by tu poprawić. Przez kilka godzin w tygodniu należała tylko do siebie, tak to widziała. Mogła pielić chwasty, wyłapywać dżdżownice, przerywać zieleninę i patrzyć spode łba na każdego, kto chciałby wtargnąć na jej terytorium. Pielęgnowanie grządki było koniecznością, ale również sygnałem, że od Dnia Siekiery jej determinacja nie osłabła.

Ziemia u stóp Cory miała historię, najstarszą historię, jaką ona znała. Kiedy osiadła tam Ajarry po swym długim marszu na plantację, grządka była płachetkiem piachu za jej chatą na końcu długiego rzędu kwater niewolników. Dalej znajdowały się pola, a jeszcze dalej bagno. Potem pewnej nocy Randallowi przyśniło się białe morze aż po horyzont, więc przerzucił się z niezawodnego indyga na bawełnę z Sea Islands. Znalazł kontakty w Nowym Orleanie i dogadał się ze spekulantami mającymi wsparcie Banku Anglii. Pieniądze napływały takim strumieniem jak nigdy dotąd. Europa łaknęła bawełny i potrzebowała, żeby ją nią karmić, bela za belą. Pewnego dnia tęgim byczkom nakazano wyciąć drzewa, a wieczorem, gdy wrócili z pola, porąbali drewno na rząd nowych chat.

Gdy Cora patrzyła teraz na te czternaście chat, w których ludzie to znikali, to z nich

wyskakiwali, przygotowując się do obchodów, nie umiała sobie wyobrazić, że kiedyś ich tam nie było. Choć podniszczone, a drewno skrzypiało z wyrzutem przy każdym kroku, miały w sobie coś wiecznego, tak jak wzgórza na zachodzie albo strumyk dzielący majątek na dwie części. Biła od nich trwałość, która z kolei w tych, co mieszkali tam i umierali, budziła ponadczasowe uczucia: zawiść i złość. Gdyby między starymi a nowymi chatami zostawiono więcej miejsca, nie doszłoby przez lata do wielu nieszczęść.

Biali wykłócali się przed obliczem sędziów o tę czy inną połać gruntu wytyczoną na mapie, oddaloną o sto mil. Niewolnicy z równą pasją walczyli o maleńkie działki, które mieli pod stopami. Na pasie ziemi między chatami można było przywiązać kozę, zbudować kurnik albo coś posadzić, żeby mieć co jeść oprócz tłuczonych ziemniaków rozdawanych co rano przez kuchnię. I to pod warunkiem, że przyszło się pierwszym. Kiedy Randall, a potem jego synowie, postanawiali cię sprzedać, jeszcze tusz na umowie nie wysechł, a już ktoś zabierał twoją działkę. Kiedy twój sąsiad widział cię w wieczornej ciszy uśmiechniętego czy nucącego pod nosem, mogło mu przyjść do głowy nakłonić cię do rezygnacji z pretensji do ziemi za pomocą

szantażu albo różnych prowokacji. Kto wysłuchałby twojej skargi? Tu nie było sędziów.

„Ale moja matka nikomu nie pozwoliła tknąć swojego pola – powiedziała córce Mabel. Polem nazwała je żartobliwie, bo chodziło o ledwie trzymetrowy skrawek. – Mówiła, że łeb młotkiem rozbije każdemu, kto choć na nie spojrzy”.

Wizja babki rzucającej się na innego niewolnika nie pasowała do wspomnień Cory o tej kobiecie, ale kiedy sama zaczęła opiekować się grządką, zrozumiała, że musiała to być prawda. Ajarry zachowała pieczę nad ogródkiem mimo przemian własnościowych. Randallowie wykupili ziemię Spencerów na północy, gdy tamci postanowili spróbować szczęścia na zachodzie. Potem nabyli plantację na południu, przerzucili się z uprawy ryżu na bawełnę i do każdego rzędu chat dobudowali jeszcze dwie, ale grządka Ajarry pozostała w samym środku, nietknięta niczym pniak, co sięga korzeniami zbyt głęboko. Po śmierci matki Mabel przejęła opiekę nad ogródkiem, uprawiała pochrzyn, okrę i co jeszcze przyszło jej do głowy. Jednak cały ambaras zaczął się dopiero wtedy, gdy ziemia przypadła Corze.

Kiedy Mabel zniknęła, Cora stała się zbłąkanym dzieckiem. Miała jedenaście lat, może dziesięć, coś koło tego – teraz już nikt nie mógł stwierdzić z pewnością. Ze świata wstrząśniętej dziewczynki odpłynęły kolory i zostały szare impresje. Pierwsza wróciła brązowawa czerwień gleby na rodzinnej działce. Dzięki niej Cora przebudziła się na ludzi i rzeczy, dlatego postanowiła nie oddawać tego skrawka, choć była młoda i drobna i nie miał się nią kto opiekować. Cicha, uparta Mabel nie cieszyła się sympatią, ale Ajarry ludzie szanowali. Jej cień zapewniał ochronę. Większość pierwszych niewolników Randalla trafiła do piachu lub została sprzedana, a więc w ten czy inny sposób odeszli. Czy został ktokolwiek lojalny wobec babki Cory? Dziewczynka przemierzyła całą wioskę. Nikogo. Wszyscy już nie żyli.

Walczyła o tę ziemię. Przychodziły dzieci, małe szkodniki zbyt młode do prawdziwej pracy. Przepędzała je, gdy deptały po kiełkach i wykopywały pędy pochrzynu, krzyczała na nie tym samym tonem, jakiego używała na urodzinach Jockeya, by zagonić je do zabaw i gonitw. Radziła sobie z nimi bez złości.

Zza kulis wyłaniali się jednak pretendenci. Na przykład Ava. Matka Cory i ona dorastały na

plantacji w tym samym czasie. Obie spotkała ta sama gościnność Randallów. Okropności były czymś tak częstym i tak znajomym, że traktowało się je trochę jak pogodę, a najbardziej wymyślnych w swym bestialstwie umysł po prostu nie przyjmował do wiadomości. Nieraz takie doświadczenie wiązało ludzi ze sobą; równie często bezsilność czyniła wrogów ze wszystkich obecnych. Ava i Mabel nie przepadały za sobą.

Ava była silna i gibka, ręce miała prędkie niczym mokasyn błotny. Taka szybkość przydawała się do zbierania bawełny i do prania maluchów po twarzy za lenistwo i inne grzechy. O swoje kury troszczyła się bardziej niż o te dzieci, więc łakomie patrzyła na działkę Cory, bo chciała rozbudować kurnik. Tyle ziemi tylko dla niej, mówiła, cmokając. To marnotrawstwo. Co noc Ava i Cora spały obok siebie na poddaszu i choć tłoczyły się tam z ośmioma innymi osobami, Cora wyczuwała niechęć Avy, która niosła się przez drewno. Oddech tej kobiety był kwaśny, wręcz ociekał wściekłością. Umyślnie szturchała Corę za każdym razem, gdy wstawała za potrzebą.

– Teraz mieszkasz w Hobie – oznajmił Corze Moses pewnego dnia, kiedy skończyła pomagać

przy belowaniu i wróciła do domu.

Moses dokonał z Avą jakiegoś handlu wymiennego. Odkąd zarządca Connelly awansował na nadzorcę tego parobka, jednego ze swoich sługusów, ten przyjął w chatach rolę intryganta. Porządku na polu, jakikolwiek był, należało pilnować, a pewnych rzeczy nie mógł zrobić biały. Moses zgodził się z entuzjazmem. Cora uważała, że miał wredną twarz, podobną sękowi wyrastającemu z pękatego, spoconego pnia. Nie zdziwiła się, gdy prawdziwy charakter Mosesa wyszedł na jaw – zawsze tak jest, jeśli tylko się dostatecznie długo poczeka. To pewne jak wschód słońca. Przemknęła ukradkiem do Hobu, dokąd wrzucano nieszczęśników. Nie było ucieczki, bo nie istniały żadne prawa oprócz tych zmienianych z dnia na dzień. Ktoś zdążył już przenieść jej rzeczy.

Nikt nie pamiętał nieboraka, któremu ta chata zawdzięczała nazwę. Żył na tyle długo, by ucieleśnić pewne cechy, zanim one go zgubiły. Do Hobu trafiali okaleczeni wskutek kar zarządców, do Hobu – złamani pracą w sposób widoczny i niewidoczny, do Hobu – ci, co postradali zmysły. Do Hobu trafiały zbłąkane dzieci.

Na początku żyli tam niesprawni, wybrakowani mężczyźni. Potem w Hobie

zamieszkały również kobiety. Biali mężczyźni i brązowi mężczyźni brutalnie używali ciał kobiet, które rodziły karłowate, pokurczone niemowlęta, a wskutek bicia traciły rozum i powtarzały w ciemności imiona swoich zmarłych dzieci: Eve, Elizabeth, N'thaniel, Tom. Cora zwinęła się na podłodze głównego pomieszczenia, bo za bardzo bała się spać na górze z tymi nieszczęsnymi istotami. Przeklinała w duszy własną małostkowość, ale była wobec niej bezsilna. Patrzyła na ciemne kształty. Kominek, belki podtrzymujące poddasze, narzędzia zwisające z gwoździ na ścianach. Po raz pierwszy spędzała noc poza chatą, w której się urodziła. Sto kroków od niej, a jakby sto mil.

Wcielenie przez Avę w życie następnego etapu planu pozostawało kwestią czasu. Musiała jeszcze zmagać się ze Starym Abrahamem. Stary Abraham wcale nie był stary, ale odkąd tylko nauczył się siedzieć, zachowywał się jak sędziwy mizantrop. Nie miał żadnych planów, ale chciał pozbawić Corę działki dla zasady. Dlaczego on i wszyscy inni mieli uznawać roszczenia dziewczynki tylko dlatego, że dawno temu tę ziemię skopała jej babka? Stary Abraham nie poważał tradycji. Zbyt wiele razy go sprzedawano, żeby coś takiego leżało mu na

sercu. Kilkakrotnie, gdy Cora, chodząc na posyłki, go mijała, słyszała, jak namawia innych do redystrybucji jej działki. „Cała ta ziemia dla niej!” Całe trzy metry kwadratowe.

Potem przybył Blake. Tego lata Terrance Randall przejął obowiązki, przygotowując się do dnia, kiedy plantacja będzie należeć do niego i brata. Kupił gromadę czarnuchów z Karoliny Północnej i Południowej. Było ich sześciu, ze szczepów Fanti i Mandigo, jeśli wierzyć handlarzowi, o ciele i usposobieniu przystosowanych przez naturę do ciężkiej pracy. Blake, Pot, Edward i reszta stworzyli na ziemi Randallów własne plemię i nie wahali się sięgać po to, co do nich nie należało. Terrance Randall dał do zrozumienia, że to jego nowi ulubieńcy, a Connelly zadbał, by wszyscy o tym pamiętali. Uczyłeś się nie wchodzić im w drogę, kiedy mieli zły humor albo w sobotni wieczór, gdy wypili cały cydr.

Blake był mężczyzną wielkim jak dąb, karmionym podwójnymi racjami, i prędko dowiódł, że Terrance Randall ma zmysł do inwestycji. Wystarczyło pomyśleć, ile zysku przyniosą same tylko dzieci takiego byka. Blake

często urządzał zapasy z kompanami albo z każdym chętnym, wzniecał kurz i zawsze wychodził z tych pojedynków zwycięsko. Podczas pracy jego dudniący głos niósł się po polu, a wtedy nawet ci, co go nie cierpieli, nie mogli sobie odmówić i śpiewali razem z nim. Miał obmierzły charakter, ale głos wydawał z siebie taki, że robota szła.

Po kilku tygodniach węszenia i oględzin północnej połówki Blake uznał, że działka Cory to dobre miejsce, by przywiązać psa. Słońce, wiatr, niedaleko. Kundel przyplątał się podczas wyprawy do miasta. Został przy Blake'u, kręcił się w pobliżu wędzarni, kiedy mężczyzna pracował, a w pełne ruchu noce Georgii obszczekiwał każdy hałas. Blake znał się trochę na stolarce – tym razem nie było to kłamstwo zmyślone przez handlarza dla podbicia ceny. Zbudował psu budę i domagał się uznania. Komplementy dostawał szczere, gdyż buda wyszła ładna, równa i foremna. Miała drzwiczki na zawiasie, a na tylnej ściance wycięte otwory w kształcie słońca i księżyca.

– Rezydencja jak się patrzy, co? – zwrócił się Blake do Starego Abrahama. Po przybyciu na plantację polubił jego nieraz ożywczą szczerość.

– Zacna robota. Łóżeczko tam wsadziłeś?

Blake uszył powłoczkę i wypchał ją mchem. Uznał, że kawałek ziemi przed jego chatą to najlepsze miejsce na domek dla psa. Do tej pory Cora była dla niego niewidzialna, ale teraz, gdy pojawiała się w pobliżu, wychwytywał jej spojrzenie, by ją ostrzec, że to się zmieniło.

Próbowała wykorzystać długi wdzięczności, jakie niektórzy mieli wobec jej matki. Wszyscy ją jednak odtrącili. Tak jak Beau, szwaczka, którą Mabel opiekowała się w chorobie, kiedy zmogła ją gorączka. Oddawała jej własną kolację i karmiła łyżką, nakładając do drżących ust wywar z zieleniny i kawałki jarzyn, dopóki dziewczyna wreszcie nie otworzyła oczu. Beau powiedziała, że spłaciła już ten dług z nawiązką, i kazała Corze wracać do Hobu. Cora przypomniała sobie, że Mabel zapewniła alibi Calvinowi, gdy zginęło parę narzędzi ogrodniczych. Connelly, który chętnie sięgał po bicz, rozorałby mu plecy do mięsa, gdyby nie wymyśliła czegoś na jego obronę. To samo zrobiłby jej, odkrywszy, że kłamała. Cora zakradła się do Calvina po pracy: Potrzebuję pomocy. Przegonił ją ruchem ręki. Podobno Mabel nigdy nie odkryła, do czego użył tych narzędzi.

Pewnego dnia – wkrótce po tym, jak Blake objawił swe zamiary – gdy Cora obudziła się o świcie, przemoc już się dokonała. Wyszła z Hobu, żeby zajrzeć do swego ogródka. Ranek był chłodny. Nad ziemią wisiały wilgotne białe smugi. Wreszcie zobaczyła: resztki tego, co byłoby jej pierwszą w tym roku kapustą, rzucone na kupę przy schodkach chaty Blake'a. Splątane pnącza już obsychały. Ziemia została skopana i ubita, by stworzyć ładne podwórko pod budę, która stała pośrodku działki niczym wspaniała rezydencja w sercu plantacji.

Pies wystawił łeb przez otwór, jakby wiedział, że to jej teren, i chciał pokazać obojętność.

Blake wyszedł z chaty i skrzyżował ręce na piersiach. Splunął.

Kątem oka Cora widziała poruszających się ludzi. Cienie szeptów i połajanek. Obserwowali ją. Jej matka zniknęła. Corę przenieśli do domu nieszczęścia i nikt nie przyszedł jej z pomocą. Teraz zaś ten osiłek trzy razy większy od niej zajął jej działkę.

Już wcześniej obmyślała strategię. W latach późniejszych zwróciłaby się do kobiet z Hobu albo do Lovey, ale to działo się dawniej. Jej babka ostrzegała ludzi, że rozłupie łeb każdemu, kto wejdzie na jej ziemię. Cora uważała, że to

przesada. Jak w transie wróciła do Hobu i zdjęła siekierę ze ściany, siekierę, na którą patrzyła, gdy nie mogła spać. Zostawił ją tam jakiś wcześniejszy mieszkaniec, który źle skończył w ten czy inny sposób, umarł na zapalenie płuc, rozpłatany biczem albo srając własnymi wnętrznościami na podłogę.

Wieść zdążyła się już rozejść, więc przed chatami kręcili się gapie, wyczekująco przekrzywiając głowy. Cora przeszła obok nich zgięta, jakby parła pod wiatr. Widok był tak dziwny, że nikt jej nie zatrzymywał. Pierwszy cios rozbił dach budy. Pies zaskomlał, bo prawie ucięła mu ogon, i uciekł do kryjówki pod chatą swojego pana. Drugi cios poważnie uszkodził lewą ściankę, a ostatni dopełnił dzieła.

Stała, dysząc. Z siekierą w obu dłoniach. Siekiera kołysała się w powietrzu, jakby Cora przeciągała linę z duchem, ale dziewczynka się nie zachwiała.

Blake zacisnął pięści i ruszył ku niej. Za nim jego chłopcy, prężąc muskuły. A potem stanął. Prawda o tym, co zaszło w owej chwili między tymi dwiema postaciami – młodym krzepkim mężczyzną i szczupłą dziewczynką w prostej sukience – zależała później od punktu widzenia. Zdaniem tych, co stali przy pierwszych rzędach

chat, twarz Blake’a wykrzywiła się w grymasie zdziwienia i niepokoju, jak u człowieka, który wdepnął między szerszenie. Ci stojący bliżej nowych chat widzieli, że wzrok Cory biega w tę i we w tę, jakby mierzyła spojrzeniem nadciągającą armię, a nie jednego człowieka. Armię, której była jednak gotowa stawić czoło. Bez względu na perspektywę najważniejszy był komunikat, który jedno z nich przekazało swą miną i pozą, a drugie zrozumiało: Może i ze mną wygrasz, ale drogo cię to będzie kosztować.

Stali tak przez parę chwil, zanim Alice nie zadzwoniła na śniadanie. Nikt nie zamierzał rezygnować z tłuczonych ziemniaków. Kiedy ludzie zeszli z pól, Cora posprzątała zrujnowaną działkę. Przytoczyła sobie klocek klonu cukrowego pozostały po czyjejś robocie, i odtąd stał się on jej ławeczką, na której siadywała, gdy tylko miała wolną chwilę.

Jeśli przed intrygami Avy Corze nie należało się miejsce w Hobie, to teraz już tak. Została jego najsłynniejszą mieszkanką i z najdłuższym stażem. Kalekich trudy pracy w końcu wykańczały – działo się tak zawsze – a tych niespełna rozumu sprzedawano tanio albo sami podrzynali sobie gardło. Puste miejsca zapełniały się szybko. Cora trwała. Hob był jej domem.

Drewno budy zużyła na opał. Wystarczyło, żeby ogrzać ją i resztę Hobu przez jedną noc, ale legenda towarzyszyła Corze przez resztę jej dni na plantacji Randallów. Blake z kolegami zaczęli snuć opowieści. Opisywał, że obudził się z drzemki za stajniami, a ona stała nad nim z tą siekierą, bełkocząc. Był świetnym imitatorem, więc sprzedawał tę historię gestami. Kiedy Corze zaczął rosnąć biust, Edward, najpaskudniejszy w bandzie Blake'a, przechwalał się, że machała mu przed nosem sukienką, robiła lubieżne sugestie i groziła, że go oskalpuje, jeśli jej odmówi. Młode kobiety szeptały między sobą, że widziały, jak podczas pełni księżyca wymyka się do lasu, gdzie spółkuje z osłami i kozami. Nawet ci, którzy niezbyt dawali wiarę tej ostatniej opowieści, umieli dostrzec, dlaczego warto, żeby ta dziwna dziewczyna nie cieszyła się poważaniem.

Kiedy stało się jasne, że Cora jest już kobietą, Edward, Pot i dwóch parobków z południowej połówki zaciągnęło ją za wędzarnię. Jeśli ktoś to widział albo słyszał, nie interweniował. Kobiety z Hobu ją zszyły. Blake'a już wtedy nie było. Może spojrzawszy tamtego dnia w oczy Cory, odradził towarzyszom zemstę: Drogo was będzie kosztować. Ale go nie było. Uciekł trzy lata po

tym, jak porąbała mu budę. Krył się na bagnach całymi tygodniami. To właśnie szczekanie kundla zdradziło patrolowcom jego położenie. Cora powiedziałaby, że dostał, na co zasłużył, gdyby nie to, że drżała na samą myśl o karze, która go spotkała.

Wyciągnięto już duży stół z kuchni i zastawiono go jedzeniem na urodziny Jockeya. Na jednym końcu traper skórował szopy, a na drugim Florence zeskrobywała ziemię ze słodkich ziemniaków. Ogień pod wielkim kotłem trzeszczał i gwizdał. Zupa wrzała w czarnym garze, kawałki kapusty goniły się wokół świńskiego łba, który unosił się i opadał, a oko błąkało się wśród szarej piany. Przybiegł mały Chester i chciał zwędzić garść wspięgi, ale Alice zdzieliła go chochlą po łapach.

– Dzisiaj nic? – zapytała.

– Za wcześnie – odparła Cora.

Alice zrobiła rozczarowaną minę i wróciła do szykowania kolacji.

Tak wygląda kłamstwo, pomyślała Cora i odnotowała to w pamięci. Może i dobrze, że ogródek nie obrodził. Na poprzednie urodziny Jockeya dała dwie główki kapusty, które Alice łaskawie przyjęła. Gdy Cora wychodziła z kuchni, popełniła jednak błąd, oglądając się za siebie, i przyłapała kucharkę na wyrzucaniu ich do wiadra na pomyje. Na słońce wyszła na miękkich

nogach. Czy ta kobieta uważała, że jej jedzenie jest nieczyste? Czy właśnie tak Alice traktowała wszystko, co Cora przynosiła przez ostatnie pięć lat, każdą rzepę i każdy pęczek zieleniny? Czy zaczęło się od niej, czy może od Mabel albo babki? Konfrontacja nie miała sensu. Alice była ulubienicą Randallów, teraz również Jamesa Randalla, który wyrósł duży na jej bakaliowych babeczkach. Nieszczęście podlegało hierarchii, nieszczęście wplecione w inne nieszczęścia, i należało za nią nadążać.

Bracia Randallowie. Jamesa Randalla od małego dało się udobruchać kąskiem z kuchni Alice, jabłkiem cukrowym, po którym napad złości mijał jak ręką odjął. Jego młodszy brat Terrance był zupełnie inny. Kucharce na zawsze zostało zgrubienie nad uchem po tym, jak panicz Terrance pewnego razu wyraził niezadowolenie z rosołu. Miał wtedy dziesięć lat. Pierwsze znaki pojawiły się, ledwo zaczął chodzić, a kiedy wszedł w męskość i podjął swe obowiązki, zaczął doskonalić najwstrętniejsze cechy charakteru. James miał naturę ślimaka, zaszywał się we własnych sprawach, natomiast Terrance narzucał każdą swoją zachciankę, tak samo tę przelotną, jak i tę głęboko zakorzenioną,

każdemu, nad kim posiadał władzę. Bo takie było jego prawo.

Wokół Cory brzęczały garnki, a murzyniątka piszczały na myśl o czekających je uciechach. Z południowej połówki – nic. O tym, która część plantacji przypadnie któremu z braci Randallów, zadecydował rzut monetą, i to on sprawił, że takie dni były możliwe. Na ziemi Terrance'a podobne święta się nie zdarzały, bo młodszy brat skąpił niewolnikom zabaw. Młodzi Randallowie zarządzali swoją spuścizną zgodnie z własnym temperamentem. Jamesowi wystarczało bezpieczeństwo modnych upraw i swobodne, nieprzerwane gromadzenie majątku. Ziemia i czarnuchy do jej kultywacji to gwarancja, jakiej nie udzieliłby nawet żaden bank. Terrance, który wolał aktywniejszą rolę, nie ustawał w obmyślaniu metod zwiększenia transportów do Nowego Orleanu. Wyciskał swą posiadłość do ostatniego dolara. Kiedy czarna krew to waluta, wprawny biznesmen wie, że trzeba otworzyć żyłę.

Mały Chester i jego koledzy znienacka chwycili Corę. Ale to były tylko dzieci. Pora na gonitwę. Cora zawsze gromadziła malców na linii startu, ustawiała im stopy, uspokajała tych nerwowych, a niektórych w razie potrzeby

przesuwała do wyścigów dla starszych dzieci. W tym roku właśnie Chestera przeniosła o oczko w górę. Tak jak ona był zbłąkanym dzieckiem; jego rodziców sprzedano, zanim nauczył się chodzić, więc Cora się nim opiekowała. Miał szorstkie włosy i czerwone oczy. Przez ostatnie pół roku wystrzelił w górę, pole obudziło coś w jego gibkim ciele. Connelly powiedział, że ma zadatki na świetnego zbieracza – to rzadki komplement z jego strony.

– Szybko biegasz – powiedziała Cora.

Chester skrzyżował ręce na piersiach i przekrzywił głowę: Mnie nie musisz mówić. Był już prawie mężczyzną, nawet jeśli jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy. Cora widziała, że za rok nie będzie się już ścigał, ale snuł po obrzeżu, dowcipkując z kolegami i wymyślając psoty.

Młodzi i starzy niewolnicy zebrali się na poboczu konnej ścieżki. Kobiety, które straciły dzieci, podchodziły kroczek po kroczku, by katować się wyobrażeniami o tym, co już się nie ziści. Mężczyźni zbici w kupki podawali sobie dzbany cydru i czuli, jak odpływa z nich upokorzenie. Kobiety z Hobu rzadko uczestniczyły w święcie, ale Nag krzątała się uczynnie, jak to miała w zwyczaju, zbierając w gromadkę maluchy, które coś zaaferowało.

Lovey stała na mecie jako sędzia. Poza dziećmi wszyscy wiedzieli, że jeśli tylko może, na zwycięzców zawsze wskazuje swych pupili. Jockey również zajął miejsce na mecie w swoim koślawym klonowym fotelu, z którego zwykle co noc obserwował gwiazdy. W urodziny ciągał fotel wzdłuż alejki, żeby zaszczycić uwagą różne atrakcje urządzane na jego cześć. Po wyścigu biegacze przychodzili do Jockeya, a on wręczał wszystkim po kawałku ciasta imbirowego bez względu na to, które zajęli miejsce.

Chester dyszał, wsparty dłońmi o kolana. Przybiegł pod koniec stawki.

– Prawie ci się udało – powiedziała Cora.

– Prawie – odparł chłopiec, po czym poszedł po ciasto.

Po ostatnim biegu pogładziła staruszka po ramieniu. Nikt właściwie nie wiedział, ile on widzi spod bielma.

– Ile masz lat, Jockeyu?

– Pomyślmy… – powiedział i odpłynął.

Była pewna, że podczas ostatnich obchodów twierdził, że sto jeden. W rzeczywistości miał połowę tego, co czyniło go najstarszym niewolnikiem, jakiego ktokolwiek spotkał na obu plantacjach Randallów. Kiedy ktoś dożył takiego wieku, mógł mieć równie dobrze

dziewięćdziesiąt osiem albo sto osiem lat. Świat nie miał mu już nic do pokazania prócz najnowszych odmian okrucieństwa.

Szesnaście albo siedemnaście. Na tyle Cora oceniała swój wiek. Minął rok, odkąd Connelly kazał jej wziąć sobie męża. Dwa, odkąd zaprawili ją Pot i jego koledzy. Nie powtórzyli już napaści, ale od tamtego dnia nie spojrzał na nią żaden porządny mężczyzna, zważywszy na chatę, w której mieszkała, i na opowieści o jej obłędzie. Sześć lat, odkąd odeszła matka.

Cora uważała, że Jockey miał dobry plan z tymi urodzinami. Budził się niespodziewanie w jakąś niedzielę, żeby ogłosić święto, i już. Czasem zdarzało się to w czasie wiosennych deszczów, kiedy indziej po zakończeniu zbiorów. Niektóre lata przeskakiwał, zapominał o nich albo wedle jakiegoś osobistego rachunku krzywd uznawał, że plantacja nie zasłużyła. Nikt nie zważał na jego kaprysy. Wystarczyło, że był najstarszym czarnym, którego spotkali, że przetrwał każdą mękę małą i dużą, jaką obmyślili i urzeczywistnili biali ludzie. Miał bielmo na oczach i chromą nogę, okaleczoną dłoń stale przykurczoną, jakby ciągle ściskał szpadel, ale żył.

Teraz biali już go nie niepokoili. Stary Randall nic nie mówił na temat jego urodzin, podobnie jak James, odkąd przejął stery. Connelly, zarządca, co niedziela zaszywał się na cały dzień z niewolnicą, którą akurat w tym miesiącu wybrał sobie na żonę. Biali milczeli. Jak gdyby dali za wygraną albo uznali, że namiastka wolności to najgorsza kara, z którą dar prawdziwej wolności kontrastuje jeszcze boleśniej.

Pewnego dnia Jockey na pewno trafi we właściwy dzień swoich narodzin. Jeżeli pożyje dostatecznie długo. Skoro tak, to gdyby i Cora raz po raz wybierała sobie urodziny, może też by trafiła. Ba, może jej urodziny wypadały właśnie dziś. Co się za to dostaje, za wiedzę, którego dnia przyszło się na świat białego człowieka? Nie wydawało się to rzeczą godną pamiętania. Raczej taką, którą lepiej zapomnieć.

– Coro.

Większość północnej połówki poszła do kuchni na posiłek, ale Caesar został w tyle. I oto był tu. Nie miała okazji z nim porozmawiać, odkąd przybył na plantację. Nowych niewolników prędko przestrzegano przed kobietami z Hobu. To pozwalało zaoszczędzić czas.

– Mogę z tobą porozmawiać? – zapytał.

James Randall kupił jego i troje innych niewolników od wędrownego handlarza, kiedy półtora roku temu paru innych pomarło z gorączki. Dwie kobiety trafiły do pralni, a Caesar i Prince dołączyli do brygad w polu. Cora widywała go, jak rył w sosnowych bloczkach zakrzywionymi nożami do strugania. Nie zadawał się z kłopotliwym elementem na plantacji, ale wiedziała, że czasem znikał z Frances, jedną z pokojówek. Czy wciąż się z nią pokładał? Lovey na pewno wiedziała. Była jeszcze dziewczynką, ale uważnie śledziła sprawy damsko-męskie, aranżowane związki.

Cora zareagowała powściągliwie.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Caesarze?

Nie zawracał sobie głowy sprawdzaniem, czy ktoś jest w zasięgu słuchu. Wiedział, że nie, bo to zaplanował.

– Wracam na północ – oznajmił. – Niedługo. Uciekam. Chcę, żebyś poszła ze mną.

Cora próbowała zgadnąć, kto napuścił go na ten dowcip.

– Ty idziesz na północ, a ja idę jeść – odparła.

Caesar ścisnął ją za ramię, łagodnie, lecz stanowczo. Ciało miał szczupłe i silne, jak każdy parobek w tym wieku, ale nie obnosił się ze

swoją siłą. Nos na jego okrągłej twarzy był płaski niczym guzik – Corze przemknęło przez głowę wspomnienie, że kiedy się śmiał, robiły mu się dołeczki. Dlaczego zapamiętała właśnie to?

– Nie donieś na mnie – powiedział. – Muszę ci zaufać. Ale uciekam niedługo i chcę cię mieć ze sobą. Na szczęście.

Wtedy zrozumiała. Nie szło o dowcip, który ktoś jej płatał, ale taki, który on płatał sam sobie. Chłopak był niemądry. Woń mięsa szopa przypomniała Corze o święcie, więc wyrwała się Caesarowi.

– Nie mam zamiaru dać się zabić Connelly'emu, patrolowcom albo wężom.

Wciąż jeszcze przeżywała tę jego głupotę, gdy dostała pierwszą miskę zupy. Biały człowiek dzień w dzień próbuje zabić cię powoli, a czasami próbuje zabić szybko. Po co mu to ułatwiać? To jedyna praca, której można odmówić.

Znalazła Lovey, ale nie zapytała, co dziewczyny szepczą między sobą o Caesarze i Frances. Jeśli on naprawdę zamierzał to zrobić, Frances już była wdową.

Cora jeszcze nigdy nie rozmawiała tak długo z żadnym młodym mężczyzną, odkąd wprowadziła się do Hobu.

Zapalono pochodnie przed walkami zapaśniczymi. Ktoś odkrył zapasik kukurydzianej whisky i cydru, więc zaczęły krążyć wśród widzów, wzmagając ich entuzjazm. Dotarli już mężowie z innych plantacji, którzy zawsze w niedziele przychodzili na noc w odwiedziny. Szli przez wiele mil, więc mieli dość czasu na fantazjowanie. Perspektywa stosunków małżeńskich jednym żonom uśmiechała się bardziej niż innym.

Lovey zachichotała.

– Poszłabym z nim w zapasy – powiedziała, ruchem głowy wskazując Majora.

Ten podniósł wzrok, jakby ją usłyszał. Był już z niego kawał byczka. Ciężko pracował i rzadko zmuszał nadzorców, by podnieśli bicz. Okazywał Lovey szacunek ze względu na jej wiek i nie byłoby dziwne, gdyby pewnego dnia Connelly zaaranżował ich małżeństwo. Młody człowiek i jego rywal wili się w trawie. Kiedy nie można wyżyć się na tych, którzy na to zasłużyli, trzeba się wyżyć na sobie nawzajem. Dzieci wyglądały spomiędzy dorosłych i robiły zakłady o nic. Dziś ci malcy wyrywali chwasty i pracowali przy śmieciach, ale pewnego dnia robota w polu uczyni ich równie wielkimi jak ci, którzy teraz

przygniatali jeden drugiego do trawy. Bierz go, dołóż mu, daj mu nauczkę.

Gdy zagrała muzyka i zaczęły się tańce, wszyscy pojęli, jak bardzo są wdzięczni Jockeyowi. I tym razem wybrał dobry dzień na urodziny. Wyczuł wspólne napięcie, zbiorowe napięcie wykraczające poza zwykły fakt trwania w niewoli. To uczucie ostatnio narastało. A w ciągu ostatnich kilku godzin w znacznej mierze udało się je rozproszyć. Wspomnienie miłego wieczoru i perspektywa następnej urodzinowej zabawy podnosiły na duchu, choćby tylko nieznacznie, pozwalając mierzyć się z perspektywą porannej harówki, a potem kolejnych poranków oraz długich dni. Mieszkańcy tworzyli krąg, który oddzielał ludzkie dusze w jego wnętrzu od zepsucia na zewnątrz.

Noble złapał tamburyn i zaczął na nim grać. W polu był zręcznym zbieraczem, a poza nim – radosnym prowokatorem; tego wieczoru wykorzystywał obie te sprawności. Klaszcz w dłonie, zegnij łokcie, biodra w ruch. Są instrumenty i są muzykanci, ale czasem skrzypki czy bęben zmieniają w instrument tego, kto na nich gra, i wszystkich zniewala melodia. Tak właśnie działo się w dni hulanek, gdy George

z Wesleyem chwytali za skrzypce i banjo. Jockey siedział w swym klonowym fotelu i tupał bosą stopą w piach. Niewolnicy ruszali naprzód i tańczyli.

Cora się nie ruszała. Bała się, że czasem, kiedy porwie cię muzyka, nagle znajdziesz się obok mężczyzny, nie wiedząc, co on może zrobić. Tyle ciał w ruchu, tyle swobody. Mógłby cię przyciągnąć, złapać za obie ręce, nawet jeśli w dobrych zamiarach. Pewnego razu w urodziny Jockeya Wesley zagrał im piosenkę, którą poznał na północy, nową melodię, jakiej jeszcze nigdy nie słyszeli. Cora ośmieliła się wejść między tancerzy, zamknąć oczy i wirować, a kiedy je otworzyła, był tam Edward i wzrok mu płonął. Nawet teraz, gdy Edward i Pot nie żyli – Edwarda powiesili za oszustwo, gdy dociążył swój worek kamieniami, a Pot trafił czarno-siny do piachu po tym, jak ugryzł go szczur – Cora bała się sobie pofolgować. George rżnął na skrzypkach, dźwięki wzbijały się w noc niczym iskry z ogniska. Nikt do niej nie podszedł, by wciągnąć ją w ten szalony wir.

Muzyka zamilkła. Krąg się przerwał. Czasem niewolnik na krótką chwilę zatraci się na fali

wolności. Pośród bruzd na polu poniesie go nagły sen na jawie albo po przebudzeniu będzie rozplątywał zagadki tego, co mu się rankiem przyśniło. Lub też w trakcie piosenki w ciepłą niedzielną noc. A potem zawsze – okrzyk zarządcy, wezwanie do pracy, cień pana, przypomnienie, że człowiekiem jest się tylko przez ulotny moment w oceanie wiecznej niewoli.

Ze dworu wyłonili się bracia Randallowie i podeszli do bawiących się niewolników.

Ci się rozstąpili, próbując obliczyć, jak duży dystans wyrazi we właściwych proporcjach strach i szacunek. Godfrey, służący Jamesa, trzymał latarnię. Według Starego Abrahama James wrodził się w matkę – okrągły jak beczka i o równie nalanym obliczu; Terrance natomiast przypominał ojca – był wysoki, miał sowią twarz i zawsze sprawiał wrażenie, że lada moment rzuci się na swą zdobycz. Oprócz ziemi Randallowie odziedziczyli też ojcowskiego krawca, który przyjeżdżał co miesiąc rozklekotanym wozem z próbkami lnu i bawełny. Bracia ubierali się podobnie w dzieciństwie i tak pozostało, gdy weszli w dorosłość. Ich białe spodnie i koszule były tak czyste, jak tylko zdołały sprawić dłonie dziewcząt

z pralni, a pomarańczowy blask nadawał im wygląd duchów wynurzających się z mroku.

– Pan James – powiedział Jockey. Zdrową dłoń zacisnął na oparciu fotela, jakby chciał wstać, ale nie drgnął. – Pan Terrance.

– Nie przeszkadzajcie sobie – rzekł Terrance. – Rozmawialiśmy z bratem o interesach i usłyszeliśmy muzykę. Mówię do niego: Gorszego jazgotu w życiu nie słyszałem.

Randallowie pili wino z pucharów z rżniętego szkła i sprawiali wrażenie, jakby opróżnili już kilka butelek. Cora szukała w tłumie twarzy Caesara, ale nie znalazła. Nie było go również poprzednio, kiedy bracia pojawili się razem na północnej połówce. Lekcje płynące z takich przypadków należało brać sobie do serca. Gdy Randallowie przychodzili do kwater, zawsze coś się działo. Wcześniej czy później. Coś nowego, czego nie dało się przewidzieć, dopóki się nie wydarzyło.

James codzienne zarządzanie zostawiał Connelly'emu, więc rzadko tu zaglądał. Niekiedy oprowadzał gościa, szacownego sąsiada albo ciekawskiego plantatora z innych stron, ale nie były to częste przypadki. Nie zwykł odzywać się do swoich czarnuchów, których biczem nauczono nie przerywać pracy i nie zważać na

jego obecność. Kiedy Terrance pojawiał się na plantacji brata, przeważnie oglądał sobie każdego niewolnika, odnotowując najsprawniejszych mężczyzn i najatrakcyjniejsze kobiety. Na kobiety brata łypał pożądliwie, a tymi z własnej połówki sycił się do woli. Lubię popróbować, jakie mam śliweczki, mawiał, przechadzając się wśród rzędów chat i szukając, czy coś wpadnie mu w oko. Nieraz naruszał więzy miłości, nachodząc niewolników w noc poślubną, by pokazać mężowi, jak się wykonuje małżeński obowiązek. Smakował śliwki, rozrywał skórę, zostawiał ślad.

Powszechnie uważano, że James ma inne skłonności. W przeciwieństwie do ojca i brata nie wykorzystywał swoich dóbr, by sobie dogodzić. Raz po raz zapraszał na kolację panie z hrabstwa, a wtedy Alice przyrządzała najbardziej wystawny i uwodzicielski posiłek, jaki tylko mogła. Pani Randall zmarła przed laty, więc Alice była zdania, że obecność kobiety na plantacji podziałałaby cywilizująco. James całymi miesiącami przyjmował te blade istoty, których białe powozy toczyły się błotnistą ścieżką do dworu. Dziewczęta w kuchni chichotały i snuły domysły. A potem pojawiała się nowa kobieta.

Z tego, co mówił jego służący Prideful, zaspokajanie erotycznych potrzeb James ograniczał do specjalnych pokoi pewnego przybytku w Nowym Orleanie. Rajfurka była nowoczesną kobietą o szerokich horyzontach, obeznaną w meandrach ludzkiego pożądania. W opowieści Pridefula trudno było uwierzyć, choć się zarzekał, że informacje czerpie od personelu owego lokalu, z którym zżył się na przestrzeni lat. Który biały z własnej woli poddałby się chłoście?

Terrance pogrzebał laseczką w piachu. Była to laseczka jego ojca zwieńczona srebrnym wilczym łbem. Wielu pamiętało jej zęby na swoim ciele.

– A potem przypomniałem sobie – ciągnął – jak James opowiadał, że ma tutaj czarnucha, co recytuje Deklarację Niepodległości. Nie daję mu wiary. Uznałem więc, że może dziś mnie przekona, skoro, jak słyszę, kręcą się tu wszyscy.

– Rozstrzygnijmy to – odparł James. – Gdzie ten chłopak? Michael!

Nikt się nie odezwał. Godfrey żałosnym gestem pomachał latarnią. Nadzorcą, który miał nieszczęście stać najbliżej Randallów, był Moses.

– Michael nie żyje, panie.

Jakiemuś murzyniątku kazał sprowadzić Connelly’ego, nawet gdyby miał mu tym zakłócić

niedzielne chędożenie. Mina Jamesa oznaczała, że Moses musi zacząć się tłumaczyć.

Rzeczony niewolnik, Michael, w istocie potrafił recytować długie fragmenty z pamięci. Według Connelly'ego, który usłyszał to od handlarza czarnuchów, dawnego pana Michaela fascynowały zdolności południowoamerykańskich papug, więc uznał, że skoro ptaka można nauczyć limeryków, to niewolnika też. Wystarczy spojrzeć na wielkość czaszki, by stwierdzić, że czarnuch ma większy mózg.

Michael był synem jego woźnicy. Miał w sobie ten swoisty zwierzęcy spryt, jaki nieraz widzi się u świń. Pan i jego niespodziewany uczeń zaczęli od prostych rymowanek i krótkich fragmentów utworów popularnych brytyjskich wierszokletów. Powoli brnęli przez słowa, których czarnuch nie rozumiał, a i pan, szczerze powiedziawszy, nie do końca je pojmował, gdyż w swoim czasie za nauczyciela miał neptka wyrzucanego z każdej przyzwoitej posady, który z tej ostatniej uczynił kanwę potajemnej zemsty. Plantator tytoniu i syn woźnicy dokonali cudów. Deklaracja Niepodległości była ich arcydziełem. „Historia stale powtarzających się krzywd i uzurpacji”[1].

Umiejętność Michaela nigdy nie stała się niczym więcej niż salonową sztuczką, która bawiła gości, nim rozmowa niezawodnie zeszła na temat ograniczonych zdolności umysłowych czarnuchów. Właściciel znudził się w końcu i sprzedał chłopaka na południe. Kiedy Michael trafił na plantację Randallów, jakieś tortury bądź kary pomieszały mu zmysły. Robotnikiem był marnym. Skarżył się na hałasy i zaćmienia zakłócające mu pamięć. Rozdrażniony Connelly wytłukł z niego resztki rozumu. To była chłosta, której Michael miał nie przeżyć, i osiągnęła swój cel.

– Nic mi nie powiedziano – oświadczył James wyraźnie niezadowolony.

Recytacja okazywała się zabawną nowinką, gdy dwukrotnie wyciągnął czarnucha przed gości.

Terrance lubił drażnić się z bratem.

– Jamesie – rzekł. – Musisz lepiej doglądać swej własności.

– Nie wtrącaj się.

– Wiedziałem, że pozwalasz swoim niewolnikom na zabawy, ale nie miałem pojęcia, że są takie huczne. Chcesz, żebym źle przy tobie wypadł?

– Nie udawaj, że cię obchodzi, co o tobie myśli czarnuch. – James miał pusty puchar. Odwrócił się, by odejść.

– Jeszcze jedna piosenka, Jamesie. Te melodie zaczynają mi się podobać.

George i Wesley byli przygnębieni. Noble z tamburynem gdzieś zniknął. James zacisnął wargi. Dał im znak, więc zaczęli grać.

Terrance stukał laską. Sposępniał, rozejrzawszy się po zebranych.

– Nie tańczycie? Nalegam. Ty i ty.

Nie czekali na sygnał swego pana. Niewolnicy z północnej połówki z wahaniem ruszyli do alejki, usiłując wejść w dawny rytm i zrobić przedstawienie. Podła Ava od czasów, gdy dręczyła Corę, nie zapomniała, jak się udaje – pokrzykiwała i tupała, jakby nastała pełnia obchodów Bożego Narodzenia. Urządzanie widowiska przed panem było czymś znajomym, ludzie mieli swoje chwyty i potrafili wdziewać maski, otrząsnęli się więc z lęku i pochłonął ich występ. Och, jakże hasali i huczeli, wyli i skakali! Bez wątpienia żwawszej melodii w życiu nie słyszeli, a grajkowie to najlepsi muzycy, jakich wydała rasa kolorowa. Cora powlokła się do kręgu i przy każdym obrocie tak jak wszyscy sprawdzała reakcje Randallów. Jockey klepał się

do rytmu po kolanach. Cora dostrzegła Caesara. Stał w cieniu kuchni z twarzą bez wyrazu. Potem się wycofał.

– Ty!

To był Terrance. Rękę trzymał wyprostowaną, jakby pokrywała ją wieczna plama, którą tylko on widzi. Potem Cora dostrzegła – pojedynczą kroplę wina na mankiecie jego pięknej białej koszuli. Potrącił go Chester.

Chłopiec uśmiechnął się potulnie i skłonił przed białym mężczyzną.

– Przepraszam, panie! Przepraszam, panie!

Laska spadała na jego głowę i ramiona raz za razem. Mały wrzasnął i skulił się na piachu pod kolejnymi ciosami. Ręka Terrance'a unosiła się i opadała. James wydawał się zmęczony.

Jedna kropla. Corę opanowało pewne uczucie. Nie doznawała go od lat, odkąd porąbała budę Blake'a na drzazgi. Oglądała mężczyzn powieszonych na drzewach, zostawionych sępom i wronom. Oglądała kobiety rozpłatane do kości biczami o wielu rzemieniach. Ciała żywe i martwe przypiekane na stosie. Stopy obcięte, by uniemożliwić ucieczkę, i dłonie – by ukrócić kradzież. Widziała bitych chłopców i dziewczynki młodszych od Chestera i nic nie zrobiła. Tej nocy owo uczucie znów zagościło

w jej sercu. Porwało ją i nim dusza niewolnicy nadążyła za duszą człowieka, Cora osłaniała sobą ciało chłopca niczym tarczą. Złapała laskę, tak jak polujący na bagnach chwyta węża, i ujrzała ozdobę na czubku. Srebrny wilk szczerzył srebrne kły. Później laska wyrwała się z jej ręki i spadła na głowę. Potem znowu, lecz tym razem srebrne kły błysnęły jej przed oczami. Na piach chlusnęła krew.

Tego roku kobiet w Hobie było siedem. Najstarsza miała na imię Mary. Mieszkała tam, bo miewała ataki. Toczyła pianę z ust niczym wściekły pies, z szaleńczym wzrokiem wiła się po ziemi. Przez lata wadziła się z inną zbieraczką, Berthą, która w końcu rzuciła na nią klątwę. Stary Abraham upierał się, że cierpiała na to samo już jako berbeć, ale nikt go nie słuchał. Z całą pewnością te napady w niczym nie przypominały tamtych z dzieciństwa. Otrząsała się z nich zmaltretowana, zagubiona i apatyczna, co skutkowało karami za niewykonaną pracę, a powrót do zdrowia po tych karach powodował kolejne opóźnienia. Gdy nadzorcy na kogoś się zeźlili, każdemu mogło się dostać przy okazji. Mary przeniosła swoje rzeczy do Hobu, by uniknąć wzgardy współmieszkanek z chaty. Po drodze ociągała się, jakby ktoś miał ją powstrzymać.

Pracowała w mleczarni z Margaret i Ridą. Zanim kupił je James Randall, te dwie tyle się nacierpiały, że nie potrafiły się wpasować w strukturę plantacji. Margaret wydawała

z gardła straszliwe, zwierzęce dźwięki w niefortunnych chwilach, żałosne lamenty i szpetne przekleństwa. Kiedy pan robił obchód, zasłaniała sobie usta dłonią, by nie zwrócić uwagi na swoją przypadłość. Rida z kolei nie dbała o higienę; nie skutkowały ani prośby, ani groźby. Śmierdziała.

Lucy i Titania nigdy się nie odzywały; ta pierwsza – bo nie chciała, a drugiej dawny właściciel obciął język. Pracowały w kuchni pod kierownictwem Alice, która wolała pomocnice niepaplające cały dzień, żeby mogła lepiej słyszeć własny głos.

Dwie inne kobiety tamtej wiosny odebrały sobie życie. To więcej niż zwykle, ale nic szczególnego. Nie wyróżniały się niczym szczególnym, więc do zimy nikt nie będzie pamiętał ich imion. Pozostawały Nag i Cora. Zajmowały się bawełną we wszystkich fazach produkcji.

Pod koniec dnia pracy Cora się zachwiała, a Nag skoczyła ją przytrzymać. Zaprowadziła dziewczynę do Hobu. Nadzorca patrzył spode łba, gdy powoli schodziły z pola, ale nic nie powiedział. Widoczne szaleństwo Cory oszczędziło jej zwykłej połajanki. Minęły Caesara, który wystawał przy jednej z szop z grupą

młodych parobków i strugał nożem kawałek drewna. Na jego widok Cora odwróciła wzrok i zrobiła kamienną minę, jak zawsze, odkąd złożył jej propozycję.

Minęły dwa tygodnie po urodzinach Jockeya, a ona wciąż jeszcze dochodziła do siebie. Od ciosów w twarz lewe oko było tak spuchnięte, że nie mogła go otworzyć, a na skroni miała straszną ranę. Opuchlizna zniknęła, ale w miejscu pocałunku srebrnego wilka znajdowała się teraz szkaradna blizna w kształcie litery X. Rana jątrzyła się przez wiele dni. To była pamiątka Cory z wieczoru zabaw. Dużo gorsze były cięgi, które nazajutrz wymierzył jej Connelly pod bezlitosnymi konarami drzewa chłosty.

Connelly należał do pierwszych ludzi zatrudnionych przez Starego Randalla. Po objęciu władzy przez Jamesa zachował stanowisko. Kiedy Cora była mała, zarządca miał irlandzkie rude loki wystające spod słomkowego kapelusza niczym skrzydła kardynała. W tamtych czasach krążył po plantacji z czarnym parasolem, ale w końcu się poddał, więc teraz biel jego koszul ostro odcinała się od opalenizny. Zdążył posiwieć, a brzuch wylewał mu się znad paska; poza tym jednak pozostał tym samym

mężczyzną, który chłostał jej matkę i babkę. Człapał po wiosce nierównym krokiem kojarzącym się Corze ze starym wołem. Nie było siły, żeby go pośpieszyć, jeżeli nie chciał się śpieszyć. Nabierał tempa tylko wtedy, gdy sięgał po bicz. Wówczas robił się żwawy i energiczny jak dziecko, które znalazło nową rozrywkę.

Zarządca był niezadowolony z wydarzeń podczas niespodziewanych odwiedzin braci Randallów. Po pierwsze, przerwano mu, gdy zabawiał się z Glorią, swą obecną dziewką. Sprał posłańca i dźwignął się z łóżka. Po drugie, sprawa Michaela. Connelly nie poinformował pracodawcy o śmierci niewolnika, ponieważ James nigdy nie interesował się zwykłymi wahaniami stanu osobowego, ale przez ciekawość Terrance'a zrobił się z tego kłopot.

Do wszystkiego dochodziły niezdarność Chestera i niepojęte zachowanie Cory. Connelly rozorał ich nazajutrz o świcie. Zaczął od Chestera, by odpowiadało to kolejności występków, a potem jego zakrwawione plecy kazał wyszorować wodą z pieprzem. Dla Chestera były to pierwsze porządne cięgi, a dla Cory – pierwsze od pół roku. Connelly powtarzał chłostę przez dwa kolejne ranki. Według niewolników pracujących we dworze James

bardziej niezadowolony był z tego, że Terrance tknął jego dobytku, niż z losu tych dwojga. Tak oto gniew jednego brata wobec drugiego zasadzał się na prawie własności. Chester nigdy więcej nie odezwał się do Cory.

Nag pomogła dziewczynie wejść po schodkach do Hobu. Gdy tylko znalazły się w chacie, gdzie nie sięgał wzrok reszty wioski, Cora runęła na ziemię.

– Przyniosę ci kolację – powiedziała Nag.

Podobnie jak Corę ją również do Hobu wygnała polityka. Nag przez lata pozostawała ulubienicą Connelly'ego, większość nocy spędzała w jego łóżku. Jak na czarnuszkę była dziewką hardą, nawet jeszcze zanim zarządca obdarzył ją skromnymi względami, miała bladoszare oczy i krągłe biodra. Stała się nieznośna. Chełpiła się i obnosiła z tym, że ona jedna unika złego traktowania. Jej matka często zadawała się z białymi mężczyznami, szkoliła więc córkę w rozpustnych praktykach. Nag poświęcała się swojej roli z oddaniem, nawet gdy Connelly wymieniał ich dzieci. Północna i południowa połówka wielkiej plantacji Randallów stale prowadziły wymianę niewolników, podrzucały sobie zbitych czarnuchów, gnuśnych robotników i łobuzów

w ramach bezładnej gry. Dzieci Nag rzucały się w oczy. Connelly nie mógł tolerować swych mulackich bękartów z lokami lśniącymi w słońcu irlandzką rudością.

Pewnego ranka dał do zrozumienia, że Nag nie jest mu już potrzebna w łóżku. Na ten właśnie dzień czekali jej wrogowie. Wszyscy się tego spodziewali oprócz niej samej. Kiedy wróciła z pola, zobaczyła, że jej rzeczy przeniesiono do Hobu, co sygnalizowało utratę statusu w wiosce. Mieszkańcy sycili się wstydem Nag bardziej niż jakimkolwiek pożywieniem. Hob ją zahartował, jak to miał w zwyczaju. Ta chata cementowała osobowość.

Nag nigdy nie była zżyta z matką Cory, ale nie przeszkodziło jej to zaprzyjaźnić się z dziewczyną, kiedy ta została zbłąkanym dzieckiem. W noc zabawy oraz następne krwawe dni ona i Mary troszczyły się o Corę, robiły okłady z solanki i papki na jej skatowaną skórę i pilnowały, żeby jadła. Brały jej głowę w objęcia i śpiewały jej kołysanki dla swoich utraconych dzieci. Lovey również odwiedzała przyjaciółkę, ale nie była obojętna na renomę Hobu, więc w obecności Nag, Mary i pozostałych robiła się płochliwa. Siedziała tak długo, jak pozwalały jej nerwy.

Cora leżała na podłodze i jęczała. Dwa tygodnie po chłoście miewała zawroty głowy i dudniło jej w czaszce. Przeważnie potrafiła to znosić i pracować w polu, jednak czasem ledwo mogła wystać na nogach do zachodu słońca. Co godzinę, gdy przychodziła dziewczyna z wodą, Cora wylizywała chochlę do sucha, aż czuła w ustach smak metalu. Teraz nie miała już nic.

Pojawiła się Mary.

– Znowu chorujesz – powiedziała.

Miała pod ręką wilgotną szmatę, więc przyłożyła ją do czoła Cory. Zachowała pokłady matczynych uczuć po utracie piątki dzieci – troje zmarło, zanim nauczyło się chodzić, a dwoje sprzedano, gdy tylko urosły na tyle, żeby nosić wodę i zrywać chwasty wokół dworu. Mary wywodziła się wprost ze szczepu Aszantów, tak samo jak obaj jej mężowie. Szczeniątek z takim rodowodem nie trzeba było zachwalać. Cora poruszyła ustami w niemym podziękowaniu. Ściany chaty zaciskały się wokół niej. Na poddaszu inna z kobiet – Rida, sądząc po smrodzie – rzucała się i hałasowała. Nag roztarła zgrubienia na dłoniach Cory.

– Nie wiem, co gorsze – powiedziała. – Żebyś leżała tu chora i schowana, czy była jutro na nogach, kiedy przyjdzie pan Terrance.

Perspektywa jego odwiedzin osłabiała Corę. James Randall zachorował i nie wstawał z łóżka. Zaniemógł po wyjeździe do Nowego Orleanu, gdzie prowadził negocjacje z handlarzami z Liverpoolu i odwiedził swój haniebny przybytek. W drodze powrotnej zasłabł w wozie i odtąd go nie widziano. Służba szeptała, że na czas rekonwalescencji brata zarząd przejmie Terrance. Rano miał odbyć inspekcję północnej połówki, by zaprowadzić harmonię z zasadami panującymi na południowej.

Nikt nie wątpił, że będzie to krwawa harmonia.

Dłonie przyjaciółek wyślizgnęły się, ściany przestały napierać i Cora zemdlała. Obudziła się w środku nocy. Jej głowa leżała na zwiniętym kocu z samodziału. Na górze wszystkie spały. Potarła ranę na skroni. Chyba coś się z niej sączyło. Cora wiedziała, dlaczego rzuciła się osłonić Chestera, ale nie potrafiła ponownie przywołać nagłości tamtej chwili, owego uczucia, które ją porwało. Na powrót ukryło się ono w głębokim zakamarku jej duszy, skąd wówczas wyszło, i nie dało się już wywabić. By ukoić niepokój, wymknęła się na swoją działkę, usiadła na klonowym klocku, wąchała powietrze i słuchała. Stworzenia na bagnach gwizdały

i pluskały, polując w mroku pełnym życia. Pójść tam nocą, zmierzając na północ w stronę Wolnych Stanów… Trzeba by postradać zmysły.

Ale jej matka to zrobiła.

Jakby naśladując Ajarry, która nie ruszyła się z ziemi Randallów, odkąd na nią przybyła, Mabel ani razu nie opuściła plantacji aż do dnia swej ucieczki. Nie zdradziła się z zamiarami, w każdym razie nikomu, kto przyznałby się do tej wiedzy podczas późniejszych przesłuchań. Nie lada wyczyn w wiosce, gdzie roiło się od zdrajców i donosicieli, którzy sprzedaliby najbliższych, byle uniknąć żądła bicza.

Cora zasnęła skulona na brzuchu matki, a potem nigdy więcej jej nie zobaczyła. Stary Randall podniósł alarm i wezwał patrol. Już po godzinie obława ruszyła na bagna za psami Nate'a Ketchuma. Ketchum, najmłodszy z długiego rodu specjalistów, łapanie niewolników miał we krwi. Psy przez pokolenia hodowane były tak, by wywęszyły czarnucha nawet w drugim hrabstwie, przy okazji gryząc i kiereszując rękę niejednego zbiega. Kiedy te bestie szarpały się na skórzanych smyczach i drapały łapami w powietrzu, na dźwięk ich

szczekania w kwaterach niewolników kto żyw chciał się chować. Przede wszystkim jednak zbieracze myśleli o czekającej ich pracy, pochylali się więc nad robotą, znosząc straszliwy hałas i wizje rozlewu krwi.

Afisze i ulotki pojawiały się w promieniu setek mil. Wolni murzyni, którzy dorabiali do pensji łapaniem zbiegów, przeczesywali lasy i wyciągali informacje od ich potencjalnych wspólników. Patrolowcy i bandy obławników z białej biedoty nękali i straszyli ludzi. Kwatery na wszystkich pobliskich plantacjach gruntownie przeszukano, a wielu niewolników zbito dla zasady. Psy jednak nic nie znalazły, podobnie jak ich właściciele.

Randall zatrudnił wiedźmę, która rzuciła zaklęcie na plantację, tak by nikt z afrykańską krwią w żyłach nie mógł stamtąd uciec bez straszliwego porażenia. Wiedźma zakopała fetysze w potajemnych miejscach, przyjęła zapłatę i odjechała wózkiem zaprzężonym w muły. W wiosce wybuchła gorąca dyskusja na temat natury zaklęcia. Czy dotyczyło ono tylko tych, którzy mieli zamiar uciec, czy wszystkich kolorowych, którzy przekroczą granicę? Już po tygodniu niewolnicy wrócili na bagna polować i zbierać. Tam było jedzenie.

Po Mabel nie został żaden ślad. A z plantacji Randallów jeszcze nigdy nikt nie uciekł. Zbiegowie zawsze wracali; zdradzeni przez przyjaciół, źle odczytywali gwiazdy i wpadali jeszcze głębiej w labirynt niewoli. Po powrocie potwornie ich katowano, a potem pozwalano umrzeć, ci zaś, których zostawili, musieli oglądać makabryczny przebieg ich agonii.

Tydzień później plantację odwiedził osławiony łowca niewolników Ridgeway. Zajechał konno z pięcioma towarzyszami, ludźmi o parszywej powierzchowności dowodzonymi przez groźnego indiańskiego zwiadowcę noszącego naszyjnik z wyschniętych uszu. Ridgeway miał dwa metry wzrostu, kwadratową twarz i szyję grubą jak stylisko młota. Zawsze był pogodny, ale roztaczał atmosferę grozy niczym chmura burzowa, która zdaje się odległa, a nagle pojawia się tuż nad nami, grzmiąca i okrutna.

Audiencja Ridgewaya trwała pół godziny. Robił notatki w małym kajeciku, a z tego, co mówiła służba, okazał się wielce skupionym mężczyzną o kwiecistej wymowie. Wrócił dopiero po dwóch latach, niedługo przed śmiercią Starego Randalla, by osobiście przeprosić za niepowodzenie poszukiwań. Indianina już z nim nie było, ale młody jeździec

o długich czarnych włosach nosił podobny naszyjnik z trofeów wyłożony na skórkową kamizelkę. Ridgeway przebywał w pobliżu, gdyż odwiedzał sąsiedniego plantatora. Na dowód pokazał głowy dwóch zbiegów w worku ze skóry. W Georgii za przekroczenie granicy stanu groziła kara śmierci; a czasem właściciel wolał dać innym przykład, niż odzyskać własność.

Łowca niewolników podzielił się pogłoskami o nowym odcinku kolei podziemnej, która miała ponoć działać w południowej części stanu, nawet jeśli zdawało się to niemożliwe. Stary Randall parsknął. Wspierający niewolników zostaną odnalezieni i wytarzani w smole i pierzu, zapewnił Ridgeway gospodarza. Albo cokolwiek miejscowy zwyczaj przewiduje. Jeszcze raz przeprosił, po czym wyszedł, i już wkrótce jego banda galopowała ku głównej drodze i kolejnemu zadaniu. Ich praca nie miała końca, nie wysychała rzeka niewolników, których trzeba wykurzyć z nor i zwrócić białemu człowiekowi do zarachowania.

Mabel dobrze się przygotowała do wyprawy. Maczeta. Hubka i krzesiwo. Buty, które ukradła współlokatorce, bo były w lepszym stanie. Jej pusty ogródek tygodniami stanowił świadectwo cudownej ucieczki. Zanim wyruszyła, wykopała

z działki wszystkie rzepy i bulwy pochrzynu – to musiał być nieporęczny ciężar, co nieroztropne w podróży, kiedy liczą się szybkie nogi. Grudki i bruzdy w ziemi przypominały o Mabel każdemu, kto przechodził. A potem pewnego ranka zostały wyrównane. Cora na kolanach zaczęła sadzić od nowa. To była jej spuścizna.

Teraz w poświacie księżyca, z pękającą głową, Cora oglądała swój maleńki ogród. Chwasty, chrząszcze, ślady łap zwierząt domowych. Od czasu zabawy zaniedbała ziemię. Pora do niej wrócić.

Nazajutrz odwiedziny Terrance'a przebiegły bez incydentów, nie licząc jednej niepokojącej chwili. Connelly oprowadził go po plantacji brata, minęło już bowiem kilka lat, odkąd ostatnio porządnie ją obejrzał. Wszyscy potem mówili, że Terrance okazał się nadspodziewanie uprzejmy, stronił od swych zwykłych sardonicznych uwag. Rozmawiali o liczbach z zeszłorocznych zbiorów i przejrzeli księgi z wynikami ważenia z września. Terrance z irytacją skomentował pożałowania godny charakter pisma zarządcy, ale poza tym odnosili

się do siebie z serdecznością. Nie obejrzeli wioski ani niewolników.

Konno objechali pola, porównując postępy zbiorów na obu połówkach. Tam gdzie przejeżdżali wśród bawełny, pobliscy niewolnicy falą zdwajali z furią wysiłki. Parobkowie od tygodni cięli chwasty, wbijając motyki w bruzdy. Krzewy bawełny sięgały już Corze do ramion, chwiały się i wyginały, wyrastały z nich liście i pączki większe z każdym dniem. W przyszłym miesiącu torebki nasienne miały eksplodować bielą. Cora modliła się, żeby rośliny okazały się dostatecznie duże, by ukryć ją przed wzrokiem przejeżdżających białych. Widziała ich plecy, gdy się oddalali. Potem Terrance się odwrócił. Skinął głową, kiwnął w jej stronę laską, a później ruszył dalej.

James zmarł dwa dni później. Lekarz powiedział, że na nerki.

Wieloletni mieszkańcy plantacji Randallów siłą rzeczy porównywali pogrzeby ojca i syna. Stary Randall był szanowanym członkiem plantatorskiej społeczności. W tych czasach całą uwagę skupiali na sobie wyjeżdżający na zachód, ale to Randall i jego pobratymcy, którzy przed laty zdecydowali się na życie w wilgotnym piekle Georgii, zasługiwali na miano prawdziwych

pionierów. Inni plantatorzy wysławiali go jako wizjonera, ponieważ pierwszy przestawił się na bawełnę, dając początek zyskownej tendencji. Niejeden tonący w długach młody farmer przychodził do Randalla po poradę – udzielaną chętnie i szczodrze – a po latach dorabiał się okazałego gospodarstwa.

Niewolnicy dostali wolne, by uczestniczyć w pogrzebie Starego Randalla. Stali, milcząc, zbici w kupę, podczas gdy piękni biali mężczyźni i kobiety składali hołd ukochanemu ojcu. Czarnuchom ze służby kazano nieść trumnę, co z początku wszyscy uznali za skandal, ale po namyśle dostrzegli w tym oznakę szczerej sympatii, jaka ich również łączyła z ich niewolnikami: z mamką, której cycuszki ssali w szczęśliwszych czasach, czy służącą, która podczas kąpieli wsuwała dłoń w mydliny. Pod koniec nabożeństwa zaczął padać deszcz. Przerwał uroczystość, ale wszyscy czuli ulgę, bo susza trwała już zbyt długo. Bawełna chciała pić.

Do czasu śmierci Jamesa bracia Randallowie zerwali kontakty z towarzyszami i protegowanymi ojca. Formalnie James miał licznych partnerów w interesach, z niektórymi nawet spotykał się osobiście, ale niewielu przyjaciół. Z tego względu nie doczekał się

przejawów sentymentalności. Na pogrzeb przyszło niewiele osób. Niewolnicy pracowali w polu – zbliżały się zbiory, więc nic innego nie wchodziło w grę. Terrance powiedział, że wszystko zostało określone w testamencie. Jamesa pochowano niedaleko rodziców w cichym kącie rozległego majątku, obok Platona i Demostenesa, mastifów ojca ukochanych przez wszystkich – i ludzi, i czarnuchów – mimo że nie dawały się odgonić od kur.

Terrance pojechał do Nowego Orleanu, by uregulować z handlarzami bawełny sprawy brata. Choć nie istniał właściwy moment na ucieczkę, przejęcie przez Terrance'a kontroli nad obiema połówkami stanowiło dobry argument. Północna połówka zawsze cieszyła się łagodniejszym klimatem. James był równie okrutny i bezwzględny jak każdy biały, ale w porównaniu z młodszym bratem stanowił wzór umiarkowania. Opowieści z południowej połówki mroziły krew w żyłach, nawet jeśli nie pod względem szczegółów, to pod względem skali.

Duży Anthony skorzystał z okoliczności. Nie należał do najbystrzejszych chłopów w wiosce, ale nikt nie odmówiłby mu wyczucia okazji. To była pierwsza próba ucieczki od czasu Blake'a.

Bez przygód stawił czoło klątwie wiedźmy i pokonał dwadzieścia sześć mil, zanim znaleziono go drzemiącego w stodole na stryszku na siano. Konstable odwieźli go na miejsce w żelaznej klatce wykonanej przez ich kuzyna. „Uleciałeś jak ptaszek, więc zasługujesz na klatkę”. Z przodu znajdowało się miejsce na imię więźnia, ale nikt nie zawracał sobie tym głowy. Odjeżdżając, zabrali klatkę ze sobą.

W przeddzień ukarania Dużego Anthony’ego – ilekroć biali odraczali karę, w grę wchodziło jakieś przedstawienie – Caesar odwiedził Hob. Wpuściła go Mary. Była zdziwiona. Miewały niewielu gości i nigdy mężczyzn, chyba że nadzorca przynosił złe wieści. Cora nikomu nie mówiła o propozycji, którą jej kiedyś złożył.

Poddasze pełne było kobiet śpiących bądź nadsłuchujących. Odłożyła więc cerowanie i wyszła z nim na dwór.

Stary Randall zbudował szkołę dla swoich synów oraz wnuków, których chciał się doczekać. Samotna sylweta raczej nieprędko miała pełnić pierwotne przeznaczenie. Odkąd synowie Randalla skończyli naukę, służyła tylko do schadzek i całkiem innych lekcji. Lovey

zobaczyła, że Caesar i Cora idą w tamtym kierunku. Cora pokręciła głową, widząc konsternację przyjaciółki.

Niszczejący budynek cuchnął. Na stałe mieszkały w nim małe zwierzęta. Krzesła i stoły zabrano dawno temu, robiąc miejsce zeschłym liściom i pajęczynom. Zastanawiała się, czy Caesar przyprowadzał tutaj Frances, kiedy byli razem, i co tu robili. Widział Corę nagą, kiedy rozebrano ją do chłosty i gdy krew płynęła po jej skórze.

Zerknął przez okno i powiedział:

– Przykro mi, że spotkało cię coś takiego.

– Tacy już są – odparła.

Dwa tygodnie wcześniej uznała go za głupca. Teraz jednak zachowywał się dojrzale, ponad swoje lata, niczym jeden z tych starych mądrych parobków, którzy opowiadają ci jakąś historię, a jej prawdziwy sens pojmujesz wiele dni albo tygodni później, gdy faktów nie da się już uniknąć.

– Czy teraz ze mną pójdziesz? – zapytał Caesar. – Myślę, że już najwyższa pora.

Nie potrafiła go rozszyfrować. Kiedy chłostano ją przez trzy kolejne poranki, Caesar stał na przedzie grupy. Zgodnie ze zwyczajem niewolnicy byli świadkami męczarni swoich

bliźnich w celach umoralniających. Podczas przedstawienia każdy w końcu odwracał wzrok, choćby tylko na chwilę, myśląc o bólu niewolnika i o tym, że wcześniej czy później przyjdzie dzień, gdy ich również bicz nie ominie. To ciebie chłostali, nawet jeśli jeszcze nie ciebie. Ale Caesar nawet nie drgnął. Nie szukał jej wzroku, tylko patrzył gdzieś za nią, na coś wielkiego i trudno dostrzegalnego.

– Myślisz, że przynoszę szczęście, bo moja matka uciekła – powiedziała Cora. – Ale nie przynoszę. Sam widziałeś. Widziałeś, jak to się kończy, gdy co komu przyjdzie do głowy.

Caesar był niewzruszony.

– Niedobrze będzie, kiedy on wróci.

– Już jest niedobrze – odparła. – Zawsze było. – Odeszła, zostawiając go tam.

Kara Dużego Anthony'ego opóźniła się dlatego, że Terrance zamówił nowe dyby. Cieśle pracowali całą noc, żeby je dokończyć i ozdobić ambitnymi, choć zgrzebnymi ornamentami. Po drewnie hasały minotaury, syreny o bujnych kształtach i inne fantastyczne stwory. Dyby ustawiono w wysokiej trawie przed dworem. Dwaj nadzorcy zakuli w nie Anthony'ego, i zwisał tam przez pierwszy dzień.

Drugiego przybyła powozem grupa szacownych gości z Atlanty i Savannah. Dystyngowane damy i panowie, których Terrance poznał podczas podróży, a także pewien dziennikarz z Londynu przybyły opisywać, co słychać w Ameryce. Jedli przy stole rozstawionym na trawniku, delektowali się zupą żółwiową Alice i przerzucali komplementami pod adresem kucharki, których ta miała nigdy nie usłyszeć. Dużego Anthony'ego biczowano przez cały posiłek, a spożywali go powoli. Dziennikarz między kęsami skrobał coś na kartce. Podano deser i wtedy towarzystwo przeniosło się do wnętrza, żeby uniknąć komarów, a kara Anthony'ego trwała dalej.

Trzeciego dnia po lunchu przywołano z pola parobków, praczkom, kucharkom i stajennym kazano przerwać pracę, służbę we dworze oderwano od zadań. Wszystkich zebrano na trawniku przed dworem. Goście Randalla sączyli rum korzenny, podczas gdy Dużego Anthony'ego oblano oliwą i podpalono. Świadkom oszczędzono słuchania jego krzyków, bo już pierwszego dnia obcięto mu męskość, wepchnięto do ust i zaszyto. Dyby dymiły, węgliły się i płonęły, wyrzeźbione postaci wiły się w płomieniach jak żywe.

Terrance zwrócił się do niewolników z północnej i południowej połówki. Teraz jest tylko jedna plantacja, zjednoczona pod względem celów i metod, powiedział. Wyraził żal po śmierci brata, ale pocieszał się tym, że James jest teraz w niebie z matką i ojcem. Mówiąc, przechadzał się, stukał laską, gładził po głowach murzyniątka i poklepywał co poniektórych starszych, godniejszych niewolników z południowej połówki. Zajrzał w zęby młodego byczka, którego nie widział nigdy wcześniej, wykręcił chłopakowi szczękę, żeby dobrze się przyjrzeć, i zadowolony kiwnął głową. Oznajmił, że aby zaspokoić nienasycony popyt na bawełnę, dzienna norma każdego zbieracza zostanie podwyższona o procent określony na podstawie jego wyników z poprzednich zbiorów. Pola zostaną przeorganizowane tak, by pomieściły więcej rzędów bawełny. Szedł dalej. Uderzył jakiegoś mężczyznę w twarz za to, że płakał, patrząc na przyjaciela szamoczącego się w dybach.

Kiedy dotarł do Cory, wsunął jej rękę pod sukienkę i położył ją na piersi. Ścisnął. Cora nie drgnęła. Nikt nie drgnął, odkąd Terrance zaczął przemowę, nawet po to, żeby zatkać nos i nie czuć woni smażonego ciała Dużego Anthony’ego. Koniec z zabawami poza Bożym Narodzeniem

i Wielkanocą, powiedział. Będzie osobiście aranżował i akceptował wszystkie małżeństwa, żeby dopilnować prawidłowego doboru obiecującego potomstwo. Obłoży nowym podatkiem niedzielną pracę poza plantacją. Kiwnął głową do Cory, a potem kontynuował spacer wśród swoich Afrykanów, obwieszczając kolejne innowacje.

Wreszcie zakończył przemowę. Zrozumiano, że niewolnicy mają pozostać na miejscu, dopóki Connelly ich nie odprawi. Panie z Savannah dolały sobie napoju z dzbanka. Dziennikarz otworzył nowy notes i kontynuował zapiski. Pan Terrance dołączył do gości i wszyscy udali się na zwiedzanie pól bawełny.

Cora dotąd nie była jego, a teraz już była. A może zawsze była, tylko o tym nie wiedziała. Jej uwaga odpłynęła. Pofrunęła gdzieś poza płonącego niewolnika, poza dwór i poza linie wyznaczające granice posiadłości Randallów. Cora próbowała uzupełnić niewiedzę szczegółami z opowieści, przeczesywała wspomnienia niewolników, którzy sami to widzieli. Ilekroć coś uchwyciła – budynki z wypolerowanego białego kamienia, ocean tak wielki, że nie widać ani jednego drzewa, kuźnia kolorowego kowala, który nie służy żadnemu

panu oprócz siebie samego – wyrywało jej się to jak ryba i uciekało. Jeśli miała wszystko zachować w umyśle, musiała to zobaczyć na własne oczy.

Komu mogła powiedzieć? Lovey i Nag nie wydałyby jej, ale bała się zemsty Terrance'a. Lepiej niech ich niewiedza będzie autentyczna. Nie, jedyną osobą, z którą mogła omówić plan, był jego architekt.

Zwróciła się do niego w noc po przemowie Terrance'a i udawała, że na propozycję przystała dawno temu. Caesar nie przypominał żadnego kolorowego mężczyzny, jakiego w życiu poznała. Urodził się w Wirginii na małej farmie należącej do starej drobnej wdowy. Pani Garner lubiła piec ciasta, codziennie zajmować się swoim klombem i nie interesowało jej właściwie nic innego. Caesar z ojcem zajmowali się sadzeniem roślin i stajniami, a matka opiekowała się domem. Mieli skromną uprawę warzyw, które sprzedawali w mieście. Cała rodzina mieszkała we własnym dwupokojowym domku na tyłach posiadłości. Pomalowali go na biało z turkusowym wykończeniem, bo matka Caesara widziała kiedyś taki dom białych.

Pani Garner niczego tak nie pragnęła, jak spędzić swe ostatnie lata w wygodzie. Nie

zgadzała się z powszechnymi argumentami na rzecz niewolnictwa, ale uważała je za zło konieczne ze względu na oczywiste niedostatki intelektualne afrykańskiego plemienia. Gdyby uwolnić ich z niewoli wszystkich naraz, skutki byłyby katastrofalne – jak by sobie radzili bez bacznej i cierpliwej opieki? Pani Garner pomagała niewolnikom na swój sposób, ucząc ich czytać, tak by mogli na własne oczy poznać słowo boże. Chętnie dawała im przepustki, pozwalając Caesarowi z rodziną krążyć po hrabstwie, ile chcieli. Drażniło to jej sąsiadów. Stopniowo przygotowywała niewolników do czekającej ich wolności, którą obiecała im po swojej śmierci.

Kiedy pani Garner umarła, Caesar z rodziną opłakiwali ją i opiekowali się gospodarstwem, czekając na oficjalną informację o wyzwoleniu. Staruszka nie zostawiła testamentu. Jej jedyna krewna, bratanica z Bostonu, zatrudniła miejscowego prawnika do likwidacji majątku ciotki. To był straszny dzień, kiedy prawnik przybył z konstablami i oznajmił, że Caesar i jego rodzice zostaną sprzedani. Co gorsza – sprzedani na południe, słynące z przerażających historii o potwornościach i okrucieństwie. Caesar z rodziną dołączyli do karawany skutych niewolników. Ojca zabrano w jedną stronę,

matkę w drugą, i w ten sposób Caesar został sam. Ich żałosne rozstanie przerwał bicz handlarza. Mężczyzna był tak znudzony tą sceną, którą oglądał już wcześniej mnóstwo razy, że zrozpaczoną rodzinę zbił bez przekonania. Caesar przyjął słabe razy jako znak, że zniesie te, które miały go jeszcze spotkać. Po aukcji w Savannah trafił na plantację Randallów, gdzie czekało go straszliwe przebudzenie.

– Umiesz czytać? – zapytała Cora.

– Tak. – Demonstracja była oczywiście niemożliwa, ale gdyby udało im się zbiec z plantacji, polegaliby na jego rzadkiej umiejętności.

Spotykali się w budynku szkoły, przy mleczarni po pracy, gdzie tylko mogli. Teraz, gdy Cora zawierzyła los jemu i jego planom, miała mnóstwo pomysłów. Zaproponowała, by zaczekali do pełni księżyca. Caesar odparł, że po próbie Dużego Anthony'ego zarządcy i nadzorcy zwiększą czujność, więc podczas pełni, gdy biała latarnia na niebie tak często podsuwa niewolnikom myśli o ucieczce, będą szczególnie uważni. Nie, powiedział. Chciał uciec jak najszybciej. Jutro w nocy. Księżyca przybywało, to im musiało wystarczyć. Agenci kolei podziemnej czekali.

Kolej podziemna – Caesar nie próżnował. Czy naprawdę działali aż tu, w głębi Georgii? Myśl o ucieczce przytłaczała Corę. Pomijając własne przygotowania, w jaki sposób w porę powiadomią kolej? Caesar nie miał pretekstu, żeby opuścić posiadłość aż do niedzieli. Odparł, że ich ucieczka wywoła ogromną wrzawę, więc tamtego człowieka nie trzeba będzie zawiadamiać.

Pani Garner na wiele sposobów zasiała w Caesarze ziarno ucieczki, ale zwłaszcza dzięki jednej wskazówce kolej podziemna zwróciła na niego uwagę. Było sobotnie popołudnie, siedzieli na werandzie. Główną drogą przesuwało się przed ich oczami weekendowe widowisko: handlarze z wózkami, rodziny idące na targ. Nieszczęśni niewolnicy skuci szyja w szyję, wlokący się noga za nogą. Gdy Caesar masował stopy staruszki, ona namawiała go, żeby posiadł jakąś umiejętność, która przyda mu się, kiedy będzie wolnym człowiekiem. Został więc cieślą, terminował w pobliskim warsztacie należącym do tolerancyjnego unitarianina. Po pewnym czasie zaczął sprzedawać swoje zgrabnie wyrzeźbione miski na targu. Pani Garner mówiła, że ma talent w rękach.

Na plantacji Randallów kontynuował swoje przedsięwzięcie, chodząc do miasta z niedzielną karawaną handlarzy mchu, szwaczek i pracowników dniówkowych. Sprzedawał niewiele, ale cotygodniowe wyprawy stanowiły przynajmniej drobne, choć gorzkie przypomnienie życia na północy. Cierpiał, zmuszony oderwać się o zmierzchu od tego widowiska, hipnotyzującego tańca handlu z pożądaniem.

Pewnej niedzieli podszedł do niego biały mężczyzna, zgarbiony i siwy, i zaprosił do swojego sklepu. Zaproponował, że mógłby w tygodniu sprzedawać towary Caesara, i obaj by na tym zarobili. Caesar już wcześniej go zauważył, spacerującego wśród kolorowych sprzedawców i z zaciekawioną miną przystającego przy jego wyrobach. Do tej pory nie zwracał na mężczyznę uwagi, teraz jednak propozycja wzbudziła w nim podejrzliwość. Sprzedaż na południe drastycznie zmieniła podejście Caesara do białych. Stał się ostrożny.

Mężczyzna handlował artykułami spożywczymi, pasmanterią i narzędziami rolniczymi. W sklepie nie było klientów. Zniżył głos i zapytał:

– Umiesz czytać, prawda?

– Panie? – Caesar powiedział to tonem, jakim mówili chłopcy w Georgii.

– Widziałem cię na placu, jak czytasz szyldy. I gazetę. Musisz się pilnować. Nie tylko ja potrafię zauważyć coś takiego.

Pan Fletcher był Pensylwańczykiem. Przeprowadził się do Georgii, bo jak odkrył poniewczasie, jego żona nie chciała mieszkać nigdzie indziej. Uważała, że tutaj jest zdrowe powietrze, które dobrze robi na krążenie. Co do powietrza miała rację, przyznawał, ale pod każdym innym względem to straszliwe miejsce. Pan Fletcher brzydził się niewolnictwem jako zniewagą dla Boga. Na północy nie działał czynnie w kręgach abolicjonistów, ale oglądając z bliska ten potworny system, zaczął miewać myśli, których nie poznawał. Myśli, za które czekałoby go wygnanie z miasta albo coś gorszego.

Obdarzył Caesara zaufaniem, ryzykując, że niewolnik doniesie na niego w zamian za nagrodę. W rewanżu Caesar zawierzył jemu. Spotkał już wcześniej takich białych ludzi, szczerych i wierzących w to, co mówią. Prawdziwość ich słów to już inna rzecz, ale przynajmniej w nie wierzyli. Na południu biały

był zrodzony z diabła i nie mogłeś przewidzieć jego kolejnego podłego czynu.

Na zakończenie pierwszego spotkania Fletcher wziął trzy miski Caesara i powiedział mu, żeby wrócił za tydzień. Nie udało mu się ich sprzedać, ale prawdziwy interes obu mężczyzn kwitł, bo nadawały mu kształt ich rozmowy. Ta idea była jak bryła drewna, uznał Caesar. Żeby odkryć drzemiący w niej nowy kształt, potrzeba ludzkiej zręczności i inwencji.

Najlepsze były niedziele. W niedziele żona Fletchera odwiedzała kuzynostwo. Fletcher zaś nigdy nie przekonał się do tej gałęzi rodziny, ani ona do niego, ze względu na jego szczególny temperament. Powszechnie uważało się, że kolej podziemna nie działa aż tak daleko na południu, powiedział sklepikarz Caesarowi. Ten już o tym wiedział. W Wirginii mogłeś zatoką Chesapeake przemknąć na barce do Delaware, uniknąć patroli i łowców nagród, polegając na własnym sprycie i niewidzialnej ręce Opatrzności. Albo mogła ci pomóc kolej podziemna ze swoją siecią magistral i sekretnych tras.

W tej części kraju literatura antyniewolnicza była nielegalna. Abolicjoniści i sympatycy niewolników przyjeżdżający do Georgii i na Florydę byli przeganiani, chłostani i dręczeni

przez tłum, obtaczani w smole i pierzu. Dla metodystów i ich bredni nie było miejsca w królestwie bawełny. Plantatorzy nie tolerowali zarazy.

Mimo to została otwarta stacja. Sklepikarz obiecał, że jeśli Caesar pokona trzydzieści mil do jego domu, to on przekaże go kolei podziemnej.

– Ilu niewolnikom już pomógł? – zapytała Cora.

– Żadnemu – odparł Caesar.

Głos mu nie zadrżał, by nie tylko Cora, ale i on sam nie stracił otuchy. Powiedział, że wcześniej Fletcher skontaktował się z jednym niewolnikiem, ale ten nie dotarł na umówione miejsce. Po tygodniu gazeta doniosła o jego pojmaniu i opisała charakter kary.

– Skąd mamy wiedzieć, że nas nie oszukuje?

– Nie oszukuje.

Caesar już to przemyślał. Sam fakt, że Fletcher rozmawiał z nim w swoim sklepie, wystarczył, żeby go powiesić. Niepotrzebne wymyślne podstępy. Caesar i Cora słuchali cykania owadów, uświadamiając sobie ogrom ich planu.

– Pomoże nam – powiedziała dziewczyna. – Musi.

Caesar wziął ją za ręce, a potem poczuł się zakłopotany własnym gestem, więc je puścił.

– Jutro w nocy – rzekł.

Ostatniej nocy w kwaterach Cora nie przespała, chociaż potrzebowała energii. Obok niej na poddaszu drzemały inne kobiety z Hobu. Słuchała ich oddechów: to Nag, to Rida i jej jeden nierówny wydech co drugą minutę. Jutro o tej godzinie Cora będzie wolna pośród nocy. Czy tak samo czuła się jej matka, gdy podjęła decyzję? Dziewczyna słabo ją pamiętała. Przypominała sobie przede wszystkim własny smutek. Jej matka była kobietą z Hobu, zanim powstał Hob. Tak samo niechętna do zadawania się z innymi, przytłaczana ciężarem, który ją wyróżniał i zmuszał, by zawsze chodziła zgięta. Cora nie potrafiła odtworzyć jej w umyśle. Kim była? Gdzie przebywała teraz? Dlaczego ją zostawiła? Bez wyjątkowego pocałunku mówiącego: Kiedy w przyszłości przypomnisz sobie tę chwilę, zrozumiesz, że to było pożegnanie, chociaż wtedy o tym nie wiedziałaś.

Ostatniego dnia w polu Cora wściekle kopała ziemię, jakby drążyła tunel. Za nim leży twoje zbawienie.

Pożegnała się bez pożegnania. Poprzedniego dnia po kolacji siedziały z Lovey i rozmawiały tak, jak nie zdarzyło im się od czasu urodzin Jockeya. Starała się przemycić miłe słowa

o przyjaciółce jako dar, który zostanie z nią później. „Oczywiście, że to dla niej zrobiłaś, jesteś dobrym człowiekiem. Oczywiście, że Major cię lubi, widzi w tobie to samo co ja”.

Ostatni posiłek zarezerwowała dla kobiet z Hobu. Rzadko spędzały czas wolny razem, ale zebrała je, odrywając od zajęć. Co się z nimi stanie? Były banitkami, ale Hob zapewniał swoistą ochronę, gdy już się tam ktoś zadomowił. Wyolbrzymiając swoją dziwność, tak jak niewolnik mizdrzy się i zachowuje jak dziecko, by uniknąć chłosty, kobiety z Hobu wymykały się z potrzasku tej kwatery. Zdarzały się noce, kiedy ściany chaty były fortecą chroniącą je przed sporami i spiskami. Biali cię sponiewierają, ale czasem kolorowi też.

Przy drzwiach zostawiła ułożone w kupkę swoje rzeczy: grzebień, kwadratowy kawałek polerowanego srebra, który Ajarry zdobyła skądś przed laty, garstkę niebieskich kamyków, które Nag nazywała jej „indiańskimi kamieniami”. To było jej pożegnanie.

Wzięła siekierę. Wzięła hubkę i krzesiwo. I tak jak matka wykopała pochrzyn. Do następnego wieczoru ktoś zajmie tę działkę dla siebie, pomyślała, przekopie ziemię. Otoczy płotem, żeby hodować kury. Postawi budę dla

psa. A może jakaś kobieta zostawi tu ogródek. Kotwicę wśród wściekłych wód plantacji, która nie pozwoli jej odpłynąć. Dopóki sama o tym nie zdecyduje.

Spotkali się przy bawełnie, kiedy wioska ucichła. Caesar zerknął pytająco na jej pękaty worek pochrzynu, ale nic nie powiedział. Szli wśród wysokich roślin tak spięci, że zapomnieli biec i przypomnieli sobie dopiero w pół drogi. Prędkość uderzała im do głowy. Niemożliwość tej ucieczki. Strach już za nimi wołał, choć nie robił tego jeszcze nikt inny. Mieli sześć godzin, zanim ich zniknięcie wyjdzie na jaw, i jeszcze jedną czy dwie do chwili, aż obława dotrze tu, gdzie znajdowali się w tym momencie. Ale strach ruszył w pościg już teraz, tak jak ścigał ich co dnia na plantacji, i dotrzymywał im kroku.

Przecięli łąkę, gdzie gleba była zbyt płytka na uprawę, i weszli na bagna. Minęły lata, odkąd Cora bawiła się tu z innymi dziećmi; straszyli się wtedy nawzajem opowieściami o niedźwiedziach, ukrytych aligatorach i szybko pływających jadowitych wężach. Mężczyźni polowali na bagnach na wydry i bobry, a handlarze mchu zbierali go z drzew. Zapuszczali się daleko, ale nigdy za daleko, ściągani z powrotem na plantację niewidzialnym

łańcuchem. Caesar od miesięcy towarzyszył traperom podczas połowów i wypraw łowieckich, uczył się, jak stąpać po torfie i mule, gdzie trzymać się blisko trzcin i jak znajdować wysepki pewnego lądu. Teraz laską badał mrok rozciągający się przed nimi. Plan był taki, by kierować się na zachód, aż dotrą do pasa wysp, które pokazał mu traper, a następnie skręcić na północny wschód i iść, aż bagno wyschnie. Mimo naddatku drogi pewny grunt pod nogami zapewni najszybszą trasę na północ.

Nie odeszli jeszcze daleko, gdy usłyszeli głos i stanęli. Cora spojrzała na Caesara, szukając znaku, co robić. Uniósł dłonie i nasłuchiwał. To nie był gniewny głos. Ani męski.

Caesar pokręcił głową, gdy rozszyfrował tożsamość winowajczyni.

– Lovey, sza!

Lovey miała dość oleju w głowie, żeby być cicho, skoro już ich namierzyła.

– Wiedziałam, że coś knujesz – szepnęła, dogoniwszy ich. – Chadzałaś z nim po kryjomu i nic o tym nie mówiłaś. A potem wykopałaś pochrzyn, chociaż jeszcze nie dojrzał! – Na ramieniu miała torbę, którą zrobiła z kawałka starego materiału ściągniętego sznurkiem.

– Wracaj, zanim nas wszystkich zgubisz! – powiedział Caesar.

– Idę tam, gdzie wy – odparła.

Cora zmarszczyła brwi. Jeśli odeślą Lovey z powrotem, może zostać złapana, próbując zakraść się do swojej chaty. Ona nie potrafi trzymać języka za zębami. Musieliby zapomnieć o przewadze na starcie. Cora nie chciała być odpowiedzialna za dziewczynę, ale nie widziała innego wyjścia.

– On nie zabierze nas trojga – stwierdził Caesar.

– Wie, że przyjdę? – spytała Cora.

Pokręcił głową.

– W takim razie dwie niespodzianki są równie dobre jak jedna – odparła. Uniosła swój worek. – Jedzenia i tak mamy dość.

Caesar miał całą noc, by przyzwyczaić się do tej myśli. Musiało minąć jeszcze dużo czasu, zanim mogli pójść spać. W końcu Lovey przestała reagować krzykiem na każdy niespodziewany odgłos nocnych zwierząt albo kiedy wdepnęła za głęboko i woda sięgała jej do pasa. Cora znała przewrażliwioną naturę Lovey, lecz nie poznawała drugiej strony przyjaciółki, tej, która przeważyła i pchnęła ją do ucieczki. Ale każdy niewolnik o tym myśli. Rano, wieczorem

i w nocy. Śni o tym. Każdy sen jest snem o ucieczce, nawet kiedy tak nie wygląda. Kiedy jest snem o nowych butach. Nadarzyła się okazja i Lovey z niej skorzystała, nie zważając na chłostę.

Wszyscy troje wędrowali na zachód, brodząc w czarnej wodzie. Cora nie umiałaby ich prowadzić. Nie wiedziała, jak Caesarowi się to udaje. Zaskakiwał ją na każdym kroku. Oczywiście musiał mieć w głowie mapę i czytać gwiazdy równie dobrze jak litery.

Lovey wzdychała i klęła, gdy potrzebowała odpocząć, więc Cora nie musiała o to pytać. Gdy kazali jej pokazać, co ma w worku, okazało się, że nic praktycznego, tylko różne pamiątki, które zbierała, na przykład drewnianą kaczuszkę albo butelkę z niebieskiego szkła. Jeśli idzie o praktyczność Caesara, okazał się on wprawnym nawigatorem znajdującym kolejne wyspy. Czy trzymał się swojej trasy, tego Cora nie umiała powiedzieć. Zaczęli kierować się na północny wschód i nim nastał świt, opuścili bagna.

– Już wiedzą – powiedziała Lovey, kiedy pomarańczowe słońce wyłoniło się na wschodzie.

Zrobili kolejny postój i pokroili pochrzyn na plasterki. Dręczyły ich komary i meszki. W świetle dnia wyglądali rozpaczliwie, ochlapani

błotem po szyję, pokryci rzepami i wąsami roślin. Corze to nie przeszkadzało. Nigdy w życiu nie była dalej od domu. Nawet gdyby teraz zabrano ją z powrotem i zakuto w łańcuchy, nikt nie odebrałby jej tych mil.

Caesar rzucił laskę na ziemię i ruszyli dalej. Kiedy znów się zatrzymali, powiedział, że musi pójść poszukać drogi. Obiecał, że wróci niedługo, ale trzeba sprawdzić, jak daleko zaszli. Lovey miała dość rozumu, by nie pytać, co będzie, jeśli nie wróci. Żeby je uspokoić, Caesar zostawił pod cyprysem swój worek i bukłak. Albo żeby im pomóc, jeśli już się nie zobaczą.

– Wiedziałam – powiedziała Lovey, wciąż chętna drążyć temat mimo wyczerpania.

Dziewczęta usiadły pod drzewami zadowolone, że mają pod sobą suchy, twardy grunt. Cora opowiedziała to, co jeszcze zostało do opowiedzenia, sięgając wstecz aż do urodzin Jockeya.

– Wiedziałam – powtórzyła Lovey.

– On myśli, że przynoszę szczęście, bo tylko mojej matce się udało.

– Jak kto chce szczęścia, niech obetnie króliczą łapkę.

– Co zrobi twoja matka?

Lovey przybyła z matką na plantację Randallów, kiedy miała pięć lat. Jej poprzedni właściciel nie uznawał ubierania murzyniątek, więc dopiero tutaj po raz pierwszy nosiła odzienie. Jej matka, Jeer, urodziła się w Afryce. Kochała opowiadać córce i jej przyjaciółkom historie o dzieciństwie w małej wiosce nad rzeką i o zwierzętach, które żyły nieopodal. Zbieranie bawełny zniszczyło jej ciało. Stawy miała opuchnięte i sztywne, przez co była cała powykręcana, a chodzenie sprawiało jej ból. Gdy nie mogła już pracować, opiekowała się dziećmi, kiedy ich matki wychodziły w pole. Mimo cierpień zawsze czule troszczyła się o swoją małą, chociaż jej szeroki bezzębny uśmiech natychmiast znikał, gdy tylko Lovey odwracała wzrok.

– Będzie ze mnie dumna – odparła Lovey. Położyła się i odwróciła plecami.

Caesar pojawił się wcześniej, niż sądziły. Powiedział, że są za blisko drogi, ale szli szybko. Teraz muszą brnąć dalej, by jak najbardziej oddalić się od drogi, zanim wyruszą jeźdźcy, bo wtedy ich przewaga błyskawicznie stopnieje.

– Gdzie będziemy spać? – zapytała Cora.

– Odejdźmy od drogi, a potem zobaczymy – odparł Caesar. Sądząc po jego zachowaniu, on też

był wyczerpany.

Postój zrobili niewiele później. Kiedy Caesar obudził Corę, słońce już zachodziło. Przez sen nawet nie drgnęła, choć leżała w niewygodnej pozycji na korzeniach starego dębu. Lovey już nie spała. Gdy prawie zmierzchało, dotarli do otwartej przestrzeni: pola kukurydzy za niewielką farmą. Właściciele byli w domu. Zajęci obowiązkami, na zmianę wyłaniali się z małego domku i w nim znikali. Zbiegowie wycofali się i poczekali, aż rodzina pogasi lampy. Od tego miejsca aż do farmy Fletchera najkrótsza trasa prowadziła przez ludzkie posiadłości, była jednak zbyt niebezpieczna. Ruszyli więc okrężną drogą przez las.

Ostatecznie zdradziły ich świnie. Szli koleiną świńskiego szlaku, kiedy spomiędzy drzew wyskoczyli biali. Było ich czterech. Na ścieżce leżała przynęta, a myśliwi czekali na zwierzynę, która w czasie upałów prowadziła nocny tryb życia. Zbiegowie to inny typ zwierza, za to bardziej zyskowny.

Tożsamości tej trójki nie dało się nie rozpoznać, bo ogłoszenia były bardzo szczegółowe. Dwaj myśliwi rzucili się na najdrobniejszą z uciekinierów i przygnietli ją do ziemi. Wszyscy tak długo milczeli – niewolnicy

po to, by nie zdradzić się przed łowcami, a łowcy, by nie zdradzić się przed zwierzyną – że teraz krzyczeli i stękali z wysiłku. Caesar szarpał się z krępym mężczyzną z długą ciemną brodą. Zbieg był młodszy i silniejszy, ale tamten nie dawał za wygraną i chwycił Caesara w pasie. Ten bił się tak, jakby uderzył już w życiu niejednego białego, co przecież niemożliwe, bo dawno leżałby w grobie. Właśnie z perspektywą trafienia do grobu walczyli teraz uciekinierzy, bo to ich czekało, jeśli ci ludzie wygrają i zwrócą ich właścicielowi.

Lovey wyła, kiedy tamci dwaj ciągnęli ją w mrok. Napastnik Cory był szczupłym chłopcem, może synem któregoś z pozostałych myśliwych. Zaatakował ją z zaskoczenia, ale gdy tylko jej dotknął, zawrzała w niej krew. Wróciło wspomnienie tamtej nocy za wędzarnią, kiedy Edward, Pot i pozostali wzięli ją przemocą. Walczyła. Nabrała siły w członkach, gryzła, biła i tłukła, opierała się tak, jak nie mogła oprzeć się wtedy. Zorientowała się, że upuściła siekierę. Potrzebowała jej. Edward gryzł już ziemię, a ten chłopiec prędzej do niego dołączy, niż Cora da się pojmać.

Chłopak rzucił ją na glebę. Przetoczyła się i uderzyła głową o pień. Wskoczył się na nią,

przygniatając do podłoża. Gniew w niej kipiał – wyciągnęła rękę, namacała kamień i uderzyła go nim w głowę. Zachwiał się, a wtedy powtórzyła cios. Jęki chłopca ucichły.

Czas był iluzją. Caesar zawołał Corę i podźwignął ją z ziemi. O ile dobrze widziała w ciemności, brodacz uciekł.

– Tędy!

Krzykiem wzywała przyjaciółkę.

Nie było po niej ani śladu i nie wiedzieli, którędy poszli napastnicy. Cora zawahała się, więc Caesar stanowczo szarpnął ją naprzód. Dała się poprowadzić.

Przestali biec, gdy pojęli, że nie mają pojęcia, dokąd zmierzają. Cora widziała tylko ciemność i swoje łzy. Caesar uratował bukłak, ale resztę prowiantu stracili. Stracili też Lovey. Zorientował się według gwiazd, po czym zataczając się, uciekli dalej w noc. Nie odzywali się godzinami. Ich wybory i decyzje odbijały od pnia pierwotnego planu niczym gałęzie i pędy. Gdyby zawrócili Lovey na bagnach. Gdyby obeszli farmy szerszym łukiem. Gdyby Cora szła ostatnia i to ją złapało dwóch mężczyzn. Gdyby w ogóle nigdy nie wyruszyli.

Caesar wynalazł obiecujące miejsce, więc wspięli się na drzewa i zasnęli na nich jak szopy.

Gdy Cora się ocknęła, świeciło słońce, a Caesar chodził między dwiema sosnami, mówiąc sam do siebie. Zeszła z konara, jej ręce i nogi były odrętwiałe od zaplątania w szorstkie gałęzie. Caesar miał poważny wyraz twarzy. Wieść o zajściu z zeszłej nocy na pewno już się rozeszła. Patrolowcy znali kierunek ich ucieczki.

– Mówiłaś jej o kolei?

– Chyba nie.

– Ja chyba też nie. Niemądrze postąpiliśmy, żeśmy tego nie przemyśleli.

Strumień, przez który w południe przeprawili się w bród, był punktem orientacyjnym. Caesar powiedział, że są już blisko. Po przejściu mili poszedł na zwiady. Kiedy wrócił, ruszyli ścieżką niebiegnącą już tak głęboko w lesie. Przez zarośla niewyraźnie dostrzegali domy.

– To tu – oznajmił.

Patrzyli na schludny parterowy domek z widokiem na pastwisko. Ziemia została zaorana, ale leżała odłogiem. Czerwony

wiatrowskaz oznaczał, że to ten dom, a zaciągnięte żółte zasłony w oknie na tyłach były sygnałem, że Fletcher jest w domu, a jego żona nie.

– Jeśli Lovey im powiedziała… – odezwała się Cora.

Nie widzieli stąd żadnych innych domów ani żadnych ludzi. Puścili się biegiem przez dzikie trawy, odsłonięci po raz pierwszy od czasu drogi przez bagna. Przebywanie na otwartej przestrzeni wytrącało z równowagi. Cora czuła się tak, jakby ktoś rzucił ją na którąś z dużych czarnych patelni Alice, lizaną od spodu przez płomienie. Zapukali do tylnych drzwi i czekali, aż Fletcher otworzy. Cora wyobrażała sobie obławę, która gromadzi się w lesie i zbiera do wypadu na pole. A może czekają już w środku. Jeśli Lovey im powiedziała. Wreszcie Fletcher wpuścił ich do kuchni.

Była nieduża, ale wygodna. Ulubione garnki wiszące na haczykach demonstrowały osmalone spody, a z cienkich szklanych naczyń wyzierały pstrokate polne kwiaty. Stary pies z zaczerwienionymi oczami nie ruszył się ze swego kąta, obojętny na gości. Cora i Caesar pili łapczywie z dzbanka, który podał im Fletcher. Gospodarz był niezadowolony z dodatkowej

pasażerki, ale od samego początku mnóstwo rzeczy poszło nie tak.

Streścił im wydarzenia. Najpierw matka Lovey, Jeer, spostrzegła nieobecność córki i po cichu wyszła z chaty, żeby jej poszukać. Chłopcy lubili Lovey, a Lovey lubiła chłopców. Kobietę zatrzymał nadzorca i wszystko z niej wyciągnął.

Cora i Caesar spojrzeli po sobie. Sześciogodzinna przewaga na starcie okazała się czczą fantazją. Ścigano ich od początku.

Nie było jeszcze południa, opowiadał Fletcher, gdy do poszukiwań zgłosił się każdy wolny parobek w hrabstwie oraz wielu z sąsiednich. Terrance obiecał niespotykanie wysoką nagrodę. Ogłoszenia wywieszono w każdym publicznym miejscu. Do pościgu przystąpili najgorsi dranie. Pijacy, niereformowalny element, biali biedacy, którzy nie posiadali nawet pary butów, z radością skorzystali z okazji gnębienia kolorowej ludności. Bandy obławników grasowały po niewolniczych wioskach i plądrowały domy wolnych, kradnąc i dokonując napaści.

Opatrzność uśmiechnęła się do zbiegów: łowcy uznali, że prawdopodobnie kryją się na bagnach – z dwiema młodymi kobietami ambitniejsze rozwiązania nie wchodziły w grę.

Większość niewolników kierowała się na trzęsawiska, bo na tak dalekim południu nie było życzliwych białych, nie było kolei podziemnej, która uratowałaby krnąbrnego czarnucha. To ów błąd pościgu pozwolił trojgu uciekinierom zabrnąć aż tak daleko na północny wschód.

A potem napadli ich myśliwi. Lovey wróciła na plantację Randalla. Bandy obławników już dwukrotnie odwiedzały dom Fletchera, żeby roznieść wieści i ukradkiem rozejrzeć się w cieniach. Najgorsze jednak było to, że najmłodszy z łowców – dwunastoletni chłopiec – odniósł tak ciężkie obrażenia, że dotąd się nie obudził. W oczach całego hrabstwa Caesar i Cora byli w zasadzie mordercami. Biali chcieli ich krwi.

Caesar zakrył twarz dłońmi. Fletcher pocieszającym gestem położył mu rękę na ramieniu. Brak reakcji Cory na te wiadomości zwracał uwagę. Mężczyźni czekali. Dziewczyna urwała kawałek chleba. Przerażenie Caesara musiało wystarczyć za ich dwoje.

Opowieść o ucieczce i streszczenie walki w lesie w znacznej mierze ukoiły niepokój Fletchera. Obecność ich trojga w tej kuchni oznaczała, że Lovey nie wiedziała o kolei, a oni

nie wymienili nazwiska sklepikarza. Postanowili działać zgodnie z planem.

Caesar i Cora pochłonęli resztkę pumpernikla i szynki. Mężczyźni debatowali, czy należy wyruszyć teraz, czy po zmroku. Cora uznała, że lepiej nie włączać się do dyskusji. Po raz pierwszy przebywała w szerokim świecie i wielu rzeczy jeszcze nie wiedziała. Sama była za tym, żeby ruszyć jak najszybciej. Każda pokonana mila, o jaką oddalali się od plantacji, to zwycięstwo. Chciała dodać je wszystkie do swojej kolekcji.

Mężczyźni postanowili, że najrozsądniej będzie przejechać pod nosem tamtych z niewolnikami przykrytymi jutowym kocem na tyle wozu Fletchera. W ten sposób uniknie się kłopotów z ukrywaniem się w piwnicy i dostosowywaniem do ruchów pani Fletcher.

– Skoro tak uważacie… – powiedziała Cora.

Pies puścił gazy.

Na cichej drodze Cora i Caesar usadowili się między skrzyniami sklepikarza. Słońce przebijające się między zwisającymi gałęziami drzew przeświecało przez materiał, a Fletcher rozmawiał z końmi. Cora zamknęła oczy, ale wizja chłopca leżącego w łóżku z przewiązaną głową i stojącego nad nim wielkiego brodatego

mężczyzny nie pozwalała zasnąć. Był młodszy, niż myślała. Ale nie powinien był jej dotykać. Mógł sobie wybrać inne zajęcie niż polowanie na świnie nocą. Uznała, że nie obchodzi jej, czy chłopak przeżyje. Zginą niezależnie od tego, czy się ocknie.

Rozbudziły ją dźwięki miasteczka. Mogła sobie tylko wyobrażać, jak ono wygląda: ludzie załatwiający swoje sprawy, zatłoczone sklepy, mijające się wózki i furmanki. Głosy były blisko, szalony szwargot bezcielesnego tłumu. Caesar ścisnął dłoń Cory. Leżeli wśród skrzyń w taki sposób, że nie widziała jego twarzy, ale wiedziała, jaką ma minę. Potem Fletcher zatrzymał wóz. Cora spodziewała się, że lada moment koc zostanie ściągnięty, i wyobrażała sobie, jaki wybuchnie zamęt. Blask słońca będzie oślepiający. Fletchera wychłostają i aresztują, a najpewniej zlinczują za ukrywanie nie zwykłych niewolników, ale morderców. Corę i Caesara tłum zbije do nieprzytomności, przygotowując ich do przekazania Terrance'owi, który szykował dla nich coś, przy czym cierpienia Dużego Anthony'ego zbledną. Nie mówiąc o tym, jaką karę już wymierzył Lovey, chyba że czekał, aż cała trójka zbiegów będzie razem. Cora wstrzymała oddech.

Fletcher zatrzymał się, zaczepiony przez znajomego. Wydała dźwięk, kiedy mężczyzna oparł się o wóz i nim zatrząsł, ale na szczęście on tego nie usłyszał. Przywitał Fletchera i podzielił się wiadomościami o obławie i wyniku poszukiwań – morderców złapano! Fletcher podziękował Bogu. Dołączył inny głos, który obalił te pogłoski. Niewolnicy wciąż się tu kręcili, rano ukradli kury pewnemu farmerowi, ale psy złapały ich trop. Fletcher powtórzył wyrazy wdzięczności wobec Boga czuwającego nad białym człowiekiem i jego interesami. O chłopcu nie było wieści. Szkoda, powiedział sklepikarz.

Rychło wóz ruszył dalej cichą drogą.

– Gonią przez was własny ogon – rzekł Fletcher. Nie było jasne, czy zwraca się do niewolników, czy do swoich koni.

Cora znów się zdrzemnęła, wciąż wyczerpana ucieczką. Śpiąc, mogła nie myśleć o Lovey. Kiedy ponownie otworzyła oczy, było ciemno. Caesar poklepał ją uspokajająco. Usłyszeli dudnienie, brzęczenie i zgrzyt zasuwki. Fletcher ściągnął koc, a wtedy uciekinierzy mogli rozprostować obolałe kości, rozglądając się po stodole.

Najpierw Cora zobaczyła łańcuchy. Tysiące łańcuchów dyndały na gwoździach wbitych w ścianę, makabryczna kolekcja kajdan

i okowów, pierścieni na kostki, nadgarstki i szyje we wszystkich możliwych rodzajach i kombinacjach. Okowy uniemożliwiające ucieczkę, ruch rąk albo pozwalające zawiesić ciało w powietrzu do chłosty. Jeden rząd zawierał wyłącznie łańcuchy dla dzieci oraz malutkie kajdany i ogniwa, którymi były one połączone. Kolejny – żelazne okowy tak grube, że nie przecięłaby ich żadna piła, lub tak cienkie, że tylko strach przed karą powstrzymywał więźnia przed ich przerwaniem. Ozdobne kagańce miały własny dział, a w kącie leżał stos kul na łańcuchu. Kule ułożono w piramidkę, a łańcuchy odbijały od niej, tworząc esy-floresy. Niektóre kajdany były zardzewiałe, niektóre pęknięte, a inne wyglądały tak, jakby wykuto je tego ranka. Cora podeszła do innej części kolekcji i dotknęła metalowego pierścienia z kolcami skierowanymi do wewnątrz. Uznała, że służy on do zakładania na szyję.

– Straszliwa kolekcja – odezwał się głos mężczyzny. – Zbierałem je to tu, to tam.

Nie słyszeli, jak wchodził; czy był tu cały czas? Nosił szare spodnie i koszulę z szorstkiej tkaniny nieukrywającej jego kościstej sylwetki. Cora widziała głodujących niewolników, którzy mieli więcej ciała.

– Pamiątki z moich podróży – powiedział biały. Mówił dziwnie, miał osobliwy zaśpiew przypominający Corze ludzi z plantacji, którzy postradali zmysły.

Fletcher przedstawił Lumbly'ego. Mężczyzna słabo uścisnął im dłonie.

– Pan jesteś konduktor? – zapytał Caesar.

– Kiepsko sobie radzę z parą – odparł tamten. – Jestem raczej zawiadowcą stacji. – Wyjaśnił, że gdy nie zajmuje się koleją, wiedzie spokojne życie na farmie. To jego ziemia. Cora i Caesar musieli przyjechać pod przykryciem albo z przewiązanymi oczami. Lepiej, by nie wiedzieli, gdzie są. – Spodziewałem się dziś trojga pasażerów – powiedział Lumbly. – Będziecie mogli rozprostować kości.

Zanim zdołali przemyśleć jego słowa, Fletcher poinformował, że musi wracać do żony.

– Moja rola skończona, przyjaciele.

Objął zbiegów z rozpaczliwą czułością. Cora wzdrygnęła się, nie mogła tego powstrzymać. W ciągu dwóch dni dotykało jej dwóch białych mężczyzn. Czy taka była cena wolności?

Caesar w milczeniu patrzył za odjeżdżającym wozem sklepikarza. Fletcher mówił coś do koni, a potem jego głos znikł w oddali. Towarzysz Cory miał stroskaną minę. Fletcher mnóstwo dla nich

zaryzykował, mimo że sytuacja skomplikowała się znacznie bardziej, niż przewidywał. Żeby spłacić ten dług, musieli przeżyć i pomóc innym, kiedy nadarzy się okazja. Tak przynajmniej uważała Cora. Przecież Caesar zawdzięczał temu człowiekowi również to, że przed wieloma miesiącami wziął go do swego sklepu. Właśnie tę myśl widziała teraz wypisaną na jego twarzy – nie zmartwienie, lecz poczucie odpowiedzialności. Lumbly zamknął drzwi stodoły. Gdy trzasnęły, zabrzęczały łańcuchy na ścianach.

Lumbly nie był tak sentymentalny. Zapalił latarnię i podał ją Caesarowi, a sam odgarnął nogą siano, by otworzyć klapę w podłodze. Widząc obawę zbiegów, powiedział:

– Jeśli chcecie, zejdę pierwszy.

Stopnie wyłożono kamieniami, a z dołu biła cierpka woń. Nie kończyły się w piwnicy, lecz biegły jeszcze niżej. Cora była pełna uznania dla pracy, jakiej wymagała ich konstrukcja. Wprawdzie strome, ale kamienie leżały równo, ułatwiając zejście. Potem dotarli do tunelu, a wtedy uznanie stało się słowem zbyt skromnym, by opisać to, co się przed nią rozciągało.

Schody doprowadziły ich do niewielkiej platformy. Na obu jej końcach ziały wyloty olbrzymiego tunelu. Musiał mieć z sześć metrów wysokości, a jego ściany wyłożono naprzemiennie jasnymi i ciemnymi kamykami. Ileż pracy musiała kosztować realizacja takiego projektu. Cora i Caesar dostrzegli tory. Przez całą długość widocznego odcinka ciągnęły się dwa pasy metalu przymocowane do ziemi drewnianymi podkładami. Zapewne biegły na północ i południe, z jakiegoś niepojętego źródła ku cudownej stacji końcowej. Ktoś miał tyle dbałości, by na peronie umieścić małą ławeczkę. Corze zakręciło się w głowie, więc usiadła.

Caesar ledwo mógł się odezwać.

– Jak daleko ciągnie się ten tunel?

Lumbly wzruszył ramionami.

– Dla was dostatecznie daleko.

– Kto go zbudował?

– A kto buduje cokolwiek w tym kraju?

Cora widziała, że Lumbly rozkoszuje się ich zdumieniem. To nie pierwsze jego przedstawienie.

– Ale jak? – zapytał Caesar.

– Rękami, niby jak inaczej? Musimy omówić wasz odjazd. – Lumbly wyciągnął z kieszeni żółtą kartkę i zmrużył oczy. – Macie dwie możliwości.

Jeden pociąg jedzie za godzinę, a drugi za sześć. Nie jest to najdogodniejszy grafik. Chciałbym, żeby nasi pasażerowie lepiej trafiali z chwilą przybycia, ale mamy pewne ograniczenia w działaniu.

– Najbliższy – powiedziała Cora, wstając. Nie było wątpliwości.

– Rzecz w tym, że one nie jadą w to samo miejsce – odrzekł Lumbly. – Jeden jedzie w jedną stronę, a drugi…

– Dokąd? – spytała.

– Daleko stąd, tylko tyle mogę wam powiedzieć. Chyba rozumiecie trudności w komunikowaniu wszystkich zmian tras. Pociągi osobowe, ekspresy, jedne stacje są zamykane, do innych miejsc dociągają tunel. Kłopot w tym, że jeden cel podróży może wam bardziej pasować niż drugi. Stale są odkrywane jakieś stacje, jakieś połączenia są zawieszane. Nikt nigdy nie wie, co go czeka, dopóki nie zajedzie na miejsce.

Zbiegowie nie rozumieli. Według słów zawiadowcy jedna trasa mogła być krótsza, ale nie bezpieczniejsza. Czy chciał powiedzieć, że druga jest dłuższa? Lumbly nie rozwinął myśli. Utrzymywał, że podzielił się już wszystkim, co wie. Koniec końców jak zawsze mieli przed sobą

wybór niewolnika: nieważne dokąd, byle nie do miejsca, z którego uciekli. Po naradzie z towarzyszką Caesar oznajmił:

– Pojedziemy najbliższym.

– Wasz wybór – powiedział Lumbly. Wskazał im ławkę.

Czekali. Na prośbę Caesara zawiadowca opowiedział, w jaki sposób zaczął pracę w kolei podziemnej. Cora nie potrafiła się na tym skupić. Przyciągał ją tunel. Ilu rąk było trzeba, by zbudować to miejsce? I ciągnące się stąd tunele, dokądkolwiek prowadziły? Przypomniała sobie zbieranie bawełny, to, jak praca wrzała w zagonach, afrykańskie ciała działające jak jeden organizm, tak szybko, jak tylko miały siłę. Rozległe pola pękały od setek tysięcy białych torebek nasiennych rozciągniętych niczym gwiazdy na najprzejrzystszym nocnym niebie. Gdy niewolnicy kończyli, pole było odarte z koloru. To fantastyczna operacja, od nasienia aż po belę, ale nie mogli czuć dumy ze swej pracy. Została im wykradziona. Utoczona jak krew. Ten tunel, te tory, zrozpaczone istoty, które dzięki skoordynowaniu stacji i rozkładów jazdy znalazły wybawienie – oto cud, z którego można być dumnym. Cora zastanawiała się, czy ci, co

zbudowali tę sieć, doczekali się należytej nagrody.

– Każdy stan jest inny – mówił Lumbly. – Każdy daje inne możliwości, obowiązują tam inne zwyczaje i inne praktyki. Przemieszczając się między nimi, poznacie całe spektrum tego kraju, zanim dotrzecie do celu.

Wtedy ławka zadrżała. Zamilkli, a drżenie zmieniło się w dźwięk. Lumbly zaprowadził ich na skraj peronu. Na stację zajechało coś dziwnego i olbrzymiego. Caesar widywał w Wirginii pociągi; Cora tylko o nich słyszała. Nie tak je sobie wyobrażała. Lokomotywa była niezgrabną czarną machiną z trójkątnym pyskiem zgarniacza na przedzie, choć tam, dokąd zmierzała, raczej niewiele zwierząt mogło wejść na tory. Dalej znajdowała się okopcona bulwa komina. Zasadniczy korpus składał się z dużej czarnej skrzyni, nad którą górowała budka maszynisty. Poniżej tłoki i duże cylindry nieprzerwanie tańczyły z dziesięcioma kołami – dwiema parami małych z przodu i trzema z tyłu. Lokomotywa ciągnęła tylko jeden rozsypujący się wagon towarowy, któremu brakowało wielu desek w ścianach.

Kolorowy maszynista pomachał do nich z budki, rzucając bezzębny uśmiech.

– Wszyscy wsiadać! – zawołał.

Żeby uciąć irytujące pytania Caesara, Lumbly szybko odpiął haczyk na drzwiach wagonu i rozsunął je szeroko.

– Zapraszam – powiedział. Cora i Caesar wsiedli, a Lumbly gwałtownie zatrzasnął ich w środku. – Zawsze mówię, że jeśli ktoś chce zrozumieć ten kraj, musi pojechać koleją. Pędząc przed siebie, wyjrzyjcie z wagonu, a zobaczycie prawdziwą twarz Ameryki.

Klepnięciem w ścianę wagonu dał znak maszyniście. Pociąg szarpnął.

Zbiegowie stracili równowagę i zatoczyli się na bele siana służące za siedzenia. Wagon skrzypiał i dygotał. Nie należał do nowych i wielokrotnie podczas podróży Cora bała się, że wkrótce się rozsypie. Był pusty z wyjątkiem bel siana, martwych myszy i wygiętych gwoździ. Później znalazła osmaloną plamę w miejscu, gdzie ktoś rozpalił ognisko. Po tej serii dziwnych wydarzeń Caesar wydawał się odrętwiały. Zwinął się na podłodze. Idąc za ostatnią wskazówką Lumbly'ego, Cora wyglądała przez szpary między deskami. Mila za milą widziała tylko ciemność.

Kiedy znowu wyjechali na słońce, znajdowali się w Karolinie Południowej. Cora spojrzała

w górę na drapacz chmur i zakręciło jej się w głowie. Zastanawiała się, jak daleko odjechali.

Ridgeway

Ojciec Arnolda Ridgewaya był kowalem. Urzekał go podobny do zachodu słońca żar ciekłego żelaza, fascynowało go, jak surowiec nabiera barwy wpierw powoli, potem szybko, jak ogarnia go ona niczym uczucie, a materiał, nagle giętki, ruchliwy i niespokojny, czeka, aż nada mu się kształt właściwy jego przeznaczeniu. Kuźnia stanowiła okno, przez które widać było pierwotne moce świata.

Miał kompana z baru, Toma Birda, mieszańca, który zaprawiwszy się whisky, robił się sentymentalny. Kiedy Tom Bird czuł, że oddalił się od sensu życia, dzielił się historiami o Wielkim Duchu. Wielki Duch żył w każdej rzeczy – w ziemi, w niebie, w zwierzętach i lasach – przepływał przez nie i łączył je boską nicią. Choć ojciec Ridgewaya pogardzał gadkami o religii, opowieści Toma Birda o Wielkim Duchu kojarzyły mu się z tym, co sam czuł wobec żelaza. Nie kłaniał się żadnemu bogowi z wyjątkiem rozżarzonego żelaza, z którym obcował w swojej kuźni. Czytał o wielkich wulkanach, o Pompejach zniszczonych przez ogień z głębin, co wylał się

z gór. Ciekły ogień to krew ziemi. Misją kowala jest ubijanie, ugniatanie i rozciąganie metalu, tak by powstały z niego przydatne rzeczy, dzięki którym działa społeczeństwo: gwoździe, podkowy, pługi, noże, broń. Łańcuchy. Nazywał to urabianiem ducha.

Kiedy było mu wolno, młody Ridgeway stał w kącie, gdy jego ojciec kształtował pensylwańskie żelazo. Gdy topił, kuł, tańczył wokół kowadła. Pot ściekał mu po twarzy, sadza pokrywała go od stóp do głów, był czarniejszy od afrykańskiego diabła. „Trzeba urabiać ducha, chłopcze". Powiedział synowi, że pewnego dnia i on znajdzie swego ducha.

To był bodziec. Ridgeway przyjął go na barki jako samotne brzemię. Nie istniał wzór takiego człowieka, jakim on chciał zostać. Nie mógł poświęcić się kowalstwu, bo nie przewyższyłby ojca. W mieście oglądał twarze ludzi i tak samo jak ojciec szukał skaz w metalu. Wszędzie oddawali się oni frywolnym i jałowym zajęciom. Farmer jak imbecyl czekał na deszcz, sklepikarz ustawiał kolejne rzędy koniecznych, lecz nieciekawych towarów. Rzemieślnicy tworzyli przedmioty, które były niczym liche plotki przy żelaznych faktach jego ojca. Nawet najwięksi bogacze, z wpływami tak na dalekiej giełdzie

w Londynie, jak i w lokalnym handlu, nie dostarczali inspiracji. Rozumiał miejsce tych ludzi w systemie, wznoszących swe wielkie domy na fundamentach z liczb, ale ich nie poważał. Jeśli na koniec dnia nie jesteś choć trochę brudny, żaden z ciebie mężczyzna.

Co rano brzęk metalu uderzanego przez ojca był jak odgłos kroków przeznaczenia, które nigdy się nie przybliżało.

Ridgeway miał czternaście lat, kiedy dołączył do patrolowców. Był ogromnym czternastolatkiem, blisko dwumetrowym, krzepkim i zdecydowanym. Z jego ciała nikt nie wyczytałby zamętu, który panował w środku. Bił swych towarzyszy, gdy dostrzegał w nich własne słabości. Jak na patrolowca był młody, ale interes ewoluował. Królowała bawełna, więc kraj zapełniał się niewolnikami. Rewolty w Indiach Zachodnich i niepokojące incydenty w bliższych stronach niepokoiły miejscowych plantatorów. Jaki trzeźwo myślący biały człowiek nie martwiłby się, czy to handlarz niewolników, czy kto inny? Patrole stawały się liczniejsze i miały coraz więcej różnych obowiązków. I dla chłopca mogło się znaleźć miejsce.

Chandler, szef patrolowców w hrabstwie, był najstraszliwszym osobnikiem, jakiego Ridgeway

widział w życiu. Na widok tego zbira i zabijaki, który siał postrach wśród miejscowych, porządni ludzie przechodzili na drugą stronę ulicy, nawet jeśli po deszczu zmieniła się ona w błotnistą breję. Spędził w więzieniu więcej czasu niż zbiegowie, których wyłapywał. Nieraz chrapał w celi po sąsiedzku z łajdakiem własnoręcznie zatrzymanym kilka godzin wcześniej. Niedoskonały był to wzór, ale bliski tego, do czego chciał dążyć Ridgeway. Działał w ramach reguł, wymuszając ich przestrzeganie, a jednocześnie znajdował się poza nimi. Pomogło również to, że ojciec chłopca nienawidził Chandlera, bo nadal cierpiał po sprzeczce sprzed lat. Ridgeway ojca kochał, ale ciągłe gadanie o duchach przypominało mu o braku własnego celu w życiu.

Praca w patrolu nie była trudna. Zatrzymywali każdego zauważonego czarnucha i kazali pokazywać przepustkę. Zatrzymywali nawet tych czarnuchów, o których wiedzieli, że są wolni – dla zabawy, ale także po to, by przypomnieć Afrykanom o siłach sprzymierzonych przeciwko nim bez względu na to, czy należą oni do białego człowieka, czy nie. Krążyli po wioskach niewolników w poszukiwaniu czegoś podejrzanego, choćby

uśmiechu czy książki. Krnąbrnych czarnuchów biczowali, a potem oddawali do aresztu lub – jeżeli byli w nastroju, a do końca dnia pracy zostało jeszcze dużo czasu – bezpośrednio właścicielowi.

Każda wiadomość o zbiegu sprawiała, że z radością brali się do dzieła. Podczas pościgu robili naloty na plantacje, gdzie przepytywali roztrzęsionych smoluchów. Wolni wiedzieli, co się święci, więc chowali cenne rzeczy i skarżyli się, kiedy biali rozbijali im meble i szkło. Modlili się, by szkody ograniczyły się do przedmiotów. Podnieta poniżenia mężczyzny na oczach jego rodziny albo sprania niedoświadczonego byczka, który krzywo na ciebie spojrzał, to niejedyna zaleta pościgów. Na farmie starego Muttera były najurodziwsze kolorowe dziewki – pan Mutter miał gust – a rozgrzany pościgiem młody patrolowiec robił się chutliwy. Niektórzy twierdzili, że stare dziadki w destylarni na odludziu na plantacji Stone'ów robią najlepszą kukurydzianą whisky w hrabstwie. Obława stawała się więc dla Chandlera okazją do napełnienia dzbanów.

W tamtych czasach Ridgeway panował nad sobą i nie uczestniczył w najzuchwalszych wybrykach kamratów. Reszta patrolu składała

się z chłopców i mężczyzn o podłym usposobieniu; właśnie takich przyciągała ta praca. W innym kraju uznano by ich za kryminalistów, ale tu była Ameryka. Ridgeway najbardziej lubił nocną robotę, gdy zaczajali się na jakiegoś byczka, który wymknął się przez las, by odwiedzić żonę na sąsiedniej plantacji, albo polującego na wiewiórki dla urozmaicenia codziennej porcji pomyj. Inni patrolowcy nosili broń palną i z chęcią kosili każdego gagatka na tyle głupiego, by uciec, ale Ridgeway naśladował Chandlera. Dostateczną broń dała mu sama natura. Gonił czarnych jak króliki i unieszkodliwiał przy użyciu pięści. Bił ich za to, że wyszli poza teren, bił za to, że biegli, chociaż tylko pościg koił jego nerwowość. Gnał przez mrok, gałęzie smagały go po twarzy, potykał się o pniaki, koziołkował i znów się podnosił. Gdy kogoś ścigał, krew huczała i jaśniała mu w żyłach.

Kiedy dzień pracy kończył jego ojciec, leżały przed nim jej owoce: muszkiet, grabie, resor do wozu. Ridgeway natomiast stał naprzeciw mężczyzny lub kobiety, których pojmał. Jeden tworzył narzędzia, drugi je odzyskiwał. Ojciec dokuczał mu w kwestii ducha. Co to za

powołanie: ganiać za czarnuchami o rozumie nie większym niż psi?

Ridgeway miał teraz osiemnaście lat, był już mężczyzną. Obaj pracujemy dla pana Whitneya, powiedział. To prawda; ojciec właśnie zatrudnił dwóch terminatorów i zlecał robotę pomniejszym kowalom. Wynalezienie przez Eliego Whitneya odziarniarki bawełny oznaczało większe zbiory i większe zapotrzebowanie na żelazne narzędzia do pracy w polu, żelazne podkowy dla koni ciągnących wozy oraz żelazne obręcze kół i inne części pozwalające zawieźć bawełnę na targ. A także na większą liczbę niewolników i na żelazo do ich ujarzmienia. Uprawy dawały początek nowym osadom, które wymagały gwoździ i klamer do konstrukcji domów, narzędzi do ich budowy, dróg, by je połączyć, i jeszcze więcej żelaza, żeby to wszystko działało. Niech sobie ojciec Ridgewaya zachowa swoją wzgardę i swojego ducha. Obaj byli częścią tego samego systemu, służyli narodowi, który wznosił się ku swemu przeznaczeniu.

Za zbiegłego niewolnika zarabiało się marne dwa dolary, jeśli jego właściciel był kutwą albo czarnuch okazał się przetrącony, albo aż sto, a nawet dwa razy tyle, jeśli złapało się go poza

granicami stanu. Ridgeway stał się prawdziwym łowcą niewolników po swej pierwszej wyprawie do New Jersey, dokąd udał się, by odzyskać własność miejscowego plantatora. Betsy uciekła do Trenton aż z plantacji tytoniu Wirginii. Ukrywała się u kuzynek, gdy w końcu rozpoznał ją na targu znajomy jej właściciela. Ten zaoferował miejscowym chłopcom dwadzieścia dolarów za dostarczenie zbiegłej plus zwrot wszystkich sensownych kosztów.

Ridgeway nigdy jeszcze nie podróżował tak daleko. Im dalej docierał na północ, tym bardziej wszystko przekraczało jego wyobrażenia. Jakże wielki był ten kraj! Każde kolejne miasto okazywało się bardziej szalone i skomplikowane niż poprzednie. Zgiełk w Waszyngtonie przyprawił go o zawroty głowy. Kiedy Ridgeway wyszedł zza rogu i zobaczył budowę Kapitolu, zwymiotował – czy to po zjedzeniu nieświeżej ostrygi, czy też na widok ogromu tej konstrukcji, który wstrząsnął nim do żywego. Wynajdywał najtańsze tawerny i drapiąc się od wszy, przemyśliwał zasłyszane tam historie. Nawet najkrótsza podróż promem wiodła jakby do innego, odrębnego kraju, jaskrawego i olśniewającego.

Zastępca konstabla w areszcie w Trenton potraktował go jak szacownego człowieka. To już nie to samo, co wychłostanie kolorowego chłopca o zmierzchu albo rozbicie zabawy niewolników dla rozrywki. To była męska robota. W zagajniku pod Richmond Betsy podciągnęła sukienkę smukłymi palcami i złożyła Ridgewayowi nieobyczajną propozycję w zamian za wolność. Miała szczupłe biodra, szerokie usta i szare oczy. On niczego jej nie obiecywał. Po raz pierwszy był z kobietą. Opluła go, kiedy zapinał jej łańcuchy, a potem znowu, gdy dotarli do rezydencji jej pana. Pan i jego synowie śmiali się, kiedy wycierał twarz, ale dwadzieścia dolarów poszło na nowe buty oraz brokatowy surdut podobny do tych, jakie widział u notabli w Waszyngtonie. Buty nosił przez długie lata. W surducie dużo szybciej przestał mu się mieścić brzuch.

W Nowym Jorku zaczęły się szalone czasy. Ridgeway jeździł na północ po zbiegłych niewolników, kiedy konstable powiadamiali o zatrzymaniu uciekinierów z Wirginii czy Karoliny Północnej. Często wyprawiał się do Nowego Jorku, więc poznawszy nowe strony swego charakteru, przeniósł tam interes. W rodzinnych stronach łapanie zbiegów wyglądało prosto: należało im spuścić lanie. Na

północy monstrualne rozmiary metropolii, działanie ruchu wyzwoleńczego i pomysłowość społeczności kolorowej pozwalały pojąć prawdziwą skalę polowania.

Szybko się uczył. Zresztą to było bardziej jak przypominanie sobie niż jak nauka. Sympatycy niewolników i najemnicy przemycali zbiegów do miejskich portów. Z kolei sztauerzy, dokerzy i nadzorcy dostarczali Ridgewayowi informacji, dzięki którym wyłapywał gagatków o krok od wolności. Wolni donosili na swych afrykańskich braci i siostry, porównując opisy zbiegów w gazetach z istotami kręcącymi się ukradkiem po kościołach, barach i domach modlitewnych dla kolorowych. *Barry to tęgi, dobrze zbudowany osobnik, wzrost około 170 centymetrów, małe, wysoko osadzone oczy, zuchwałe spojrzenie. Hasty jest w zaawansowanej ciąży i przypuszczalnie została przez kogoś wywieziona, ponieważ nie zniosłaby trudów samodzielnej podróży.* Barry zwinął się z jękiem. Hasty z bachorem wyli przez całą drogę do Charlotte.

Wkrótce Ridgeway miał już trzy zacne surduty. Wszedł w towarzystwo łowców niewolników, goryli wciśniętych w czarne garnitury z niedorzecznymi melonikami na głowach. Musiał dowieść, że nie jest kmiotem, ale

tylko raz. Całymi dniami wspólnie śledzili uciekinierów, ukrywali się pod miejscami pracy, aż nadarzy się okazja, nocą włamywali się do murzyńskich nor, żeby porwać zbiegów. Po latach spędzonych z dala od plantacji, po tym, jak ożenili się i założyli rodziny, ci niewolnicy wmawiali sobie, że są wolni. Jakby posiadacze mieli zapomnieć o swojej własności. Dzięki takim złudzeniom uciekinierzy byli łatwym łupem. Ridgeway gardził porywaczami i bandytami z dzielnicy Five Points, którzy wiązali wolnych za ręce i nogi i ciągnęli na południe, by sprzedać na aukcji. To było nikczemne zachowanie, zachowanie patrolowców. A on był teraz łowcą niewolników.

Nowy Jork stanowił kolebkę nastrojów antyniewolniczych. Zanim Ridgeway mógł zabrać pojmanych na południe, zgodę musiał wydać sąd. Prawnicy abolicjoniści wznosili biurokratyczne barykady, każdy tydzień przynosił nowe fortele. Twierdzili, że Nowy Jork to wolny stan, więc każdy kolorowy po przekroczeniu granicy magicznie staje się wolny. Wykorzystywali zrozumiałe rozbieżności między opisami w ogłoszeniach a osobami na sali sądowej: czy istnieje dowód, że obecny tu Benjamin Jones to ten sam Benjamin Jones, o którym mowa?

Większość plantatorów nie rozróżniała poszczególnych niewolników, nawet tych kobiet, które brali do łóżka. Nic dziwnego, że gubili swoją własność. Zaczynała się gra w wyciąganie czarnuchów z aresztu, zanim prawnicy ujawnią swój najnowszy manewr. Szlachetna głupota kontra moc pieniądza. Za opłatą sędzia miejski powiadamiał Ridgewaya o świeżo aresztowanych zbiegach i pośpiesznie ich wydawał. Zanim abolicjoniści wstali z łóżek, oni byli już w połowie drogi przez New Jersey.

Kiedy zachodziła konieczność, Ridgeway omijał sąd, ale nie robił tego często. Zawsze pojawiał się kłopot, gdy zatrzymano go na drodze wolnego stanu, a zbiegła własność okazywała się złotousta. Ledwie to uciekło z plantacji, od razu uczyło się czytać – istna plaga.

Podczas gdy Ridgeway czekał w dokach na przemytników, wspaniałe statki z Europy rzucały kotwice i wypuszczały na ląd pasażerów: wygłodniałych, z całym dobytkiem w tobołkach. Takich samych nieszczęśników jak murzyni, bez dwóch zdań. Ale wkrótce zostaną oni przywołani na właściwe miejsca, tak jak kiedyś on. Cały świat, w którym Ridgeway wychowywał się na południu, był rozchodzącą się falą tego pierwszego przybycia. Brudna biała powódź nie

miała się gdzie podziać i musiała rozlać się na zewnątrz. Na południe. Na zachód. Śmieci i ludzie podlegają tym samym prawom. Miejskie rynsztoki przepełniały się resztkami i odpadami – ale z czasem cały ten chlew znajdował swoje miejsce.

Ridgeway patrzył, jak przybysze zataczają się po trapach, patrzą kaprawym, błędnym wzrokiem, przytłoczeni miastem. Przed tymi pielgrzymami możliwości rozciągały się niczym na bankiecie, a oni całe życie głodowali. Nigdy nie widzieli czegoś podobnego, ale wkrótce mieli odcisnąć swój ślad na tej nowej ziemi, tak samo jak owi słynni pierwsi osadnicy w Jamestown, mieli nią zawładnąć na mocy niepodważalnej logiki rasowej. Gdyby czarnuch zasługiwał na wolność, nie byłby w kajdanach. Gdyby czerwonoskóry miał zachować swoje terytoria, nadal pozostałyby jego. Gdyby białemu człowiekowi ten nowy świat nie był przeznaczony, teraz by do niego nie należał.

Oto prawdziwy Wielki Duch, boska nić łącząca ogół przedsięwzięć człowieka – jeśli nie potrafisz czegoś zatrzymać, nie jest twoje. Czy chodzi o własność, niewolnika czy kontynent. Taki jest amerykański imperatyw.

Ridgeway zyskiwał renomę, gdyż potrafił zadbać, żeby własność pozostała własnością. Kiedy zbieg czmychał w zaułek, on wiedział, dokąd tamten pędzi. Znał kierunek i cel. Sztuka była następująca: nie próbuj zgadnąć, dokąd niewolnik uda się potem. Skup się na tym, że ucieka przed tobą. Nie przed okrutnym panem czy ogromem niewoli, ale przed tobą osobiście. Sprawdzało się to raz za razem, ta jego żelazna prawda – w zaułkach, lasach i na bagnach. W końcu Ridgeway zostawił ojca i brzemię jego filozofii. Nie urabiał ducha. Nie był kowalem wymuszającym porządek. Nie był młotem. Ani kowadłem. Był żarem.

Jego ojciec zmarł, a wtedy kuźnię przejął kowal z sąsiedztwa. Nadeszła pora wrócić na południe – do domu, do Wirginii, i jeszcze dalej, tam dokąd prowadziła praca – a wraz z Ridgewayem wrócił cały gang. Zbyt wielu było zbiegów, by radzić sobie w pojedynkę. Eli Whitney zagnał do piachu starego ojca, który na łożu śmierci kaszlał sadzą, a syna zmuszał do kontynuacji polowań. Plantacje były teraz dwa razy większe, dwa razy liczniejsze, ucieczki zdarzały się częściej, zbiegowie bywali sprytniejsi, a nagrody wyższe. Na południu plantatorzy pilnowali, by prawodawcy

i abolicjoniści zbyt często się nie wtrącali. Kolej podziemna nie miała tu właściwie żadnych linii. Ci ludzie przebierali się za murzynów, żeby zmylić pościg, publikowali tajne szyfry na ostatnich stronach gazet. Jawnie chełpili się swą aktywnością wywrotową, wyprowadzając niewolnika tylnymi drzwiami, kiedy łowcy wyważali frontowe. To była działalność przestępcza polegająca na kradzieży cudzej własności, a dla Ridgewaya ich bezczelność stanowiła osobisty afront.

Drażnił go zwłaszcza pewien handlarz z Delaware, August Carter. Po anglosasku krzepki, o chłodnym spojrzeniu błękitnych oczu, które sprawiało, że słabsi ludzie skłonni byli słuchać jego miałkich argumentów. Był to człowiek najgorszego sortu: abolicjonista z prasą drukarską. *Powszechne spotkanie przyjaciół wolności odbędzie się w Miller's Hall o godzinie 14, aby sprzeciwić się niegodziwej władzy systemu niewolniczego, który rządzi krajem*. Wszyscy wiedzieli, że dom Cartera to stacja – od rzeki dzieliło go tylko sto metrów – nawet kiedy naloty kończyły się fiaskiem. Zbiegowie przedzierzgnięci w działaczy wychwalali jego wielkoduszność podczas przemów w Bostonie. Abolicjonistyczne skrzydło metodystów

rozdawało jego broszury w niedzielne poranki, a londyńskie periodyki drukowały bez krytycznego komentarza jego argumenty. Miał prasę drukarską i przyjaciół wśród sędziów, którzy w aż trzech przypadkach zmusili Ridgewaya do rezygnacji ze zdobyczy. Mijając go przed aresztem, Carter uchylał kapelusza.

Łowca niewolników nie miał wyboru: odwiedził mężczyznę pewnego dnia po północy. Starannie uszył kaptury z białych worków po mące, ale po odwiedzinach u Cartera ledwo mógł ruszyć palcami – pięści przez dwa dni miał opuchnięte od bicia go po twarzy. Pozwolił swoim ludziom zhańbić żonę handlarza tak, jak nigdy nie pozwalał wykorzystywać czarnych dziewek. Jeszcze przez lata, ilekroć Ridgeway widział ognisko, zapach przypominał mu o słodkim dymie płonącego domu Cartera i po twarzy błądził mu uśmieszek. Później zasłyszał, że mężczyzna wyjechał do Worcesteru i został szewcem.

Matki niewolników mawiały: Dobrze się zachowuj, bo przyjdzie po ciebie pan Ridgeway.

Panowie niewolników mawiali: Posłać po Ridgewaya.

Kiedy po raz pierwszy wezwano go na plantację Randallów, od dawna brakowało mu

wyzwania. Czasem bywało, że jakiś niewolnik mu umknął. Ridgeway miał co prawda nadzwyczajne zdolności, lecz nie nadprzyrodzone. Poniósł porażkę i zniknięcie Mabel dręczyło go znacznie dłużej, niż powinno, kołatało się po fortecy jego umysłu.

Gdy powrócił, bo zlecono mu odnalezienie córki tamtej kobiety, wiedział już, dlaczego poprzednie zadanie tak mu dokuczało. Choć wydawało się to niemożliwe, kolej podziemna miała odnogę w Georgii. Znajdzie ją. I zniszczy.

Karolina Południowa

30 DOLARÓW NAGRODY

otrzyma każdy, kto dostarczy do mnie lub przekaże do dowolnego aresztu w tym stanie, tak abym mógł ją odzyskać, przyjemną jasną MURZYNKĘ w wieku lat 18, która zbiegła przed dziewięcioma miesiącami. To dziewczę sprytne i żywe, które ani chybi spróbuje podawać się za osobę wolną. Ma widoczną bliznę na łokciu powstałą wskutek oparzenia. Poinformowano mnie, iż przyczaiła się w okolicy Edenton.

BENJ. P. WELLS
MURFREESBORO, 5 STYCZNIA 1812

Andersonowie mieszkali w uroczym oszalowanym deskami domu na rogu ulic Washington i Main, kilka przecznic od gwaru sklepów i warsztatów, tam gdzie w mieście zaczynały się prywatne rezydencje osób dobrze sytuowanych. Za szeroką frontową werandą, gdzie pan i pani Andersonowie lubili siadywać wieczorami – on sięgał wtedy do jedwabnego kapciucha, a ona mrużyła oczy nad robótką ręczną – mieściły się salon, jadalnia i kuchnia. Bessie większość czasu spędzała właśnie na parterze, ganiając dzieci, przyrządzając posiłki i sprzątając. Nad schodami były sypialnie – Maisie i mały Raymond spali w jednej – oraz druga toaleta. Popołudniami Raymond spał w ciągu dnia, a wtedy Bessie lubiła siadywać w oknie. Widziała stamtąd dwa ostatnie piętra Griffin Building z białymi gzymsami, które lśniły w słońcu.

Tego dnia spakowała chleb z dżemem na lunch dla Maisie, wyszła na spacer z chłopcem, a potem wyczyściła szkła i srebra. Gdy zmieniła pościel, wraz z Raymondem odebrali Maisie ze

szkoły i poszli do parku. Przy fontannie skrzypek grał najnowsze melodie. Dzieci bawiły się z kolegami w chowanego i zgadywanki. Bessie musiała pilnować Raymonda przed agresywnym chłopcem, tak by nie zdenerwować jego matki, której nie dostrzegała. Był piątek, co oznaczało, że dzień kończyła zakupami. Zresztą i tak zebrały się chmury. Na rodzinny rachunek wzięła soloną wołowinę, mleko i resztę rzeczy do przyrządzenia kolacji. Podpisała się znakiem X.

Pani Anderson wróciła o szóstej. Lekarz rodzinny poradził jej spędzać więcej czasu poza domem. Pomagała w tym praca przy zbieraniu funduszy na nowy szpital, a także popołudniowe odwiedziny na lunchu u pań z sąsiedztwa. Była w dobrym nastroju, przywołała dzieci, by ucałować je i przytulić, i obiecała smakołyk po kolacji. Maisie podskakiwała z piskiem. Pani Anderson podziękowała Bessie za pomoc i życzyła jej dobrej nocy.

Do domów noclegowych na drugim końcu miasta nie było daleko. Istniały drogi na skróty, ale Bessie lubiła wieczorem chłonąć ożywioną atmosferę Main Street, mieszać się z tłumem mieszkańców białych i kolorowych. Spacerowała wzdłuż długiego ciągu lokali, zawsze przystając przy dużych witrynach: przed krawcem

damskim, gdzie na drucianym kloszu wystawiano barwne kreacje z falbankami, przed wyładowanymi towarem składami pełnymi cudownych artykułów, przed konkurującymi sklepami wielobranżowymi po obu stronach ulicy. Wymyśliła sobie zabawę polegającą na rozpoznawaniu, co nowego pojawiło się na wystawach. Ta obfitość wciąż ją oszałamiała. Najwspanialszy był Griffin Building.

Jedenastopiętrowy budynek należał do najwyższych w kraju, a już z pewnością przewyższał wszystkie budowle na południu. Stanowił dumę miasta. Na parterze mieścił się przede wszystkim bank ze sklepionym sufitem i ścianami wyłożonymi marmurem z Tennessee. Bessie nie miała tam czego szukać, ale na wyższych piętrach bywała nieraz. Tydzień wcześniej zabrała dzieci z wizytą do ojca w dzień jego urodzin, a wtedy mogła usłyszeć stukot własnych kroków w pięknym holu. Winda, jedyna w promieniu setek mil, zawiozła ich na ósme piętro. Na Maisie i Raymondzie urządzenie nie robiło wrażenia, bo bywali tu wielokrotnie, ale Bessie zawsze zachwycała i zarazem przerażała jego magia, dlatego mocno trzymała się mosiężnej barierki na wypadek katastrofy.

Minęli piętra zajmowane przez agentów ubezpieczeniowych, biura rządowe i firmy eksportowe. Tu lokale rzadko stały puste; adres w Griffin Building poprawiał reputację każdego biznesu. Na piętrze pana Andersona mieścił się gąszcz kancelarii prawniczych z grubymi dywanami, ścianami obitymi ciemnobrązowym drewnem i drzwiami z matowym szkłem. Pan Anderson zajmował się kontraktami, głównie w handlu bawełną. Był zaskoczony widokiem rodziny, ale uradował się, gdy dzieci wręczyły mu mały tort. Jasno jednak dał do zrozumienia, że śpieszno mu wracać do papierów. Przez moment Bessie zastanawiała się, czy dostanie burę, ale nic takiego nie nastąpiło. Na wizytę u męża nalegała przecież pani Anderson. Sekretarka pana Andersona przytrzymała drzwi i Bessie popędziła dzieci do cukierni.

Tego wieczoru Bessie minęła lśniące mosiężne drzwi banku i poszła dalej w stronę domu. Co dzień ów wspaniały gmach był dla niej pomnikiem gruntownej odmiany okoliczności. Maszerowała chodnikiem jako wolna kobieta. Nikt jej nie gonił ani nie lżył. Niektóre kobiety z kręgu znajomych pani Anderson, rozpoznając Bessie jako jej służącą, nawet się uśmiechały.

Przeszła na drugą stronę ulicy, by ominąć skupisko barów i ich podejrzaną klientelę. Powstrzymała się, nim zaczęła szukać wśród pijaków twarzy Sama. Za winklem zaczynały się skromniejsze domy mniej zamożnych białych mieszkańców. Przyśpieszyła kroku. W szarym domu na rogu był wściekły pies, którego właściciele zupełnie nie reagowali na jego zachowanie. Stał tu też rząd białych domków, w których żony z kamiennymi twarzami przesiadywały w oknach. Wielu białych mężczyzn z tej części miasta pracowało w dużych fabrykach jako brygadziści i robotnicy. Większość nie zatrudniała kolorowej służby, więc Bessie niewiele wiedziała o ich codziennym życiu.

Wkrótce dotarła do domów noclegowych. Dwukondygnacyjne budynki z czerwonej cegły ukończono niedługo przed tym, gdy Bessie tu trafiła. Z czasem małe jeszcze drzewka i żywopłoty na granicy działki miały zapewnić cień i dodać temu miejscu charakteru; na razie świadczyły o dobrych intencjach. Cegła były czysta, o nieskazitelnym kolorze, bez choćby plamki błota po deszczu. W żadnym zakamarku nie kryła się jedna nawet gąsienica. Wewnątrz biała farba wciąż pachniała nowością w salach

wspólnych, jadalniach i dormitoriach. Nie tylko Bessie bała się dotykać tu czegokolwiek oprócz klamek. Zostawić choćby plamki albo zadrapania.

Witała inne mieszkanki, mijając się z nimi na chodniku. Większość wracała z pracy. Inne szły pilnować dzieci, żeby ich rodzice mogli przyjemnie spędzić wieczór. Tylko połowa kolorowych mieszkanek pracowała w soboty, więc piątkowy wieczór zawsze był pracowity.

Dotarła pod osiemnastkę. Przywitała się z dziewczętami, które plotły warkocze w sali wspólnej, a potem czmychnęła na piętro, by przebrać się przed kolacją. Kiedy przyjechała do miasta, większość z osiemdziesięciu łóżek w dormitorium była już zajęta. Gdyby zjawiła się dzień wcześniej, może spałaby w łóżku pod jednym z okien. Nieprędko ktoś miał się stąd wyprowadzić, tak by mogła się przenieść na lepsze miejsce. Bessie lubiła podmuch wiatru z okien. Gdyby obróciła się w drugą stronę, w niektóre noce pewnie mogłaby widzieć gwiazdy.

Otworzyła kufer u stóp swego łóżka i wyjęła niebieską sukienkę, którą kupiła w drugim tygodniu pobytu w Karolinie Południowej. Przygładziła ją sobie na nogach. Wciąż czuła

dreszczyk, kiedy miękka bawełna dotykała jej skóry. Zwinęła ubranie robocze i wsadziła do worka pod łóżkiem. Ostatnimi czasy pranie robiła w sobotnie popołudnia po lekcjach w szkole. W ten sposób odpokutowywała dłuższy sen, na który pozwalała sobie w te poranki.

Na kolację były pieczony kurczak, marchewka i ziemniaki. Kucharka Margaret mieszkała pod ósemką. Opiekunowie uważali za stosowne, by osoby sprzątające i gotujące w domach noclegowych nie robiły tego w budynkach, gdzie mieszkają. To detal, ale godny uznania. Margaret zawsze przesadzała z solą, za to mięso i drób zawsze były u niej cudownie delikatne. Bessie skórką od chleba wycierała tłuszcz z talerza, słuchając rozmów o planach na wieczór. W dzień przed potańcówką większość dziewcząt zostawała w domu, ale część młodszych wybierała się do nowo otwartego baru dla kolorowych. Choć nie powinni, przyjmowali tam bony. Kolejny powód, by omijać to miejsce, pomyślała Bessie. Zaniosła naczynia do kuchni, a potem wróciła na górę.

– Bessie?

– Dobry wieczór, panno Lucy.

W piątki panna Lucy rzadko zostawała do tak późnej godziny. Większość opiekunów znikała

o szóstej. Z tego, co mówiły dziewczęta z innych domów noclegowych, swą pracowitością panna Lucy zawstydzała resztę koleżanek. Istotnie Bessie wiele wyniosła z jej rad. Podziwiała ją za to, że ubrania zawsze miała świeżo wyprasowane i idealnie na nią pasowały. Panna Lucy nosiła włosy spięte w kok, a cienkie metalowe oprawki okularów sprawiały, że wyglądała surowo, jednak jej krótkie uśmiechy zdradzały, jaka kobieta kryje się pod tą fasadą.

– Co słychać? – zapytała.

– Tak żem sobie myślała, że pójdę na wieczór do kwatery, panno Lucy – odpowiedziała Bessie.

– Do domu noclegowego, Bessie. Nie kwatery.

– Tak, panno Lucy.

– I „myślałam”, a nie „żem myślała”.

– Pracuję nad tym.

– I świetnie ci idzie! – Panna Lucy poklepała Bessie po ramieniu. – Chcę porozmawiać z tobą w poniedziałek rano, zanim pójdziesz do pracy.

– Coś nie tak, panno Lucy?

– Bynajmniej, Bessie. Pomówimy wtedy. – Skłoniła się lekko i poszła do gabinetu.

Skłoniła się kolorowej dziewczynie.

Bessie Carpenter to nazwisko widniejące w dokumentach, które Sam dał jej na stacji. Kilka miesięcy później Cora wciąż nie wiedziała, jakim cudem przetrwała podróż z Georgii. W ciemności tunelu rozklekotany wagon szybko zmienił się w grób. Jedyne światło wpadało z budki maszynisty przez szpary między deskami przedniej ścianki. W pewnym momencie szarpało tak bardzo, że objęła Caesara i trwali tak przez dłuższą chwilę przylgnięci do siana, ściskając się przy silniejszych wstrząsach. Dobrze było go trzymać, czuć ucisk ciepłego torsu, który unosił się i opadał.

Potem lokomotywa zwolniła. Caesar podskoczył. Zbiegowie nie mogli uwierzyć, że to już, choć ich podniecenie było stonowane. Ilekroć kończyli jeden etap podróży, rozpoczynał się kolejny niespodziewany odcinek. Stodoła pełna kajdan, dziura w ziemi, ten zniszczony wagon – kolej podziemna wiodła ku rzeczom dziwnym. Cora powiedziała Caesarowi, że na widok łańcuchów przestraszyła się, iż Fletcher od początku spiskował z Terrance'em i przywieziono ich do izby tortur. Ich spisek, ucieczka i przybycie na miejsce wydawały się elementami wymyślnego przedstawienia odgrywanego na żywo.

Stacja przypominała tę, z której wyruszyli, z tym że zamiast ławki były tam stolik i krzesła. Na ścianie wisiały dwie latarnie, a obok krzeseł stał mały koszyk.

Maszynista wypuścił ich z wagonu. Był wysokim mężczyzną z podkową siwych włosów okalających łysinę, przygarbionym po latach pracy w polu. Otarł twarz z potu i sadzy i już miał się odezwać, gdy zatrząsł nim straszliwy kaszel. Po wypiciu kilku łyków z piersiówki doszedł do siebie.

Przerwał im podziękowania.

– Taka moja praca – rzucił. – Dorzucać do kotła, dbać, coby silnik chodził. Dowozić pasażerów, gdzie trzeba. – Ruszył z powrotem do swojej budki. – Czekajcie tutaj, aż po was przyjdą.

Kilka chwil później pociąg zniknął, zostawiając za sobą huk i skłębioną smugę pary.

W koszyku były wiktuały: chleb, pół kurczaka, woda i butelka piwa. Oboje tak bardzo zgłodnieli, że zjedli co do okruszka. Cora nawet napiła się piwa. U stóp schodów czekali w napięciu na kolejnego przedstawiciela kolei podziemnej.

Sam okazał się dwudziestopięcioletnim białym mężczyzną, który nie wykazywał ekscentrycznych cech swoich współpracowników. Zawiadowca stacji był

krzepki i wesoły, miał jasnobrązowe spodnie na szelkach i grubą czerwoną koszulę, którą wiele razy już prano na tarze. Wąsy zawijały mu się na końcach i kołysały, gdy z entuzjazmem ruszał głową. Uścisnął dłonie przybyszom i zmierzył ich wzrokiem.

– Udało wam się – powiedział. – Naprawdę jesteście.

Przyniósł więcej jedzenia. Usiedli przy rozchwianym stoliku, a wtedy Sam opisał świat na górze.

– Znajdujecie się daleko od Georgii – rzekł. – Karolina Południowa ma bardziej oświecone podejście do kwestii praw kolorowych niż reszta południa. Będziecie tu bezpieczni, dopóki nie zaaranżujemy następnego etapu waszej podróży. To może trochę potrwać.

– Jak długo? – zapytał Caesar.

– Nie wiadomo. Od stacji do stacji przemieszczanych jest mnóstwo ludzi. Trudno przekazywać wiadomości. Kolej to dzieło boże, ale zarządzanie nią doprowadza do szału. – Z wyraźną przyjemnością patrzył, jak pochłaniają jedzenie. – Kto wie? – dodał. – Może postanowicie tu zostać. Jak mówiłem, czegoś takiego jak Karolina Południowa jeszczeście nie widzieli.

Poszedł na górę, po czym wrócił z ubraniami i beczułką wody.

– Musicie się umyć – powiedział. – Mówię to życzliwie.

Usiadł na schodach, by zapewnić im trochę prywatności. Caesar pozwolił Corze umyć się jako pierwszej i dołączył do Sama. Bycie nagą nie stanowiło dla niej nowości, ale doceniła ten gest. Zaczęła od twarzy. Była brudna, cuchnęła, a kiedy wyżymała szmatę, płynęła z niej czarna woda. Nowe ubrania uszyto nie ze sztywnego materiału dla murzynów, ale z bawełny tak miękkiej, że Cora czuła się czysta, jakby wyszorowała ciało mydłem. Sukienka była prosta, jasnoniebieska w prążki. Nigdy w życiu czegoś takiego nie nosiła. Bawełna była początkiem i końcem.

Kiedy Caesar skończył się myć, Sam dał im papiery.

– Nazwiska są nie w porządku – powiedział Caesar.

– Jesteście zbiegami – przypomniał Sam. – Tak się teraz nazywacie. Musicie nauczyć się na pamięć tych nazwisk i swojej historii.

Więcej niż zbiegami – może mordercami. Cora nie myślała o tamtym chłopcu, odkąd zeszli pod ziemię. Caesar zmrużył oczy, jakby coś obliczał.

Postanowiła opowiedzieć Samowi o walce w lesie.

Zawiadowca nie oceniał ich i wydawał się szczerze zasmucony losem Lovey. Powiedział, że jest mu bardzo przykro z jej powodu.

– Nie słyszałem o tym. Tego typu wieści nie krążą tutaj tak jak w innych miejscach. Równie dobrze chłopak mógł dojść do siebie, ale to nie zmienia waszej sytuacji. Tym lepiej, że macie nowe nazwiska.

– Tu jest napisane, że jesteśmy własnością rządu Stanów Zjednoczonych – zauważył Caesar.

– To formalność – powiedział Sam.

Białe rodziny garnęły się do Karoliny Południowej w poszukiwaniu okazji; według gazet przybywały nawet z Nowego Jorku. Podobnie jak wolni czarni – takiej migracji ten kraj jeszcze nie widział. Część kolorowych to byli zbiegowie, choć z oczywistych względów nie dało się oszacować ich liczby. Większość kolorowych mieszkających w stanie została wykupiona przez rząd. Jednych ratowano na licytacji, innych nabywano na wyprzedażach majątków. Agenci obstawiali duże aukcje. Większość kupiono od białych, którzy rezygnowali z rolnictwa. Nie pasowało im życie na wsi, nawet jeśli tam się wychowali, a plantacja była ich rodzinną

spuścizną. Nastała nowa era. Rząd proponował bardzo korzystne warunki oraz zachęty do przeprowadzki do dużych miast, oferował kredyty hipoteczne i ulgi podatkowe.

– A niewolnicy? – zapytała Cora.

Nie rozumiała gadania o pieniądzach, ale natychmiast poznawała, gdy mówiło się o sprzedawaniu ludzi traktowanych jak własność.

– Dostają jedzenie, pracę i mieszkanie. Chodzą, gdzie chcą, biorą ślub, z kim mają ochotę, wychowują dzieci, których nikt im nie zabierze. I to porządna praca, nie niewolnicza harówka. Zresztą wkrótce sami się przekonacie.

Jeśli Sam dobrze rozumiał, gdzieś w jakiejś skrzynce leżała umowa kupna-sprzedaży, ale to wszystko. Nic, co można by wykorzystać przeciwko nim. Ich papiery sfałszowała zaufana osoba w Griffin Building.

– Gotowi? – zapytał.

Caesar i Cora wymienili spojrzenia. Potem Caesar podał jej rękę jak dżentelmen.

– Moja pani?

Cora nie mogła się nie uśmiechnąć. Razem wyszli na światło dnia.

Rząd nabył Bessie Carpenter i Christiana Marksona w trakcie postępowania

upadłościowego w Karolinie Północnej. W drodze do miasta Sam pomógł im uczyć się tej wersji. Mieszkał dwie mile dalej, w domku zbudowanym przez dziadka. Jego rodzice prowadzili sklep miedziany przy Main Street, ale po ich śmierci Sam wybrał inną ścieżkę. Sklep sprzedał jednemu z wielu przybyszów do Karoliny Południowej, którzy chcieli zacząć od nowa, i podjął pracę w barze o nazwie Dryf. Właścicielem lokalu był jego przyjaciel, a tamtejsza atmosfera odpowiadała jego osobowości. Lubił oglądać z bliska ludzki zwierzyniec, a także mieć dostęp do tego, co dzieje się w mieście, ponieważ alkohol rozwiązywał języki. Samodzielnie ustalał sobie godziny pracy, co przydawało się przy drugim zajęciu. Tak jak u Lumbly'ego stacja ukryta była pod jego stodołą.

Na skraju miasta Sam dał im szczegółowe wskazówki, którędy dojść do biura pośrednictwa pracy.

– A gdybyście się zgubili, po prostu kierujcie się tam. – Wskazał na niezwykły drapacz chmur. – I potem na Main Street skręćcie w prawo.

Miał się z nimi skontaktować później, by przekazać dalsze informacje.

Caesar i Cora weszli piaszczystą drogą do miasta, nie wierząc własnym oczom. Zza zakrętu wyjechał mały powozik i oboje nieomal rzucili się między drzewa. Powoził kolorowy chłopak z czapką zawadiacko nałożoną na bakier. Nonszalancko, jak gdyby nigdy nic. Co za swoboda w tak młodym wieku! Kiedy zniknął im z oczu, zaczęli śmiać się z własnego niemądrego zachowania. Cora wyprostowała się i podniosła głowę. Musieli nauczyć się chodzić jak wolni ludzie.

Przez kolejne miesiące opanowała właściwą postawę. Alfabet i sposób mówienia wymagały jednak więcej uwagi. Po rozmowie z panną Lucy wyjęła z kufra elementarz. Podczas gdy pozostałe dziewczęta plotkowały i jedna po drugiej mówiły sobie dobranoc, ona ćwiczyła litery. Kiedy następnym razem będzie robić zakupy dla Andersonów, starannie się podpisze: *Bessie*. Gdy złapał ją skurcz dłoni, zdmuchnęła świeczkę.

To było najmiększe łóżko, w jakim w życiu spała. Ale też jedyne.

Panna Handler musiała się narodzić wśród świętych. Chociaż starzec nie radził sobie z podstawami pisania i mówienia, nauczycielka ani przez chwilę nie przestawała być uprzejma i cierpliwa. Cała klasa – w sobotnie ranki szkoła była pełna – wierciła się w ławkach, podczas gdy mężczyzna jąkał się i męczył z dzisiejszym materiałem. Dwie dziewczyny siedzące przed Corą zezowały na siebie i chichotały z jego nieudanych prób.

Cora podzielała rozdrażnienie klasy. Howarda nawet w normalnych okolicznościach prawie nie dało się zrozumieć. Posługiwał się mieszanką swego zapomnianego afrykańskiego języka i mowy niewolników. Matka Cory opowiadała, że w dawnych czasach ten półjęzyk był głosem plantacji. Ludzi wykradano z wiosek w całej Afryce, więc mówili rozmaitymi narzeczami. Z czasem słowa zza oceanu wybito im z głowy. Dla uproszczenia, dla wymazania tożsamości, żeby udaremnić bunty. Zniknęły wszystkie słowa oprócz zamkniętych na klucz przez tych, którzy wciąż jeszcze pamiętali, kim byli dawniej.

Trzymali je ukryte jak drogie złoto, mówiła Mabel.

To już nie były czasy matki i babki Cory. Zmagania Howarda z wymówieniem „ja jestem” pochłaniały cenny czas lekcji, i tak zbyt krótki po tygodniu pracy. A Cora przychodziła tu się uczyć.

Zawiał wiatr i okiennice zaskrzypiały na zawiasach. Panna Handler odłożyła kredę.

– W Karolinie Północnej – powiedziała – to, co tu robimy, jest przestępstwem. Na mnie nałożono by studolarową grzywnę, a wy dostalibyście trzydzieści dziewięć batów. I to tylko z mocy prawa. Wasz pan przewidziałby pewnie surowszą karę. – Spojrzała w oczy Cory. Dzieliło je zaledwie kilka lat, ale Cora czuła się przy niej jak niedouczone murzyniątko. – Trudno zacząć od zera. Przed kilkoma tygodniami część z was była w sytuacji Howarda. Potrzeba czasu. I cierpliwości.

Zakończyła lekcję. Skarcona Cora zebrała rzeczy i bardzo chciała wyjść z sali jako pierwsza. Howard rękawem ocierał łzy.

Szkoła mieściła się na południe od ciągu domów noclegowych dla dziewcząt. Cora zauważyła, że w budynku odbywają się też spotkania wymagające atmosfery poważniejszej niż ta, jaka panowała w salach wspólnych, na

przykład zebrania poświęcone higienie i sprawom kobiecym. Okna szkoły wychodziły na zieleniec, park dla kolorowej ludności. Dziś w altanie jedna z kapel z męskiego domu noclegowego przygrywała przed potańcówką.

Bura od panny Handler była zasłużona. Tak jak uprzedził na peronie Sam, w Karolinie Południowej panowało inne nastawienie do poprawy sytuacji kolorowych. Przez ostatnie miesiące Cora rozkoszowała się tym faktem na mnóstwo różnych sposobów, ale jednym z najbardziej krzepiących była dbałość o edukację kolorowych. Za samo patrzenie na napisane słowa Connelly pewnemu niewolnikowi wyłupił oczy. Stracił przez to robotnika, choć gdyby Jacob był zdolniejszy, zarządca poddałby go mniej okrutnej karze. W zamian na zawsze zasiał strach w sercu każdego niewolnika, któremu przyszłoby do głowy uczyć się abecadła.

Do łuskania kukurydzy oczy niepotrzebne, oznajmił wszystkim. Ani do zagłodzenia się na śmierć, bo właśnie tak wkrótce skończył Jacob.

Cora zostawiła plantację za sobą. Już tam nie mieszkała.

Z elementarza wysunęła się kartka, więc dziewczyna musiała za nią gonić po trawie.

Książka się rozsypywała, zaczytana przez nią i poprzednich właścicieli. Cora widziała, że z tego samego elementarza korzystają małe dzieci, jeszcze młodsze od Maisie. Z nowych egzemplarzy ze świeżymi grzbietami. Egzemplarze w szkole dla kolorowych były sfatygowane, a Cora musiała wciskać literki nad gryzmołami innych albo między nimi, ale nie groziła jej chłosta tylko za to, że na nie patrzy.

Matka byłaby z niej dumna. Tak jak matka Lovey pewnie była dumna z tego, że jej córka uciekła – przez półtora dnia. Cora włożyła kartkę do książki. Znów odsunęła od siebie myśli o plantacji. Radziła sobie z tym coraz lepiej. Jej umysł był jednak przebiegły, pokrętny. Niedobre myśli wwiercały się z boków, spod spodu, przez szpary, z miejsc, które dawno pozabijała deskami.

Na przykład o matce. W trzecim tygodniu pobytu w domu noclegowym Cora zapukała do gabinetu panny Lucy. Jeśli rząd spisywał wszystkich przybywających tu kolorowych, może wśród wielu nazwisk znajdowało się nazwisko jej matki. Życie Mabel od czasu jej ucieczki było enigmą. Możliwe, że stała się jedną z owych wolnych czarnych przybywających do Karoliny Południowej w poszukiwaniu okazji.

Panna Lucy pracowała pod osiemnastką – w pokoju w głębi korytarza, idąc z sali wspólnej. Cora nie ufała jej, ale i tak przyszła. Panna Lucy ją przyjęła. Gabinet był ciasny, pełen szaf na akta, obok których opiekunka musiała się przeciskać, by dostać się do biurka. Zadbała jednak, żeby było tu ładnie, wieszając na ścianach wyhaftowane sceny z życia wsi. Na drugie krzesło brakowało miejsca. Odwiedzający musieli stać, co skracało wizyty do minimum.

Panna Lucy spojrzała na Corę znad okularów.

– Jak się nazywa?

– Mabel Randall.

– Ty nazywasz się Carpenter.

– Bo tatuś tak miał. Moja matka ma Randall.

– „Nazywa się Randall” – poprawiła panna Lucy.

Pochyliła się nad jedną z szaf na akta i przesuwała palcem po niebieskawych kartkach, raz po raz zerkając w stronę Cory. Wspomniała, że mieszka z grupą opiekunek w pensjonacie niedaleko placu. Cora próbowała sobie wyobrazić, co robi ta kobieta, gdy nie zarządza domem noclegowym, jak spędza niedziele. Czy ma młodego dżentelmena, który zabiera ją w różne miejsca? Czym zajmuje się w Karolinie Południowej niezamężna kobieta? Cora była

coraz śmielsza, ale gdy nie pracowała u Andersonów, trzymała się blisko domów noclegowych. Wkrótce po wyjściu z tunelu wydawało się to roztropne.

Panna Lucy przeszła do innej szafy, wyciągała kolejne szuflady, ale nic nie znalazła.

– W tych aktach są tylko osoby, które mieszkały w naszych domach noclegowych – powiedziała. – Ale mamy placówki w całym stanie.

Opiekunka zapisała nazwisko matki Cory i obiecała sprawdzić w głównym rejestrze w Griffin Building. Po raz drugi przypomniała dziewczynie o lekcjach czytania i pisania, opcjonalnych, ale zalecanych, zgodnie z misją poprawy sytuacji kolorowych, zwłaszcza tych zdolnych. Potem panna Lucy wróciła do pracy.

To był kaprys. Kiedy Mabel uciekła, Cora myślała o niej jak najmniej. Po wylądowaniu w Karolinie Południowej zrozumiała, że wygnała matkę z serca nie przez smutek, ale przez gniew. Nienawidziła jej. Zasmakowawszy wolności, nie umiała pojąć, jak Mabel mogła zostawić córkę tam, w tym piekle. Ją, dziecko. Wspólna ucieczka jest trudniejsza, ale Cora nie była już wtedy mała. Skoro potrafiła zbierać bawełnę, to potrafiłaby uciekać. Gdyby nie pojawił się Caesar, umarłaby

tam, po przejściu niewysłowionych okrucieństw. W pociągu, w bezkresnym tunelu, wreszcie zapytała go, dlaczego wziął ją ze sobą. Odpowiedział: Bo wiedziałem, że dasz radę.

Jakże ona jej nienawidziła. Niezliczone noce spędziła tam, na poddaszu, przewracając się z boku na bok, kopiąc sąsiednią kobietę i obmyślając sposoby ucieczki z plantacji. Schowa się w wozie z bawełną i wyskoczy na drogę pod Nowym Orleanem. Przekupi zarządcę swoimi wdziękami. Weźmie siekierę i pójdzie przez bagno jak kiedyś jej nieszczęsna matka. Te wszystkie nieprzespane noce. W świetle poranka wmawiała sobie, że te pomysły tylko jej się śniły. Że to wcale nie są jej myśli. Bo nosić je w głowie i nie zrobić nic to znaczy umrzeć.

Nie wiedziała, dokąd uciekła matka. Na wolności Mabel nie odkładała pieniędzy na wykup córki z niewoli – to pewne. Randall i tak by się nie zgodził, ale to bez znaczenia. Panna Lucy nigdy nie znalazła jej nazwiska w rejestrach. Gdyby znalazła, Cora podeszłaby do Mabel i uderzyła ją w twarz.

– Bessie, dobrze się czujesz?

To była Abigail z szóstki, która czasami przychodziła tu na kolację. Przyjaźniła się z dziewczętami pracującymi przy Montgomery

Street. Cora stała pośrodku trawnika, gapiąc się przed siebie. Powiedziała Abigail, że wszystko w porządku, a potem wróciła do domu noclegowego, żeby zająć się obowiązkami. Tak, musiała lepiej strzec swoich myśli.

Nawet jeśli maska chwilami nieco się przekrzywiała, Cora wprawnie wcielała się w rolę Bessie Carpenter z Karoliny Północnej. Przygotowała się na pytanie panny Lucy o nazwisko matki i na inne sytuacje, które mogły zaistnieć podczas rozmowy. Pierwszego dnia spotkanie w biurze pośrednictwa pracy zakończyło się po kilku krótkich pytaniach. Nowo przybyli pracowali wcześniej albo w domu, albo na polu. Tak czy inaczej, dostępne były głównie etaty pomocy domowych. Rodziny proszono o wyrozumiałość wobec niedoświadczonych służących.

Cora wystraszyła się podczas badania u lekarza, ale nie z powodu pytań. Lśniące metalowe przybory w gabinecie przypominały narzędzia, które Terrance Randall mógłby zamówić u kowala w podłych celach.

Gabinet lekarski mieścił się na dziewiątym piętrze Griffin Building. Przetrwała szok pierwszej jazdy windą i weszła do długiego korytarza z krzesłami wzdłuż ścian. Na

wszystkich siedzieli kolorowi mężczyźni i kobiety czekający na badanie. Kiedy pielęgniarka w bielusieńkim uniformie znalazła jej nazwisko na liście, Cora dołączyła do grupki kobiet. Rozmawiały nerwowo, co zrozumiałe; dla większości była to pierwsza wizyta u lekarza. Na plantacji Randallów wzywano go tylko wtedy, gdy cenny parobek był bliski śmierci, a niewolnicze lekarstwa, korzenie i maści zawiodły. Wówczas lekarzowi zwykle nie pozostawało już nic innego, jak ponarzekać na błotniste drogi i przyjąć zapłatę.

Wywołano jej nazwisko. Z okna w gabinecie widać było szachownicę miasta i bujną zieleń okolicy w promieniu wielu mil. Że też ludzie zbudowali coś takiego, jakby stopień ku niebu. Cora mogłaby tu zostać cały dzień, oglądając krajobraz, ale badanie lekarskie wyrwało ją z zamyślenia. Doktor Campbell, wprawny lekarz, był korpulentnym jegomościem, który frygał po pomieszczeniu, a biały fartuch powiewał za nim jak peleryna. Wypytywał o zdrowie ogólne, a młoda pielęgniarka zapisywała wszystko na niebieskiej kartce. Z jakiego plemienia pochodzili przodkowie Cory i co wiedziała o sile ich organizmów? Czy kiedyś chorowała? W jakim stanie są jej płuca, jej serce? Uświadomiła sobie,

że bóle głowy, na które cierpiała od czasu cięgów Terrance'a, minęły po przybyciu do Karoliny Południowej.

Sprawdzian inteligencji był krótki, polegał na zabawie drewnianymi klockami w różnych kształtach oraz serii pytań rysunkowych. Potem rozebrała się do badania. Doktor Campbell spojrzał na jej dłonie. Skóra zdążyła trochę zmięknąć, ale nadal były to dłonie kogoś, kto pracował w polu. Palce nosiły ślady blizn po chłoście. Lekarz zgadywał, ile razy dostała biczem, i pomylił się o dwa. Zbadał jej części intymne, używając przyrządów. Bolało, a Cora czuła wstyd. Chłodna postawa lekarza bynajmniej nie łagodziła skrępowania. Odpowiedziała na pytania o napaść. Doktor Campbell odwrócił się do pielęgniarki, by spisała jego spekulacje na temat szans na urodzenie dziecka.

Nieopodal na tacce leżało kilka groźnie wyglądających metalowych narzędzi. Lekarz podniósł jedno z najstraszniejszych, cienki szpikulec przymocowany do szklanego walca.

– Pobierzemy ci trochę krwi – oznajmił.

– Po co?

– Krew może nam wiele powiedzieć – wyjaśnił. – O chorobach. O tym, jak się przenoszą.

Badania krwi umożliwiają postęp nauki.

Pielęgniarka chwyciła Corę za ramię, a doktor Campbell wbił igłę. To wyjaśniało jęki, które dziewczyna słyszała, czekając na korytarzu. Teraz dołożyła do nich własną cegiełkę. W końcu było po wszystkim. W holu zostali tylko mężczyźni. Wszystkie krzesła były zajęte.

Nie odwiedziła już więcej dziewiątego piętra budynku. Pewnego dnia pani Anderson powiedziała, że po otwarciu nowego szpitala gabinety rządowych lekarzy zostaną przeniesione. Całe piętro już wynajęto, dodał pan Anderson. Lekarz jego żony przyjmował przy Main Street, nad salonem optyka. Chyba znał się na rzeczy. Przez te kilka miesięcy, odkąd Cora zaczęła pracę u rodziny, pani Anderson coraz rzadziej miewała złe dni. Napady złości, całe popołudnia, gdy zamykała się w pokoju i zaciągała zasłony, srogie traktowanie dzieci – to wszystko nie zdarzało się już tak często. Spędzanie więcej czasu poza domem oraz proszki czyniły cuda.

Kiedy Cora skończyła sobotnie zmywanie i zjadła kolację, już prawie przyszła pora potańcówki. Włożyła nową niebieską sukienkę. To była najładniejsza sukienka w składzie dla kolorowych. Cora starała się kupować tam jak

najrzadziej ze względu na marżę. Odkąd robiła zakupy dla pani Anderson, przerażało ją, że artykuły w ich miejscowym sklepie są dwa lub trzy razy droższe niż w sklepach dla białych. Na sukienkę poświęciła całą tygodniówkę i musiała użyć bonów. Zwykle bardzo ostrożnie podchodziła do wydatków. Pieniądze były czymś nowym, nieprzewidywalnym i lubiły chadzać własnymi drogami. Niektóre dziewczęta miały długi sięgające wielomiesięcznych zarobków i wszędzie teraz płaciły bonami. Cora rozumiała dlaczego – kiedy już miasto potrąciło za jedzenie, zakwaterowanie i inne wydatki, takie jak koszt podręczników czy utrzymania domów noclegowych, zostawało niewiele. Z bonów lepiej korzystać oszczędnie. Sukienka to był jednorazowy wyjątek, zapewniała Cora sama siebie.

Dziewczęta w dormitorium bardzo ekscytowały się nadchodzącą zabawą. Ona również. Skończyła się stroić. Może Caesar był już na zieleńcu.

Czekał na jednej z ławek z widokiem na altanę i muzyków. Wiedział, że Cora nie będzie chciała tańczyć. Gdy widziała go z daleka, wydawał się starszy niż w Georgii. Strój wieczorowy, który miał na sobie, rozpoznawała

ze stosów w składzie dla kolorowych, ale nosił go z większą pewnością siebie niż inni mężczyźni w jego wieku pochodzący z plantacji. Praca w fabryce mu pasowała. Podobnie jak inne aspekty poprawy warunków życia, oczywiście. Przez tydzień od ich ostatniego spotkania zapuścił wąsy.

Potem Cora zobaczyła kwiaty. Skomplementowała bukiet i podziękowała. On skomplementował jej sukienkę. Caesar spróbował pocałować Corę po miesiącu od wyjścia z tunelu. Udawała, że to w ogóle się nie wydarzyło, a on przyjął reguły tej gry. Pewnego dnia o tym porozmawiają. Może wtedy go pocałuje. Jeszcze nie wiedziała.

– Znam ich – powiedział Caesar. Wskazał na zespół zajmujący miejsca. – Chyba są jeszcze lepsi od George'a i Wesleya.

W miarę upływu miesięcy coraz swobodniej rozmawiali publicznie o plantacji Randallów. Większości tego, o czym mówili, doświadczył każdy były niewolnik mogący ich usłyszeć. Plantacja to plantacja; mogłeś myśleć, że twoje nieszczęścia są wyjątkowe, ale prawdziwy koszmar tkwił w ich uniwersalności. W każdym razie wkrótce ich rozmowę o kolei podziemnej zagłusza muzyka. Cora miała nadzieję, że

muzycy nie uznają ich za niegrzecznych, jeśli nie będą zwracać uwagi na występ. Raczej nie. Występowanie jako wolni ludzie, a nie czyjaś własność, pewnie wciąż było dla nich czymś nowym i cennym. Muzykowanie nieobciążone świadomością, że to jedno z nielicznych źródeł pocieszenia dla mieszkańców niewolniczej wioski. Praktykowanie swej sztuki z radością i swobodą.

Opiekunowie organizowali potańcówki, by dbać o zdrowe relacje między kolorowymi kobietami i mężczyznami oraz choć trochę zabliźnić rany wyrządzone przez niewolnictwo. Uważali, że taniec i muzyka, jedzenie i poncz, a wszystko to na zieleńcu w migotliwym blasku latarni, są balsamem na znękaną duszę. Dla Caesara i Cory była to jedna z niewielu okazji do wymiany wiadomości.

Caesar pracował w fabryce maszyn za miastem, a jego zmienny grafik rzadko pokrywał się z jej grafikiem. Podobała mu się ta praca. Co tydzień fabryka budowała inną maszynę, w zależności od liczby zamówień. Mężczyźni ustawiali się przy przenośniku taśmowym i każdy odpowiadał za przymocowanie danej części do nadjeżdżającego kształtu. Na początku przenośnika nie było nic, tylko stos czekających

części, a gdy ostatni z mężczyzn skończył, leżał przed nimi gotowy produkt. Caesar mówił, że widok skończonego wyrobu daje niespodziewaną satysfakcję, zupełnie inaczej niż podczas odrealnionej harówki na plantacji Randallów.

Praca była monotonna, ale nie wyczerpująca; zmiany wykonywanych produktów zapobiegały nudzie. Długie przerwy na wypoczynek dobrze rozplanowano, zgodnie z założeniami teoretyka pracy często cytowanego przez brygadzistów i kierowników. Pozostali mężczyźni to były zacne chłopaki. U niektórych nadal widziało się ślady typowych plantacyjnych zachowań; chcieli naprawiać rzekome krzywdy i zachowywali się tak, jakby wciąż ciążyło na nich brzemię ograniczonych środków. Polepszało im się jednak z tygodnia na tydzień, gdy perspektywy nowego życia dodawały sił.

Dwoje byłych zbiegów wymieniło się wieściami. Maisie wypadł ząb. W tym tygodniu fabryka produkowała silniki do lokomotyw – Caesar zastanawiał się, czy pewnego dnia zostaną one wykorzystane w kolei podziemnej. Ceny w składzie znowu poszły w górę, zauważył. To dla Cory nie było nowością.

– Co u Sama? – zapytała. Caesar łatwiej mógł widywać się z zawiadowcą.

– Humor ma taki jak zwykle: wesoły nie wiadomo dlaczego. Jeden łobuz w barze podbił mu oko. Sam jest z tego dumny. Mówi, że zawsze o tym marzył.

– A ta druga sprawa?

Caesar skrzyżował ręce na udach.

– Pociąg przyjeżdża za parę dni. Jeżeli chcemy nim jechać. – Ostatnie zdanie dodał, jakby znał jej nastawienie.

– Może następnym.

– Tak, może następnym.

Odkąd tu przybyli, przejechały już trzy pociągi. Za pierwszym razem godzinami rozmawiali o tym, czy rozsądniej będzie czym prędzej opuścić mroczne południe, czy przekonać się, co jeszcze Karolina Południowa ma do zaoferowania. Do tego czasu zdążyli trochę przybrać na wadze, zarabiali pieniądze i zaczęli zapominać o codziennym ciężarze życia na plantacji. Przeprowadzili jednak prawdziwą debatę, w której Cora opowiadała się za wyjazdem, a Caesar za skorzystaniem z tutejszych perspektyw. Na pomoc Sama nie mogli liczyć – lubił miejsce, z którego pochodził, i był zwolennikiem tutejszej ewolucji w kwestiach rasowych. Nie wiedział, co wyjdzie z tego eksperymentu, sam zaś wywodził się

z długiego rodu wichrzycieli nieufnych wobec rządu, ale był pełen nadziei. Zostali. Może następnym.

Następny przybył i odjechał, a towarzyszyła temu krótsza już dyskusja. Cora właśnie zjadła wyborny posiłek w domu noclegowym. Caesar kupił nową koszulę. Nie pociągała ich myśl o głodówce, gdy będą uciekać, ani perspektywa zostawienia tych wszystkich rzeczy, na które zapracowali. Potem odjechał trzeci pociąg, a teraz miał odjechać czwarty.

– Może powinniśmy zostać na stałe – powiedziała Cora.

Caesar milczał. Wieczór był piękny. Muzycy rzeczywiście mieli talent, grali ragtime'y, które podobały się wszystkim na poprzednich potańcówkach. Skrzypek pochodził z tej czy innej plantacji, człowiek grający na banjo przyjechał z innego stanu. W domach noclegowych codziennie dzielili się melodiami ze swych stron i tak właśnie rósł ich repertuar. Publiczność dokładała do tego tańce ze swoich plantacji i naśladowała nawzajem swoje kroki w kręgach. Wietrzyk chłodził tańczących, kiedy odrywali się od siebie, by odpocząć i poflirtować. Potem wracali, śmiejąc się i klaszcząc.

– Może powinniśmy zostać – powtórzył Caesar. Było postanowione.

Potańcówka skończyła się o północy. Muzycy wystawili kapelusz na datki, ale w sobotni wieczór większość osób była już mocno zadłużona, więc grajkowie nic nie zebrali. Cora pożegnała Caesara i szła już do domu, kiedy stała się świadkiem zajścia.

Przez zieleniec w pobliżu szkoły przebiegła kobieta. Miała dwadzieścia parę lat, była szczupła i dziko sterczały jej włosy. Jej bluzka była rozpięta do pępka, piersi odsłonięte. Przez moment Cora znowu znalazła się na plantacji Randallów i czekał ją widok kolejnego okropieństwa.

Kobietę chwycili dwaj mężczyźni i jak najdelikatniej przytrzymali, by się nie rzucała. Zebrał się tłumek. Jakaś dziewczyna poszła po opiekunów do budynku przy szkole. Cora wcisnęła się w gromadę. Kobieta bełkotała niezrozumiale, aż nagle zawołała:

– Moje dzieci! Zabierają mi dzieci!

Gapie westchnęli, słysząc znajomy refren. Tyle razy rozbrzmiewał na plantacjach, lament matki udręczonego potomstwa. Cora przypomniała sobie słowa Caesara o robotnikach w fabryce, których prześladuje plantacja.

Przynieśli ją tu ze sobą, choć przebyli tyle mil. Żyła w nich. Żyła wciąż w każdym tu obecnym, czekała na okazję, by ich nękać i z nich drwić.

Kobieta nieco się uspokoiła i dała się zaprowadzić do domu noclegowego na samym końcu szeregu. Choć decyzja o pozostaniu przyniosła spokój, Cora nie spała długo w noc, wracając myślami do krzyków tamtej oraz duchów, które ją dręczyły.

– Czy będę się mogła pożegnać? Z Andersonami i dziećmi? – zapytała Cora.

Panna Lucy była pewna, że da się to załatwić. Powiedziała, że rodzina bardzo ją polubiła.

– Źle się spisałam?

Cora miała wrażenie, że dobrze przystosowała się do spokojniejszego rytmu robót domowych. Przesunęła kciukiem po opuszkach palców. Były teraz takie miękkie.

– Spisałaś się doskonale, Bessie – odparła panna Lucy. – To dlatego pomyśleliśmy o tobie, gdy zwolniła się ta posada. Ja to wymyśliłam, a panna Handler poparła. Muzeum potrzebuje wyjątkowej dziewczyny, a niewiele mieszkanek przystosowało się równie dobrze jak ty. Powinnaś to potraktować jako komplement.

Cora uspokoiła się, ale wciąż stała w progu.

– Coś jeszcze, Bessie? – spytała panna Lucy, wyrównując papiery na biurku.

Dwa dni po incydencie podczas potańcówki Cora wciąż czuła się nieswojo. Zapytała o krzyczącą kobietę.

Panna Lucy ze współczuciem pokiwała głową.

– Masz na myśli Gertrude. Wiem, że to był przykry widok. Nic jej nie jest. Położyli ją na parę dni do łóżka, żeby doszła do siebie. – Wyjaśniła, że zagląda do niej pielęgniarka. – Właśnie dlatego przeznaczyliśmy tamten dom noclegowy dla osób z zaburzeniami nerwowymi. Nie warto, żeby stykały się z resztą mieszkańców. Pod czterdziestką mogą liczyć na niezbędną opiekę.

– Nie wiedziałam, że czterdziestka jest wyjątkowa – powiedziała Cora. – To wasz Hob.

– Słucham? – zdziwiła się panna Lucy, ale dziewczyna nie wyjaśniła. – Trafiają tam tylko na krótko – dodała biała kobieta. – Jesteśmy optymistami.

Cora nie wiedziała, co znaczy „być optymistą”. Wieczorem zapytała inne dziewczęta, czy znają to słowo. Żadna go dotąd nie słyszała. Cora uznała, że to coś jak „próbować”.

Do muzeum szło się tą samą drogą co do Andersonów i przy sądzie skręcało się w prawo. Perspektywa rozstania wciąż ją przygnębiała. Z ojcem rodziny miała niewiele styczności, ponieważ wcześnie wychodził z domu, a jego okno w Griffin Building było jednym z tych, gdzie najdłużej paliło się światło. Z niego również bawełna zrobiła niewolnika. Pani Anderson okazała się jednak cierpliwą pracodawczynią,

zwłaszcza odkąd doktor przepisał jej leki, a dzieci były miłe. Maisie miała dziesięć lat. Na plantacji Randallów w tym wieku nie pozostawał nawet cień radości. Jeszcze dzień wcześniej murzynek się cieszył, a potem cały blask znikał; to było wtedy, gdy poznawał znaczenie niewoli. Maisie z całą pewnością rozpieszczono, ale dla kolorowych istnieją gorsze rzeczy niż rozpieszczenie. Patrząc na dziewczynkę, Cora zastanawiała się, jakie mogłyby kiedyś być jej dzieci.

Podczas spacerów wielokrotnie widywała Muzeum Cudów Natury, ale przeznaczenia przysadzistego budynku z piaskowca nie znała. Zajmował cały kwartał. Długich płaskich schodków strzegły posągi lwów jakby wpatrzonych spragnionym wzrokiem w dużą fontannę. Kiedy Cora zbliżyła się do niej, chlupot wody zagłuszył dźwięki ulicy, przyciągając ją do muzeum.

Wewnątrz przejściem niedostępnym dla zwiedzających wprowadzono ją do labiryntu korytarzy. Przez uchylone drzwi dostrzegała dziwne sceny. Jakiś mężczyzna siedział z igłą i nitką nad martwym borsukiem. Inny oglądał w jasnym świetle żółte kamyki. W sali pełnej długich drewnianych stołów i różnej aparatury

Cora po raz pierwszy zobaczyła mikroskopy. Stały na blatach jak przykucnięte czarne żaby. Potem przedstawiono ją panu Fieldsowi, kustoszowi Muzeum Żywej Historii.

– Nadasz się doskonale – powiedział, oglądając ją tak samo, jak mężczyźni w innych salach oglądali obiekty na stołach roboczych. Mówił szybko i energicznie, bez cienia akcentu z południa. Potem dowiedziała się, że wcześniej pracował w muzeum w Bostonie. Tutaj zatrudniono go, by doprowadził miejscowe procedury do nowoczesnych standardów. – Widzę, że odkąd tu przybyłaś, lepiej się odżywiasz – stwierdził. – To zrozumiałe, ale i tak się nadasz.

– Czy mam zacząć sprzątać tutaj?

Po drodze Cora postanowiła, że w nowej pracy postara się unikać języka plantacji.

– Sprzątać? Och, nie. Wiesz, czym się tu zajmujemy… – Urwał. – Byłaś tu kiedyś? – Wyjaśnił, do czego służą muzea. W tym skupiano się na historii Stanów Zjednoczonych; choć kraj był jeszcze młody, było o czym ludzi uczyć. Nieoswojona fauna i flora kontynentu północnoamerykańskiego, minerały i inne cuda świata pod naszymi stopami. Pan Fields powiedział, że niektórzy nigdy nie opuszczają

hrabstw, gdzie się urodzili. Podobnie jak kolej, muzeum pozwalało im poznać resztę kraju, której nigdy nie doświadczyli: od Florydy po Maine i zachodnie rubieże. I zobaczyć tamtejszych ludzi. – Ludzi takich jak ty – dodał.

Cora pracowała w trzech salach. Tamtego pierwszego dnia duże okna dzielące je od widzów zasłaniały szare kotary. Nazajutrz rano zniknęły i pojawiły się tłumy.

Pierwszą salę nazwano „Sceny z najczarniejszej Afryki". Główny element ekspozycji stanowiła chata. Zbudowano ją ze związanych drewnianych żerdzi i przykryto szpiczastym dachem ze strzechy. Cora chowała się w jej cieniu, gdy musiała odpocząć od oglądających ją twarzy. Znajdowało się tam palenisko symbolizowane przez kawałki czerwonego szkła, surowa ława oraz różne narzędzia, tykwy i skorupy. Z sufitu zwisały na drucie trzy duże czarne ptaki. W zamierzeniu miały sprawiać wrażenie stada krążącego nad krzątającymi się tubylcami. Przypominały Corze sępy, które na plantacji dziobały zwłoki zmarłych wystawione na widok publiczny.

Kojące niebieskie ściany sali o nazwie „Życie na statku niewolniczym" przywoływały skojarzenia z niebem nad Atlantykiem. Tutaj

Cora krążyła po odcinku pokładu fregaty wokół masztu, różnych małych beczek i zwojów lin. Jej afrykańskim strojem była barwna tkanina owijająca ciało; w kostiumie marynarza przypominała natomiast ulicznego urwisa, nosiła bluzę, spodnie i skórzane buty. Historia o afrykańskim chłopcu brzmiała tak, że gdy trafił on na pokład, pomagał przy różnych drobnych robotach, stając się czymś na kształt terminatora. Cora chowała włosy pod czerwoną czapką. W sali była też figura marynarza opartego o nadburcie, z lunetą przyłożoną do oka. Jego woskową głowę pokryto upiornym kolorem mającym odzwierciedlać barwę skóry, a równie strasznymi farbami namalowano oczy i usta.

W sali „Typowy dzień na plantacji” Cora mogła usiąść przy kołowrotku i dać odpocząć stopom. Siedzisko było równie pewne jak jej stary klocek klonu cukrowego. Kury wypchane trocinami dziobały ziemię; raz po raz udawała, że rzuca im ziarna. Miała pewne podejrzenia, jeśli chodzi o realizm scen w Afryce i na statku, ale w tym przypadku była ekspertką. Podzieliła się krytycznymi uwagami z panem Fieldsem. Przyznał, że kołowrotków rzadko używano na zewnątrz, przy wejściu do niewolniczej chaty, odparł jednak, że choć autentyczność to motto

muzeum, rozmiary sali wymuszają pójście na pewne ustępstwa. Niestety, nie zmieści na ekspozycji całego pola bawełny, a budżet nie pozwala na zatrudnienie tuzina aktorów, którzy by na nim pracowali. Może kiedyś.

Jej krytyka nie dotyczyła stroju używanego w tej sali, wykonanego z autentycznego szorstkiego murzyńskiego materiału. Cora płonęła ze wstydu, gdy dwa razy dziennie rozbierała się i wkładała kostium.

Budżet pana Fieldsa pozwalał na zatrudnienie trzech aktorek, czyli typów, jak je nazywał. Isis i Betty, również zwerbowane w szkole panny Handler, były w zbliżonym wieku i podobnej postury jak Cora. Dzieliły się strojami. Podczas przerw omawiały zalety i wady swoich nowych posad. Po jednym czy dwóch dniach poprawek pan Fields zostawił je w spokoju. Betty cieszyła się, że nigdy nie okazuje on zdenerwowania w przeciwieństwie do rodziny, u której pracowała wcześniej – zasadniczo byli mili, zawsze jednak wchodziła w grę możliwość nieporozumienia albo złego nastroju, któremu wcale nie zawiniła. Isis podobało się to, że nie musi nic mówić. Pochodziła z małej farmy, gdzie często bywała pozostawiona samej sobie, nie licząc wieczorów, kiedy pan potrzebował

towarzystwa, bo wtedy musiała pić z pucharu rozpusty. Cora tęskniła za sklepami dla białych z uginającymi się półkami, wciąż jednak pozostały jej wieczorne spacery do domu i zabawa ze zmieniającymi się witrynami.

Z drugiej zaś strony niezwracanie uwagi na zwiedzających muzeum było nie lada wyzwaniem. Dzieci bębniły w szyby i niegrzecznie wytykały typy palcami, strasząc je, gdy udawały, że zawiązują marynarskie węzły. Czasem odwiedzający coś wykrzykiwali, komentując pantomimę. Dziewczęta nie rozumiały słów, ale orientowały się, że są to nieuprzejme sugestie. Typy co godzinę zamieniały się ekspozycjami, by ulżyć monotonii udawania, że szorują pokład, strugają narzędzia myśliwskie i ściskają w dłoniach drewniane bulwy pochrzynu. Jeśli pan Fields miał jedną stałą uwagę, to taką, by tak często nie przysiadały, ale nie naciskał. Siedząc na stołkach i majstrując przy linie konopnej, naśmiewały się z Kapitana Johna, jak przezwały kukłę marynarza.

Wystawy otwarto tego samego dnia co szpital, w ramach fetowania najnowszych osiągnięć

miasta. Nowo wybrany burmistrz w kampanii stawiał na postęp, chciał więc zadbać o to, by mieszkańcy kojarzyli go z przyszłościowymi inicjatywami poprzednika wprowadzonymi w życie, kiedy on pracował jeszcze w Griffin Building jako prawnik specjalizujący się w nieruchomościach. Cora nie uczestniczyła w uroczystościach, ale tamtego wieczoru z okna domu noclegowego widziała piękne fajerwerki, a szpital miała okazję obejrzeć z bliska, kiedy przyszła pora badań okresowych. Gdy kolorowi mieszkańcy przyzwyczajali się do życia w Karolinie Południowej, lekarze monitorowali ich stan fizyczny z równym oddaniem jak opiekunowie śledzący stopień ich przystosowania emocjonalnego. Kiedyś, powiedziała pewnego popołudnia panna Lucy, gdy szła z Corą przez zieleniec, wszystkie te liczby, dane i zapiski walnie przyczynią się do zrozumienia życia kolorowych.

Oglądany od frontu, szpital był eleganckim, rozłożystym parterowym kompleksem, który wydawał się równie długi, jak Griffin Building był wysoki. Surowość konstrukcji i brak ornamentów, coś zupełnie nowego dla Cory, sprawiały wrażenie, jakby o funkcjonalnym charakterze budynku chciano zakomunikować

już na jego murach. Wejście dla kolorowych znajdowało się z boku, za winklem, ale poza tym nie różniło się niczym od wejścia dla białych i przewidziano je w pierwotnym projekcie, a nie dodano dopiero później, jak się często zdarzało.

Tego ranka, gdy Cora podała nazwisko recepcjonistce, w skrzydle dla kolorowych panował bardzo duży ruch. Grupka mężczyzn, po części znanych jej z potańcówek i popołudni spędzonych na zieleńcu, czekała w sąsiedniej sali na leczenie złej krwi. Przed przyjazdem do Karoliny Południowej Cora nigdy nie słyszała o kłopotach z krwią, dotykały one jednak wielu mężczyzn z domu noclegowego i miejscowi lekarze traktowali je bardzo poważnie. Wyglądało na to, że specjaliści w tym zakresie mieli własny oddział szpitala, a wywołani pacjenci znikali w długim korytarzu.

Tym razem Corę przyjął inny lekarz, sympatyczniejszy niż doktor Campbell. Nazywał się Stevens. Pochodził z północy, miał czarne loki, niemal kobiece, ale wrażenie to osłabiała starannie przystrzyżona broda. Doktor Stevens wydawał się młody jak na lekarza. Cora uznała to za dowód jego talentu. W trakcie badania odnosiła wrażenie, że przesuwa się na przenośniku taśmowym, zupełnie jak któryś

z produktów w fabryce Caesara, obsługiwana z dbałością i atencją.

Badanie nie było aż tak szczegółowe jak tamto pierwsze. Lekarz zaglądał do dokumentacji z poprzedniej wizyty i dodawał własne zapiski na niebieskim papierze. Przy okazji spytał ją o życie w domu noclegowym. Całkiem dobrze zorganizowane, skomentował. Pracę w muzeum nazwał „intrygującą służbą publiczną".

Kiedy się ubrała, doktor Stevens przysunął drewniany stołek. Zachowując pogodny ton, zapytał:

– Miałaś kontakty intymne. Czy myślałaś o sposobach zapobiegania ciąży?

Uśmiechnął się. Wyjaśnił, że w Karolinie Południowej realizowany jest właśnie szeroko zakrojony publiczny program zdrowia mający zapoznać ludność z nową techniką chirurgiczną. Polegała ona na przecięciu przewodów w ciele kobiety, tak by uniemożliwić rozwój dziecka. Procedura była prosta, nieodwracalna i pozbawiona ryzyka. Nowy szpital specjalnie w tym celu wyposażono, a sam doktor Stevens studiował u pioniera tej techniki, doskonalonej na kolorowych pacjentach zakładu dla umysłowo chorych w Bostonie. Między innymi właśnie dlatego go zatrudniono, żeby nauczył

miejscowych lekarzy przeprowadzać zabieg i pozwolił miejscowej ludności kolorowej skorzystać z tego daru.

– A jeśli nie chcę?

– Oczywiście wybór należy do ciebie – powiedział doktor. – Począwszy od tego tygodnia procedura jest obowiązkowa dla części mieszkanek stanu. W imię kontroli urodzin dotyczyć będzie kolorowych kobiet, które urodziły już więcej niż dwoje dzieci. Z oczywistych względów obejmuje też kobiety niedorozwinięte lub w inny sposób niesprawne umysłowo. Wielokrotne przestępczynie. Ale ciebie to nie dotyczy, Bessie. Tamte kobiety już i tak dźwigają dostateczne brzemię. W twoim przypadku to po prostu szansa, by zapanować nad własnym przeznaczeniem.

Cora nie była pierwszą oporną pacjentką doktora Stevensa. Odłożył temat na bok, nie tracąc serdecznego usposobienia. Powiedział, że więcej informacji na temat programu przedstawi jej opiekunka, do której może się zwrócić z dowolnym pytaniem.

Dziewczyna szybko szła korytarzem, spragniona świeżego powietrza. Zbytnio przywykła do tego, że z kontaktów z białymi przedstawicielami władzy wychodzi bez

szwanku. Bezpośredniość pytań lekarza oraz jego późniejsze wyjaśnienia nią wstrząsnęły. Jak można porównywać wydarzenia tamtej nocy za wędzarnią z tym, co dzieje się między mężczyzną i jego żoną, którzy się kochają?! Doktor Stevens mówił tak, jakby to było to samo. Na samą myśl Corę skręcało w żołądku. Do tego dochodziła jeszcze kwestia „obowiązkowości". Brzmiało to tak, jakby kobiety, o których wspomniał lekarz, kobiety z Hobu o różnych twarzach, nie miały nic do powiedzenia. Jakby były własnością, z którą doktorzy mogą zrobić, co zechcą. Panią Anderson czasem ogarniała czarna melancholia. Czy to oznaczało, że się nie nadaje? Czy jej lekarz składał tę samą propozycję? Nie.

Rozmyślając nad tym, Cora zaszła przed dom Andersonów. Stopy same przejęły kontrolę, kiedy umysł znajdował się gdzie indziej. Może w głębi duszy myślała o dzieciach. Maisie na pewno poszła do szkoły, ale Raymond mógł być w domu. Przez ostatnie dwa tygodnie była zbyt zajęta, by pożegnać się jak trzeba.

Dziewczyna, która otworzyła drzwi, patrzyła na nią podejrzliwie, nawet kiedy Cora wytłumaczyła, kim jest.

– Myślałam, że tamtą wołali Bessie – powiedziała. Była chuda i drobna, ale drzwi

trzymała w taki sposób, jakby chętnie przygniotła je całym ciężarem, żeby nie wpuścić intruzów. – A ty mówisz, że jesteś Cora.

Cora przeklęła w duchu lekarza, przez którego straciła koncentrację. Wyjaśniła, że właściciel dał jej na imię Bessie, ale wszyscy w kwaterze mówili na nią Cora, bo jest taka podobna do matki.

– Pani Anderson nie ma w domu – poinformowała dziewczyna. – A dzieci się bawią z kolegami. Przyjdź, jak pani Anderson będzie. – Zamknęła drzwi.

Ten jeden raz Cora wróciła do siebie na skróty. Pomogłaby jej rozmowa z Caesarem, ale był w fabryce. Do kolacji leżała w łóżku. Od tamtej pory do muzeum chodziła trasą omijającą dom Andersonów.

Dwa tygodnie później pan Fields postanowił porządnie oprowadzić swoje typy po muzeum. Czas spędzony za szybą przyczynił się do poprawy zdolności aktorskich Isis i Betty. Obie przekonująco udawały zainteresowanie, gdy kustosz prezentował przekroje poprzeczne dyń i słoje w pniach dostojnego dębu białego, rozłupane geody z fioletowymi kryształami niczym szklane zęby, malutkie chrząszcze i mrówki, które naukowcy zakonserwowali przy

użyciu specjalnej mieszanki. Zachichotały na widok zamrożonego uśmiechu wypchanego rosomaka, myszołowa rdzawosternego znieruchomiałego podczas pikowania i ociężałego niedźwiedzia czarnego szarżującego na szybę. Drapieżniki uchwycono w chwili, gdy atakują ofiarę.

Cora patrzyła na woskowe twarze białych ludzi. Typy pana Fieldsa były jedynymi żywymi eksponatami. Białych zrobiono z gipsu, drutu i farby. W jednej witrynie dwaj pielgrzymi ubrani w pumpy z grubej wełny i kaftany wskazywali palcami Skałę Plymouth, a reszta podróżników patrzyła z pokładów statków namalowanych na ścianie. Cało dotarli na miejsce po niebezpiecznej podróży w poszukiwaniu nowego początku. W kolejnej gablocie muzeum zaaranżowało scenę portową, w której biali koloniści przebrani za Indian z plemienia Mohawków, przesadnie uradowani, wyrzucają skrzynie z herbatą za burtę statku. Na przestrzeni wieków ludzie różne nosili łańcuchy, ale nie trudno rozpoznać bunt, nawet gdy buntownicy noszą kostiumy, żeby uniknąć obarczenia winą.

Typy przechodziły między ekspozycjami jak zwiedzający, którzy kupili bilet. Dwaj

zdeterminowani eksploratorzy stali na skalnym grzbiecie i spoglądali w kierunku gór na zachodzie. Przed nimi rozciągał się tajemniczy kraj pełen zagrożeń i niewiadomych. Któż wiedział, co tam czeka? Byli panami swego życia wyruszającymi bez strachu ku przyszłości.

W ostatniej gablocie czerwony Indianin przyjmował skrawek pergaminu od trzech białych mężczyzn, którzy stali w szlachetnych pozach z dłońmi rozchylonymi w geście negocjacji.

– Co to? – zapytała Isis.

– Prawdziwe tipi – odpowiedział pan Fields. – W każdej ekspozycji staramy się coś opowiedzieć, rzucić światło na amerykańskie doświadczenie. Każdy zna prawdę o tym historycznym spotkaniu, ale zobaczyć je na własne oczy…

– Oni tam śpią? – przerwała mu Isis.

Pan Fields wyjaśnił. Potem dziewczęta wróciły do swoich gablot.

– Co ty na to, Kapitanie John? – spytała Cora swego towarzysza marynarza. – Czy tak wygląda prawda o naszym historycznym spotkaniu?

Ostatnio z myślą o widzach zaczęła rozmawiać z kukłą, żeby dodać element przedstawienia. Z policzka Johna odchodziła farba, odsłaniając szary wosk.

Dziewczyna przypuszczała, że wypchane kojoty nie kłamią. A mrowiska i skały mówią prawdę o sobie samych. Ekspozycje z białymi zawierały jednak równie wiele sprzeczności i nieścisłości co trzy strefy Cory. Nie istnieli porwani chłopcy, którzy szorowaliby pokłady klepani po głowie przez białych porywaczy. Mały przedsiębiorczy Afrykanin, którego doskonałe skórzane buty nosiła, byłby skuty łańcuchami pod pokładem i szorowałby brud własnym ciałem. Owszem, do robót niewolników czasem należało przędzenie; zwykle jednak nie. Żaden niewolnik nie umarł z przepracowania nad kołowrotkiem ani nie został skatowany za splątanie nici. Nikt jednak nie chciał opowiadać o prawdziwej naturze świata. I nikt nie chciał o niej słuchać. Na pewno nie białe potwory znajdujące się w tej chwili po drugiej stronie szyby, przyciskające do niej śliskie ryje, pohukujące i szyderczo wykrzywiające gęby w uśmiechu. Prawda to zmieniająca się wystawa w sklepowej witrynie, przerabiana ręcznie, kiedy nie patrzysz, nęcąca i zawsze poza zasięgiem.

Biali przybyli na tę ziemię, by zacząć życie od nowa i uciec przed tyranią swych panów, tak jak wolni czarni uciekali przed swoimi. Przyświecających im ideałów odmawiali jednak

innym. Na plantacji Randallów Cora wielokrotnie słyszała, jak Michael recytował Deklarację Niepodległości. Jego głos niósł się przez wioskę niczym gniewny upiór. Nie rozumiała słów, przynajmniej większości, ale sens wyrażenia „stworzeni równymi” był dla niej jasny. Biali ludzie, którzy napisali ten dokument, też go chyba nie rozumieli, skoro hasło „wszyscy ludzie” nie oznaczało rzeczywiście wszystkich. Skoro zabierali to, co należało do innych, czy to namacalne jak piach, czy nienamacalne jak wolność. Ziemia uprawiana przez Corę była kiedyś ziemią indiańską. Biali chełpili się skutecznością masakr, w których mordowano kobiety i dzieci, dławiąc ich przyszłość w kołysce.

Skradzione ciała pracowały na skradzionej ziemi. To silnik, który nigdy się nie zatrzyma, z głodnym kotłem dokarmianym krwią. Zabiegi opisywane przez doktora Stevensa, pomyślała Cora, oznaczają, że biali zaczęli na dobre kraść przyszłość. Rozcinać kobiety i wyrywać ją ociekającą płynami. Bo właśnie tym jest odbieranie ludziom dzieci: kradzieżą ich przyszłości. Najpierw torturuje się ich, ile tylko można, dopóki chodzą po ziemi, a potem pozbawia nadziei, że pewnego dnia ich ród będzie miał lepiej.

– Prawda, Kapitanie John? – spytała Cora.

Czasem, jeśli szybko obróciła głowę, odnosiła wrażenie, że kukła do niej mruga.

Kilka dni później zauważyła, że pod czterdziestką nie palą się światła, choć był dopiero wczesny wieczór. Spytała o to inne dziewczęta.

– Przenieśli je do szpitala – powiedziała jedna. – Żeby wyzdrowiały.

W noc poprzedzającą moment, gdy Ridgeway zamknął dla niej Karolinę Południową, Cora długo stała na dachu Griffin Building, próbując dostrzec, skąd przybyła. Do spotkania z Caesarem i Samem została godzina, a ona nie miała ochoty zamartwiać się, siedząc na łóżku i słuchając świergotu innych dziewcząt. W poprzednią sobotę po szkole jeden z mężczyzn, którzy pracowali w Griffin Building, Martin, dawny parobek z plantacji tytoniu, powiedział jej, że drzwi na dach nie są zamknięte. Łatwo tam wejść. Mówił, że jeśli Cora po wyjściu z windy boi się pytań któregoś z białych pracujących na najwyższym piętrze, kilka ostatnich może przejść schodami.

To była jej druga wizyta o zmierzchu. Wysokość przyprawiała o zawroty głowy, Cora miała ochotę podskoczyć i złapać kłębiące się nad nią szare chmury. Panna Handler uczyła o wielkich piramidach w Egipcie, o cudach, które niewolnicy zbudowali własnymi rękami i potem. Czy piramidy były równie wysokie jak ten budynek, a faraonowie siadywali na szczycie

i mierzyli wzrokiem swe królestwa, by się przekonać, jak bardzo kurczy się świat widziany z właściwego dystansu? W dole przy Main Street robotnicy budowali dwu- i trzypiętrowe budynki, wyższe niż rząd starych jednopiętrowych. Cora mijała tę budowę codziennie. Na razie nie powstało nic równie wysokiego jak Griffin Building, lecz pewnego dnia drapacz chmur będzie miał rodzeństwo, które pomaszeruje przez kraj. Ilekroć marzenia porywały ją ku wizjom pełnym nadziei, ta myśl ściągała ją na ziemię, myśl o mieście, które zacznie żyć własnym życiem.

Na wschód od Griffin Building znajdowały się domy białych ludzi i ich nowe projekty: powiększony plac miejski, szpital i muzeum. Cora przeszła na stronę zachodnią, gdzie stały domy noclegowe dla kolorowych. Z tej wysokości widziała, że czerwone klocki ciągną się imponującymi rzędami aż do niewykarczowanego lasu. Czy właśnie tam kiedyś zamieszka? W małym domku przy ulicy, która jeszcze nie powstała? Na piętrze będzie kłaść do snu chłopca i dziewczynkę? Próbowała zobaczyć w myślach twarz mężczyzny, przywołać imiona dzieci. Zawodziła ją wyobraźnia. Zmrużyła oczy, patrząc na południe

w stronę plantacji Randallów. Co spodziewała się zobaczyć? Południe pochłaniała noc.

A północ? Może pewnego dnia ją odwiedzi.

Powiał wiatr i Cora zadrżała z zimna, więc zeszła na dół. Teraz już można było bezpiecznie udać się do Sama.

Caesar nie wiedział, dlaczego zawiadowca stacji chce się z nimi zobaczyć. Kiedy mijał bar, Sam dał mu znak i powiedział: Dziś wieczorem. Od przybycia tutaj Cora nie wracała na stację, ale dzień wybawienia tak wyraźnie zapisał się w jej pamięci, że nie miała trudności z odnalezieniem drogi. Odgłosy zwierząt w ciemnym lesie, trzask i świst gałęzi przypomniały o ucieczce i o tym, jak Lovey zniknęła w mroku nocy.

Cora przyśpieszyła, gdy między drzewami zamigotały światła okien Sama. Mężczyzna jak zwykle uściskał ją z entuzjazmem. Koszulę miał wilgotną i cuchnącą alkoholem. Poprzednim razem Cora była zbyt zaaferowana, by spostrzec bałagan w domu, brudne talerze, trociny i stosy ubrań. Aby dojść do kuchni, musiała przestąpić nad przewróconą skrzynką z narzędziami, której zawartość wypadła na ziemię, a gwoździe rozsypały się jak bierki. Przed wyjściem zamierzała zaproponować, by Sam w biurze

pośrednictwa pracy poprosił o dziewczynę do sprzątania.

Caesar przyszedł wcześniej i teraz przy kuchennym stole sączył piwo z butelki. Przyniósł Samowi jedną ze swych misek. Przesuwał palcami po jej dnie, jakby szukał niewidocznego pęknięcia. Cora już prawie zapomniała, że lubił rzeźbić w drewnie. Ostatnio rzadko go widywała. Z przyjemnością zauważyła, że kupił sobie nowe eleganckie ubranie w składzie dla kolorowych – ciemny garnitur, w którym było mu do twarzy. Ktoś nauczył go wiązać krawat, a może to owoc czasu spędzonego w Wirginii, kiedy wierzył, że biała staruszka go uwolni, więc pracował nad wyglądem.

– Przyjeżdża pociąg? – zapytała Cora.

– Za kilka dni – odparł Sam.

Caesar i Cora poruszyli się na krzesłach.

– Wiem, że nie chcecie nim jechać – powiedział Sam. – To nic.

– Postanowiliśmy zostać – poinformował go Caesar.

– Chcieliśmy się upewnić, zanim ci powiemy – dodała Cora.

Sam sapnął i oparł się na skrzypiącym krześle.

– Cieszyłem się, kiedy rezygnowaliście z kolejnych pociągów i próbowaliście ułożyć sobie tu życie – przyznał. – Ale po tym, co wam teraz powiem, może się jeszcze zastanowicie.

Poczęstował ich słodyczami – był wiernym klientem cukierni Ideal niedaleko Main Street – a potem wyjawił, dlaczego ich wezwał.

– Chcę, żebyście trzymali się z dala od baru Red's – oznajmił.

– Boisz się konkurencji? – zażartował Caesar.

To nie wchodziło w grę. Bar Sama nie obsługiwał kolorowych. Nie, Red's miał monopol, jeśli chodzi o mieszkańców domów noclegowych, którym tęskno do tańca i napitku. Na dodatek można tam płacić bonami.

– Chodzi o coś groźniejszego – powiedział Sam. – Nie wiem, co o tym myśleć, szczerze mówiąc.

To była dziwna historia. Caleb, właściciel Dryfu, słynął z nieprzyjemnego usposobienia; to Sam uchodził za rozmownego barmana. Pracując tam, człowiek dowiaduje się, co naprawdę w trawie piszczy, mawiał. Do stałych bywalców należał lekarz imieniem Bertram, od niedawna pracownik szpitala. Nie zadawał się z innymi przybyszami z północy, wolał atmosferę i surowe

towarzystwo w Dryfie. Zawsze był spragniony whisky.

– Żeby zatopić swe grzechy – powiedział Sam.

W typowy wieczór Bertram zachowywał swoje myśli dla siebie aż do trzeciej kolejki, kiedy to trunek rozwiązywał mu język. Wtedy ożywiał się i zaczynał pleść o śnieżycach w Massachusetts, otrzęsinach w akademii medycznej czy relatywnej inteligencji wirginijskich oposów. Ostatniego wieczoru zszedł na temat kobiecego towarzystwa. Często odwiedzał przybytek panny Trumball, który przedkładał nad Lanchester House, gdyż dziewczęta w tym drugim, twierdził, miały posępne usposobienie, jakby zaimportowano je z Maine albo innej prowincji, gdzie mieszkańcy lubują się w mroku.

– Sam… – wtrąciła Cora.

– Przepraszam. – Zaczął się streszczać. Doktor Bertram wymienił kilka zalet domu panny Trumball, po czym dodał: „Cokolwiek zrobisz, chłopie, jeśli gustujesz w czarnuszkach, trzymaj się z dala od Red's Café".

Kilku pacjentów Bertrama bywało w tym lokalu i zadawało się z odwiedzającymi go kobietami. Wierzyli, że są leczeni na złą krew. W rzeczywistości środki podawane w szpitalu to

tylko woda z cukrem, a murzynki były uczestniczkami badań nad kiłą utajoną i trzeciorzędową.

– Myślą, że pan im pomaga? – zapytał lekarza Sam. Panował nad obojętnym brzmieniem głosu, mimo że twarz zaczynała go palić.

– To ważne badania – poinformował Bertram. – Jeśli odkryjemy, w jaki sposób rozchodzi się choroba, i zbadamy przebieg zakażenia, zbliżymy się do znalezienia lekarstwa.

Red's to jedyny bar dla kolorowych w samym mieście; właścicielowi w zamian za czujność opuszczono czynsz. Program dotyczący kiły był tylko jednym z wielu badań i eksperymentów prowadzonych w szpitalu w skrzydle dla kolorowych. Czy Sam wiedział, że plemię Igbo z kontynentu afrykańskiego ma skłonności do zaburzeń nerwowych? Do samobójstw i czarnej melancholii? Doktor opowiedział historię czterdziestu niewolników skutych razem na statku, którzy woleli wspólnie wyskoczyć za burtę, niż żyć w niewoli. Cóż za umysł wykoncypowałby i wykonał coś takiego! A gdyby zmodyfikować zachowania rozrodcze czarnuchów i zlikwidować tę skłonność do melancholii? Zapanować nad innymi zjawiskami, takimi jak agresja seksualna czy inklinacje do

przemocy? Ochronilibyśmy nasze kobiety i dzieci przed murzyńskimi popędami z dżungli, które doktor Bertram utożsamiał ze szczególnym strachem przed białym człowiekiem z południa.

Lekarz nachylił się nad barem. Czy Sam czytał dziś gazetę?

Sam pokręcił głową i dolał mu whisky.

Ale przecież, nalegał doktor, na przestrzeni lat musiał widywać felietony wyrażające zaniepokojenie tą sprawą. Ameryka sprowadziła i wyhodowała już tylu Afrykanów, że w wielu stanach jest ich więcej niż białych. Choćby z tego powodu wyzwolenie jest niemożliwe. Dzięki strategicznej sterylizacji – najpierw kobiet, ale z czasem obu płci – moglibyśmy uwolnić ich z niewoli bez obawy, że zarżną nas przez sen. Architekci powstań na Jamajce pochodzili z Dahomeju i Konga, byli sprytni i zawzięci. A gdybyśmy z czasem utemperowali te linie? Zbiórka danych o kolorowych pielgrzymach i ich potomkach na przestrzeni lat i dekad, powiedział doktor, okaże się jednym z najśmielszych przedsięwzięć naukowych w historii. Kontrolowana sterylizacja, badanie chorób zakaźnych, doskonalenie nowych technik chirurgicznych na osobach nieprzystosowanych do życia w społeczeństwie – czy można się

dziwić, że największe talenty medyczne w kraju ściągają do Karoliny Południowej?

Do lokalu wpadła grupka awanturników i zepchnęła Bertrama na koniec baru. Sam miał co robić. Lekarz pił w spokoju przez jakiś czas, a potem sobie poszedł.

– Wy nie jesteście z tych, co chadzają do Red's – zakończył opowieść Sam. – Ale i tak chciałem was ostrzec.

– Red's – powtórzyła Cora. – Tu chodzi o coś więcej niż ten bar. Musimy im powiedzieć, że ich okłamują. Oni są chorzy.

Caesar był tego samego zdania.

– Myślicie, że uwierzą wam, a nie białym lekarzom? – spytał Sam. – Jakie macie dowody? Nie istnieje żadna władza, do której można się odwołać; za wszystko płaci miasto. Poza tym w innych miastach kolorowi pielgrzymi też osiedli na tych samych zasadach. Nie tylko tutaj jest nowy szpital.

Dyskutowali nad tym przy kuchennym stole. Czy możliwe, że w tę niewiarygodną intrygę zamieszani są nie sami lekarze, ale wszyscy zajmujący się ludnością kolorową? Że kierują kolorowych pielgrzymów w określoną stronę, wykupują ich z majątków i na aukcjach po to, by prowadzić ten eksperyment? Te wszystkie białe

ręce pracujące w zgodzie, zapisujące fakty i dane na niebieskim papierze. Pewnego ranka, już po rozmowie z doktorem Stevensem, Corę w drodze do muzeum zatrzymała panna Lucy. Czy zastanowiła się nad szpitalnym programem kontroli urodzeń? Może porozmawiałaby o nim z innymi dziewczętami, używając języka, który zrozumieją? Bardzo by to doceniono, zapewniła biała kobieta. W mieście pojawiają się różne nowe posady, okazje dla osób, które udowodniły swą wartość.

Cora przypomniała sobie tamten wieczór, kiedy wraz z Caesarem postanowili zostać, tamtą krzyczącą kobietę, która pojawiła się na zieleńcu po zakończeniu potańcówki. Zabierają mi dzieci! – krzyczała. Wcale nie opłakiwała dawnej plantacyjnej niesprawiedliwości, ale zbrodnię, której dopuszczono się tu, w Karolinie Południowej. To lekarze kradli jej dzieci, a nie byli właściciele.

– Pytali mnie, z której części Afryki pochodzili moi rodzice – przypomniał sobie Caesar. – Skąd mam to wiedzieć? Podobno mam nos Dahomejczyka.

– Grunt to pochlebstwo, zanim człowieka wykastrują – stwierdził Sam.

– Muszę powiedzieć Meg – dodał Caesar. – Niektóre jej koleżanki spędzają wieczory w Red's. Wiem, że spotykają się tam z mężczyznami.

– Kim jest Meg? – zapytała Cora.

– To przyjaciółka, z którą ostatnio spędzam czas.

– Widziałem was parę dni temu na Main Street – powiedział Sam. – Jest bardzo urodziwa.

– Spędziliśmy miłe popołudnie – odparł Caesar.

Wypił łyk piwa, skupiając się na czarnej butelce i unikając wzroku Cory.

Niewiele ustalili, jeśli chodzi o kierunek działań. Nie wiedzieli, do kogo się zwrócić ani jak zareagują inni kolorowi mieszkańcy. Może woleliby nie wiedzieć, zasugerował Caesar. Czym są te pogłoski w porównaniu z tym, od czego zostali uwolnieni? Jak będą kalkulować sąsiedzi, zestawiwszy to, co obiecują nowe warunki, z zarzutami i prawdą o swojej przeszłości? Zgodnie z prawem nadal byli czyjąś własnością, ich nazwiska widniały na kartkach zamkniętych w szafach z aktami należących do rządu Stanów Zjednoczonych. Chwilowo można było jedynie ostrzec innych.

Cora i Caesar prawie już doszli do miasta, kiedy Caesar powiedział:

– Meg pracuje u rodziny przy Washington Street. W jednym z tych dużych domów.

– Cieszę się, że masz przyjaciół – odparła Cora.

– Jesteś pewna?

– Czy źle zrobiliśmy, zostając?

– Może tu powinniśmy wysiąść. A może nie. Co powiedziałaby Lovey?

Cora nie umiała odpowiedzieć. Nie rozmawiali już więcej.

Źle spała. W osiemdziesięciu łóżkach kobiety chrapały i przewracały się pod kołdrami. Kładły się, wierząc, że są wolne od kontroli białego człowieka i rozkazów, co robić i kim być. Że same kierują swoimi sprawami. Wciąż jednak je wypasano i udomowiano. Nie były towarem jak dawniej, ale żywym inwentarzem: hodowanym, sterylizowanym. Pozamykanym w domach noclegowych niczym w kojcach czy klatkach.

Rano Cora tak jak reszta dziewcząt poszła do pracy. Kiedy ona i pozostałe typy miały się przebrać, Isis zapytała ją, czy mogą zamienić się salami. Marnie się czuła i chciała odpocząć przy kołowrotku.

– Nie musiałabym przez jakiś czas stać na nogach.

Po sześciu tygodniach w muzeum Cora wypracowała rotację odpowiadającą jej osobowości. Jeśli zaczęła od „Typowego dnia na plantacji”, obie plantacyjne tury miała za sobą przed południowym posiłkiem. Nienawidziła niedorzecznej niewolniczej ekspozycji i wolała czym prędzej mieć ją z głowy. Przejście z „Plantacji” przez „Statek niewolniczy” do „Najczarniejszej Afryki” miało pewną kojącą logikę. Było jak cofanie się w czasie, wymazywanie Ameryki. Kończąc dzień w „Scenach z najczarniejszej Afryki”, zawsze zanurzała się w rzece spokoju, prosty teatr stawał się czymś więcej niż teatrem: prawdziwym azylem. Przystała jednak na prośbę Isis. Zakończy dzień jako niewolnica.

Na polach zawsze znajdowała się pod bezlitosnym spojrzeniem nadzorcy lub zarządcy. Zginać grzbiet! Nie lenić się! U Andersonów, gdy Maisie poszła do szkoły albo bawiła się z koleżankami, a mały Raymond spał, Cora pracowała nienękana i niepilnowana. To był jej mały skarb w środku dnia. Odkąd przeniesiono ją do muzeum, wróciła na zagony Georgii, a oniemiałe spojrzenia i rozdziawione usta zwiedzających sprawiły, że znowu stała się obiektem obserwacji.

Pewnego dnia postanowiła odegrać się na rudowłosej białej kobiecie, która skrzywiła się na widok obowiązków Cory „na morzu”. Być może wyszła za mąż za marynarza o nieopanowanych żądzach i nie chciała, by jej o tym przypominano – Cora nie znała przyczyny tej wrogości i była jej ona obojętna. Kobieta ją drażniła. Dziewczyna patrzyła jej prosto w oczy, płomiennym, nieruchomym spojrzeniem, dopóki tamta nie odwróciła się i nieomal odbiegła od witryny w kierunku działu rolniczego.

Od tej pory Cora raz na godzinę wybierała sobie jednego zwiedzającego, na którego patrzyła złym okiem. Młodego kancelistę zza biurka w Griffin Building, człowieka przedsiębiorczego; udręczoną matronę ze stadkiem niesfornych dzieci; jednego z tych odpychających młodzików, którzy lubili bębnić w szyby i straszyć typy. Czasem ta osoba, czasem inna. Wybierała z tłumu słabe ogniwa, takie, które łamały się pod jej spojrzeniem. Słabe ogniwo – podobało jej się, jak to brzmi. Szukanie niedoskonałości w łańcuchu trzymającym cię w niewoli. Pojedynczo takie ogniwo nie znaczy wiele. Ale wspólnie z innymi zmienia się w potężne okowy, które mimo słabości zniewalają miliony. Ludzie wybierani przez Corę, młodzi i starzy, z bogatej

części miasta i ze skromniejszych ulic, osobiście jej nie prześladowali. Ale jako społeczność byli kajdanami. Jeśli się nie podda, jeśli będzie kruszyć słabe ogniwa, ilekroć je znajdzie, może w końcu to coś da.

Nabrała w tych złych spojrzeniach wprawy. Podnosiła wzrok znad kołowrotka albo szklanego paleniska w chacie, by przyszpilić kogoś niczym chrząszcza albo roztocze na ekspozycji z owadami. Ci ludzie zawsze się łamali, nie spodziewali się tak dziwnego ataku, zataczali się, spuszczali wzrok albo zmuszali towarzyszy, by ich odciągnęli. To dobra lekcja, myślała Cora: przekonujecie się, że niewolnik, Afrykanin wśród was, też na was patrzy.

Tego dnia, kiedy Isis słabo się poczuła, podczas drugiej tury na statku Cora wyjrzała przez szybę i zobaczyła Maisie. Dziewczynka miała warkoczyki i nosiła jedną z sukienek, które ona kiedyś prała i wieszała na sznurku. To była wycieczka klasowa. Cora rozpoznała chłopców i dziewczynki, którzy towarzyszyli małej, nawet jeśli oni nie pamiętali, że jest dawną służącą Andersonów. Maisie w pierwszym momencie jej nie skojarzyła. Potem Cora wbiła w nią złe oko i wtedy dziewczynka już wiedziała. Nauczycielka tłumaczyła sens wystawy, inne dzieci wytykały

palcami i szydziły z kuriozalnego uśmiechu Kapitana Johna – a twarz Maisie drgała ze strachu. Z zewnątrz nikt by nie poznał, co działo się między nimi, tak jak wtedy, gdy Cora i Blake stali naprzeciw siebie tamtego dnia, kiedy porąbała budę. Ciebie też złamię, Maisie, pomyślała i tak też się stało; dziewczynka czmychnęła poza jej pole widzenia. Cora sama nie wiedziała, dlaczego to zrobiła, i było jej wstyd, dopóki nie zdjęła kostiumu i nie wróciła do domu noclegowego.

Wieczorem przyszła do panny Lucy. Przez cały dzień rozmyślała o wiadomości od Sama, oglądała ją pod światło niczym szkaradną bombkę, przechylała to w jedną, to w drugą stronę. Opiekunka wielokrotnie jej pomagała. Teraz jej propozycje i rady przypominały manewry farmera, który podstępem chce nakłonić osła, by poruszał się zgodnie z jego zamiarami.

Kiedy Cora wetknęła głowę do gabinetu, biała kobieta właśnie zbierała z biurka stos niebieskich papierów. Czy jej nazwisko też tam było i jakie widniały przy nim notatki? Nie, poprawiła się Cora: nie jej nazwisko, ale Bessie.

– Mam tylko chwilę – oznajmiła opiekunka.

– Widziałam, że pod czterdziestkę znowu ktoś się wprowadził. Ale nie te osoby, które mieszkały tam wcześniej. Czy one ciągle są w szpitalu na leczeniu?

Panna Lucy zerknęła na swoje kartki i zesztywniała.

– Przeniesiono je do innego miasta – powiedziała. – Potrzebujemy miejsca dla nowo przybyłych, więc kobiety takie jak Gertrude, które potrzebują pomocy, są wysyłane tam, gdzie poświęci im się więcej uwagi.

– Nie wrócą? – zapytała Cora.

– Nie. – Panna Lucy zmierzyła ją wzrokiem. – To cię martwi, wiem. Jesteś mądrą dziewczyną, Bessie. Nadal liczę, że poprowadzisz pozostałe dziewczęta, nawet jeżeli nie wydaje ci się, że operacja jest ci w tej chwili potrzebna. Możesz bardzo przysłużyć się swojej rasie, jeśli tylko się do tego przyłożysz.

– Umiem zdecydować sama. Dlaczego one nie? Na plantacji o wszystkim decydował za nas pan. Myślałam, że tu już tego nie będzie.

Panna Lucy wzdrygnęła się, słysząc takie porównanie.

– Jeśli nie widzisz różnicy między dobrymi, uczciwymi ludźmi a zaburzonymi umysłowo,

idiotami i kryminalistami, to nie jesteś osobą, za jaką cię miałam.

Nie jestem osobą, za jaką miałam sama siebie.

Przerwała im inna opiekunka, starsza kobieta o imieniu Roberta, która często współpracowała z biurem pośrednictwa pracy. To ona przed wieloma miesiącami dała Corze posadę u Andersonów.

– Lucy, czekają na ciebie.

Panna Lucy mruknęła.

– Mam wszystko tutaj – powiedziała koleżance. – Ale te same dokumenty są w Griffin Building. Zgodnie z ustawą o zbiegłych niewolnikach musimy przekazywać uciekinierów i nie utrudniać ich zatrzymania, a nie natychmiast wszystko rzucać, bo jakiś łowca niewolników myśli, że wywęszył swoją zwierzynę. Nie chronimy morderców. – Wstała, przyciskając stos kartek do piersi. – Wrócimy do sprawy jutro, Bessie. Proszę, przemyśl naszą rozmowę.

Cora wyszła na dwór. Usiadła na trzecim stopniu schodów. Mogli szukać kogokolwiek. Domy noclegowe były pełne zbiegów, którzy się tu schronili tuż po ucieczce z niewoli albo po latach życia na własny rachunek. Mogli szukać kogokolwiek.

Polowali na morderców.

Najpierw poszła do domu noclegowego Caesara. Wiedziała, o jakich porach pracuje, ale ze strachu nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ma zmianę. Na zewnątrz nie widziała żadnych białych mężczyzn, takich groźnych, jak wyobrażała sobie łowców niewolników. Pędem przebiegła przez zieleniec. Starszy mężczyzna w domu noclegowym zmierzył ją obleśnym spojrzeniem – każdym odwiedzinom dziewczyn w budynku mężczyzn towarzyszyła lubieżna sugestia – i poinformował, że Caesar jest jeszcze w fabryce.

– Może zaczekasz ze mną? – zapytał.

Robiło się ciemno. Cora zastanawiała się, czy zaryzykować wyprawę przez Main Street. W miejskim rejestrze figurowała jako Bessie. Rysunki na ulotkach wydrukowanych przez Terrance'a po ucieczce niewolników były prymitywne, lecz na tyle ich przypominały, że każdy sprytny łowca dobrze jej się przyjrzy. Odpoczynek nie wchodził w grę, dopóki Cora nie naradzi się z Caesarem i Samem. Ruszyła Elm Street, równoległą do Main, aż dotarła do kwartału, w którym znajdował się Dryf. Ilekroć skręcała za róg, spodziewała się zobaczyć konny pościg z pochodniami, muszkietami i okrutnymi

uśmiechami. W Dryfie pełno było hulaków wcześnie zaczynających wieczór – jednych poznawała, innych nie. Musiała dwa razy przejść przed oknami baru, zanim zawiadowca stacji wreszcie ją dostrzegł i dał znak, żeby spotkała się z nim przy tylnych drzwiach.

Mężczyźni w barze śmiali się głośno. Cora prześlizgnęła się przez snop światła padający z wnętrza do zaułka. Drzwi wychodka były uchylone – pusto. Sam stał w cieniu, opierał stopę o skrzynię i wiązał but.

– Zastanawiałem się, jak przekazać wam wiadomość – powiedział. – Łowca niewolników nazywa się Ridgeway. Właśnie rozmawia z konstablem o tobie i Caesarze. Lałem whisky dwóm jego ludziom.

Podał jej ulotkę. Była taka, jak Fletcher opisywał je w swoim domku, z jedną różnicą. Teraz, gdy Cora umiała czytać, na widok słowa „morderca” zamarła.

Z wnętrza baru dobiegł jakiś raban, więc schowała się głębiej w cieniu. Sam powiedział, że może wyjść z pracy dopiero za godzinę. Postanowił zdobyć jak najwięcej informacji, a potem spróbować złapać Caesara w fabryce. Najlepiej, żeby Cora już teraz poszła do jego domu i tam zaczekała.

Biegła tak, jak nie biegała już dawno, trzymając się pobocza i uskakując w las, gdy tylko kogoś usłyszała. Weszła do domku Sama tylnymi drzwiami i zapaliła świecę w kuchni. Chodziła tam i z powrotem, nie mogąc usiedzieć na miejscu, aż wreszcie zaczęła robić jedyną rzecz, jaka ją uspokajała. Kiedy Sam wrócił, zdążyła pozmywać wszystkie naczynia.

– Niedobrze – oznajmił zawiadowca. – Jeden z łowców wszedł do baru tuż po naszej rozmowie. Miał naszyjnik z uszu jak czerwonoskóry Indianin. Paskudny typ. Powiedział pozostałym, że już wiadomo, gdzie jesteście. Wyszli przed bar do swojego szefa, Ridgewaya. – Sam dyszał po biegu z miasta. – Nie wiem, jakim cudem, ale wiedzą, kim jesteście.

Cora chwyciła miskę Caesara. Obróciła ją w dłoniach.

– Zebrali bandę – powiedział Sam. – Do Caesara nie dotarłem. Wie, że ma przyjść tutaj albo do baru, zaplanowaliśmy to wcześniej. Może już jest w drodze. – Zamierzał wrócić do Dryfu, by tam na niego zaczekać.

– Myślisz, że ktoś widział, jak rozmawialiśmy?

– Może powinnaś zejść na peron.

Przeciągnęli na bok stół kuchenny i gruby szary dywan. Wspólnie unieśli klapę

w podłodze – mocno siedziała – a wtedy z dołu buchnęło zatęchłe powietrze, od którego zamigotały świece. Cora wzięła trochę jedzenia i latarnię, po czym zeszła w mrok. Nad jej głową zamknął się właz, a stół wrócił na miejsce.

W mieście unikała mszy w kościołach dla kolorowych. Randall zabraniał praktykowania religii, żeby niewolników nie rozpraszały myśli o zbawieniu, a po przybyciu do Karoliny Południowej nabożeństwa jej nie interesowały. Wiedziała, że innym kolorowym mieszkańcom wydaje się przez to dziwna, ale bycie dziwną już od dawna jej nie przeszkadzało. Czy teraz powinna się modlić? Siedziała przy stoliku w słabym blasku lampy. Na peronie było zbyt ciemno, żeby dostrzec, gdzie zaczyna się tunel. Ile czasu będą potrzebować tamci, by wykurzyć Caesara? Jak szybko potrafi biec? Cora zdawała sobie sprawę z tego, jakie obietnice potrafią składać ludzie w rozpaczliwych sytuacjach. Za zbicie gorączki chorego dziecka, powstrzymanie okrucieństwa zarządcy, uniknięcie niewolniczego piekła. Z tego, co widziała, te układy z Bogiem nigdy nie przynoszą skutku. Czasem gorączka spada, ale plantacja nie przestaje istnieć. Nie pomodliła się.

Czekając, zasnęła. Później ostrożnie wdrapała się po schodach, przycupnęła tuż pod klapą i nasłuchiwała. Na świecie mógł być teraz dzień, a mogła być noc. Corze chciało się jeść i pić. Posiliła się chlebem i kiełbasą. Spędzała godziny, chodząc po schodach to w górę, to w dół, przykładając ucho do klapy, a potem się wycofując. Kiedy skończyło się pożywienie, pogrążyła się w całkowitej rozpaczy. Nasłuchiwała przy włazie. Nie dobiegał żaden dźwięk.

Zbudził ją łomot na górze, niszcząc pustkę, w której się zatopiła. To nie jeden człowiek, nie dwóch, ale wielu. Plądrowali dom, krzyczeli, powalali szafki i przewracali meble. Hałas był tak głośny, gwałtowny i bliski, że uciekła w dół schodów. Nie umiała rozróżnić słów. Potem sobie poszli.

Przez spoiny włazu nie przedostawało się ani światło, ani powietrze. Cora nie poczuła dymu, ale usłyszała brzęk szkła i trzask drewna.

Dom się palił.

Stevens

Zakład Anatomii Akademii Medycznej Proctora znajdował się trzy przecznice od głównego gmachu, jako przedostatni budynek przy ślepej ulicy. Szkoła nie była tak wybredna jak lepiej znane kolegia medyczne w Bostonie; przyjmowano tylu studentów, że konieczna stała się rozbudowa. Aloysius Stevens pracował nocą, by zakwalifikować się do stypendium. W zamian za upust czesnego i miejsce pracy – na nocnej zmianie panował spokój, który sprzyjał nauce – szkoła zyskała kogoś do wpuszczania hieny cmentarnej.

Carpenter zwykle przywoził towar tuż przed świtem, zanim zbudziła się okolica, ale tego dnia pojawił się o północy. Stevens zdmuchnął lampę w sali sekcyjnej i wbiegł po schodach. O mały włos nie zapomniał szala, ale przypomniał sobie, jak zimno było ostatnio, bo nadeszła już jesień, zapowiadając okrutną porę roku. Rano padało, miał więc nadzieję, że nie ma zbyt wiele błota. Posiadał tylko jedną parę półbutów z podeszwami w opłakanym stanie.

Carpenter i jego człowiek Cobb czekali na koźle. Stevens wsiadł do wozu z narzędziami. Zsunął się nisko, na wypadek gdyby w pobliżu kręcili się wykładowcy albo studenci, a wyprostował się dopiero wtedy, gdy odjechali już spory kawałek. Było późno, ale tego wieczoru przemawiał ekspert od kości z Chicago, więc mogli krążyć jeszcze po miejscowych barach. Stevens był rozczarowany, że przegapił to wystąpienie – jego stypendium często nie pozwalało na udział w gościnnych wykładach – ale pieniądze musiały jakoś ukoić żal. Większość studentów pochodziło z zamożnych rodzin z Massachusetts, toteż obce im były zmartwienia o jedzenie i czynsz. Gdy wóz mijał lokal McGinty's i Stevens usłyszał śmiech dobiegający z wnętrza, naciągnął kapelusz na czoło.

Cobb odwrócił się do niego.

– Dzisiaj Concord – powiedział, po czym podał mu piersiówkę.

Stevens z zasady odmawiał, gdy Cobb częstował go alkoholem. Choć dopiero studiował, miał pewność co do swej diagnozy na temat zdrowia tego człowieka. Wiatr był jednak zimny i przenikliwy, a ich czekały długie godziny w ciemności i błocie, zanim wrócą do Zakładu

Anatomii. Stevens wypił duży łyk i zakrztusił się płynnym ogniem.

– Co to jest?

– Jeden ze specyfików mojego kuzyna – odpowiedział Cobb. – Za mocny dla ciebie? – Obaj z Carpenterem zarechotali.

Bardziej prawdopodobne, że zeszłej nocy zebrał zlewki w barze. Stevens z uśmiechem przyjął ten żart. Przez te parę miesięcy Cobb zdążył się do niego przekonać. Łatwo można sobie było wyobrazić jego skargi, kiedy Carpenter zaproponował Stevensa na zastępstwo, ilekroć ktoś z ich gangu byłby zbyt zamroczony, siedział w więzieniu albo z innych przyczyn nie mógł uczestniczyć w nocnych wyprawach. Kto poręczy, że ten bogaty elegancik będzie trzymał gębę na kłódkę? (Stevens nie był bogaty, a do elegancji tylko aspirował). Ostatnio miasto zaczęło wieszać hieny cmentarne – co zakrawało na ironię losu albo pasowało w sam raz, zależnie od punktu widzenia, ponieważ ciała wisielców przekazywano akademiom medycznym na sekcje zwłok.

– Nie przejmuj się stryczkiem – powiedział Stevensowi Cobb. – Szybko jest po wszystkim. Najgorsi są ludzie. To się powinno odbywać

prywatnie, jeśli mnie kto pyta. Patrzeć, jak człowiek flaki wysrywa… To jest nieprzyzwoite.

Wspólne rozkopywanie grobów pozwoliło im zacieśnić więzy przyjaźni. Teraz, gdy Cobb zwracał się do niego „doktorze”, mówił to z szacunkiem, a nie pogardą.

– Nie jesteś taki jak tamci inni – rzekł pewnej nocy, kiedy wnosili zwłoki przez tylne drzwi. – Ty jesteś lekko szemrany.

To się zgadzało. Młodemu chirurgowi opłacało się być trochę podejrzanym, zwłaszcza jeśli chodzi o materiały do sekcji zwłok. Ciał brakowało, odkąd nauka anatomii rozwinęła się na dobre. Martwi mordercy i prostytutki dostarczani przez policję, więzienie i sędziów kiedyś się kończyli. Owszem, osoby dotknięte rzadkimi chorobami i ciekawymi deformacjami sprzedawały swoje ciała, by można je było badać po ich śmierci, a część lekarzy zapisywała nauce własne zwłoki w imię postępu, ale to i tak nie zaspokajało popytu. Walka o ciała toczyła się zażarta, zarówno po stronie nabywców, jak i sprzedawców. Bogate akademie medyczne przebijały w licytacjach te, którym powodziło się gorzej. Hieny cmentarne liczyły sobie od ciała, dodawały stałą opłatę, a potem koszty transportu. Ceny rosły na początku roku

akademickiego, kiedy zapotrzebowanie było duże, a pod koniec, gdy nie szukano już materiału, zaczynały się zniżki.

Stevens codziennie mierzył się z makabrycznymi paradoksami. Jego profesja zajmowała się przedłużaniem życia, po cichu licząc na wzrost liczby zgonów. Przez błąd w sztuce stawałeś przed sądem za brak umiejętności, ale jeśli złapano cię przy nielegalnie pozyskanych zwłokach, sędzia nakładał karę za to, że próbowałeś te umiejętności zdobyć. Akademia Proctora wymagała, by studenci sami płacili za materiały na ćwiczenia z patologii. Podczas pierwszych zajęć z anatomii Stevens musiał przeprowadzić dwie pełne sekcje – jak miał za to zapłacić? W domu w Maine matka rozpieszczała go swoją kuchnią; kobiety z jej strony rodziny były bardzo zdolne. Tu, w mieście, koszty czesnego, podręczników, wykładów i czynszu sprawiały, że często przez wiele dni musiał jeść suchy chleb.

Kiedy Carpenter zaprosił go do pracy, Stevens nie wahał się ani chwili. Przez pierwsze miesiące przerażał go wygląd tego człowieka. Carpenter był irlandzkim olbrzymem o groźnej posturze, nieokrzesanym w mowie i zachowaniu, cuchnącym wilgotną glebą. Miał z żoną szóstkę

dzieci; kiedy dwoje z nich zmarło na żółtą febrę, sprzedał je na badania anatomiczne. A przynajmniej tak się mówiło. Stevens za bardzo się bał, żeby prosić o sprostowanie. Gdy handluje się zwłokami, lepiej być odpornym na sentymenty.

Nie byłby pierwszą hieną cmentarną, która otworzyła grób, by natrafić na dawno niewidzianego kuzyna czy serdecznego przyjaciela.

Carpenter cały swój gang zwerbował w barze i składał się on z samych łobuzów. Przesypiali dni, pili do późnego wieczoru, a potem ruszali oddawać się ulubionemu zajęciu. „Godziny niezbyt dobre, ale pasują do określonego charakteru". Charakteru kryminalnego, niereformowalnego żadną miarą. Był to podły biznes. Samo plądrowanie cmentarzy to jeszcze drobiazg. Konkurencja zachowywała się jak stado wściekłych zwierząt. Jeśli wyruszyłeś zbyt późno, często okazywało się, że ciało ukradł ktoś inny. Carpenter donosił policji na klientów konkurencji i włamywał się do sal sekcyjnych, by okaleczyć zakupione przez nich zwłoki. Dochodziło do bójek między rywalizującymi gangami, które przybywały do tej samej kwatery dla ubogich. Rozkwaszali sobie wzajemnie

twarze wśród nagrobków. Była kupa hałasu, mawiał zawsze Carpenter, gdy kończył jedną ze swych opowieści, i uśmiechał się szeroko, odsłaniając czarne zęby.

W czasach swej świetności triki i oszustwa właściwe temu fachowi wyniósł do rangi diabelskiej sztuki. Zwoził taczkami kamienie, żeby grabarze pochowali je zamiast zwłok, które on zabierał. Wynajął aktora, by nauczył jego siostrzeńców i siostrzenice płakać na zawołanie na znak żałoby. Potem krążyli po kostnicach i twierdzili, że zmarli to dawno niewidziani krewni – choć nie cofał się też przed zwykłą kradzieżą ciał z biura koronera, jeśli była konieczna. Pewnego razu sprzedał trupa akademii medycznej, doniósł na nią policji, a następnie wysłał swoją żonę w żałobie, żeby oznajmiła, że zmarły to jej syn. Później ponownie sprzedał ciało innej szkole. Hrabstwo oszczędziło na pochówku, więc nikt nie przyglądał się sprawie zbyt uważnie.

Z czasem handel ciałami stał się tak zuchwały, że krewni zmarłych czuwali przy grobach, by w nocy ich bliscy nie zniknęli. Nagle zaczęto podejrzewać, że każde zaginione dziecko padło ofiarą tego procederu – porwane, zabite i sprzedane na sekcję. W gazetach ukazywały się

gniewne felietony; do boju wkroczyli stróże prawa. W tych nowych okolicznościach hieny cmentarne rozszerzyły zasięg działania i przetrząsały groby na odległych cmentarzach. Carpenter skupił się wyłącznie na tych dla czarnuchów.

Żaden czarnuch nie stał na warcie przy zmarłym. Żaden nie biegał do szeryfa, nie nachodził biur dziennikarzy. Szeryfowie nie zwracali na takich uwagi, reporterzy nie słuchali ich historii. Ciała murzyńskich bliskich znikały w workach, by pojawić się w chłodnych piwnicach akademii medycznych i odsłonić swe tajemnice przed badającymi. Dla Stevensa każde zwłoki były cudem pozwalającym poznać zawiłości boskiego projektu.

Carpenter warczał, wymawiając to słowo, jak wyliniały pies broniący swojej kości: „czarnuch”. Stevens nigdy tego słowa nie używał. Nie pochwalał uprzedzeń rasowych. W istocie niewykształcony Irlandczyk taki jak Carpenter, pchnięty przez społeczeństwo ku plądrowaniu grobów, więcej miał wspólnego z murzynem niż z białym lekarzem. Jeśli się nad tym zastanowić. Oczywiście Stevens nie powiedziałby tego na głos. Czasem zastanawiał się, czy jego poglądy nie są dziwaczne, zważywszy na charakter

współczesnego świata. Inni studenci mówili o kolorowej ludności Bostonu najstraszniejsze rzeczy, o jej zapachu, brakach intelektualnych, prymitywnych popędach. A jednak kiedy koledzy z roku wbijali skalpel w kolorowe zwłoki, robili więcej dla poprawy sytuacji kolorowych niż najszlachetniejszy abolicjonista. Po śmierci murzyn stawał się człowiekiem. Dopiero wtedy był równy białemu.

Na obrzeżach Concord zatrzymali się przy małej drewnianej bramce i czekali na sygnał dozorcy. Ten machnął latarnią, a wtedy Carpenter wjechał na cmentarz. Cobb zapłacił mężczyźnie, który pokierował ich do dzisiejszej zdobyczy: dwa duże, dwa małe i troje niemowląt. Deszcz zmiękczył glebę. Uporają się w trzy godziny. Kiedy na powrót zasypią groby, nikt się nie pozna, że w ogóle tu byli.

– Twój skalpel. – Carpenter wręczył Stevensowi łopatę.

Studentem medycyny Stevens miał być znowu rano. Dziś w nocy był człowiekiem od zmartwychwstania. Choć lepszym określeniem jest „hiena cmentarna". „Człowiek od zmartwychwstania" jest nieco zbyt kwieciste, ale kryje się w nim prawda. Dawał tym ludziom drugą szansę, by przysłużyli się ludzkości,

szansę, której pozbawiono ich w poprzednim życiu.

A skoro można badać martwych, myślał Stevens od czasu do czasu, można by też badać żywych, sprawiając, że wyjawią rzeczy, jakich nie wyjawi żaden trup.

Zatarł ręce, żeby pobudzić krążenie, i zaczął kopać.

Karolina Północna

Zbiegła lub wywieziona z rezydencji prenumeratora w pobliżu Henderson 16 bm. murzyńska dziewczyna o imieniu Martha, należąca do prenumeratora. Rzeczona dziewczyna ma karnację ciemnobrązową, jest drobna i wielce wygadana, lat około 21; nosiła czarny aksamitny czepek z piórami; miała też ze sobą dwie perkalowe kapy. Mniemam, że będzie próbowała podać się za wolną dziewczynę.

RIGDON BANKS
HRABSTWO GRANVILLE, 28 SIERPNIA 1839

Zgubiła świece. Obudziły ją zęby jakiegoś szczura. Oprzytomniawszy, popełzła po brudnym peronie na poszukiwania. Nic nie znalazła. Minął dzień od zawalenia się domu Sama, choć pewności nie miała. Teraz najlepiej było odmierzać czas wagą do bawełny z plantacji Randalla: na jednej szali rosły głód i strach, a na drugiej stopniowo ubywało nadziei. Jedynym sposobem, by mieć pewność, jak długo było się zagubionym w ciemności, to zostać z niej uratowanym.

Cora potrzebowała światła świecy już tylko do towarzystwa, ponieważ nauczyła się szczegółów swojego więzienia. Peron miał dwadzieścia osiem kroków długości oraz pięć i pół od ściany do torów. Do świata w górze prowadziło dwadzieścia sześć schodów. Klapa była ciepła, gdy przyłożyć do niej rękę. Cora wiedziała, o który stopień zaczepia się jej sukienka przy wspinaniu się na kolanach (na ósmym) i na którym można się zadrapać, za szybko schodząc (na piętnastym). Zapamiętała, że w kącie peronu stoi miotła. Stukała nią o ziemię jak pewna

niewidoma kobieta w mieście – w ten sam sposób, w jaki Caesar badał czarną wodę bagna podczas ucieczki. Potem przez nieuwagę albo zbytnią pewność siebie spadła na tory. Straciła miotłę oraz wszelką ochotę na cokolwiek prócz kulenia się na ziemi.

Musiała się stąd wydostać. Przez te długie godziny nie potrafiła się powstrzymać przed wyobrażaniem sobie okrutnych scen, aranżowaniem w myślach własnego Muzeum Cudów Straszliwych. Caesar powieszony przez roześmiany motłoch; Caesar sponiewierany na podłodze wozu łowcy niewolników, w połowie drogi na plantację Randalla, gdzie czekała go kara. Dobry Sam w więzieniu; Sam wytarzany w smole i pierzu, przesłuchiwany w związku z koleją podziemną, nieprzytomny, z połamanymi kośćmi. Biała banda bez twarzy przeszukująca dymiące resztki chaty, otwierająca właz i zabierająca Corę ku niedoli.

To były sceny, które zdobiła krwią, gdy nie spała. W koszmarach ekspozycje stawały się bardziej groteskowe. Chodziła tam i z powrotem przed szybą, karmiąc się bólem. Była zamknięta w „Życiu na statku niewolniczym” po godzinach pracy muzeum, na zawsze uwięziona między portami i czekająca na wiatr, podczas gdy pod

pokładem krzyczały setki porwanych. Za kolejną szybą panna Lucy rozcinała jej brzuch nożem do papieru, a z wnętrzności wysypywały się tysiące czarnych pająków. Znowu i znowu Cora przenosiła się do tamtej nocy za wędzarnią, przytrzymywały ją pielęgniarki ze szpitala, a nad nią Terrance Randall stękał i pchał. Zwykle budziły ją zbyt ciekawskie szczury lub insekty. Przerywały sny Cory i ściągały ją z powrotem w mrok peronu.

Brzuch drżał pod jej palcami. Już wcześniej zdarzało jej się głodować, kiedy Connelly'emu przyszło do głowy ukarać kwaterę za nieposłuszeństwo, obcinając racje żywnościowe. Jedzenie było jednak niezbędne, by niewolnicy mogli pracować, więc bawełna wymuszała krótkie trwanie kary. Tutaj Cora nie miała pojęcia, kiedy znów coś zje. Pociąg się spóźniał. Tamtego wieczoru, kiedy Sam opowiedział o złej krwi – gdy jego dom jeszcze stał – do następnego kursu pozostawały dwa dni. Pociąg powinien już tu być. Cora nie wiedziała, ile wynosiło opóźnienie, nie zwiastowało ono jednak nic dobrego. Może tę odnogę kolei zamknięto. Całą linię odkryto i zlikwidowano. Może nikt nie przyjedzie. Dziewczyna była zbyt słaba, żeby pokonać piechotą bezlik mil do następnej stacji,

nie wspominając o zmierzeniu się z tym, co tam czekało.

Caesar. Gdyby byli rozsądni i nie przestali uciekać, oboje byliby już w Wolnych Stanach. Dlaczego uwierzyli, że dwoje nędznych niewolników zasługuje na nagrodę w Karolinie Południowej? Że nowe życie istnieje tak blisko, tuż za granicą stanu? To wciąż południe, a diabeł ma długie, zwinne palce. A potem, wbrew wszystkiemu, czego nauczył ich świat, nie rozpoznali okowów, gdy zatrzaskiwały się na ich rękach i nogach. Okowy w Karolinie Południowej były nowej produkcji – klucze i zapadki wykonano według lokalnego projektu – ale służyły temu samemu. Nie uciekli zbyt daleko.

Cora nie mogła dostrzec własnej dłoni przed nosem, ale wielokrotnie widziała, jak ujmują Caesara. Zatrzymują go w fabryce, łapią w drodze na spotkanie z Samem w Dryfie albo idącego po Main Street pod rękę z tą jego Meg. Meg krzyczy, kiedy go chwytają, więc zostaje przewrócona na chodnik. To jedno miało szansę potoczyć się inaczej, gdyby Caesar został kochankiem Cory: tamci mogli złapać ich razem. Oboje nie przebywaliby teraz sami w oddzielnych więzieniach. Cora podciągnęła kolana do piersi i objęła je ramionami. W końcu

i tak by go rozczarowała. Była przecież zbłąkana. I to zbłąkana nie tylko w plantacyjnym znaczeniu – jako sierota, którą nie miał się kto opiekować – ale też pod każdym innym względem. Gdzieś wiele lat temu zeszła ze ścieżki życia i nie potrafiła już znaleźć drogi powrotnej do ludzkiej rodziny.

Ziemia lekko zadygotała. Przez kolejne dni, gdy Cora wspominała przybycie spóźnionego pociągu, nie kojarzyła tego drżenia z lokomotywą, ale z gniewnym nadejściem prawdy, którą zawsze znała: że jest zbłąkana w każdym sensie. Ostatnia ze swego szczepu.

Chwiejne światło pociągu wyłoniło się zza zakrętu. Cora podniosła dłonie do włosów, a potem zrozumiała, że pogrzebana tu pod ziemią nic już nie zrobi dla poprawy wyglądu. Maszynista nie będzie jej oceniał; w tym tajnym przedsięwzięciu tworzyli braterstwo osobliwych dusz. Zaczęła żywo machać rękami, delektując się pomarańczowym blaskiem, który rósł po peronie niczym ciepła bańka.

Pociąg przemknął przez stację i zniknął.

Cora nieomal padła na tory, wyjąc za odjeżdżającą lokomotywą. Po kilku dniach bez jedzenia i picia głos miała chrapliwy i zdarty. Stała na peronie, dygotała i nie wierzyła w to, co

się stało. Wreszcie usłyszała, że pociąg staje i zaczyna się cofać.

Maszynista bardzo ją przepraszał.

– Może moją kanapkę też weźmiesz? – zapytał, gdy Cora chłeptała wodę z jego bukłaka.

Nie zrozumiawszy żartu, zjadła kanapkę, choć nigdy nie przepadała za wieprzowym ozorem.

– Nie powinno cię tu być – powiedział chłopak, poprawiając okulary. Nie mógł mieć więcej niż piętnaście lat, był kościsty i wyrywny.

– Ale widzisz mnie, prawda? – Cora polizała palce i poczuła smak ziemi.

Chłopak wykrzykiwał „jejku!” i „o mamo!”, ilekroć docierała w swej opowieści do kolejnej komplikacji, zatknął kciuki za szlufki ogrodniczek i kołysał się na piętach. Mówił jak jedno z białych dzieci, które kopały piłkę na placu miejskim: z beztroską pewnością siebie niepasującą do jego koloru skóry, a tym bardziej do jego zajęcia. To, jak stał się maszynistą lokomotywy, zasługiwało na oddzielną historię, ale nie było teraz czasu na słuchanie o nieprawdopodobnych losach kolorowych chłopców.

– Stacja w Georgii jest zamknięta – powiedział w końcu, drapiąc się w głowę pod niebieską czapką. – Mamy się trzymać z daleka. Pewno

patrolowcy ją wywęszyli. – Wdrapał się do swojej budki po nocnik, a potem podszedł do krawędzi tunelu, żeby go opróżnić. – Szefowie nie dostali wiadomości od zawiadowcy tej stacji, więc jechałem ekspresowo. Nie miałem jej w planie. – Chciał czym prędzej odjechać.

Cora się wahała. Mimochodem zerkała w stronę schodów, czekając, czy w ostatniej chwili nie pojawi się ktoś jeszcze. Nieprawdopodobny pasażer. Potem ruszyła ku budce maszynisty.

– Nie wolno tam wchodzić! – zawołał chłopak. – Takie są przepisy.

– Chyba nie myślisz, że będę jechać na tym – odparła Cora.

– W tym pociągu wszyscy jeżdżą wagonem pasażerskim, panienko. Szefowie bardzo tego przestrzegają.

Nazwanie platformy wagonem pasażerskim to poważne nadużycie tego słowa. W rzeczywistości był to wagon towarowy podobny do tego, którym Cora przybyła do Karoliny Południowej, ale tylko od spodu. Podłoże z desek przykręcono do podwozia; brakowało ścian i sufitu. Dziewczyna weszła na platformę, a wtedy pociągiem szarpnęło, bo maszynista przygotowywał się do odjazdu.

Obrócił się i pomachał do swej pasażerki z nadmiernym entuzjazmem.

Na deskach wagonu leżały paski i sznury do przymocowywania ponadwymiarowych ładunków, luźne i zwinięte jak węże. Cora usiadła pośrodku, jednym z nich owinęła się trzykrotnie w pasie, a potem chwyciła dwa inne, robiąc z nich lejce. Mocno szarpnęła.

Pociąg potoczył się do tunelu. Na północ.

– Wszyscy wsiadać! – zawołał maszynista.

Cora uznała, że chłopak jest niemądry, niezależnie od obowiązków, jakie wykonywał. Obejrzała się za siebie. Jej podziemne więzienie nikło, pochłaniane przez mrok. Zastanawiała się, czy była ostatnim pasażerem tej stacji. Oby następny podróżny nie zatrzymywał się tutaj i jechał dalej, aż do wolności.

W drodze do Karoliny Południowej Cora spała w chybotliwym wagonie, wtulona w ciepłe ciało Caesara. Tym razem nie spała w ogóle. Tak zwany wagon pasażerski okazał się solidniejszy od tamtego, ale pęd powietrza sprawiał, że podróż była trudna do zniesienia. Raz po raz Cora musiała się odwracać, żeby złapać oddech. Maszynista prowadził pociąg mniej ostrożnie niż poprzednik, jechał szybciej, coraz bardziej popędzał maszynę. Platforma podskakiwała na

każdym zakręcie. Do tej pory najbliżej morza Cora znajdowała się, pracując w Muzeum Cudów Natury; teraz na tych deskach nauczyła się o statkach i szkwałach. Z przodu niosło się nucenie maszynisty. Nie rozpoznawała tych piosenek, skrawków z północy wzniecanych przez wiatr. W końcu poddała się i położyła na brzuchu, a palce wbiła w szpary.

– Jak ci leci tam z tyłu? – zapytał maszynista, gdy się zatrzymali.

Znajdowali się w środku tunelu. Nie było widać żadnej stacji.

Cora pomachała lejcami.

– Dobrze – odparł chłopak. Otarł z czoła pot i sadzę. – Jesteśmy w połowie trasy. Muszę rozprostować nogi. – Poklepał dłonią w bojler. – Staruszka kopie.

Dopiero kiedy znów ruszyli, Cora zorientowała się, że nie zapytała, dokąd jadą.

Stację pod farmą Lumbly'ego zdobił starannie ułożony wzór z kolorowych kamyków; na ścianach u Sama były deski. Budowniczowie kolejnego przystanku wykuli go w bezlitosnej skale i nie próbowali udekorować, dla podkreślenia trudności swego osiągnięcia. Po ostrych krawędziach, wklęsłościach i wybrzuszeniach biegły białe, pomarańczowe i rdzawe żyły. Cora stała teraz w trzewiach góry.

Maszynista zapalił jedną z pochodni na ścianie. Robotnicy nie posprzątali po skończonej pracy. Pełno tam było skrzyń z narzędziami i sprzętem górniczym, przez co peron zmienił się w warsztat. Pasażerowie mogli spocząć na którymś z pustych pudeł po prochu. Cora spróbowała wody z beczki. Smakowała świeżo. Od deszczu żwiru w tunelu usta dziewczyny były jak stara śmietniczka. Długo piła wodę z czerpaka, a maszynista patrzył, przestępując z nogi na nogę.

– Co to za miejsce? – zapytała.

– Karolina Północna – odparł. – Podobno kiedyś to był częsty przystanek. Już nie jest.

– Co z zawiadowcą stacji?

– Nigdy go nie spotkałem, ale na pewno to dobry człowiek.

Żeby działać w tej norze, musiał mieć silny charakter i łatwo znosić mrok. Po dniach spędzonych pod domkiem Sama Cora nie zechciała podjąć wyzwania.

– Jadę z tobą – powiedziała. – Jaka jest następna stacja?

– To właśnie próbowałem panience powiedzieć. Ja robię w konserwacji.

Wyjaśnił, że ze względu na młody wiek powierzono mu lokomotywę, ale nie pasażerów. Po zamknięciu stacji w Georgii – szczegółów nie znał, ale ponoć została odkryta – sprawdzali wszystkie linie, żeby móc przekierować ruch. Pociąg, na który czekała Cora, odwołano, a chłopak nie wiedział, kiedy przyjedzie następny. Dostał polecenie, żeby zbadać warunki i stawić się z powrotem na węźle.

– Nie możesz mnie zawieźć na następną stację?

Przywołał ją gestem na skraj peronu i wyciągnął rękę z latarnią. Tunel kończył się pięćdziesiąt metrów dalej poszarpanym zwężeniem.

– Kawałek temu minęliśmy odnogę na południe – powiedział. – Węgla starczy mi tylko na to, żeby ją sprawdzić i wrócić do swojej stacji.

– Nie mogę wrócić na południe – odparła Cora.

– Zawiadowca niedługo przyjdzie. Na pewno.

Gdy maszynista odjechał, brakowało jej go mimo tej jego beztroski.

Miała światło i coś jeszcze, czego nie miała w Karolinie Południowej – dźwięk. Między torami zbierała się ciemna woda spadająca z sufitu stacji. Kamienne sklepienie było białe z czerwonymi plamkami, niczym koszula nasiąknięta krwią po biczowaniu. Dźwięk równo kapiącej wody podnosił Corę na duchu. Podobnie jak obfitość wody pitnej, pochodnie i świadomość tego, że bardzo się oddaliła od łowców niewolników. Karolina Północna, pod powierzchnią, była krokiem ku lepszemu.

Cora zaczęła badać okolicę. Stacja graniczyła z nierówno wyciosanym tunelem. Rozpory podtrzymywały drewniany sufit, a o kamienie wciśnięte w ziemne podłoże można się było potknąć. Najpierw ruszyła na lewo, przestępując nad wyciekiem ze ściany. Drogę zasypywały pordzewiałe narzędzia. Dłuta, młoty i kilofy – broń do walki z górami. Powietrze było wilgotne.

Kiedy przesunęła po ścianie dłonią, pokrył ją chłodny biały pył. Na końcu korytarza drabina wbita w kamień prowadziła w górę do wąskiego przejścia. Cora uniosła pochodnię. Nie umiała stwierdzić, jak daleko biegną szczeble. Zdecydowała się na wspinaczkę, dopiero gdy odkryła, że przeciwny koniec korytarza zwęża się i ponuro kończy ślepą ścianą.

Poziom wyżej po kilku krokach odkryła, dlaczego brygady robotników porzuciły narzędzia. Przejście, od sufitu do podłoża, zagradzał ukośny nasyp z kamieni i ziemi. Naprzeciwko zawału tunel kończył się po stu metrach, co potwierdzało jej obawę. Znowu znalazła się w pułapce.

Osunęła się na skały i płakała, dopóki nie zmorzył jej sen.

Obudził ją zawiadowca stacji.

– O! – powiedział. Jego okrągła twarz wystawała z dziury, którą zrobił na szczycie nasypu. – Ojejku. Co tu robisz?

– Jestem pasażerką, proszę pana.

– Nie wiesz, że ta stacja jest zamknięta?

Cora zakasłała i podniosła się z ziemi, przygładzając brudną sukienkę.

– Ojejku, jejku – jęknął.

Nazywał się Martin Wells. Wspólnie powiększyli otwór w kamiennej ścianie, żeby Cora mogła się w nim zmieścić. Pomógł jej zejść na płaski grunt jak damie wysiadającej z najzacniejszej karety. Po kilku zakrętach zamajaczył wylot tunelu, zapraszając do wyjścia. Wiatr połaskotał skórę dziewczyny. Łykała powietrze niczym wodę; nocne niebo było najwyśmienitszym posiłkiem w jej życiu, po pobycie pod ziemią gwiazdy wydały się dojrzałe i soczyste.

Zawiadowca stacji był baryłkowatym mężczyzną w późnym wieku średnim, bladym i pulchnym. Jak na agenta kolei podziemnej, któremu nieobce zapewne ryzyko i niebezpieczeństwo, wykazywał nerwową naturę.

– Nie powinno cię tu być – powiedział, powtarzając stwierdzenie maszynisty. – To bardzo niefortunny rozwój wypadków.

Wytłumaczył sytuację, sapiąc i odgarniając ze spoconej twarzy siwe włosy. Okolicę patrolowali nocni jeźdźcy, przez co agenci i pasażerowie stąpali po grząskim gruncie. Owszem, stara kopalnia miki znajdowała się na odludziu, została dawno wyeksploatowana przez Indian i zapomniana przez większość ludzi, ale

regulatorzy rutynowo sprawdzali jaskinie i kopalnie, wszystkie miejsca, gdzie zbieg mógłby się schronić przed ich sprawiedliwością.

Zawał, który tak przestraszył Corę, to tylko podstęp kamuflujący działalność w dole. Chociaż był skuteczny, nowe prawa Karoliny Północnej uczyniły tę stację bezużyteczną – Martin wrócił do kopalni tylko po to, by zostawić wiadomość dla kolei podziemnej, że nie może dłużej przyjmować pasażerów. Jeśli chodziło o udzielenie schronienia Corze albo jakimkolwiek innym zbiegom, był nieprzygotowany pod każdym względem.

– Szczególnie zważywszy na bieżące okoliczności – szepnął, jakby patrolowcy czyhali na szczycie żlebu.

Powiedział, że musi iść po wóz, i Cora wcale nie była pewna, czy wróci. Zapewniał, że nie potrwa to długo – zbliżał się świt, a wtedy przetransportowanie jej będzie niemożliwe. Tak bardzo się cieszyła, że wróciła na zewnątrz, do świata żywych, iż postanowiła mu uwierzyć, a gdy pojawił się ponownie, powożąc sfatygowany wóz ciągnięty przez dwa kościste konie, nieomal rzuciła mu się na szyję. Poprzesuwali worki z ziarnem i zbożem, tworząc wąskie zagłębienie. Ostatnio, kiedy musiała się

kryć w taki sposób, potrzebne było miejsce dla dwojga. Martin przykrył swój ładunek grubą płachtą, a potem wytoczyli się z przecinki. Przez cały czas mamrotał przekleństwa, dopóki nie dotarli do drogi.

Nie ujechali daleko, gdy zawiadowca wstrzymał konie. Ściągnął płachtę.

– Wkrótce będzie świtać, ale chcę, żebyś to zobaczyła – powiedział.

Cora nie od razu zrozumiała, co on ma na myśli. Wiejska droga była spokojna, osłonięta z obu stron koronami drzew. Dziewczyna zobaczyła jeden kształt, potem następny. Wysiadła z wozu.

Zwłoki wisiały na drzewach niczym gnijące ozdoby. Niektóre nagie, inne częściowo odziane; ich spodnie były czarne tam, gdzie w momencie pęknięcia karku puściły zwieracze. Straszliwe rany znaczyły dwa ciała najbliżej Cory, oświetlane przez latarnię zawiadowcy. Jedno zostało wykastrowane – w miejscu, gdzie kiedyś znajdowała się męskość, ziała szkaradna dziura. Drugie należało do kobiety. Miała wypukły brzuch. Cora nigdy za dobrze nie potrafiła ocenić, czy niewiasta jest brzemienna. Wybałuszone oczy zmarłych zdawały się patrzeć na nią z wyrzutem, ale czym było spojrzenie

jednej dziewczyny zakłócającej ich spokój wobec tego, jak świat nękał ich od momentu, gdy tylko się na nim pojawili?

– Teraz tę drogę nazywają Szlakiem Wolności – powiedział Martin, ponownie przykrywając wóz. – Ciała ciągną się aż do miasta.

Do jakiegoż piekła przywiózł Corę pociąg?

Kiedy ponownie wysiadła, przemknęła się wzdłuż ściany żółtego domu Martina. Niebo jaśniało. Zawiadowca wjechał tak głęboko na swoją posesję, jak tylko miał odwagę. Domy po obu stronach stały dość blisko – gdyby konie kogoś zbudziły, mógłby zobaczyć Corę. Przed domem widziała ulicę, a dalej trawiaste pole. Martin poganiał ją, więc zakradła się na werandę od tyłu, a potem do środka. O ścianę w kuchni obłożoną boazerią opierała się wysoka biała kobieta w koszuli nocnej. Sącząc lemoniadę ze szklanki i nie patrząc na Corę, powiedziała:

– Zamordują nas przez ciebie.

To była Ethel. Ona i Martin byli małżeństwem od trzydziestu pięciu lat. Nie rozmawiali, kiedy on mył drżące ręce w miednicy. Cora wiedziała, że kłócili się o nią, kiedy czekała w kopalni, i wrócą do tego sporu, uporawszy się z bieżącym problemem.

Ethel zaprowadziła dziewczynę na piętro, podczas gdy jej mąż odprowadzał wóz do swojego sklepu. Po drodze Cora zdążyła zajrzeć do skromnie umeblowanego salonu; wskutek ostrzeżeń Martina wpadające przez okno światło poranka skłoniło ją do przyśpieszenia kroku. Długie siwe włosy sięgały Ethel do połowy pleców. Jej sposób chodzenia drażnił Corę – zdawała się sunąć w powietrzu niesiona wściekłością. U szczytu schodów zatrzymała się i wskazała łazienkę.

– Cuchniesz – powiedziała. – Pośpiesz się.

Kiedy Cora znowu wyszła na korytarz, Ethel przywołała ją do schodów na poddasze. Dziewczyna niemalże ocierała głową o sufit małego, dusznego pomieszczenia. Strych, utworzony przez ukośne ściany spadzistego dachu, wypełniony był zużytymi sprzętami z wielu lat. Dwie złamane tary, stosy kap pogryzionych przez mole, krzesła z pękniętymi siedziskami. W kącie, pod fałdą odchodzącej żółtej tapety, stał koń na biegunach obity niewyprawioną skórą.

– Teraz będzie to trzeba zasłonić – powiedziała Ethel, mając na myśli okno. Odsunęła od ściany skrzynię, stanęła na niej i pchnęła właz w suficie. – Chodź, chodź – rzuciła.

Na jej twarzy malował się zastygły grymas. Wciąż nie spojrzała na uciekinierkę.

Cora wciągnęła się nad sztuczny sufit do ciasnego zakamarka. Ściany zbiegały się niespełna metr nad podłogą, a całe pomieszczenie miało szerokość czterech i pół metra. Przesunęła na bok stosy zatęchłych gazet i książek, żeby zrobić sobie trochę miejsca. Usłyszała, jak Ethel idzie w dół po schodach. Po chwili wróciła z jedzeniem, dzbankiem wody i nocnikiem.

Po raz pierwszy spojrzała na Corę. Otwór włazu okalał jej zmizerniałą twarz.

– Niedługo przyjdzie służąca – powiedziała. – Jeżeli cię usłyszy, wyda nas i wszyscy zginiemy. Dziś po południu przyjeżdża nasza córka z rodziną. Nie mogą się dowiedzieć, że tu jesteś. Zrozumiano?

– Ile to potrwa?

– Ty głupia istoto. Ma nie być żadnego dźwięku. Żadnego. Jeśli ktoś cię usłyszy, będziemy zgubieni. – Zamknęła klapę.

Jedynym źródłem światła i powietrza była dziura w ścianie od strony ulicy. Cora podpełzła w tamtą stronę, garbiąc się pod krokwiami. Nierówny otwór został wydłubany od wewnątrz i był dziełem wcześniejszego lokatora, który miał

zastrzeżenia do jakości zakwaterowania. Ciekawe, gdzie teraz ten ktoś przebywał.

Pierwszego dnia Cora zaznajomiła się z życiem w parku, plamą zieleni widoczną po drugiej stronie ulicy. Przyciskała oko do dziury i przesuwała się na boki, żeby obejrzeć pełną panoramę. Ze wszystkich stron park otaczały dwu- i trzykondygnacyjne domy z drewnianym szkieletem, wszystkie identyczne, różniące się tylko kolorem ścian i rodzajem mebli na długich werandach. Trawę w ogrodzie przecinały schludne ceglane ścieżki, wiły się, to znikając, to wyłaniając się z cienia wysokich drzew o przepięknych gałęziach. Przy głównym wejściu ciurkała fontanna otoczona niewysokimi ławkami z kamienia, które zapełniły się wkrótce po wschodzie słońca i cieszyły się popularnością jeszcze długo w noc.

Na zmianę zajmowali je starsi mężczyźni z chusteczkami pełnymi okruszków dla ptaków, dzieci z latawcami i piłkami, młode pary owładnięte magią miłości. W parku rządził brązowy kundel, znany wszystkim, biegał i ujadał. Przez całe popołudnie dzieci ganiały go po trawie aż na solidne białe podium dla orkiestry na skraju skweru. Drzemał w cieniu ławek i olbrzymiego dębu, który majestatycznie

górował nad całym ogrodem. Cora zauważyła, że pies jest dobrze odżywiony, pałaszował kości i smakołyki rzucane mu przez mieszkańców. Ilekroć to widziała, burczało jej w brzuchu. Nazwała go Burmistrz.

Kiedy słońce dobiegło zenitu i w parku zaroiło się od ludzi, upał zmienił schronienie na poddaszu w piec. Czołganie się do innych części kryjówki w poszukiwaniu urojonych oaz chłodu stało się, oprócz nadzorowania parku, głównym zajęciem Cory. Dowiedziała się, że gospodarze nie odwiedzą jej w ciągu dnia, dopóki pracuje ich służąca, Fiona. Martin zajmował się swoim sklepem, a Ethel to pojawiała się w domu, to wychodziła w celach towarzyskich, ale Fiona stale przebywała na dole. Była młodą dziewczyną z mocnym irlandzkim akcentem. Cora słyszała, jak się krząta, wzdycha pod nosem i mamrocze wyzwiska pod adresem nieobecnych pracodawców. Tego pierwszego dnia służąca nie weszła na strych, ale na dźwięk jej kroków Cora sztywniała niczym jej dawny kompan żeglugi, Kapitan John. Poranne ostrzeżenia Ethel odniosły zamierzony skutek.

W dniu przybycia Cory przyszli też inni – córka Martina i Ethel, Jane, z rodziną. Wnioskując z miłego, pogodnego tonu córki, Cora

uznała, że Jane wdała się w ojca, dlatego wyobrażała ją sobie na podstawie szerokiej twarzy Martina. Zięć oraz dwie wnuczki nie przestawali uganiać się po domu. W pewnym momencie dziewczynki ruszyły w stronę strychu, ale zmieniły zdanie na skutek dyskusji o zwyczajach i nawykach duchów. W domu rzeczywiście był duch, ale Cora skończyła już z łańcuchami, podzwaniającymi lub nie.

Wieczorem w parku nadal panował ruch. Uznała, że nieopodal musi znajdować się główna ulica skupiająca życie miasta. Kilka starszych kobiet w sukienkach w niebieską kratkę przybijało do podium dla orkiestry biało-niebieskie chorągiewki.

Zajęta swym niewygodnym schronieniem i paradą nieszczęść, które na nią spadły, odkąd zostali odszukani przez łowców niewolników, Cora nie od razu spostrzegła ważną cechę parku: wszyscy w nim byli biali. Zanim uciekła z Caesarem, nigdy nie opuściła plantacji, więc dopiero w Karolinie Południowej po raz pierwszy zobaczyła, jak w miastach mieszają się rasy. Na Main Street, w sklepach, fabrykach i biurach czarni i biali w naturalny sposób spotykali się codziennie. Bez tego zanikłyby kontakty między

ludźmi. Na wolności czy w niewoli Afrykanina nie dało się odseparować od Amerykanina.

W Karolinie Północnej rasa murzyńska nie istniała, chyba że na końcu sznura.

Dwaj sprawni młodzi ludzie pomogli matronom zawiesić transparent nad podium dla orkiestry: Święto Piątkowe. Miejsce na scenie zajął zespół. Dźwięki strojenia instrumentów ściągnęły rozproszonych spacerowiczów. Cora ukucnęła i przycisnęła twarz do ściany. Muzyk grający na banjo miał trochę talentu, ci grający na rogu i skrzypcach – już mniej. Ich melodie były nijakie w porównaniu z muzyką kolorowych, którą zdarzało jej się słyszeć czy to na farmie Randallów, czy poza nią, ale miejscowym podobały się te mdłe rytmy. Zespół zakończył występ porywającymi aranżacjami dwóch piosenek kolorowych, które Cora rozpoznała. Okazały się najlepiej przyjętymi utworami wieczoru. Na werandzie w dole wnuki Martina i Ethel piszczały i klaskały.

Na scenę wszedł mężczyzna w zmiętym lnianym garniturze, by pokrótce przywitać zebranych. Później Martin powiedział Corze, że to sędzia Tennyson, osoba szanowana w mieście, pod warunkiem że nie zagląda do kieliszka. Tego wieczoru chwiał się na nogach. Dziewczyna nie

słyszała słów, którymi zapowiedział kolejną atrakcję, murzyński teatrzyk. Słyszała o takich już wcześniej, ale nigdy nie widziała tej szopki na własne oczy; na wieczór kolorowych w teatrze w Karolinie Południowej składał się innego rodzaju repertuar. Dwaj biali mężczyźni z twarzami uczernionymi palonym korkiem zaprezentowali serię skeczów, przy których cały park zrywał boki ze śmiechu. Ubrani w niedopasowane, pstrokate stroje i cylindry modulowali głos, przedrzeźniając mowę czarnych, co najwidoczniej było źródłem humoru. Największą wesołość wywołał skecz, w którym chudszy z aktorów zdjął rozpadający się but i kilka razy próbował policzyć palce u stopy, cały czas gubiąc się w rachubie.

Ostatnim występem, poprzedzonym przez ogłoszenie sędziego dotyczące stałych kłopotów z osuszaniem jeziora, była krótka sztuka. Z tego, co Cora mogła wywnioskować z ruchu aktorów oraz skrawków dialogów docierających do jej dusznej kryjówki, opowiadała ona o niewolniku – grał go kolejny biały mężczyzna umalowany palonym korkiem, ze skrawkami przeświturającej różowej skóry na karku i nadgarstkach – który uciekł na północ po tym, jak właściciel łagodnie go skarcił. W podróży cierpiał; wygłosił płaczliwy

monolog o głodzie, chłodzie i dzikich bestiach. Na północy przygarnął go właściciel baru. Okazał się bezwzględnym szefem, który na każdym kroku bił i wyzywał zbiegłego niewolnika, ograbiał go z zarobków i godności. Jego postać przedstawiała postawy białych z północy w surowym świetle.

W ostatniej scenie niewolnik pojawiał się na progu swojego pana, ponownie jako zbieg, ale tym razem uciekający przed fałszywymi obietnicami Wolnych Stanów. Błagał o dawną pracę, płakał nad własną bezmyślnością i prosił o przebaczenie. Właściciel życzliwym, cierpliwym tonem wytłumaczył, że to niemożliwe. Pod nieobecność niewolnika w Karolinie Północnej się zmieniło. Zagwizdał, a wtedy dwaj patrolowcy dźwignęli leżącego plackiem niewolnika i go wyprowadzili.

Miasteczko doceniło morał przedstawienia, brawa niosły się po całym parku. Małe dzieci klaskały, siedząc na ramionach rodziców. Cora dostrzegła Burmistrza kłapiącego zębami w powietrzu. Nie miała pojęcia, jak duża jest ta miejscowość, ale odnosiła wrażenie, że w parku są teraz wszyscy i na coś czekają. Wkrótce wyszedł na jaw prawdziwy cel zgromadzenia. Na scenę wkroczył krzepki mężczyzna w białych spodniach i czerwonym fraku. Mimo postury

poruszał się stanowczo i władczo – przypominał Corze wypchanego niedźwiedzia z muzeum, uwiecznionego w dramatycznej pozie ataku. Z rozbawieniem podkręcając wąsa, odczekał cierpliwie, aż tłum ucichnie. Jego głos był mocny i wyraźny, tak że Cora po raz pierwszy tego wieczoru nie uroniła ani słowa.

Przedstawił się jako Jamison, choć znały go wszystkie osoby w parku.

– W każdy piątek budzę się pełen wigoru – zaczął – gdyż wiem, że za kilka godzin spotkamy się tu znowu, by świętować nasz dobry los. Niegdyś zasypiałem z trudem, w czasach, zanim dzięki naszym regulatorom ciemność stała się bezpieczna. – Wskazał gestem imponującą pięćdziesięcioosobową grupę, która zebrała się z boku podium. Mieszkańcy zaczęli wiwatować, gdy w reakcji na jego słowa mężczyźni pokiwali głowami i pomachali do tłumu. Jamison ogłosił widzom aktualności: Bóg obdarzył jednego z regulatorów nowo narodzonym synem, a dwaj inni obchodzili urodziny. – Jest dziś z nami nowy rekrut – ciągnął. – Młody człowiek z zacnej rodziny, który w tym tygodniu zasilił szeregi nocnych jeźdźców. Chodź tu, Richardzie, niech no cię wszyscy zobaczą.

Chudy rudowłosy chłopak nieśmiało wyszedł naprzód. Podobnie jak towarzysze miał mundur złożony z czarnych spodni i białej koszuli z grubego materiału. Jego szyja tonęła w kołnierzu. Mamrotał. Z wypowiedzi Jamisona Cora wywnioskowała, że rekrut krążył po hrabstwie, ucząc się zasad swojego oddziału.

– I miałeś pomyślny początek, prawda, synu?

Chudzielec pokiwał głową. Wiekiem i posturą przypominał Corze maszynistę z ostatniej podróży pociągiem, chłopca pchniętego przez okoliczności do pracy przeznaczonej dla mężczyzn. Ten chłopak miał jasną, piegowatą skórę, ale obu łączyła ta sama krucha wyrywność. Być może urodzili się jednego dnia, a potem normy i okoliczności sprawiły, że służą teraz przeciwnym sprawom.

– Nie każdemu jeźdźcowi w pierwszym tygodniu trafia się zdobycz – powiedział Jamison. – Zobaczymy, co ma dla nas młody Richard.

Dwaj nocni jeźdźcy wciągnęli na scenę kolorową dziewczynę. Miała drobną sylwetkę służącej i kuliła się z potulnym uśmiechem. Jej szara tunika była porwana, wymazana krwią i brudna, a głowa nierówno ogolona.

– Richard przeszukiwał luk parowca płynącego do Tennessee, kiedy natrafił na tę niecnotę, która chowała się pod pokładem – poinformował Jamison. – Ma na imię Louisa. Zbiegła z plantacji, wykorzystując zamieszanie podczas reorganizacji, i przez te wszystkie miesiące kryła się w lesie. Myślała, że umknęła przed logiką naszego systemu.

Louisa obróciła się, żeby obejrzeć tłum, na chwilę uniosła głowę, a potem zastygła w bezruchu. Z krwią na oczach ledwo widziała ciemiężców.

Jamison uniósł pięść, jakby rzucał wyzwanie czemuś w niebie. Jego wrogiem jest noc, uznała Cora, noc i duchy, którymi ją wypełnił. W ciemności, mówił, czają się kolorowi złoczyńcy, by plugawić żony i córki mieszkańców. W bezkresnym mroku południowe dziedzictwo jest bezbronne i zagrożone. Jeźdźcy dają im bezpieczeństwo.

– Każdy z nas poniósł wyrzeczenia dla naszej nowej Karoliny Północnej i jej praw – mówił dalej Jamison. – Dla tego oddzielnego narodu, który stworzyliśmy, wolnego od ingerencji z północy i skażenia przez niższą rasę. Odparliśmy czarną hordę, naprawiając błąd popełniony wiele lat temu u zarania naszego

kraju. Niektórzy, jak nasi bracia tuż za granicą stanu, wymyślili absurdalną koncepcję awansu czarnuchów. Łatwiej by osła nauczył rachować. – Schylił się i potarł ogoloną głowę Louisy. – Gdy czasem trafi nam się niecnota, nasz obowiązek jest jasny.

Tłum się rozstąpił, wiedziony nawykiem. Jamison ruszył na czele procesji, a za nim nocni jeźdźcy zaciągnęli dziewczynę w kierunku wielkiego dębu pośrodku parku. Cora już wcześniej widziała platformę na kółkach, która stała w rogu ogrodu; przez całe popołudnie dzieci wspinały się na nią i z niej skakały. Wieczorem zapchnięto ją pod drzewo. Jamison wezwał ochotników, a wtedy osoby w przeróżnym wieku zajęły miejsca po obu stronach platformy. Louisie założono stryczek na szyję i wprowadzono ją po stopniach. Jeden z nocnych jeźdźców z wprawą płynącą z praktyki jednym ruchem przerzucił sznur przez mocną, tęgą gałąź.

Któregoś z ludzi chętnych do odepchnięcia rampy wycofano – robił to już podczas ostatniego święta. Jego miejsce ochoczo zajęła młoda brunetka w różowej sukience w grochy.

Cora odwróciła wzrok, nim Louisa zadyndała. Przeczołgała się na drugi koniec kryjówki, w kąt

swej najnowszej klatki. Przez kolejne kilka miesięcy w te noce, gdy nie było zbyt duszno, wolała sypiać właśnie tam. Najdalej jak tylko mogła od parku, nieszczęśnie bijącego serca tego miasta.

Miasto ucichło. Jamison dał znak.

Żeby wyjaśnić, dlaczego razem z żoną trzymają Corę uwięzioną na strychu, Martin musiał sięgnąć sporo wstecz. Jak wszystko na południu, zaczęło się od bawełny. Bezwzględny silnik przemysłu bawełnianego wymagał paliwa z afrykańskich ciał. Statki przecinały ocean, zwożąc ciała do uprawy ziemi i do rodzenia kolejnych ciał.

Tłoki tego silnika poruszały się bez wytchnienia. Więcej niewolników oznaczało więcej bawełny, co dawało więcej pieniędzy, by zakupić więcej ziemi i uprawiać jeszcze więcej bawełny. Nawet gdyby zaprzestano handlu niewolnikami, za niecałe pokolenie liczby staną się nie do obrony: czarnuchów będzie zatrzęsienie. W Karolinie Północnej biali dwukrotnie przewyższali niewolników, ale w Luizjanie i Georgii obie populacje były prawie równe. Tuż za granicą, w Karolinie Południowej, czarnych było więcej niż białych o ponad sto tysięcy. Nietrudno wyobrazić sobie tok wydarzeń, kiedy niewolnik zrzuci kajdany, szukając wolności – i odwetu.

W Georgii, Kentucky, Ameryce Południowej i w Indiach Zachodnich Afrykanie powstawali przeciwko swoim panom w krótkich, ale niepokojących epizodach. Zanim stłumiono rebelię w Southampton, Turner ze swoją bandą zamordowali sześćdziesiąt pięć osób – mężczyzn, kobiet i dzieci. W odpowiedzi cywilna milicja i patrolowcy zlinczowali trzy razy więcej osób – spiskowców, sympatyzujących i niewinnych – dla przykładu i żeby sprecyzować zasady. Ale liczby pozostały niezmienne, pokazywały prawdę nieprzesłoniętą przez uprzedzenia.

– Tu najbliższy konstabla był co najwyżej patrolowiec – powiedział Martin.

– Tak jak w większości miejsc – odparła Cora. – Patrolowcy dręczą ludzi, kiedy tylko chcą.

Minęła północ w pierwszy poniedziałek jej pobytu. Córka Martina z rodziną wróciła do domu, podobnie jak Fiona, która mieszkała nieco dalej, w irlandzkiej dzielnicy. Martin, wachlując się, przysiadł na jakiejś skrzyni. Cora rozprostowała zbolałe członki. Nie stała od kilku dni. Ethel nie przyszła. Okna zakrywały granatowe zasłony, a mrok rozpraszał płomyk małej świeczki.

Mimo późnej godziny Martin mówił szeptem. Syn sąsiada był nocnym jeźdźcem.

Patrolowcy, jako siepacze właścicieli niewolników, stanowili prawo: biali, nikczemni i bezlitośni. Wywodzący się z najniższego, najpodlejszego elementu, zbyt nierozgarnięci, by zostać choćby nadzorcami. (Cora potakiwała ruchem głowy). Patrolowiec nie potrzebował powodu innego niż kolor skóry, żeby kogoś zatrzymać. Niewolnicy złapani poza plantacją potrzebowali przepustek, jeśli nie uśmiechały im się baty i pobyt w areszcie. Wolni czarni musieli nosić dowody wyzwolenia, inaczej ryzykowali, że trafią w szpony niewolnictwa. Niektórych przemycano na aukcję tak czy inaczej. Zbiegowie, którzy nie chcieli się poddać, mogli zostać zastrzeleni. Patrolowcy do woli przeszukiwali wioski niewolników, a także pozwalali sobie na plądrowanie domów wolnych, kradnąc pościel, której ci z trudem się dorobili, i czyniąc nieprzyzwoite uwagi pod adresem kobiet.

Na wojnie – a potrzeba stłumienia buntu niewolników to najchwalebniejsze wezwanie do broni – patrolowcy wyrastali poza własny rodowód, zmieniając się w prawdziwą armię. Cora wyobrażała sobie te powstania jako ogromne krwawe bitwy toczone pod nocnym niebem przy blasku potężnych ognisk. Według słów Martina w rzeczywistości były one

niewielkie i chaotyczne. Niewolnicy chodzili drogami łączącymi miasta wyposażeni w zagrabioną broń: siekiery i kosy, noże i cegły. Biali patrolowcy, powiadomieni przez kolorowych zdrajców, urządzali wymyślne zasadzki, dziesiątkowali rebeliantów ogniem z broni palnej i rozjeżdżali konno, wspierani przez potęgę armii Stanów Zjednoczonych. Gdy padały pierwsze ostrzeżenia, dołączali do nich cywilni ochotnicy, by zdławić tumult, wdzierali się do kwater i podpalali domy wolnych. Areszty zapełniały się podejrzanymi i świadkami. Wieszano winnych, a w celach prewencyjnych – również niemały odsetek niewinnych. Kiedy zabitych pomszczono – a co najważniejsze, odpłacono z nawiązką za obrazę białego porządku – cywile wracali na swoje farmy, do fabryk i sklepów, a patrolowcy wznawiali obchody.

Rewolty tłamszono, ale kwestia ogromu kolorowej populacji pozostawała. Wyniki spisu ludności układały się w ponure wiersze i kolumny.

– Zdajemy sobie z tego sprawę, ale o tym nie mówimy – powiedziała Cora do Martina. Skrzynia zaskrzypiała, kiedy mężczyzna się

poruszył. – A jeśli mówimy, to nie tak, żeby ktoś usłyszał. O tym, jak nas jest dużo.

Zeszłej jesieni w chłodny wieczór wpływowi ludzie Karoliny Północnej zebrali się, by rozwiązać kwestię kolorowych. Byli wśród nich politycy wyczuleni na zmienne niuanse debaty o niewolnictwie, bogaci farmerzy poganiający bawełnianą bestię i czujący, jak lejce wymykają im się z rąk, oraz prawnicy niezbędni, żeby wypalić miękką glinę tych planów i nadać jej trwałość. Martin powiedział Corze, że stawił się tam również Jamison jako senator i miejscowy plantator. To była długa noc.

Zgromadzili się w jadalni Oneya Garrisona. Oney mieszkał na Wzgórzu Sprawiedliwości, nazwanym tak, ponieważ roztaczał się stamtąd widok na wszystko w dole w promieniu wielu mil, co nadawało światu właściwej perspektywy. Od tamtej nocy spotkanie stało się znane jako Konwent Sprawiedliwości. Ojciec gospodarza należał do bawełnianej awangardy, był zaradnym propagatorem tej cudownej uprawy. Oney wychowywał się otoczony bogactwem pochodzącym z uprawy bawełny oraz jej złem koniecznym, czarnuchami. Im bardziej się nad tym zastanawiał – siedząc w swojej jadalni i patrząc w blade, pociągłe twarze mężczyzn,

którzy pili jego alkohol i zbyt długo korzystali z jego gościny – dochodził do wniosku, że potrzebuje więcej tego pierwszego i mniej tego drugiego. Dlaczego tracą tyle czasu, martwiąc się powstaniami niewolników i północnymi wpływami w Kongresie, kiedy zasadnicze pytanie brzmi: kto pozbiera tę całą przeklętą bawełnę?

W kolejnych dniach, powiedział Martin, gazety opublikowały liczby, żeby mogli się z nimi zapoznać wszyscy. W Karolinie Północnej przebywało niemal trzysta tysięcy niewolników. Co roku tyle samo Europejczyków – głównie Irlandczyków i Niemców uciekających przed głodem i politycznymi perturbacjami – wpływało strumieniem do portów w Bostonie, Nowym Jorku i Filadelfii. W sali zgromadzenia stanowego i prasowych felietonach pytano: Dlaczego rezygnować z tego napływu ludności na rzecz Jankesów? Dlaczego nie przekierować tej ludzkiej rzeki tak, aby płynęła na południe? Reklamy w zamorskich gazetach przedstawiały zalety pracy kontraktowej, agenci zachwalali ją w tawernach, przytułkach i na zgromadzeniach mieszkańców, i wkrótce statki pełne dobrowolnych pasażerów niosły marzycieli do

nowego kraju. Wysiadali oni na ląd, by rozpocząć pracę w polu.

– Nigdy nie widziałam, żeby biały zbierał bawełnę – powiedziała Cora.

– Zanim nie przyjechałem do Karoliny Północnej, nigdy nie widziałem, żeby tłum rozerwał człowieka na strzępy – odparł Martin. – Kiedy zobaczysz coś takiego, nie mówisz już, do czego ludzie są skłonni, a do czego nie.

To prawda, Irlandczyka nie można traktować jak Afrykanina, nawet jeśli jest on białym murzynem. Na jednej szali leżały koszty zakupu i utrzymania niewolników, na drugiej – wypłacania białym robotnikom nędznego, ale pozwalającego na przeżycie wynagrodzenia. Rzeczywistość niewolniczej przemocy kontra długofalowa stabilność. Europejczycy już kiedyś byli rolnikami – mogli zostać nimi znowu. Gdy imigranci wypełnią kontrakt (spłaciwszy koszt podróży, narzędzi i zakwaterowania) i zajmą miejsce w amerykańskim społeczeństwie, staną się sojusznikami południowego systemu, który ich wykarmił. W dniu wyborów, kiedy wrzucą głos do urny, będzie się on liczył jako cały, a nie trzy piąte[2]. Nie obędzie się bez finansowych rozrachunków, ale gdy dojdzie do konfliktu wokół kwestii rasowej, Karolina Północna

znajdzie się w najkorzystniejszej sytuacji ze wszystkich stanów niewolniczych.

W praktyce zniesiono niewolnictwo. Wręcz przeciwnie, odpowiadał Oney Garisson. Znieśliśmy czarnuchów.

– Ci wszyscy ludzie: mężczyźni, kobiety i dzieci… gdzie oni się podzieli? – zapytała Cora.

W parku ktoś krzyknął. Na chwilę oboje znieruchomieli.

– Sama widziałaś – powiedział Martin.

Rząd Karoliny Północnej – którego połowa stłoczyła się tamtego wieczoru w jadalni Garrisona – wykupił niewolników od farmerów po korzystnych cenach, tak jak uczyniła to Wielka Brytania, znosząc niewolnictwo kilkadziesiąt lat wcześniej. Towar wchłonęły inne stany imperium bawełnianego; szczególnie Floryda i Luizjana, rozrastające się w błyskawicznym tempie, rozpaczliwie potrzebowały kolorowych rąk do pracy, zwłaszcza ludzi z doświadczeniem. Krótki spacer po Bourbon Street w Nowym Orleanie pokazywał każdemu, czym to się kończy: powstaniem odrażającego, skundlonego stanu, w którym biała rasa, łącząc swoją krew z murzyńską, zbrukała się, skarlała, zagubiła. Niech zatruwają swe europejskie linie egipską ciemnością, wydają na

świat potok mieszańców, bękarckich kwarteronów i różnych śniadych brudasów – sami kują ostrza, które potem poderżną im gardła.

Nowe przepisy rasowe zakazują kolorowym postawienia stopy na terenie Karoliny Północnej. Wolnych, którzy nie chcieli opuścić swej ziemi, wygnano lub zmasakrowano. Weterani kampanii przeciw Indianom zarobili sporo grosza jako najemnicy, użyczając swoich talentów. Gdy pracę skończyli żołnierze, dawni patrolowcy przerodzili się w nocnych jeźdźców wyłapujących zbłąkanych czarnych: niewolników, którzy próbowali uciec przed nowym porządkiem, wywłaszczonych wolnych bez środków, by dostać się na północ, kolorowych pechowców, którzy zagubili się z przeróżnych powodów.

Kiedy Cora obudziła się rano w pierwszą sobotę pobytu na poddaszu, długo odkładała wyjrzenie przez dziurę. Gdy w końcu zebrała w sobie siłę, okazało się, że ciało Louisy już odcięto. Pod gałęzią, na której dyndała, bawiły się dzieci.

– Ta droga – zapytała Martina Cora – Szlak Wolności, jak ją pan nazwał, jak daleko się ciągnie?

Odparł, że tak daleko, jak tylko starczy ciał, by ją zasilić. Gnijące zwłoki, wyżerane przez padlinożerców, stale wymieniano, ale szlak biegł coraz dalej. Każde większe miasteczko organizowało Święto Piątkowe wieńczone takim samym ponurym finałem. Gdzieniegdzie w aresztach specjalnie trzymano zapasowych więźniów na wypadek gorszego tygodnia, kiedy nocni jeźdźcy wrócą z pustymi rękami.

Białych karanych na mocy nowego prawa tylko wieszano, lecz nie pokazywano tego publicznie. Przy czym, zaznaczył Martin, zdarzył się też przypadek pewnego białego farmera, który udzielił schronienia grupie kolorowych zbiegów. Kiedy później przeczesywano zgliszcza jego domu, nie sposób było odróżnić jego zwłok od zwłok ludzi, których ukrywał, gdyż ogień zatarł różnice w kolorze skóry, czyniąc ich równymi. Wszystkie pięć ciał wywieszono na szlaku i nikt na to naruszenie protokołu nie narzekał.

Poruszywszy temat prześladowania białych, dotarli do powodu pobytu Cory w ciasnym schowku.

– Teraz rozumiesz nasze położenie – powiedział Martin.

Abolicjoniści zawsze byli stąd gonieni, wyjaśniał. W Wirginii czy Delaware tolerowano ich agitacje, ale nie w stanach bawełnianych. Wystarczyło posiadać nieprawomyślną literaturę, żeby trafić do więzienia, a gdy już cię stamtąd wypuszczono, nie zostawałeś w mieście długo. Zgodnie z poprawkami do stanowej konstytucji decyzja o karze za posiadanie wywrotowych pism oraz pomoc osobom kolorowym pozostawała w gestii władz lokalnych. W praktyce wyrok był jeden: śmierć. Oskarżonych wyciągano z domów za włosy. Właścicieli niewolników niechcących się podporządkować – z sentymentu albo staroświeckiej wiary w prawo własności – wieszano, podobnie jak dobrotliwych obywateli, którzy chowali czarnuchów na strychach, w piwnicach i skrzyniach na węgiel.

Kiedy liczba aresztowań białych zmalała, część miast podwyższyła nagrody za wydawanie konspiratorów. Ludzie donosili na rywali w interesach, osobistych wrogów i sąsiadów, przywoływali dawne rozmowy, w których zdrajcy wyrażali zakazane sympatie. Dzieci skarżyły na rodziców, przeszkolone przez nauczycielki, jak rozpoznawać oznaki działalności wywrotowej. Martin opowiedział

o pewnym miejscowym mężczyźnie, który od lat bezskutecznie próbował pozbyć się żony. Szczegóły jej występku nie układały się w spójną całość, ale i tak zapłaciła najwyższą cenę. Dżentelmen ożenił się ponownie trzy miesiące później.

– Czy jest szczęśliwy? – zapytała Cora.

– Słucham?

Machnęła ręką. Ciężar opowieści Martina wprawił ją w dziwny humor.

Dawniej patrolowcy wedle uznania przeszukiwali domy osób kolorowych, czy to wolnych, czy niewolników. Rozszerzone uprawnienia pozwalały pukać do każdych drzwi, by zweryfikować oskarżenie, a także w ramach losowych inspekcji w imię bezpieczeństwa publicznego. Regulatorzy mogli się pojawić o każdej godzinie, nawiedzali najuboższych traperów i najzamożniejszych urzędników. Wozy zatrzymywano na posterunkach kontrolnych. Kopalnia miki znajdowała się zaledwie kilka mil od miasta; nawet gdyby Martin odważył się uciec z Corą, nie dotarliby bez przeglądu do sąsiedniego hrabstwa.

Corze wydawało się, że biali niechętnie zrzekliby się swobód, nawet w imię bezpieczeństwa. Martin odpowiedział, że

wnikliwość patrolowców nie tylko nie wywoływała urazy, ale była wręcz źródłem dumy poszczególnych hrabstw. Patrioci szczycili się tym, jak często ich przeszukano i nic nie znaleziono. Niejedna wizyta nocnego jeźdźca w domu urodziwej młodej kobiety zaowocowała szczęśliwym związkiem.

Zanim pojawiła się Cora, dom Martina i Ethel sprawdzono dwukrotnie. Jeźdźcy byli nadzwyczaj mili, komplementowali Ethel za jej ciasto imbirowe. Klapa na strychu nie wzbudziła podejrzeń, nie było jednak gwarancji, że następnym razem się to nie zmieni. Po drugiej kontroli Martin zrezygnował z obowiązków w kolei podziemnej. Nie istniały plany następnego odcinka podróży Cory, nie przyszły żadne wieści od wspólników. Należało czekać na jakiś znak.

Martin ponownie przeprosił za zachowanie żony.

– Musisz zrozumieć, że ona umiera ze strachu. Jesteśmy na łasce losu.

– Czujecie się jak niewolnicy? – zapytała Cora.

Odparł, że Ethel nie wybrała sobie takiego życia.

– Przypadło wam z urodzenia? Jak niewolnikom?

Na tym owego wieczoru rozmowa się zakończyła. Cora wróciła do kryjówki ze świeżymi racjami żywnościowymi i pustym nocnikiem.

Prędko zarysował się codzienny porządek. Nie mogło być inaczej, zważywszy na ograniczenia. Kiedy kilkanaście razy uderzyła się w głowę, jej ciało nauczyło się granic możliwego ruchu. Spała wtulona między krokwie niczym w ciasnym luku statku. Oglądała park. Ćwiczyła czytanie przy słabym świetle z dziury w murze, starając się kontynuować naukę przerwaną w Karolinie Południowej. Zastanawiała się, dlaczego są tu tylko dwa rodzaje pogody: udręka rankiem i męczarnia w nocy.

W każdy piątek miasto urządzało święto, a Cora uciekała na drugi koniec kryjówki.

Prawie codziennie upał był nie do zniesienia. W najgorsze dni łykała powietrze przez dziurę niczym ryba w beczce. Bywało, że źle oszczędzała wodę, zbyt dużo wypiła rano, a potem przez resztę dnia z goryczą patrzyła na fontannę. Na tego przeklętego psa hasającego wśród kropel. Kiedy mdlała z upału, budziła się z głową wciśniętą w krokiew i obolałą szyją, czując się jak kura, której kucharka Alice próbowała skręcić kark, gdy szykowała kolację.

Jeśli w Karolinie Południowej Corze udało się nabrać ciała, teraz na powrót schudła. Gospodarz wymienił jej ubrudzoną sukienkę na jedną z tych zostawionych przez córkę. Jane była wąska w biodrach, a mimo to jej ubrania były dla Cory luźne.

Około północy, kiedy światła w domach naprzeciw parku gasły, a Fiona dawno poszła do domu, Martin przynosił jedzenie. Cora schodziła do głównej części strychu, żeby się rozprostować i odetchnąć innym powietrzem. Trochę rozmawiali, a potem w pewnej chwili Martin wstawał z poważną miną, ona zaś wdrapywała się z powrotem do kryjówki. Co kilka dni Ethel pozwalała mężowi na chwilę wpuścić Corę do łazienki. Po jego wizytach dziewczyna zawsze szła spać; czasem najpierw płakała, a czasem zasypiała tak szybko, jakby ktoś zdmuchnął świeczkę. Wracała do brutalnych snów.

Śledziła stałych bywalców podczas ich codziennych tras przez park, gromadziła spostrzeżenia i spekulacje niczym kompilatorzy jej almanachów. Martin trzymał w kryjówce abolicjonistyczne gazety i ulotki. One też stanowiły zagrożenie. Ethel chciała się ich pozbyć, należały jednak do jego ojca i pochodziły z czasów, zanim zamieszkali w tym domu,

dlatego Martin uważał, że można się wyprzeć ich własności. Gdy już Cora dowiedziała się, czego tylko mogła, z pożółkłych broszur, zaczęła czytać stare almanachy wypełnione prognozami i przemyśleniami na temat przypływów i gwiazd oraz fragmentami niejasnych komentarzy. Martin przyniósł jej także Biblię. Podczas jednego ze swych krótkich pobytów w dolnej części strychu zauważyła napuchnięty od wody egzemplarz *Ostatniego Mohikanina*. Za dnia kuliła się przy wizjerze, który dawał światło, a wieczorami pochylała się nad świecą.

Wszystkie odwiedziny Martina zaczynała od tego samego pytania:

– Jakieś wieści?

Po kilku miesiącach przestała.

Cisza ze strony kolei była całkowita. Gazety drukowały doniesienia o nalotach na stacje i o zawiadowcach, których dosięgła sroga sprawiedliwość, ale w niewolniczych stanach to typowe bajki. Dawniej nieznajomi pukali do drzwi Martina, żeby dostarczyć wiadomości dotyczące linii, a raz – potwierdzonego pasażera. Nigdy dwa razy nie pojawiła się ta sama osoba. Od dawna nie przyszedł już nikt, powiedział Martin. Jego zdaniem nie można było nic poradzić.

– Nie pozwoli mi pan odejść – domyśliła się Cora.

– Sytuacja jest jasna – jęknął w odpowiedzi. To pułapka idealna, powiedział, dla wszystkich zamieszanych w sprawę. – Nie uda ci się. Złapią cię, a wtedy im zdradzisz, kim jesteśmy.

– U Randallów, kiedy chcieli kogoś zakuć w żelazo, to go zakuwali.

– Zgubisz nas – odparł Martin. – Siebie, mnie, Ethel i wszystkich, którzy pomogli ci po drodze.

Cora nie była wobec niego sprawiedliwa, ale niezbyt ją to obchodziło, ponieważ się zawzięła. Martin dał jej egzemplarz aktualnej gazety i zamknął klapę.

Słysząc Fionę, nieruchomiała niczym głaz. Mogła sobie tylko wyobrażać, jak wygląda młoda Irlandka. Raz po raz służąca wciągała na strych rupiecie. Schody skarżyły się głośno pod najlżejszym ciężarem, przez co stały się skutecznym alarmem. Kiedy Fiona sobie szła, Cora wracała do swych nielicznych zajęć. Przekleństwa rzucane przez irlandzką dziewczynę przypominały jej o plantacji i potokach wyzwisk ciskanych przez parobków, gdy nie pilnowało ich pańskie oko. Małe bunty wszystkich sług. Pewnie Fiona pluła do zupy.

Droga dziewczyny do domu nie prowadziła przez park, więc Cora nigdy nie zobaczyła jej twarzy, choć stała się badaczką jej westchnień. Wyobrażała ją sobie, zadziorną i zdeterminowaną, weterankę głodu i trudów przenosin. Martin powiedział, że przybyła do Ameryki z matką i bratem. Matka nabawiła się choroby płuc i umarła dzień po przypłynięciu. Chłopiec był zbyt mały, żeby pracować, i ogólnie wątły; zwykle w ciągu dnia zajmowały się nim na zmianę starsze Irlandki. Czy irlandzka dzielnica przypominała ulice kolorowych w Karolinie Południowej? Tam wystarczyło przejść jedną przecznicę, by ludzie chodzili inaczej, zmieniały się rozmiar i stan domów, skala i charakter marzeń.

Za kilka miesięcy rozpoczną się żniwa. Na polach za miastem popękają torebki nasienne i bawełna trafi do worków, teraz zbierana przez białe ręce. Czy Irlandczyków i Niemców trapiło, że będą wykonywać pracę czarnuchów, czy też pewność zarobku zacierała dyshonor? Biali bez grosza przejmowali rzędy bawełny po czarnych bez grosza, tyle tylko, że na koniec tygodnia już bez grosza nie będą. W przeciwieństwie do swych ciemnoskórych braci za zarobione

pieniądze spłacą kontrakty i rozpoczną nowy rozdział w życiu.

U Randallów Jockey opowiadał, że w poszukiwaniu niewolników handlarze musieli się zapuszczać coraz dalej w głąb Afryki, porywali kolejne plemiona, by nakarmić głodną bawełnę, zapełniali plantacje mieszanką języków i klanów. Cora domyślała się, że Irlandczyków zastąpi kolejna fala imigrantów uciekających z innego, nie mniej nędznego kraju i proces rozpocznie się od nowa. Silnik sapał, stękał i chodził dalej. Wymieniono tylko paliwo napędzające tłoki.

Pochyłe ściany więzienia Cory stanowiły kanwę jej makabrycznych rozmyślań, zwłaszcza między zachodem słońca a nocnymi odwiedzinami Martina. Kiedy Caesar złożył jej propozycję, wyobrażała sobie dwa rozwiązania: ciężko wywalczony byt w mieście na północy albo śmierć. Terrance nie zadowoliłby się zwykłą karą za ucieczkę; zmieniłby jej życie w wyrafinowane piekło, aż wreszcie znudziłby się i pozbył jej w krwawym widowisku.

Północna fantazja Cory przez te pierwsze tygodnie na strychu była tylko powierzchownym szkicem. Obrazek dzieci w jasnej kuchni – zawsze chłopca i dziewczynki – i obecność męża

w sąsiednim pokoju, niewidocznego, lecz kochającego. Z upływem dni obok kuchni wyrastały inne pokoje. Salon umeblowany prosto, ale z gustem, rzeczami, jakie widziała w sklepach dla białych w Karolinie Południowej. Sypialnia. Potem łóżko przykryte białą pościelą, która błyszczy w słońcu, dzieci tarzające się po nim razem z Corą, ciało męża dostrzegalne gdzieś na skraju. W innej scence, rozgrywającej się wiele lat później, szła ruchliwą ulicą w swoim mieście i napotykała matkę: starą połamaną kobietę żebrzącą w rynsztoku, zgiętą w sumę wszystkich swoich błędów. Mabel podnosiła wzrok, lecz nie rozpoznawała córki. Cora kopała jej żebraczy kubek, kilka marnych monet toczyło się w tłum, a ona szła dalej do sklepu po mąkę na tort urodzinowy dla syna.

W tym przyszłym miejscu Caesar raz po raz przychodził z wizytą, a wtedy śmiali się smutno, rozmawiając o plantacji Randallów, trudach ucieczki i ostatecznie zdobytej wolności. Caesar przesuwał palcem po niewielkiej bliźnie nad brwią i opowiadał dzieciom, skąd się wzięła: w Karolinie Południowej pojmał go łowca niewolników, ale udało mu się uciec.

Cora rzadko myślała o chłopcu, którego zabiła. Nie musiała tłumaczyć się z tego, co

zrobiła tamtej nocy w lesie; nikt nie miał prawa od niej tego żądać. Za wzór umysłu zdolnego stworzyć nowy system Karoliny Północnej służył Terrance Randall, ale skalę przemocy trudno jej było ogarnąć myślami. Tymi ludźmi powodował strach, bardziej nawet niż żądza pieniędzy z bawełny. Strach przed cieniem czarnej ręki, która odpłaci pięknym za nadobne. Pewnej nocy Cora uświadomiła sobie, że sama jest jednym z tych mściwych potworów, których oni się lękają – zabiła białego chłopca. Może później zabije kogoś z nich. Z powodu tego strachu zbudowali nowy szkielet ucisku na fundamentach położonych przed setkami lat. Na swoich polach właściciel niewolników kazał zasiać bawełnę z Sea Islands, ale wśród jej nasion rozrzucono nasiona przemocy i śmierci, a ta uprawa szybko rośnie. Biali mieli powody do strachu. Pewnego dnia ten system runie, spływając krwią.

Jednoosobowe powstanie. Cora uśmiechała się przez moment, zanim nie przypomniała sobie o swej najnowszej celi. Chowała się w ścianach niczym szczur. Czy to na polu, czy pod ziemią, czy na poddaszu, Ameryka pozostawała jej cerberem.

To było na tydzień przed przesileniem letnim. Martin wcisnął jedną ze starych kap w krzesło bez siedziska, a potem w trakcie wizyty stopniowo się w nie zapadał. Cora, jak miała w zwyczaju, poprosiła go o pomoc z trudnymi słowami. Tym razem pochodziły one z Biblii, z której lekturą radziła sobie bardzo powoli: „zgrzebia”, „drapiestwo”, „okrom”. Martin przyznał, że nie wie, co to „zgrzebia” i „drapiestwo”. Potem, jakby przygotowując się do nowej pory roku, opowiedział o serii złych znaków.

Pierwszy miał miejsce w poprzednim tygodniu, kiedy Cora przewróciła nocnik. Przebywała w kryjówce od czterech miesięcy i już wcześniej zdarzało jej się hałasować: stuknąć głową o sufit albo kolanem o krokiew. Fiona nigdy nie zareagowała. Tym razem służąca krzątała się w kuchni, kiedy Cora potrąciła nogą naczynie, tak że uderzyło o ścianę. Po wejściu na piętro Fiona nie mogłaby nie usłyszeć kapania ekskrementów przeciekających między deskami ani nie poczuć zapachu.

Gwizdek obwieścił południe. Ethel nie było w domu. Na szczęście Fionę odwiedzała po lunchu inna dziewczyna z irlandzkiej dzielnicy. Obie tak długo siedziały w salonie, plotkując, że resztę prac dziewczyna musiała wykonać potem na chybcika. Albo nie zwróciła uwagi na fetor, albo udała, że go nie czuje, uchylając się przed koniecznością posprzątania po jakimś gryzoniu, który zalągł się na górze. Gdy tamtej nocy przyszedł Martin i wspólnie z Corą posprzątali, uznał, że lepiej będzie, jeśli nie wspomni żonie o tym, jak niewiele brakowało. Odkąd wzrosła wilgotność, Ethel zrobiła się szczególnie nerwowa.

Mówienie jej o wszystkim należało do niego. Cora nie widziała gospodyni od wieczoru, kiedy przybyła do tego domu. O ile się orientowała, Ethel nie rozmawiała na jej temat – nawet pod nieobecność Fiony – nie licząc rzadkich wzmianek o „tej istocie”. Odwiedziny Martina na strychu często poprzedzało trzaśnięcie drzwiami. Cora uznała, że jedynym, co powstrzymuje tę kobietę przed wydaniem jej władzom, jest oskarżenie o współudział.

– Ethel to prosta kobieta – rzekł Martin, osuwając się na krzesło. – Nie przewidziała tych trudności, kiedy poprosiłem ją o rękę.

Cora wiedziała, że mężczyzna zamierza opowiedzieć o tym, jak przypadkowo został zwerbowany, a to oznaczało więcej czasu poza ciasną kryjówką. Wyprostowała ramiona i zachęciła go do mówienia.

– Ty też nie mogłeś ich przewidzieć, Martinie.

– Boże, ja też nie mogłem.

Martin był osobliwym narzędziem abolicjonizmu. Nie przypominał sobie, żeby jego ojciec, Donald, kiedykolwiek dzielił się opiniami na temat tego szczególnego ruchu, choć jego rodzina wyróżniała się w swoim środowisku tym, że nie posiadała niewolników. Kiedy Martin był małym chłopcem, zapasy w sklepie z paszą uzupełniał zgarbiony, zasuszony mężczyzna o imieniu Jericho, uwolniony wiele lat wcześniej. Ku konsternacji matki chłopca Jericho w każde Święto Dziękczynienia przychodził z puszką tłuczonki z rzepy. Donald chrząkał z dezaprobatą albo kręcił głową, czytając w gazecie o najnowszych zajściach z udziałem niewolników, trudno było jednak stwierdzić, czy ocenia w ten sposób brutalność pana, czy krnąbrność niewolnika.

W wieku osiemnastu lat Martin wyjechał z Karoliny Północnej i po okresie samotnej włóczęgi podjął pracę urzędnika w towarzystwie

żeglugowym w Norfolk. Spokojna praca i morskie powietrze mu odpowiadały. Zagustował w ostrygach, polepszył się również jego ogólny stan zdrowia. Twarz Ethel pojawiła się pewnego dnia w tłumie, jaśniała. Rodzina Delany od dawna miała gałęzie w tym regionie; strzygła swe drzewo genealogiczne, aż wreszcie prezentowało się ono bardzo koślawo – bujne i bogate w kuzynów na północy, rzadkie i niepozorne na południu. Martin rzadko odwiedzał ojca. Kiedy Donald spadł podczas naprawiania dachu, syna nie było w domu od pięciu lat.

Ci dwaj nigdy nie mieli łatwych kontaktów. Zanim matka Martina zmarła, to do niej należało tłumaczenie na ludzki język milczeń i burknięć, które składały się na rozmowę między ojcem a synem. Przy łożu śmierci Donalda tłumaczki zabrakło. Starzec zmusił syna, by obiecał, że będzie kontynuował jego dzieło. Martin sądził, że chodzi o przejęcie sklepu z paszą. To było pierwsze nieporozumienie. Drugim okazało się przypuszczenie, że mapa, którą odkrył wśród papierów ojca, wskazuje drogę do ukrytego złota. Donalda za życia cechowała specyficzna cichość, która może oznaczać albo imbecylizm, albo skrywaną tajemnicę. To pasowałoby do ojca,

uznał Martin: zachowywać się jak nędzarz, a gdzieś trzymać fortunę.

Skarbem była oczywiście kolej podziemna. Niektórzy nazwaliby wolność najdroższą walutą, ale nie tego spodziewał się Martin. W pamiętniku ojca – leżącym na beczce na peronie stacji i otoczonym kolorowymi kamykami niczym kapliczka – przeczytał, że ojciec zawsze czuł obrzydzenie do sposobu, w jaki jego kraj traktował etiopskie plemię. Niewolnictwo obrażało Boga, a handlarze byli sługami Szatana. Donald przez całe życie pomagał niewolnikom – kiedy tylko mógł i wszystkimi dostępnymi środkami – odkąd, będąc małym chłopcem, zwiódł na manowce łowców nagród, którzy dręczyli go o jakiegoś zbiega.

Jego liczne wyjazdy w interesach w dzieciństwie Martina w rzeczywistości były misjami abolicjonistycznymi. Spotkania o północy, spiski nad rzeką, intrygi na rozdrożach. Zważywszy na trudności Donalda z komunikacją, zakrawało na ironię, że pełnił on rolę człowieka-telegrafu przekazującego wiadomości wzdłuż wybrzeża. K.P.Z. (jak określał ją w swoich notatkach) nie miała żadnych odnóg ani stacji w Karolinie Północnej, dopóki Donald z ich utworzenia nie uczynił swojej misji.

Wszyscy mówili, że działalność tak daleko na południu to samobójstwo. Mimo wszystko zbudował schowek na swoim poddaszu i nawet jeśli sztuczny sufit nie był doskonały, utrzymywał podopiecznych. Zanim Donalda zdradził obluzowany gont, zdołał przemycić do Wolnych Stanów dwanaście osób.

Martin pomógł dużo mniejszej liczbie. Oboje z Corą uznali, że jego nerwowa natura nie przysłużyła mu się poprzedniej nocy, gdy znów niewiele brakowało. Wtedy bowiem – to kolejny zły omen – do drzwi frontowych zapukali regulatorzy.

Niedawno zapadł zmrok, a park pełen był osób, które bały się wrócić do domu. Cora zastanawiała się, co ich tam czeka, skoro tak bardzo się ociągają, ci sami ludzie tydzień w tydzień. Szybko chodzący mężczyzna, który przysiadał na obmurowaniu fontanny i przeczesywał palcami rzadkie włosy. Mamrocząca do siebie zaniedbana kobieta o szerokich biodrach, zawsze w czarnym czepku na głowie. Nie przychodzili tutaj po to, żeby chłonąć wieczorne powietrze ani skraść komuś całusa. Ci ludzie, rozkojarzeni, ciężko siadali na

swojej trasie, patrzyli to w jedną, to w drugą stronę, nigdy przed siebie. Jakby chcieli uniknąć spojrzeń duchów tych wszystkich martwych ludzi, którzy zbudowali to miasto. Kolorowe ręce wzniosły każdy dom wokół parku, położyły kamienie fontanny i bruk ścieżek. Zbiły z desek scenę, na której nocni jeźdźcy odgrywali swe groteskowe widowiska, i platformę na kółkach oddającą nieszczęsnych mężczyzn i kobiety powietrzu. Jedynym, czego nie zbudowali kolorowi, było drzewo. Drzewo stworzył Bóg, żeby mieszkańcy miasteczka mogli wykorzystać je do zła.

Nic dziwnego, że biali snuli się po parku w narastającej ciemności, pomyślała Cora, przyciskając czoło do drewna. Oni sami to duchy uwięzione między dwoma światami: rzeczywistością swoich zbrodni i życiem przyszłym, którego przez te zbrodnie się pozbawili.

O obchodzie nocnych jeźdźców Corę ostrzegł szmer, który przeszedł przez park. Wieczorny tłum obrócił się, by spojrzeć na dom po drugiej stronie. Dziewczynka z warkoczykami wpuściła trzech regulatorów. Cora pamiętała, że ojciec małej miał kłopoty z wchodzeniem na schody werandy. Nie widziała go od tygodni.

Dziewczynka przycisnęła szlafrok do szyi i zamknęła drzwi za mężczyznami. Dwaj nocni jeźdźcy, wysocy i silnie zbudowani, czekali na werandzie, nieśpiesznie paląc fajki.

Po półgodzinie drzwi się otworzyły i cała grupa skuliła się w świetle latarni, studiując jakąś księgę. Przemierzyli park i znikli z pola widzenia wizjera Cory. Miała zamknięte oczy, kiedy wstrząsnęło nią głośne pukanie do drzwi wejściowych. Tamci stali na dole.

Następne minuty upływały przeraźliwie powoli. Cora skuliła się w kącie, starając się zniknąć za ostatnią krokwią. Dźwięki pozwalały uzupełnić szczegóły wydarzeń na dole. Ethel serdecznie powitała nocnych jeźdźców; każdy, kto ją znał, wiedziałby, że coś ukrywa. Martin prędko zajrzał na strych, by się upewnić, że wszystko jest tam w porządku, po czym dołączył do pozostałych na parterze.

Oboje szybko odpowiadali na pytania przybyszów, oprowadzając ich po domu. Córka mieszka gdzie indziej. (Nocni jeźdźcy przeszukali kuchnię i salon). Służąca Fiona dysponuje kluczami, ale nikt inny nie ma dostępu do domu. (Po schodach w górę). Nie odwiedzał ich nikt obcy, nie słyszeli dziwnych dźwięków, nie spostrzegli nic nadzwyczajnego. (Jeźdźcy

przeszukali dwie sypialnie). Niczego nie brakuje. Nie posiadają piwnicy – regulatorzy musieli już wiedzieć, że żaden z domów wokół parku jej nie ma. Martin zaszedł na strych tego popołudnia i nie zauważył nic alarmującego.

– Czy możemy wejść na górę? – Głos był niski i szorstki. Cora przypisała go mniejszemu wzrostem nocnemu jeźdźcowi, temu brodatemu.

Dźwięk ich kroków na schodach na strych brzmiał donośnie. Krążyli wśród rupieci. Jeden z mężczyzn odezwał się, zaskakując Corę – jego głowa znajdowała się zaledwie centymetry pod nią. Dziewczyna starała się stłumić oddech. Ci ludzie byli rekinami, które poruszają nosami pod kadłubem statku, szukając pożywienia, gdy już wyczuły jego bliskość. Tylko cienkie deski dzieliły drapieżnika i zwierzynę.

– Nie chadzamy tu na górę zbyt często, odkąd zagnieździły się szopy – wyjaśnił Martin.

– Czuć smród – przyznał drugi z nocnych jeźdźców.

Poszli. Tej nocy Martin nie przyszedł, bojąc się, że to wszystko wymyślna pułapka. Cora w przytulnym mroku poklepała dłonią solidną ścianę, która zapewniła jej bezpieczeństwo.

Przeżyli wypadek z nocnikiem i wizytę nocnych jeźdźców. Ostatni zły omen wystąpił

tego ranka. Tłum powiesił męża i żonę, którzy ukrywali w stodole dwóch kolorowych chłopców. Rodziców wydała córka zazdrosna o ich uwagę. Choć chłopcy byli mali, dołączyli do upiornej galerii na Szlaku Wolności. Ethel usłyszała o tym na targu od jednej z sąsiadek. Zemdlała i wpadła w stragan z przetworami.

Przeszukania w domach się nasilały.

– Tak dobrze sobie radzili ze znajdowaniem ludzi, że teraz muszą się napracować, by wyrobić normę – powiedział Martin.

Cora podzieliła się myślą, że może to dobrze, że przeszukali jego dom – nieprędko wrócą. Zapewni to więcej czasu, by mogła się z nimi skontaktować kolej albo nadarzyła się jakaś inna sposobność.

Martin zawsze zaczynał się wiercić, ilekroć Cora wspominała o wyjściu z inicjatywą. Ściskał wtedy w dłoniach jedną z zabawek z dzieciństwa, drewnianą kaczkę. Przez ostatnie miesiące starł z niej całą farbę.

– A może to oznacza, że przedostanie się drogami stanie się dwa razy trudniejsze – wyszeptał. – Chłopcy będą głodni zdobyczy. – Jego twarz się rozpogodziła. – „Drapiestwo” chyba oznacza duży głód.

Cora przez cały dzień czuła się marnie. Życzyła Martinowi dobrej nocy i wspięła się do kryjówki. Mimo że kilka razy niewiele brakowało, by zostali zdemaskowani, od miesięcy znajdowała się stale w tym samym miejscu: unieruchomiona przez flautę. Między wyruszeniem w drogę a przybyciem na miejsce; w trasie niczym pasażer, którym była, odkąd uciekła. Gdy wiatr się nasili, ruszy znowu, tymczasem jednak otaczało ją tylko puste, bezkresne morze.

Cóż to za świat, myślała, w którym jedyna bezpieczna przystań to żywy człowiek. Czy wyzwoliła się z niewoli, czy pozostawała w jej sidłach – jak opisać status zbiega? Wolność jest czymś, co zmienia się w zależności od sposobu patrzenia, tak jak las, który z bliska jest gęsty, ale widziany z zewnątrz, z pustej łąki, ujawnia swe rzeczywiste granice. Bycie wolnym nie ma nic wspólnego z łańcuchami ani dostępnością wolnej przestrzeni. Na plantacji Cora nie była wolna, choć po całej poruszała się bez ograniczeń, smakując powietrze i śledząc letnie gwiazdy. Tamto miejsce było duże swoją małością. Tu Cora miała wolność od pana, lecz kuliła się w norze tak ciasnej, że nie mogła stanąć.

Nie opuściła poddasza od miesięcy, ale jej wzrok błądził swobodnie. Karolina Północna miała swoje Wzgórze Sprawiedliwości, a ona miała swoje. Patrząc z góry na wszechświat parku, widziała, jak miasto dryfuje, dokąd chce, obmywane promieniami słońca na kamiennej ławce, chłodzące się w cieniu pod drzewem wisielców. Mieszkańcy byli jednak więźniami tak samo jak ona, zniewoleni w okowach strachu. Martin i Ethel panicznie bali się bacznych spojrzeń z każdego ciemnego okna. W piątkowe noce całe miasto gromadziło się w nadziei, że gdy zbiorą się licznie, odpędzą to, co czai się w mroku: podnoszące głowę czarne plemię; wroga, który obmyśla oskarżenia; dziecko, które dokonuje strasznej zemsty za to, że dostało burę, i burzy przy tym cały dom. Lepiej kryć się po strychach, niż zmierzyć się z tym, co ukrywają twarze sąsiadów, przyjaciół, rodziny.

Park dawał tym ludziom pokrzepienie, był zieloną przystanią, którą chronili, podczas gdy miasto rozrastało się dom po domu i kwartał po kwartale. Cora przypomniała sobie swój ogródek na plantacji Randallów, działkę, o którą tak dbała. Teraz rozumiała, że to było śmieszne – mały skrawek ziemi pozwalający jej wierzyć, że cokolwiek posiada. Należał do niej tak samo, jak

należała do niej bawełna, którą siała, pełła i zbierała. Działka Cory stanowiła cień czegoś, co żyło w innym miejscu, poza zasięgiem wzroku. Echem czegoś istniejącego gdzie indziej była też recytacja Deklaracji Niepodległości przez biednego Michaela. Teraz, gdy Cora uciekła i zobaczyła trochę tego kraju, nie miała pewności, czy ów dokument w ogóle opisuje cokolwiek prawdziwego. Ameryka była duchem w ciemności, tak samo jak ona.

Tamtej nocy Cora zaniemogła. Obudziły ją skurcze w brzuchu. Kręciło jej się w głowie, kryjówka chwiała się i falowała. W ciasnej przestrzeni zwróciła zawartość żołądka i straciła panowanie nad kiszkami. Żar napierał na maleńkie pomieszczenie, rozpalał powietrze i parzył pod skórą. Jakimś cudem dotrwała do świtu, do podniesienia zasłony. Park wciąż tam był; nocą Corze śniło się, że znajduje się na morzu, skuta pod pokładem. Obok niej jest inny więzień, a dalej następny, setki ludzi jęczących z przerażenia. Statek chwiał się na falach, opadał i zderzał z wodnymi młotami. Usłyszała odgłosy kroków na schodach, zgrzyt klapy i zamknęła oczy.

Obudziła się w białym pokoju. Jej ciało wtulało się w miękki materac. Okno dawało więcej niż tylko skąpy punkcik światła. Za zegar posłużyły dźwięki z parku – było późne popołudnie.

Ethel siedziała w kącie pokoju męża z czasów, gdy był dzieckiem. Na kolanach miała złożone robótki ręczne i wpatrywała się w Corę. Dotknęła czoła pacjentki.

– Lepiej – stwierdziła. Nalała szklankę wody, a potem przyniosła miskę rosołu wołowego.

Podczas gorączki Cory nastawienie Ethel złagodniało. W nocy dziewczyna tak głośno jęczała, a gdy znieśli ją z kryjówki na strychu, była tak chora, że musieli dać Fionie kilka dni wolnego. Powiedzieli Irlandce, że do sklepu przyszedł worek skażonej paszy i Martin nabawił się wenezuelskiej ospy, więc lekarz zabronił wpuszczać kogokolwiek do domu, dopóki choroba nie minie. Martin czytał o takiej kwarantannie w czasopiśmie, więc była to pierwsza wymówka, jaka przyszła mu do głowy. Zapłacili służącej za cały tydzień. Schowała pieniądze do torebki i o nic więcej nie pytała.

Teraz to on zniknął, a Ethel przejęła odpowiedzialność za Corę, pielęgnując ją przez dwa dni gorączki i drgawek. Od czasu

przeprowadzki do Karoliny Północnej małżeństwo nawiązało niewiele znajomości, przez co łatwiej im było nie uczestniczyć w życiu miasteczka. Dziewczyna rzucała się w malignie, a Ethel czytała jej Biblię, żeby przyśpieszyć powrót do zdrowia. Jej głos rozbrzmiewał w snach Cory. Tamtej nocy, kiedy wyszła z kopalni, był taki chłodny, ale teraz pobrzmiewała w nim czułość. Cora śniła, że kobieta po matczynemu całuje ją w czoło. Dryfując, słuchała jej opowieści. Arka uratowała sprawiedliwych, przeniosła ich na drugą stronę katastrofy. Inni ludzie przez czterdzieści lat błąkali się po pustyni, zanim znaleźli swoją ziemię obiecaną.

Po południu cienie rozciągały się jak toffi, a park wkraczał w okres większego spokoju, bo zbliżała się pora kolacji. Ethel siedziała w fotelu bujanym, uśmiechała się i przeglądała Pismo, szukając odpowiedniego fragmentu.

Teraz, gdy Cora obudziła się i mogła się odezwać, powiedziała swojej gospodyni, że lektura nie jest potrzebna.

Ethel zacisnęła wargi. Zamknęła książkę, trzymając jednym chudym palcem założoną stronę.

– Wszyscy potrzebujemy łaski Pana – odparła. – Postąpiłabym nie po chrześcijańsku, wpuszczając do domu pogankę i nie dzieląc się z nią Jego słowem.

– Już je poznałam – odparła Cora.

Biblia, którą dał jej Martin, w dzieciństwie należała do Ethel. Była zabrudzona i pomazana jej palcami. Kobieta przepytała swą podopieczną, nie dowierzając, że ta potrafi dużo przeczytać i zrozumieć. W istocie Cora nie była wierząca z natury, a jej naukę przerwano wcześniej, niżby sobie tego życzyła. Na strychu miała trudności z pewnymi słowami; nie dawała jednak za wygraną, wracała do trudnych wersów. Dręczyły ją sprzeczności, nawet te na wpół pojęte.

– Nie rozumiem, bo tu jest napisane, że „kto by ukradł człowieka a sprzedałby go, śmiercią umrze[3] – powiedziała. – Ale potem jest też, że niewolnicy mają być poddani panom swoim, we wszystkiem się im podobając”[4]. – Więc albo posiadanie innego człowieka na własność to grzech, albo jest na to boże błogosławieństwo. Ale żeby na dodatek jeszcze przypodobać się swojemu panu? Do drukarni musiał się zakraść jakiś handlarz niewolników i dopisać ten fragment.

– To znaczy właśnie to, co jest napisane – odparła Ethel. – Że Hebrajczykowi nie wolno zniewolić Hebrajczyka. Ale synowie Chama pochodzą z innego plemienia. Zostali przeklęci czarną skórą i ogonem. Tam gdzie Pismo potępia niewolnictwo, w ogóle nie mówi o niewolnictwie murzyńskim.

– Ja mam czarną skórę, ale nie mam ogona. Przynajmniej o tym nie wiem, bo nigdy nie sprawdzałam – powiedziała Cora. – Ale niewolnictwo rzeczywiście jest przekleństwem, to się zgadza. – Niewolnictwo było grzechem, kiedy to białym nakładało się jarzmo. Wszyscy ludzie stworzeni są równymi, chyba że uznamy, że nie jesteś człowiekiem.

Pod słońcem Georgii Connelly recytował wersety, chłoszcząc parobków za przewinienia: „Czarnuchy, posłuszni bądźcie we wszystkiem panom cielesnym, nie służąc na oko jako ci, co się ludziom podobać chcą, ale w szczerości serca, bojąc się Boga”[5]. Każdą sylabę podkreślały świst bicza i wycie ofiary. Cora przypomniała sobie również inne fragmenty księgi Dobrej Nowiny na temat niewolnictwa. Podzieliła się nimi z gospodynią. Ethel odparła, że nie po to dziś wstała, żeby się wdawać w teologiczne dysputy.

Cora cieszyła się z jej towarzystwa i było jej żal, kiedy wyszła. Według niej zawinili ci, którzy to wszystko spisali. Ludzie zawsze coś mieszają, czy to przypadkiem, czy też celowo. Nazajutrz rano poprosiła o almanachy.

Były nieaktualne, ze starymi prognozami, ale uwielbiała je dlatego, że zawierały w sobie cały świat. By wyjaśnić, co znaczą, nie potrzeba ludzi. Tabel i faktów nie da się przekształcić w coś, czym nie są. Obrazki i parodie, którymi przeplatano tablice księżycowe oraz opisy pogody – o zrzędliwych starych wdowach i niemądrych smoluchach – wprawiały Corę w podobne zmieszanie jak nauki moralne w Piśmie Świętym. Jedne i drugie traktowały o ludzkim zachowaniu wykraczającym poza jej zdolność pojmowania. Cóż ona wiedziała albo potrzebowała wiedzieć o manierach na weselu albo o przeprowadzaniu stada owiec przez pustynię? Wskazówki z almanachu przynajmniej pewnego dnia mogą jej się przydać. Ody do atmosfery, ody do kakaowca z Oceanii. Nigdy dotąd nie słyszała o odach do atmosfery, ale w miarę lektury zagnieździły się one w jej umyśle. Gdyby kiedyś posiadała skórzane buty, wiedziała już, jak użyć łoju i wosku, by starczyły na dłużej. Jeśli jedna z jej kur dostanie kataru,

pomoże wtarcie w nozdrza gumożywicy z masłem.

Ojciec Martina potrzebował almanachów, żeby wiedzieć, kiedy jest pełnia księżyca – w tych książkach kryła się nadzieja uciekinierów. Księżyc na zmianę tył i chudł, następowały przesilenia, pierwsze przymrozki i wiosenne deszcze. Wszystko to bez żadnego udziału człowieka. Cora próbowała sobie wyobrazić, jak wygląda przypływ i odpływ, kiedy fala skubie piach niczym mały piesek, nie zważając na ludzi i ich knowania. Wracały jej siły.

Samodzielnie nie rozumiała wszystkich słów.

– Może mi pani trochę poczytać? – poprosiła gospodynię.

Ethel warknęła. Otworzyła jednak almanach w miejscu, w którym grzbiet był pęknięty, i idąc z samą sobą na kompromis, odezwała się takim tonem, jakim czytała Biblię:

– „Przesadzanie drzew zimozielonych. Nie wydaje się szczególnie ważnym, czy drzewa zimozielone przesadzane będą w kwietniu, maju, czy czerwcu…”

Do piątku zdrowie Cory znacznie się już poprawiło. Fiona miała wrócić w poniedziałek. Uzgodnili, że rano dziewczyna wróci do kryjówki. Martin i Ethel zaproszą sąsiadów na

ciasto, żeby rozwiać ewentualne plotki czy domysły. Może nawet ugoszczą kogoś podczas Święta Piątkowego. Z ich werandy był doskonały widok.

Tego wieczoru Ethel pozwoliła Corze spać w dodatkowej sypialni, pod warunkiem że nie zapali światła i nie będzie się zbliżać do okna. Cora nie miała zamiaru oglądać widowiska, ale cieszyła się na ostatni pobyt w łóżku. Ostatecznie Martin i Ethel zrezygnowali z zaproszenia znajomych, jedynymi gośćmi byli więc ci niezapowiedziani, którzy wyłonili się z tłumu po rozpoczęciu murzyńskiego teatrzyku.

Regulatorzy chcieli przeszukać dom.

Przedstawienie przerwano, tłum zaszumiał, spostrzegłszy zamieszanie obok parku. Ethel próbowała przytrzymać nocnych jeźdźców. Przecisnęli się obok niej i Martina. Cora chciała ruszyć w stronę schodów, ale przez ostatnie miesiące tak często ostrzegały ją skrzypieniem, iż wiedziała, że ją zdradzą. Wczołgała się więc pod dawne łóżko Martina i tam ją znaleźli, złapali za kostki, jakby zatrzasnęli na nich kajdany, i wyciągnęli. Zrzucili ją ze schodów. Na dole uderzyła ramieniem o poręcz. Dzwoniło jej w uszach.

Po raz pierwszy zobaczyła werandę Martina i Ethel. Była ona miejscem jej pojmania, dodatkową sceną ku uciesze mieszkańców. Cora leżała na deskach u stóp czterech regulatorów w biało-czarnych mundurach. Czterej kolejni trzymali Martina i Ethel. Na werandzie stał jeszcze jeden mężczyzna, ubrany w kamizelkę z czesankowej wełny w szkocką kratę oraz szare spodnie. Był jednym z najwyższych ludzi, jakich dziewczyna w życiu widziała, potężnie zbudowanym i o porażającym spojrzeniu. Rozejrzał się po miejscu zdarzenia i uśmiechnął do jakiejś zabawnej myśli.

Mieszkańcy wypełnili chodnik i ulicę, przepychali jeden drugiego, chcąc lepiej widzieć to nowe przedstawienie. Na przód przecisnęła się rudowłosa dziewczyna.

– Wenezuelska ospa! Mówiłam, że kogoś tam mają!

A więc to Fiona. Cora podparła się na łokciu, żeby obejrzeć dziewczynę, którą znała tak dobrze, ale której nigdy nie widziała.

– Dostaniesz swoją nagrodę – powiedział nocny jeździec z brodą. Był wśród tych, co nawiedzili dom poprzednio.

– Tak mówisz, ciemięgo – odparła Fiona. – Opowiadałeś, że poprzednio sprawdziłeś strych,

ale wcale go nie sprawdziłeś, co? – Odwróciła się do mieszkańców, żeby zapewnić sobie świadków. – Wszyscy widzicie, należy mi się nagroda. Ciągle znikało jedzenie. – Lekko kopnęła Corę. – Gospodyni robiła wielką pieczeń, a na drugi dzień już jej nie było. Kto to wszystko jadł? I w kółko patrzyli na sufit. Czego tam szukali?

Jest taka młoda, pomyślała Cora. Fiona miała twarz jak okrągłe, piegowate jabłko, ale w jej oczach była hardość. Trudno uwierzyć, że pomruki i przekleństwa, których uciekinierka słuchała miesiącami, pochodziły z takiej małej buzi, ale oczy stanowiły dostateczny dowód.

– Dobrze cię traktowaliśmy – powiedział Martin.

– Diablo dziwni jesteście oboje – rzuciła Fiona. – I zasłużyliście na to, co was spotka.

Miasteczko tyle już razy oglądało wymierzaną sprawiedliwość, że nikt by tego nie zliczył, ale wydanie wyroku było dla mieszkańców nowym doświadczeniem. Poczuli się nieswojo. Czyżby stali się nie tylko publicznością, ale i sądem? Patrzyli po sobie, szukając wskazówek. Jakiś staruszek złożył dłoń w tubę i zaczął przez nią wykrzykiwać bzdury. Corę uderzyło w brzuch niedojedzone jabłko. Na podium dla orkiestry

aktorzy murzyńskiego teatrzyku stali zgaszeni, trzymając w dłoniach sponiewierane kapelusze.

Pojawił się Jamison. Otarł czoło czerwoną chusteczką. Cora nie widziała go od tamtej pierwszej nocy, ale słyszała każdą przemowę wieńczącą piątkowe noce. Każdy żart i każde buńczuczne stwierdzenie, odwołania do rasy i państwowości, a potem rozkazy zabicia ofiary. Przerwanie uroczystości zbiło go z tropu. Głos Jamisona, wyzuty ze zwykłej mu pychy, stał się piskliwy.

– To dopiero – powiedział mężczyzna. – Nie jesteś aby synem Donalda?

Martin skinął głową. Jego miękkie ciało drżało od cichego płaczu.

– Twój tatuś spaliłby się ze wstydu – stwierdził Jamison.

– Nie miałam pojęcia, co on knuje – odezwała się Ethel. Wyrywała się nocnym jeźdźcom, którzy mocno ją trzymali. – Sam to wszystko zrobił! Ja nic nie wiedziałam!

Martin odwrócił wzrok. Od ludzi na werandzie, od tego miasta. Skierował twarz ku Wirginii, gdzie przez pewien czas żył wolny od miejsca, w którym się urodził.

Jamison dał znak, a wtedy nocni jeźdźcy zaciągnęli Martina i Ethel do parku. Plantator

zmierzył wzrokiem Corę.

– Ładny okaz – stwierdził. Ofiara przewidziana na ten wieczór znajdowała się gdzieś za kulisami. – Zajmiemy się obydwojgiem?

– Ona jest moja – oznajmił wysoki mężczyzna. – Już mówiłem.

Jamisonowi skwaśniała mina. Nie przywykł do tego, że ktoś nie jest świadom jego statusu. Zapytał nieznajomego o nazwisko.

– Ridgeway – rzucił tamten. – Łowca niewolników. Jeżdżę to tu, to tam. Na nią długo już poluję. Wasz sędzia dobrze mnie zna.

– Nie można tak po prostu tu sobie przyjść i panoszyć się.

Jamison wiedział, że jego zwykła publiczność, kotłująca się na obrzeżach posesji, obserwuje go z niejasnymi oczekiwaniami. Słysząc drżenie w jego głosie, dwaj nocni jeźdźcy, obaj młodzi i krzepcy, ruszyli naprzód do Ridgewaya.

Ten niewiele sobie z nich robił.

– Macie tu miejscowe zwyczaje, rozumiem to. Macie swoją zabawę. – Słowo „zabawa” wypowiedział jak kaznodzieja nauczający wstrzemięźliwości. – Ale to tutaj – wskazał na Corę – do was nie należy. Ustawa o zbiegłych niewolnikach mówi, że mam prawo zwrócić tę

własność jej posiadaczowi. I zamierzam tak zrobić.

Cora jęknęła i pomacała głowę. Była otumaniona, jak po tym, kiedy bił ją Terrance. Ten człowiek ją do niego zabierze.

Nocny jeździec, który zrzucił Corę ze schodów, odchrząknął. Wyjaśnił Jamisonowi, że do tego domu zaprowadził ich właśnie łowca niewolników. Po południu złożył sędziemu Tennysonowi oficjalną prośbę, choć ten jak co piątek raczył się whisky, więc może nie pamiętać. Nalot podczas święta nikomu się nie uśmiechał, ale Ridgeway nalegał.

Łowca niewolników splunął tytoniem na chodnik pod stopy kilkorga gapiów.

– Możesz sobie zachować nagrodę – zwrócił się do Fiony. Zgiął się lekko i podniósł Corę za ramię. – Nie bój się, Coro. Wracasz do domu.

Kolorowy chłopiec, około dziesięcioletni, przejechał wozem wśród tłumu, pokrzykując na dwójkę koni. W każdym innym przypadku jego widok w szytym na miarę czarnym garniturze i cylindrze wywołałby konsternację. Po dramatycznym pojmaniu pary sympatyków i uciekinierki pojawienie się chłopca popchnęło wieczór w kierunku fantazji. Niejednej osobie przeszło przez myśl, że to, co się właśnie

wydarzyło, jest nowym elementem piątkowej rozrywki, przedstawieniem zaaranżowanym dla rozbicia monotonii cotygodniowych skeczów i linczów, które, szczerze powiedziawszy, stały się już przewidywalne.

U stóp werandy Fiona przemawiała do grupki dziewcząt z irlandzkiej dzielnicy.

– Dziewczyna musi dbać o swoje interesy, jeżeli chce w tym kraju do czegoś dojść – tłumaczyła.

Ridgewayowi oprócz chłopca towarzyszył jeszcze jeden człowiek, wysoki biały z długimi ciemnymi włosami, noszący naszyjnik z ludzkich uszu. Skuł kostki Cory, a potem przeciągnął łańcuchy przez pierścień w podłodze wozu. Usiadła na ławce; głowa pulsowała jej z bólu z każdym uderzeniem serca. Gdy odjeżdżali, zobaczyła Martina i Ethel. Przywiązano ich do drzewa wisielców. Płakali i szarpali się w pętach. Burmistrz biegał wokół nich jak szalony. Jasnowłosa dziewczynka podniosła kamień i cisnęła nim w twarz Ethel. Część mieszkańców zareagowała śmiechem na żałosne wrzaski kobiety. Dwoje innych dzieci sięgnęło po kamienie i zaczęło obrzucać nimi małżonków. Burmistrz jazgotał, podskakując, a coraz więcej ludzi schylało się ku ziemi. Potem podnieśli ręce.

Mieszkańcy zaczęli zacieśniać krąg i Cora nic już nie widziała.

Ethel

Odkąd Ethel zobaczyła drzeworyt przedstawiający misjonarza otoczonego tubylcami w dżungli, wiedziała, że jej duchowym spełnieniem byłaby służba Panu w czarnej Afryce, gdzie prowadziłaby dzikusów ku światłości. Marzyła o statku, który by ją tam zabrał, wspaniałym szkunerze z żaglami jak anielskie skrzydła prującym przez wściekłe morze. Groźna podróż w głąb interioru, w górę rzek, przez górskie przełęcze, umykanie przed niebezpieczeństwem: lwami, wężami, morderczymi roślinami, dwulicowymi przewodnikami. A potem wioska, w której tubylcy przyjmą ją jako wysłanniczkę Pana, narzędzie cywilizacji. Z wdzięczności czarnuchy uniosą ją ku niebu, wychwalając jej imię: Ethel, Ethel.

Miała osiem lat. Gazety ojca zawierały opowieści o odkrywcach, nieznanych krainach, pigmejskich ludach. Do obrazka w gazecie zbliżała się choć odrobinę, kiedy bawiła się z Jasmine w misjonarza i tubylca. Jasmine była dla niej jak siostra. Zabawa nigdy nie trwała

długo, bo wkrótce zaczynały bawić się w męża i żonę, ćwicząc pocałunki i kłótnie w piwnicy domu Ethel. Zważywszy na kolor skóry każdej z nich, nie mogło być cienia wątpliwości co do ich ról w obu tych zabawach, nawet jeśli Ethel miała w zwyczaju mazać buzię sadzą. Z poczernioną twarzą ćwiczyła przed lustrem miny zdziwienia i zachwytu, żeby wiedzieć, czego się spodziewać, gdy już spotka tych swoich pogan.

Jasmine mieszkała w pokoju na piętrze ze swoją matką, Felice. Rodzina Delany była właścicielami matki Felice, a gdy mały Edgar Delany skończył dziesięć lat, na urodziny dostał Felice w prezencie. Teraz, jako dorosły człowiek, rozumiał, że Felice to chodzący cud: dbała o sprawy domu, jakby się w nim urodziła. Często opowiadał o jej murzyńskich mądrościach, dzielił się z gośćmi jej przypowieściami na temat ludzkiej natury, ilekroć znikała w kuchni, tak że gdy wracała, wszystkie twarze promieniały z sympatii i zazdrości. Edgar zawsze w Nowy Rok dawał jej przepustki, by mogła odwiedzić plantację Parkerów; siostra Felice była tam praczką. Jasmine urodziła się dziewięć miesięcy po jednej z takich wizyt i teraz rodzina Delany posiadała dwie niewolnice.

Ethel myślała, że niewolnik to ktoś taki, kto mieszka w czyimś domu jak rodzina, ale nie jest rodziną. Ojciec opowiedział córce o pochodzeniu murzyna, rozwiewając to jej barwne wyobrażenie. Niektórzy twierdzili, że murzyn jest pozostałością rasy olbrzymów w pradawnych czasach rządzącej ziemią, Edgar Delany wiedział jednak, że to potomkowie przeklętego czarnego Chama, który przeżył potop, czepiając się wierzchołka góry w Afryce. Ethel uznała, że skoro są przeklęci, tym bardziej potrzebują chrześcijańskiego nauczania.

W ósme urodziny dziewczynki ojciec zabronił jej bawić się z Jasmine, żeby nie zaburzać naturalnych relacji między rasami. Już wtedy Ethel niełatwo nawiązywała przyjaźnie. Przez wiele dni płakała i tupała nogami; Jasmine była bardziej elastyczna. Zajęła się prostymi obowiązkami domowymi, a potem przejęła rolę matki, kiedy jej serce odmówiło posłuszeństwa i padła niema i sparaliżowana. Felice trwała tak miesiącami, z otwartymi, różowymi ustami, zamglonymi oczami, aż wreszcie ojciec Ethel kazał ją zabrać. Ethel nie dostrzegła żadnej emocji w twarzy dawnej towarzyszki zabaw, kiedy jej matkę ładowano na wózek. Wtedy już

ze sobą nie rozmawiały, nie licząc omawiania spraw domowych.

Dom zbudowano pięćdziesiąt lat wcześniej, więc schody skrzypiały. Szept w jednym pokoju niósł się do dwóch sąsiednich. Zwykle wieczorem, po kolacji i modlitwie, Ethel słyszała, jak jej ojciec wchodzi po krzywych schodach, wiedziony kołyszącym się światłem świecy. Czasem podkradała się do drzwi swej sypialni, by zobaczyć skrawek jego koszuli nocnej znikający za rogiem.

– Dokąd idziesz, ojcze? – zapytała jednej nocy. Felice nie było od dwóch lat. Jasmine miała lat czternaście.

– Idę na górę – odpowiedział i oboje doświadczyli dziwnego uczucia ulgi, że zyskali określenie na te jego nocne wizyty.

Szedł na górę – bo dokąd jeszcze prowadziły schody? Ojciec podał jedno wytłumaczenie rozdziału ras, mówiąc o bratobójczej karze. Jego nocne wycieczki stanowiły rozwinięcie tego układu. Biali mieszkali na dole, a czarni na górze. Przerzucić pomost nad tą rozpadliną to zaleczyć biblijną ranę.

Matka źle myślała o chodzeniu męża na górę, ale miała swoje sposoby. Kiedy rodzina sprzedała Jasmine kotlarzowi z drugiego końca miasta,

Ethel wiedziała, że to jej sprawka. Gdy w domu zamieszkała nowa niewolnica, chodzenie na górę się skończyło. Nancy była babką, wolno chodzącą i na wpół ślepą. Teraz przez ściany przenikało jej sapanie, a nie kroki i piski. Dom nie był taki czysty i uporządkowany od czasów Felice; Jasmine pracowała wydajnie, ale z roztargnieniem. Jej nowy dom znajdował się daleko, w dzielnicy kolorowych. Wszyscy szeptali, że dziecko ma oczy swego ojca.

Pewnego dnia podczas lunchu Ethel oznajmiła, że kiedy dorośnie, chce nieść słowo Boże ludom pierwotnym w Afryce. Jej rodzice się żachnęli. To nie zajęcie dla porządnych młodych kobiet z Wirginii. Jeśli chcesz pomóc dzikusom, powiedział ojciec, idź uczyć w szkole. Umysł pięciolatka jest dzikszy i bardziej niesforny niż najstarszego murzynicha w dżungli, wyjaśnił. Zostało więc postanowione. Ethel zastępowała stałą nauczycielkę, kiedy ta źle się czuła. Małe białe dzieci były prymitywne na swój sposób, szczebioczące i jeszcze nierozwinięte, ale to nie to samo. W głębi duszy pielęgnowała myśli o dżungli i kręgu ciemnych wielbicieli.

Osobowość Ethel zbudowana była na urazie. Młode kobiety w jej kręgu towarzyskim oddawały się obcym, niezrozumiałym rytuałom.

Ją samą mało interesowali chłopcy, a później mężczyźni. Kiedy pojawił się Martin, przedstawiony przez jednego z jej kuzynów zatrudnionego w towarzystwie żeglugowym, dość już miała plotek i dawno zrezygnowała z dążenia do szczęścia. Martin, dyszący borsuk, w końcu ją zmęczył. Zabawa w męża i żonę okazała się jeszcze mniej przyjemna, niż sądziła. Przynajmniej Jane stała się niespodziewanym błogosławieństwem, zgrabnym bukiecikiem w ramionach matki, nawet jeśli samo poczęcie było kolejnym upokorzeniem. Przez lata życie przy Orchard Street upływało monotonnie, ale z czasem okrzepło w wygodę. Ethel udawała, że nie zauważa Jasmine, kiedy mijały się na ulicy, zwłaszcza gdy jej dawnej towarzyszce zabaw towarzyszył syn. Jego twarz była jak ciemne lustro.

Potem Martina wezwano do Karoliny Północnej. Pogrzeb zorganizował w najgorętszy dzień roku; wszyscy myśleli, że Ethel zemdlała z żalu, a to tylko przez tę barbarzyńską wilgoć. Mąż zapewnił, że gdy znajdą kupca na sklep z paszą, natychmiast wyjadą. To było zacofane miejsce. Jak nie upał, to muchy; jak nie myszy, to ludzie. W Wirginii, kiedy motłoch brał się do linczu, przynajmniej zachowywał pozory

spontaniczności. Nie wieszali człowiekowi ludzi praktycznie na trawniku przed domem, co tydzień o tej samej porze, jak w kościele. Karolina Północna miała być krótkim przerywnikiem, a przynajmniej Ethel tak sądziła, dopóki nie zastała czarnucha w kuchni.

George zszedł ze strychu po pożywienie – to jedyny niewolnik, któremu Martin pomógł przed przybyciem dziewczyny. Za tydzień wchodziły w życie nowe prawa rasowe, więc przemoc wobec kolorowych nasiliła się jakby na próbę. Martin wyjaśnił żonie, że do kopalni miki skierowała go kartka, którą znalazł na progu. George czekał tam na niego głodny i rozzłoszczony. Był zbiegłym zbieraczem tytoniu. Miotał się po strychu przez tydzień, zanim jakiś agent kolei nie zabrał go w dalszą drogę: władował do skrzyni i wypchnął ją frontowymi drzwiami. Ethel wpadła w furię, a potem w rozpacz – George stał się wykonawcą testamentu Donalda, ujawniając tajny spadek Martina. Brakowało mu trzech palców, które stracił przy wycince trzciny.

Niewolnictwo jako kwestia moralna nigdy Ethel nie zajmowało. Gdyby Bóg nie chciał, żeby Afrykanie żyli w niewoli, to nie mieliby łańcuchów. Stanowczo natomiast wierzyła w to,

że nie należy dać się zabić za cudze wzniosłe ideały. Kłóciła się z Martinem o kolej podziemną, jak nie robiła tego od bardzo dawna, i to jeszcze zanim weszły w życie mordercze zapisy nowych praw rasowych. Poprzez Corę – tego termita na strychu – Donald ukarał ją zza grobu za dowcip sprzed lat. Kiedy ich rodziny spotkały się po raz pierwszy, Ethel skomentowała jego prosty prowincjonalny strój. Chciała tym zwrócić uwagę na różne wyobrażenia obu rodzin co do właściwego ubioru, by mieli to już z głowy i mogli wspólnie cieszyć się posiłkiem, który tak starannie zaplanowała. Donald nigdy jej jednak nie wybaczył, mówiła Martinowi, była tego pewna, a teraz zadyndają na gałęziach drzewa tuż przed własnym domem.

Kiedy Martin chadzał na górę pomagać dziewczynie, nie chadzał w ten sam sposób co ojciec Ethel, ale obaj wracali odmienieni. Sięgali na drugą stronę biblijnej rozpadliny w egoistycznym celu.

Skoro oni mogli, to dlaczego nie ona?

Przez całe życie wszystkiego jej odmawiano. Misji, pomocy. Dzielenia się miłością tak, jak chciała. Kiedy ta dziewczyna zachorowała, wreszcie nadeszła chwila, na którą Ethel tak długo czekała. Ostatecznie nie pojechała do

Afryki; to Afryka przybyła do niej. Ethel poszła na górę, tak jak kiedyś jej ojciec, żeby stawić czoło nieznajomej mieszkającej w jej domu jak rodzina. Dziewczyna leżała na pościeli wygięta niczym przedwieczna rzeka. Ethel oczyściła ją, zmyła z niej brud. Ucałowała w czoło i szyję w niespokojnym śnie, i były w tych pocałunkach dwa rodzaje uczuć. Niosła jej Słowo Boże.

Nareszcie miała własnego dzikusa.

Tennessee

25 DOLARÓW NAGRODY

6 dnia lutego uciekła prenumeratorowi jego murzynka PEGGY. Ma około 16 lat, jasna mulatka, wzrostu średniego, o prostych włosach i znośnej urodzie – ma nierówną bliznę na szyi po oparzeniu. Ani chybi będzie udawać dziewczynę wolną, mogła otrzymać przepustkę. Markotna, gdy się do niej odezwać, i nieszczególnie inteligentna. Mówi szybko, piskliwym głosem.

JOHN DARK
HRABSTWO CHATHAM, 17 MAJA

– *Nieś mnie do domu, Jezu, nieś mnie do ziemi tej…*

Jasper nie przestawał śpiewać. Ridgeway wołał z przodu karawany, żeby stulił pysk, a czasem się zatrzymywali, żeby Boseman wdrapał się na wóz i zdzielił uciekiniera przez łeb. Przez krótki czas Jasper ssał blizny na palcach, a potem znów zaczynał nucić, z początku tak cicho, że tylko Cora słyszała. Nie mijało jednak wiele czasu, a śpiewał znowu – do swej utraconej rodziny, do swego boga, do każdego, kogo mijali na szlaku. Znów trzeba go było dyscyplinować.

Część hymnów Cora poznawała. Domyślała się, że wiele wymyślał sam – miały nieskładne rymy. Nie przeszkadzałoby jej to, gdyby Jasper ładniej śpiewał, ale w kwestii głosu Jezus nie był dla niego łaskawy. Ani w kwestii urody – mężczyzna miał krzywą, żabią twarz i dziwnie chude jak na parobka ramiona – czy też szczęścia. Szczęścia przede wszystkim.

To go z Corą łączyło.

Jaspera wzięli trzeciego dnia po wyjeździe z Karoliny Północnej. Został im dostarczony. Zbiegł z pól trzciny cukrowej na Florydzie i dotarł aż do Tennessee, gdzie pewien druciarz nakrył go na kradzieży jedzenia ze spiżarni. Po kilku tygodniach zastępca szeryfa zlokalizował właściciela, ale druciarz nie miał pieniędzy na transport. Ridgeway z Bosemanem pili właśnie w tawernie za rogiem nieopodal aresztu, a mały Homer czekał z Corą i wozem. Urzędnik miejski podszedł do słynnego łowcy niewolników, zawarli umowę i teraz Ridgeway wiózł czarnucha na wozie. Nie przewidział jednak, że będzie z niego śpiewak.

Krople deszczu bębniły w plandekę. Cora cieszyła się z podmuchu wiatru i było jej wstyd, że cieszy się z czegokolwiek. Kiedy deszcz ustał, zatrzymali się na posiłek. Boseman uderzył Jaspera w twarz, zaśmiał się, a potem odkuł dwoje zbiegów od podłogi pojazdu. Klękając przed Corą i pociągając nosem, jak zawsze rzucił jej wulgarną obietnicę. Nadgarstki i kostki obojga pozostały zamknięte w kajdanach. Dziewczyna nigdy dotąd nie była w okowach tak długo.

W górze szybowały wrony. Jak okiem sięgnąć, świat był wypalony i znękany – morze popiołu i zgliszczy od płaskich połaci równin aż po

wzgórza i góry. Czarne drzewa gięły się ku ziemi, ich skarlałe czarne ramiona zdawały się wskazywać odległe miejsca nietknięte przez ogień. Po drodze mijali bezlik osmalonych szkieletów domów i stodół, kominy sterczące jak płyty nagrobne, kamienne łupiny spustoszonych młynów i spichlerzy. Opalone płoty wyznaczały miejsca, gdzie kiedyś pasło się bydło. Niemożliwe, żeby zwierzęta przeżyły.

Po dwóch dniach jazdy przez ten krajobraz pokrywała ich czarna sadza. Ridgeway powiedział, że jako syn kowala czuje się z tym jak w domu.

Oto, co widziała Cora: nie miała się gdzie schować. Żadnego schronienia między czarnymi badylami, nawet gdyby nie była skuta. Nawet gdyby nadarzyła się okazja.

Kłusem nadjechał stary biały mężczyzna na burym koniu. Tak jak inni podróżni mijani na czarnej drodze zwolnił z ciekawości. Dwoje dorosłych niewolników to pospolity widok, ale dziwnie uśmiechnięty kolorowy chłopiec w czarnym garniturze wprawiał obcych w zakłopotanie. Młodszy biały mężczyzna w czerwonym meloniku nosił naszyjnik ozdobiony kawałkami pomarszczonej skóry. Kiedy przejezdni orientowali się, że to ludzkie

uszy, obnażał niekompletne uzębienie zbrunatniałe od tytoniu. Starszy biały człowiek, który nimi dowodził, groźnym spojrzeniem zniechęcał do wszelkiej rozmowy. Podróżny pojechał dalej i zniknął za zakrętem, gdzie droga wlokła się między obnażonymi pagórkami.

Homer rozwinął pogryzioną przez mole kapę, by mieli gdzie usiąść, i rozdał żywność na blaszanych talerzach. Łowca niewolników karmił więźniów takimi samymi porcjami, jakie jedli pozostali. Ten zwyczaj sięgał początków jego pracy w zawodzie. Mniej się wtedy skarżyli, a on kosztem obciążał klienta. Na skraju poczerniałego pola zjedli soloną wieprzowinę z fasolą przyrządzoną przez Bosemana. Muchy zlatywały się chmarami.

Po deszczu nasiliła się woń pożaru, a powietrze stało się gorzkie. Każdy kęs jedzenia, każdy łyk wody przesiąkł smakiem dymu. Jasper śpiewał:

– *Skaczcie, powiedział Zbawiciel! Skaczcie, jeśli chcecie zobaczyć Jego twarz!*

– Alleluja! – zawołał Boseman. – Mały tłusty Jezusek! – Jego słowa poniosły się echem, a on zatańczył, chlapiąc ciemną wodą.

– On nie je – zauważyła Cora.

Jasper od kilku posiłków odmawiał pożywienia. Zaciskał usta i krzyżował ramiona.

– Nie, to nie – odparł Ridgeway.

Czekał, aż dziewczyna coś mu odpowie, bo przyzwyczaił się do jej trajkotania w reakcji na jego uwagi. Przejrzeli się nawzajem. Milczała, by przerwać tę prawidłowość.

Przytruchtał Homer i spałaszował porcję Jaspera. Wyczuł, że Cora się w niego wpatruje, więc szeroko się uśmiechnął, nie podnosząc głowy.

Woźnica wozu był dziwnym małym diablikiem. Miał dziesięć lat, tyle co Chester, ale odznaczał się melancholijną gracją starego niewolnika służącego, sumą wyćwiczonych gestów. Skrupulatnie dbał o swój znakomity czarny garnitur i cylinder, wyciągał kłaczki z materiału i zanim je strząsnął, przyglądał się im jak jadowitym pająkom. Rzadko się odzywał, chyba że pokrzykując na konie. Sympatii czy sentymentów rasowych nie okazywał w ogóle. Cora i Jasper równie dobrze mogliby być niewidzialni, mniejsi niż tamte kłaczki.

Do powinności Homera należały powożenie, rozmaite praktyczne zadania oraz to, co Ridgeway nazywał „księgowością”. Homer zapisywał rachunki i opowieści Ridgewaya

w małym notesie, który nosił w kieszeni fraka. Co sprawiało, że te czy inne słowa łowcy niewolników zasługiwały na utrwalenie, Cora nie rozumiała. Chłopiec z równym zapałem notował banalne mądrości życiowe i rzeczowe stwierdzenia na temat pogody.

Zagadnięty pewnej nocy przez Corę, Ridgeway utrzymywał, że nigdy w życiu nie miał niewolnika, nie licząc tych czternastu godzin, kiedy Homer był jego własnością. Dlaczego nie? – spytała. Bo po co? – odpowiedział. Przejeżdżał właśnie przez obrzeża Atlanty, gdzie zwrócił właścicielowi męża i żonę przywiezionych aż z Nowego Jorku, kiedy napotkał rzeźnika usiłującego spłacić dług z hazardu. W prezencie ślubnym rzeźnik i jego żona dostali od jej rodziny matkę Homera. Rzeźnik sprzedał ją, gdy poprzednio prześladował go pech. Teraz przyszła kolej na małego. Namalował prostą tabliczkę z ofertą, którą powiesił mu na szyi.

Osobliwa wrażliwość chłopca poruszyła Ridgewaya. W lśniących oczach Homera, osadzonych w okrągłej, pucułowatej buzi, kryły się zarazem wściekłość i spokój. Łowca niewolników dostrzegł w nim pokrewną duszę. Kupił go za pięć dolarów, a następnego dnia podpisał dokumenty o jego wyzwoleniu. Homer

pozostał przy nim, choć Ridgeway bez przekonania próbował go przegonić. Rzeźnik nie miał zdecydowanych poglądów na temat edukacji kolorowych, więc pozwalał chłopcu uczyć się razem z dziećmi niektórych wolnych. Z nudów Ridgeway pomagał mu w nauce czytania. Gdy mu to pasowało, Homer udawał, że ma włoskie korzenie, i pozwalał pytającym trwać w oszołomieniu. Jego nietypowy strój ewoluował z czasem; usposobienie pozostawało bez zmian.

– Skoro jest wolny, dlaczego sobie nie pójdzie?

– Dokąd? – odparł Ridgeway. – Dość już się naoglądał, by wiedzieć, że czarny chłopiec nie ma przyszłości, nawet wolny. Nie w tym kraju. Rychło capnęłaby go jakaś nędzna kreatura i sprzedała na aukcji. Ze mną nauczy się świata. Znajdzie swój cel.

Co noc Homer bardzo starannie otwierał swoją torbę i wyjmował z niej kajdany. Przykuwał się do kozła woźnicy, chował klucz do kieszeni i zamykał oczy.

Ridgeway zauważył, że Cora mu się przygląda.

– Mówi, że tylko tak może zasnąć.

Homer każdej nocy chrapał jak stary bogacz.

Z kolei Boseman jeździł z Ridgewayem od trzech lat. Był wędrowcem z Karoliny Południowej, który trafił do tego fachu, gdy kolejno nie powiodło mu się jako dokerowi, poborcy długów i grabarzowi. Nie należał do najinteligentniejszych, ale miał talent do przewidywania życzeń Ridgewaya w sposób zarazem przedziwny i niezastąpiony. Kiedy dołączył do łowcy niewolników, gang liczył pięć osób, ale pracownicy oddalali się jeden po drugim z przyczyn nie do końca dla Cory zrozumiałych.

Poprzednim właścicielem naszyjnika z uszu był Indianin o imieniu Silny. Silny podawał się za tropiciela, ale bezbłędnie umiał wywęszyć tylko jedną zwierzynę: whisky. Boseman wygrał ozdobę w walce zapaśniczej, a kiedy Silny podważył wynik pojedynku, Boseman kropnął czerwonoskórego łopatą. Indianin stracił słuch i porzucił gang, by wyjechać do Kanady, gdzie podjął pracę w garbarni, a przynajmniej tak głosiła plotka. Uszy, choć suche i pomarszczone, podczas upałów przyciągały muchy. Boseman uwielbiał jednak tę pamiątkę, a obrzydzenie na twarzy każdego nowego klienta było dlań czymś wybornym. Jak niekiedy przypominał mu

Ridgeway, Indianina muchy nie dręczyły, kiedy naszyjnik należał do niego.

Boseman między kęsami wpatrywał się we wzgórza i miał nietypowo smętną minę. Odszedł za potrzebą, a kiedy wrócił, powiedział:

– Mój tatuś chyba kiedyś tędy jechał. Mówił, że wtedy rósł tu las. Jak wracał, wszystko oczyścili osadnicy.

– To teraz jest oczyszczone w dwójnasób – odparł Ridgeway. – Prawdę mówisz. Dawniej ta droga była końskim szlakiem. Kiedy następnym razem będzie ci potrzebna droga, Boseman, zadbaj, by mieć pod ręką dziesięć tysięcy głodujących Czirokezów, coby ci ją wydeptali. Zaoszczędzisz czas.

– Gdzie oni się podziali? – zapytała Cora. Po wieczorach spędzonych z Martinem potrafiła poznać, kiedy biały jest bliski opowiedzenia jakiejś historii. Miała wtedy trochę czasu na przemyślenie swoich możliwości.

Ridgeway z zapałem czytywał gazety. W jego fachu było to konieczne ze względu na ogłoszenia o zbiegach – Homer prowadził obszerną kolekcję – aktualności zaś zwykle potwierdzały jego teorie na temat społeczeństwa i gatunku ludzkiego. Przestając z tym typem ludzi, jakich zwykle zatrudniał, przywykł do

tłumaczenia najbardziej podstawowych prawd i faktów historycznych. Nie mógł oczekiwać, że młoda niewolnica będzie wiedziała, co to za okolice.

Powiedział, że siedzą na dawnej ziemi Czirokezów, ziemi, która należała niegdyś do ich czerwonych ojców, dopóki prezydent nie zdecydował inaczej i nie kazał ich usunąć. Osadnicy potrzebowali gruntów, a jeśli wtedy jeszcze Indianie nie zdążyli się nauczyć, że traktaty z białym człowiekiem nie mają żadnej wartości, dodał Ridgeway, to zasłużyli na to, co ich spotkało. W owym czasie kilku jego znajomych służyło w armii. Indian zapędzono do obozów, z kobietami, dziećmi i całym dobytkiem, jaki zdołali zarzucić na plecy, potem zaś kazano im maszerować na zachód od Missisipi. Szlak Łez i Śmierci, jak nazwał to później pewien czirokeski mędrzec, nie bez racji i nie bez indiańskiego retorycznego polotu. Choroby i niedożywienie, nie wspominając o mroźnej tamtego roku zimie, którą Ridgeway sam wspominał bez sentymentu, pochłonęły tysiące istnień. Kiedy dotarli do Oklahomy, czekali tam na nich kolejni biali ludzie, którzy zajęli ziemię obiecaną przesiedleńcom w ramach kolejnego bezwartościowego traktatu. Naprawdę wolno się

uczyli ci Indianie. Teraz zaś na tej drodze znajdowali się Ridgeway i reszta. Podróż do Missouri była wygodniejsza niż kiedyś, traktem ubitym przez małe czerwone stopy.

– Postęp – stwierdził łowca niewolników. – Mojemu kuzynowi się poszczęściło i w loterii wygrał kawałek indiańskiej ziemi na północy Tennessee. Hoduje tam kukurydzę.

Cora przekrzywiła głowę, rozglądając się po spustoszonym krajobrazie.

– Szczęściarz – powiedziała.

Po drodze Ridgeway wyjaśnił, że pożar musiał się zacząć od pioruna. Dym wypełnił niebo w promieniu setek mil, pięknie barwiąc zachód słońca fioletem i czerwienią dorodnych sińców. Oto wizytówka Tennessee: fantastyczne bestie tańczące w wulkanie. Cora po raz pierwszy przekroczyła granicę stanów, nie korzystając z kolei podziemnej. Tunele ją chroniły. Zawiadowca Lumbly mówił, że każdy stan jest stanem możliwości, rządzi się własnymi zwyczajami. Widok czerwonego nieba napawał ją strachem przed regułami tego nowego terytorium. Kiedy jechali w stronę dymu, zachód słońca zainspirował Jaspera do odśpiewania zbioru hymnów, które łączył motyw gniewu

Bożego i cierpień czekających grzeszników. Boseman wielokrotnie musiał zaglądać do wozu.

Miasteczko na skraju linii ognia pełne było uciekinierów.

– Zbiegowie – powiedziała Cora, a Homer obrócił się w koźle, żeby puścić do niej oko.

Białe rodziny, wynędzniałe i zgnębione, kłębiły się w obozie nieopodal głównej ulicy. Wokół ich nóg piętrzył się skromny dobytek, który zdołały uratować. Ulicą słaniały się postaci o obłąkanych twarzach, dzikim spojrzeniu, osmalonych ubraniach, ze szmatami owiniętymi wokół poparzeń. Cora przywykła do wrzasków kolorowych dzieci – z głodu, bólu, niedoli, rozdrażnienia obłędem osób mających je chronić. Krzyki tylu białych maleństw były dla niej czymś nowym. Jej sympatia leżała po stronie kolorowych.

W sklepie wielobranżowym powitały Ridgewaya i Bosemana puste półki. Temu pierwszemu sprzedawca powiedział, że pożar wywołali osadnicy, próbując wypalić zarośla. Ogień wymknął im się spod kontroli i z nienasyconym apetytem pustoszył te ziemie, póki nie spadł deszcz. Milion hektarów, powiedział sklepikarz. Rząd obiecał pomoc, ale nikt nie wiedział, kiedy ona nadejdzie. To

największa katastrofa, jaką ktokolwiek tu pamiętał.

Pierwotni mieszkańcy tych okolic mieli dokładniejszą wiedzę o tutejszych pożarach, powodziach i tornadach, pomyślała Cora, kiedy Ridgeway powtórzył słowa sklepikarza. Ale nie było ich tu, żeby się nią podzielić. Nie orientowała się, które z plemion nazywało to terytorium swym domem, wiedziała jednak, że kiedyś była to indiańska ziemia. Zresztą która nią nie była? Cora nigdy porządnie nie uczyła się historii, lecz czasem zamiast nauczyciela wystarczy mieć dwoje oczu.

– Musieli czymś rozgniewać Boga – stwierdził Boseman.

– To tylko iskra, która się rozniosła, nic więcej – odparł Ridgeway.

Po lunchu spędzili jeszcze trochę czasu na poboczu. Biali mężczyźni stali przy koniach, palili fajki i wspominali jakąś eskapadę. Choć Ridgeway często powtarzał, że długo polował na Corę, jakoś nie śpieszył się z dostarczeniem jej do Terrance’a Randalla. Ona bynajmniej na to spotkanie nie czekała. Pokuśtykała na spalone pole. Nauczyła się już chodzić w okowach. Aż dziw, że zajęło to tak wiele czasu. Zawsze współczuła nieszczęsnym karawanom skutych

ludzi prowadzonych żałosnym sznurem obok plantacji Randallów. A wystarczyło spojrzeć na nią teraz. Płynęła z tego niejednoznaczna nauka. Z jednej strony los przez wiele lat oszczędził Corze tej krzywdy. Z drugiej nieszczęście po prostu się nie śpieszyło – ale nie było przed nim ucieczki. Na skórze pod kajdanami pęczniały rany. Biali mężczyźni nie zwracali uwagi na Corę, kiedy szła ku czarnym drzewom.

Wtedy miała już za sobą kilka prób ucieczki. Kiedy się zatrzymali, by uzupełnić zapasy, Bosemana zaabsorbował kondukt żałobny, który wychodził zza rogu. Cora zdołała ujść kilka metrów, a potem podstawił jej nogę jakiś chłopiec. Dołożyli jej obrożę na szyję. Żelazne ogniwa opadały ku jej nadgarstkom niczym bluszcz. Z powodu łańcucha miała teraz posturę żebraka albo modliszki. Ponownie uciekła wtedy, gdy mężczyźni stanęli, by załatwić się na skraju drogi, i tym razem zaszła nieco dalej. Kiedy indziej spróbowała zbiec o zmierzchu, nieopodal strumienia; woda oznaczała ruch. Na śliskich kamieniach Cora runęła do wody i wtedy Ridgeway ją stłukł. Więcej nie uciekała.

Przez pierwsze dni po wyjeździe z Karoliny Północnej rzadko się odzywali. Cora sądziła, że konfrontacja z tłumem wyczerpała ich równie mocno jak ją, ale cisza była u tych mężczyzn normą – przynajmniej dopóki nie pojawił się Jasper. Boseman szeptał swe grubiańskie sugestie, a Homer w nieprzewidzianych momentach odwracał się na koźle, żeby rzucić jej niepokojący uśmiech, ale łowca niewolników jechał na czele, zachowując odległość. Czasem gwizdał.

Cora zorientowała się, że zamiast na południe jadą na zachód. Zanim poznała Caesara, nigdy nie przywiązywała wagi do położenia słońca. Kiedyś powiedział, że to może pomóc w ucieczce. Pewnego ranka zatrzymali się przed piekarnią w jakimś miasteczku. Cora zebrała się w sobie i zapytała Ridgewaya o zamiary.

Szeroko otworzył oczy, jakby tylko czekał, aż do niego podejdzie. Od tej pory uwzględniał ją w rozmowie o planach, jak gdyby miała coś do powiedzenia.

– Byłaś dla nas niespodzianką – odparł. – Ale nic się nie martw, niedługo dowieziemy cię do domu.

Potwierdził, że miała rację. Jechali na zachód. Pewien plantator z Georgii, niejaki Hinton, zlecił

Ridgewayowi sprowadzenie zbiegłego niewolnika, Nelsona. Krewni tego murzyna, chytrego i zaradnego byczka, mieszkali w jednej z osad kolorowych w Missouri; wiarygodne źródła potwierdziły, że w biały dzień praktykuje on tam swój fach trapera, nie lękając się kary. Hinton był poważanym farmerem, kuzynem gubernatora. Posiadał ziemię godną pozazdroszczenia. Niestety, jeden z nadzorców wygadał wszystko pewnej niewolnicy, więc zachowanie Nelsona uczyniło jego właściciela przedmiotem drwin. Hinton sposobił chłopaka na nadzorcę. Obiecał Ridgewayowi hojną nagrodę, posunął się nawet do spisania kontraktu podczas pretensjonalnej ceremonii. Za świadka robił stary smoluch, który cały czas kasłał w dłoń.

Biorąc pod uwagę niecierpliwość Hintona, najrozsądniej było jechać dalej do Missouri.

– Kiedy już zgarniemy naszego zbiega, wrócisz do swojego pana – powiedział Ridgeway. – Z tego, co widziałem, zgotuje ci nie lada powitanie.

Nie ukrywał pogardy dla Terrance’a Randalla; jak to określił, ten człowiek „miał bujną wyobraźnię”, jeśli chodzi o dyscyplinowanie czarnuchów. To nie ulegało wątpliwości, odkąd

tylko Ridgeway i jego ludzie skręcili w drogę do dworu i zobaczyli trzy szubienice. Na jednej wisiała młoda dziewczyna – dyndała na dużym metalowym haku wbitym między żebra. Ziemia pod spodem była ciemna od jej krwi. Dwie pozostałe szubienice czekały.

– Gdyby nie zatrzymały mnie sprawy na północy stanu, na pewno zgarnąłbym całą waszą trójkę, zanim trop ostygł – stwierdził łowca niewolników. – Lovey, chyba tak się nazywała?

Cora zakryła usta, żeby stłumić krzyk. Nie zdołała. Ridgeway czekał dziesięć minut, aż się uspokoi. Mieszkańcy miasteczka patrzyli na leżącą na ziemi kolorową dziewczynę i przestępowali nad nią, by wejść do piekarni. Ulicę wypełniała woń wypieków, słodka i pociągająca.

Ridgeway opowiedział, że Boseman i Homer czekali na podjeździe, podczas gdy on rozmawiał z panem domu. Za czasów Starego Randalla było to miejsce przyjemne i pełne życia – owszem, łowca niewolników odwiedził je już wcześniej, gdy bez powodzenia szukał matki Cory. Wystarczyła minuta z Terrance'em, by przyczyna fatalnej atmosfery stała się jasna. Syn Randalla to człowiek podły, i to taką podłością, która infekuje wszystko dokoła. Dzień był szary i ospały od

chmur burzowych, czarnuchy ze służby – powolne i ponure.

Gazety chętnie propagowały fantazję szczęśliwej plantacji i zadowolonego niewolnika, który śpiewa, tańczy i kocha swego pana. Ludzie lubili takie rzeczy, a poza tym to użyteczne politycznie, zważywszy na walkę ze stanami północnymi i ruchem antyniewolniczym. Ridgeway wiedział, że ten obraz jest fałszywy – nie musiał się łudzić, na czym polega niewolnictwo – ale koszmar plantacji Randalla również nie był prawdziwy. To nawiedzone miejsce. Czy można się dziwić smutkowi niewolników, gdy obok buja się trup na haku?

Terrance przyjął Ridgewaya w salonie. Był pijany i nie chciało mu się ubrać – wyciągnął się na sofie w czerwonym szlafroku. Strasznie jest oglądać, jak bardzo może zdegenerować się rodzina przez jedno pokolenie, powiedział łowca niewolników, ale czasem pieniądze tak działają. Uwydatniają skazy. Terrance pamiętał go z wcześniejszej wizyty, kiedy na bagnach zniknęła Mabel, tak jak teraz tych troje. Powiedział, że jego ojciec był wzruszony, kiedy Ridgeway przyjechał osobiście, żeby przeprosić za swoją nieudolność.

– Mógłbym tego młodego Randalla dwa razy zdzielić po twarzy, a i tak nie straciłbym zlecenia – powiedział Ridgeway. – Ale w moim wieku wolałem zaczekać, aż będę miał w garści ciebie i tego drugiego. Dobrze obrać jakiś cel. – Wnioskując z zawziętości Terrance'a i wysokości nagrody, domyślił się, że Cora była jego konkubiną.

Cora pokręciła głową. Skończyła już płakać i teraz stała, opanowawszy drżenie, z dłońmi zaciśniętymi w pięści.

Ridgeway na chwilę zawiesił głos.

– A więc chodzi o coś innego – stwierdził. – W każdym razie jesteś dla niego ważna.

Kontynuował opowieść o odwiedzinach na plantacji Randalla. Terrance opisał mu stan rzeczy od czasu złapania Lovey. Tego ranka jego człowiek, Connelly, dowiedział się, że Caesar bywał u miejscowego sklepikarza – podobno sprzedawał on wyroby z drewna strugane przez czarnucha. Może Ridgeway zaszedłby do owego pana Fletchera i sprawdził, co z tego wyniknie. Dziewczynę Terrance chciał mieć żywcem, ale ten drugi mógł wrócić na plantację w dowolnym stanie. Czy Ridgeway wiedział, że chłopak pochodził z Wirginii?

Ridgeway nie wiedział. To jakiś przytyk pod adresem stanu, z którego sam się wywodził. Okna były zamknięte, a mimo to do pomieszczenia napłynął nieprzyjemny zapach.

– Właśnie tam nauczył się złych manier – powiedział Terrance. – Oni są tam miękcy. Niech się przekona, jak załatwiamy sprawy w Georgii.

Nie chciał mieszać do tego stróży prawa. Zbiegów ścigano za morderstwo białego chłopca, więc gdyby zwiedział się o nich motłoch, nie dotarliby z powrotem na plantację. Obiecana nagroda miała nagrodzić dyskrecję.

Łowca niewolników odjechał. Ośka pustego wozu hałasowała, jak zawsze, gdy nie uciszało jej żadne obciążenie. Ridgeway obiecał sobie, że kiedy tu wróci, wóz nie będzie pusty. Nie ma mowy, żeby przepraszał za porażkę kolejnego Randalla, zwłaszcza tego szczeniaka, który teraz rządził plantacją. Nagle usłyszał jakiś dźwięk i odwrócił się w kierunku domu. Dźwięk dobiegł od strony tej dziewczyny, Lovey. Ruszała ręką. Czyli jednak wciąż żyła.

– Wytrzymała jeszcze z pół dnia, jak słyszałem.

Kłamstwa Fletchera natychmiast się posypały – był jednym z owych słabych religijnych osobników – i wyjawił nazwisko

swego wspólnika z kolei, niejakiego Lumbly'ego. Po nim jednak ślad zaginął. Już nie wrócił po wywiezieniu Cory i Caesara ze stanu.

– Wywiózł was do Karoliny Południowej, prawda? – zapytał Ridgeway. – Czy to ten sam, który przemycił na północ twoją matkę?

Cora milczała. Nietrudno było wyobrazić sobie los Fletchera, a być może również jego żony. Przynajmniej Lumbly uciekł. I nie odkryli tunelu pod stodołą. Możliwe, że pewnego dnia skorzysta z tamtej drogi jakiś nieszczęśnik. Oby odjechał wtedy ku lepszemu losowi.

Ridgeway pokiwał głową.

– Nic to. Mamy jeszcze dużo czasu, żeby sobie o wszystkim opowiedzieć. Do Missouri długa droga.

Stróże prawa na południu Wirginii dotarli do zawiadowcy stacji, który wydał nazwisko ojca Martina. Donald już nie żył, ale Ridgeway chciał zorientować się w jego sposobie działania, zrozumieć, jeśli to możliwe, mechanizm szerzej zakrojonej zmowy. Nie spodziewał się znaleźć Cory, ale wielce go to uradowało.

Boseman przykuł ją do wozu. Nauczyła się już dźwięku zamka. Na moment się zacinał, a potem zapadka wskakiwała na właściwe miejsce. Nazajutrz dołączył Jasper. Dygotał niczym zbity

pies. Cora próbowała wciągnąć go w rozmowę, pytała o miejsce, z którego zbiegł, o szczegóły uprawy trzciny cukrowej, o to, jak uciekł. Odpowiadał hymnami i modlitwami.

To było cztery dni wcześniej. Teraz stała na czarnym pastwisku nieszczęsnego Tennessee, pod jej stopami chrzęściło spalone drewno.

Nasilił się wiatr, a wraz z nim deszcz. Postój dobiegł końca. Homer posprzątał po posiłku. Ridgeway i Boseman wystukali fajki, a młodszy z nich gwizdnął na Corę, żeby wróciła. Wzgórza i góry Tennessee wznosiły się wokół niej niczym ścianki czarnej misy. Jakże straszliwe musiały być płomienie, jakże wściekłe, skoro wywołały takie spustoszenie. Pełzamy w misie pełnej popiołu. W tym, co pozostaje, gdy ogień pochłonie wszystko wartościowe, w ciemnym pyle rozdmuchiwanym przez wiatr.

Boseman przeciągnął łańcuch Cory przez pierścień w podłodze, a potem zabezpieczył. W podłogę wozu wbito dziesięć pierścieni, dwa razy po pięć, w sam raz, jeśli czasem trafi się większy transport. W sam raz dla tych dwojga. Jasper zajął ulubione miejsce na ławie. Nucił

z animuszem, jakby właśnie wrócił z bożonarodzeniowej uczty.

– *Gdy Zbawiciel wezwie cię, zrzucisz wtedy brzemię swe, zrzucisz brzemię swe.*

– Boseman… – odezwał się cicho Ridgeway.

– *Spojrzy w duszę twą, grzeszniku, i ujrzy czyny twe, ujrzy czyny twe.*

Boseman odpowiedział:

– Aha.

Łowca niewolników wsiadł do wozu po raz pierwszy, odkąd schwytał Corę. Trzymał w ręce pistolet Bosemana. Strzelił Jasperowi prosto w twarz. Krew i kości pokryły wnętrze plandeki i ochlapały brudną sukienkę Cory.

Ridgeway otarł twarz, a potem wytłumaczył swój sposób rozumowania. Nagroda za Jaspera wynosiła pięćdziesiąt dolarów, z czego piętnaście należało się druciarzowi, który wpakował zbiega do aresztu. Droga do Missouri, a później z powrotem na wschód do Georgii – minęłoby jeszcze wiele tygodni, zanim zwróciliby chłopaka właścicielowi. Jeśli podzielić trzydzieści pięć dolarów przez, powiedzmy, trzy tygodnie i potrącić od tego dolę Bosemana, utracona nagroda to niewielka cena za ciszę i spokój.

Homer otworzył swój zeszyt i sprawdził obliczenia szefa.

– Ma rację – oznajmił.

Podróż przez Tennessee ukazywała pasmo nieszczęść. Pożar pochłonął dwa kolejne miasteczka na spopielonej drodze. Rano zza wzgórza wyłoniły się resztki niewielkiej osady, skupisko wypalonego drewna i sczerniałej kamieniarki. Najpierw dostrzegli kikuty domów, które niegdyś mieściły marzenia pionierów, a potem dotarli do właściwego miasteczka – ciągu zrujnowanych budowli. Następna miejscowość była nieco większa, ale skalą zniszczeń dorównywała tamtej. W jej sercu znajdowało się szerokie skrzyżowanie; na spustoszonych alejach kiedyś kwitła przedsiębiorczość. Piec w ruinach piekarni sterczał jak ponury totem. Za kratami w więziennej celi leżały poskręcane zwłoki.

Cora nie umiała stwierdzić, która cecha krajobrazu przekonała osadników, by zbudowali tu swoją przyszłość: żyzna ziemia, woda czy widoki. Wszystko to zostało wymazane. Jeśli ocalali wrócą, to tylko po to, by utwierdzić się w przekonaniu, że muszą spróbować ponownie gdzie indziej, uciec z powrotem na wschód lub

przeć dalej na zachód. Tutaj wskrzeszenia nie będzie.

Później wydostali się poza zasięg pożaru. Po ich pobycie na spalonej ziemi brzozy i dzikie trawy zdawały się wibrować niemożliwą barwą, rajską i krzepiącą. Boseman żartem zaczął naśladować śpiewy Jaspera, by zakomunikować zmianę nastroju. Czarny krajobraz dał im się we znaki bardziej, niż sądzili. Na polach dorodna kukurydza, już teraz dobrze ponadpółmetrowa, zapowiadała obfite zbiory – z równą mocą, z jaką wcześniej spustoszona ziemia zwiastowała nadchodzącą nędzę.

Wkrótce po południu Ridgeway zarządził postój. Zesztywniał, odczytując na głos tablicę na rozdrożu. Następne miasto ogarnęła żółta febra, oznajmił. Podróżnych przestrzegano przed dalszą drogą. Alternatywny szlak, węższy i nierówny, prowadził na południowy zachód.

Znak jest nowy, stwierdził Ridgeway. Choroba pewnie jeszcze nie minęła.

– Na żółtą febrę umarło moich dwóch braci – powiedział Boseman. Wychował się nad Missisipi. Febra lubiła nawiedzać to miejsce, gdy robiło się ciepło. Skóra jego młodszych braci pożółkła i zrobiła się woskowa, krwawili z oczu i dupy, ich drobnymi ciałami szarpały drgawki.

Jacyś ludzie zabrali ich zwłoki na skrzypiących taczkach. – To parszywa śmierć – zakończył opowieść, znowu niechętny do żartów.

Ridgeway znał to miasteczko. Burmistrz był przekupnym prostakiem, a od żarcia dostawało się rozwolnienia, ale pomyślał o tamtejszych ludziach życzliwie. Przez nadłożenie drogi podróż znacznie się wydłuży.

– Febra przychodzi na statkach – powiedział. Przez Indie Zachodnie prosto z czarnego kontynentu, śladem szlaku handlowego. – To ludzki podatek od postępu.

– Kim jest poborca, który go ściąga? – zapytał Boseman. – Nigdy go nie widziałem.

Ze strachu był niespokojny i odęty. Nie chciał tkwić w jednym miejscu, nawet to rozdroże znajdowało się zbyt blisko objęć choroby. Nie czekając na polecenie Ridgewaya – albo w reakcji na prywatny sygnał między łowcą niewolników a jego małym sekretarzem – Homer ruszył wóz, by oddalić się od przeklętego miasteczka.

To samo ostrzeżenie powtarzało się na dwóch innych tablicach w kierunku południowo-zachodnim. Na ścieżkach biegnących do miejscowości poddanych kwarantannie nie widziało się czyhającego dalej zagrożenia. Po długiej podróży przez ziemie spustoszone

ogniem niewidzialne niebezpieczeństwo zdawało się bardziej przerażające. Minęło wiele czasu, zanim, już po zmroku, zatrzymali się ponownie. Na tyle, by Cora zdążyła przemyśleć całą drogę z plantacji Randallów i upleść gruby warkocz ze swych nieszczęść.

W księdze niewolnictwa lista goniła listę. Imiona zebrane na afrykańskim wybrzeżu w dziesiątkach tysięcy manifestów ładunkowych. Spisy ludzkiego towaru. Imiona zmarłych były równie ważne jak żyjących; z każdej straty z powodu choroby czy samobójstwa – albo innych wypadków, tak właśnie określanych na potrzeby księgowości – należało wytłumaczyć się przed pracodawcami. Na aukcjach notowano zakupionych, a na plantacjach zarządcy rejestrowali imiona robotników równymi rzędami starannego pisma. Każde imię to majątek, oddychający kapitał, ucieleśniony zysk.

Ten właśnie mechanizm spowodował, że i Cora zaczęła tworzyć listy. W jej rejestrze utraty ludzie nie byli jednak sprowadzeni do sum, ale pomnożeni przez swoją życzliwość. Ludzie, których kochała, ludzie, którzy jej pomogli. Kobiety z Hobu, Lovey, Martin i Ethel, Fletcher. Ci, co zniknęli: Caesar, Sam, Lumbly. Za Jaspera nie odpowiadała, ale plamy jego krwi na wozie

i ubraniu Cory równie dobrze mogły symbolizować jej zmarłych.

Tennessee było przeklęte. Początkowo spustoszenie tego stanu – pożogę i chorobę – przypisywała sprawiedliwości. Biali dostali to, na co zasłużyli. Za zniewolenie jej ludu, za masakrę innej rasy, za kradzież ziemi. Niech ich pali ogień i gorączka, niech zniszczenie, które się tu zaczęło, kroczy hektar po hektarze, aż zostaną pomszczeni wszyscy zabici. Ale jeśli ludzie sami sprowadzają na siebie należne im nieszczęście, co takiego zrobiła ona, by zasłużyć na swój los? Na kolejnej liście zebrała decyzje, które doprowadziły ją do tego wozu i jego żelaznych pierścieni. Zaczęło się od tamtego chłopca, Chestera, ochronionego przez nią własnym ciałem. Zwykła sankcja za nieposłuszeństwo to bicz. Ucieczka natomiast była występkiem tak wielkim, że kara objęła każdą życzliwą duszę, jaką Cora napotkała podczas swej krótkiej wędrówki po wolności.

Podskakując na resorach wozu, czuła zapach wilgotnej gleby i falujących drzew. Dlaczego to pole uszło zniszczeniu, choć tamto pięć mil wcześniej spłonęło? Na plantacji sprawiedliwość była okrutna i konsekwentna, świat natomiast nie wybierał. W prawdziwym świecie należna

zapłata omijała podłych, a w ich miejsce pod drzewem chłosty stawali dobrzy ludzie. Klęski w Tennessee to zrządzenie obojętnej natury, niezwiązane z winami osadników. Z tym, jak żyli Czirokezi.

To tylko iskra, która się rozniosła.

Nieszczęść Cory żadne łańcuchy nie przykuły do jej charakteru ani do jej czynów. Miała czarną skórę, a czarnych ludzi świat traktuje właśnie tak. Ni mniej, ni więcej. Każdy stan jest inny, mówił Lumbly. Jeśli Tennessee miało swój temperament, to odziedziczony po mrocznej osobowości świata gustującego w uznaniowych karach. Nikt nie mógł liczyć, że zostanie oszczędzony, bez względu na kształt marzeń ani kolor skóry.

Młody człowiek o ciemnych oczach jak kamyczki i kręconych ciemnych włosach przykrytych słomkowym kapeluszem prowadził z zachodu parę koni roboczych. Policzki miał od słońca boleśnie spalone na czerwono. Zatrzymał grupę Ridgewaya. Powiedział, że dalej leży duża osada znana z tego, że tętni życiem. Jeszcze tego ranka była wolna od żółtej febry. Ridgeway podzielił się wiedzą o tym, co czeka mężczyznę w przeciwnym kierunku, i podziękował.

Wkrótce na drogę powrócił ruch. Przyczyniały się do niego nawet zwierzęta i owady. Czworo podróżnych znowu stykało się z widokami, odgłosami i dźwiękami cywilizacji. W domach i chatach na obrzeżach miasta paliły się lampy. Rodziny sposobiły się do wieczoru. Potem przed jadącymi wyrosło miasto, największe, jakie Cora widziała od Karoliny Północnej, nawet jeśli młodsze niż tamto. Długa główna ulica z dwoma bankami i rzędem głośnych knajp wystarczyła, żeby przypomnieć dziewczynie czasy zamieszkiwania w domu noclegowym. Nic nie wskazywało na to, by na noc miasto cichło: sklepy były otwarte, mieszkańcy krążyli po drewnianych chodnikach.

Boseman upierał się, by tutaj nie nocować. Jeśli febra jest blisko, lada chwila może zaatakować właśnie tu, może nawet już buzuje w organizmach mieszkańców. Ridgeway, choć poirytowany, ustąpił, mimo że tęsknił za porządnym łóżkiem. Postanowili, że po uzupełnieniu zapasów rozbiją obóz dalej przy drodze.

Kiedy mężczyźni poszli załatwiać sprawy, Cora pozostała przykuta w wozie. Spacerujący dostrzegali ją przez otwory w plandece i odwracali wzrok. Mieli srogie twarze. Ich

ubrania były proste i zgrzebne, mniej wyszukane niż białych ludzi w miastach na wschodzie. Ubrania osadników, a nie osiadłych.

Homer wsiadł do wozu, pogwizdując jedną z monotonniejszych przyśpiewek Jaspera. Martwy niewolnik wciąż im towarzyszył. Chłopiec trzymał pakunek owinięty w brązowy papier.

– To dla ciebie – powiedział.

Sukienka była granatowa, z białymi guzikami, uszyta z miękkiej bawełny pachnącej medykamentami. Dziewczyna uniosła ją tak, żeby zasłonić plamy krwi na plandece, ostro odcinające się od płótna oświetlanego z zewnątrz światłami latarni.

– Włóż, Coro – powiedział Homer.

Uniosła ręce, zadzwoniły łańcuchy.

Chłopiec uwolnił jej kostki i nadgarstki. Jak zawsze w takim momencie rozważyła szanse ucieczki, i uznała, że to na nic. W takim mieście, surowym i dzikim, szybko zbierają się tłumy, pomyślała. Czy wiadomość o chłopcu z Georgii dotarła aż tutaj? O wypadku, o którym Cora nigdy nie myślała i którego nie uwzględniła na liście swych występków? Miejsce tego chłopca było na jego własnej liście – ale według jakich kryteriów ułożonej?

Homer patrzył, jak Cora się ubiera, niczym lokaj usługujący jej od kołyski.

– Mnie złapał – mruknęła. – Ty bycie z nim wybrałeś sam.

Chłopiec zrobił zdziwioną minę. Wyjął notes, otworzył na ostatniej stronie i coś naskrobał. Kiedy skończył, ponownie założył Corze kajdany. Dał jej niedopasowane drewniaki. Właśnie miał przykuć dziewczynę łańcuchem do wozu, kiedy Ridgeway kazał ją z niego ściągnąć.

Boseman wciąż szukał golarza i łaźni. Łowca niewolników wręczył Homerowi gazety i ogłoszenia o zbiegach, które dostał w areszcie od zastępcy szeryfa.

– Zabieram Corę na kolację – oznajmił, po czym zaprowadził ją w hałaśliwy tłum.

Homer wrzucił jej brudną sukienkę do rynsztoka. Brąz zakrzepłej krwi zlał się z błotem.

Drewniaki uwierały, jednak Ridgeway nie zwolnił kroku, by dostosować się do tempa Cory. Szedł przodem, nie przejmując się tym, że mogłaby uciec. Jej łańcuchy były niczym krowi dzwonek. Biali mieszkańcy Tennessee nie zwracali na nią uwagi. O ścianę stajni opierał się młody murzyn – jedyny człowiek, który zarejestrował jej obecność. Wolny, sądząc z wyglądu, ubrany w pasiaste szare spodnie

i kamizelkę ze skóry wołowej. Wiódł za nią wzrokiem, tak jak ona kiedyś wiodła wzrokiem za wlokącymi się karawanami skutych niewolników, które mijały plantację Randallów. Widzieć okowy u innego i cieszyć się, że nie są twoje – oto szczęście dane kolorowym, wyznaczane tym, o ile gorszy los mógłby ich spotkać w każdej chwili. Jeśli spojrzenia dwóch takich osób się spotykały, obie odwracały wzrok. Ale nie ten mężczyzna. Skinął głową, zanim przesłonili go przechodnie.

W Karolinie Południowej Cora zaglądała do baru Sama, ale nigdy nie przestąpiła progu. Jeśli teraz wyglądała osobliwie wśród klientów lokalu, jedno spojrzenie Ridgewaya wystarczyło, żeby wrócili do swoich spraw. Gruby mężczyzna za barem robił skręta z tytoniu i wpatrywał się w potylicę łowcy niewolników.

Ridgeway zaprowadził Corę do chwiejnego stołu pod tylną ścianą. Woń duszonego mięsa tłumiła zapach piwa wsiąkniętego w podłogę, ściany i sufit. Obsługująca dziewczyna miała warkoczyki, szerokie ramiona i grube ręce ładowacza bawełny. Ridgeway zamówił jedzenie.

– Drewniaki wziąłem z konieczności – stwierdził. – Ale w tej sukience ci dobrze.

– Jest czysta – odrzekła Cora.

– No, no. Przecież nasza Cora nie może wyglądać jak podłoga w rzeźni.

Chciał tym wywołać jej reakcję. Nie doczekał się. Z sąsiedniego baru dobiegły dźwięki pianina. Brzmiały tak, jakby po klawiszach tam i z powrotem biegał szop.

– Ciągle nie zapytałaś o swojego wspólnika. Caesara. Czy wiadomość dotarła do gazet w Karolinie Północnej?

A więc to będzie przedstawienie, niczym te piątkowe widowiska w parku. Ridgeway kazał jej wystroić się na wieczór w teatrze. Czekała.

– Dziwnie się jeździ do Karoliny Południowej, odkąd mają ten nowy system – kontynuował. – Niejedną przygodę tam miałem w dawnych czasach. Ale dawne czasy wcale daleko nie odeszły. Oni tam dużo mówią o pomocy murzynom i cywilizowaniu dzikich, ale to wciąż to samo wygłodniałe miejsce.

Dziewczyna przyniosła piętki chleba i miski duszonej wołowiny z ziemniakami. Ridgeway coś do niej szepnął, patrząc przy tym na Corę, coś, czego ta nie usłyszała. Dziewczyna roześmiała się. Cora zrozumiała, że mężczyzna jest pijany.

– Dopadliśmy toto w fabryce, kiedy kończyło zmianę – powiedział, siorbiąc. – Wokół niego kolorowe byczki, znowu pełne strachu, chociaż

myślały, że mają to już za sobą. Z początku nic wielkiego, ot, następny złapany zbieg. A potem rozeszły się wieści, że Caesara ścigają za morderstwo małego chłopca…

– Nie małego – wtrąciła Cora.

Ridgeway wzruszył ramionami.

– Włamali się do aresztu. Właściwie to drzwi im otworzył szeryf, ale to mniej dramatyczne. Włamali się do aresztu i rozerwali toto czarne na strzępy. Przyzwoici ludzie z Karoliny Południowej z tymi swoimi szkołami i bonami.

Wiadomość o Lovey zdruzgotała Corę na oczach Ridgewaya. Tym razem było inaczej. Przygotowała się – oczy mu świeciły, ilekroć miał zrobić coś okrutnego. A ona już od dawna wiedziała, że Caesar nie żyje. Ta świadomość pojawiła się pewnej nocy na strychu niczym iskierka, mała, prosta prawda: Caesarowi nie udało się uciec. Nie znajdował się teraz na północy, nie nosił nowego garnituru, nowych butów, nowego uśmiechu. Siedząc w ciemności, wtulona w krokwie, Cora zrozumiała, że znowu jest sama. Dopadli go. Zanim Ridgeway zapukał do drzwi Martina, zdążyła już przestać płakać po Caesarze.

Łowca niewolników wyciągnął chrząstkę spomiędzy zębów.

– Tak czy siak, zarobiłem parę groszy za jego złapanie, a po drodze zwróciłem właścicielowi innego chłopaczka. Koniec końców dobrze na tym wyszedłem.

– Gania pan za tymi pieniędzmi Randalla jak stary smoluch – stwierdziła Cora.

Ridgeway oparł wielkie dłonie na blacie nierównego stołu i przechylił go w swoją stronę. Potrawka przelała się przez brzegi misek.

– Powinni to naprawić – mruknął.

W daniu pływały grudki mąki, którą było zagęszczone. Cora rozgniatała je językiem tak jak na plantacji, gdy posiłek przygotowała jedna z pomocnic Alice, a nie sama stara kucharka. Za ścianą pianista zaczął grać skoczną melodię. Podpita para ruszyła potańczyć.

– Jaspera nie zabił motłoch – powiedziała Cora.

– Zawsze trafiają się nieprzewidziane konsekwencje – odparł Ridgeway. – Nikt mi nie zwróci za całe żarcie, które toto zjadło.

– Opowiada pan o swoich racjach, nazywa rzeczy innymi słowami, jakby to zmieniało, czym one są rzeczywiście. Ale nie robią się od tego prawdziwe. Zabił pan Jaspera z zimną krwią.

– To była sprawa bardziej osobista – przyznał. – A nie taka, o jakich teraz mówię. Ty

i twój przyjaciel zabiliście chłopca. Mieliście swoje powody.

– Chciałam uciec.

– Właśnie o to mi chodzi, o przetrwanie. Czy czujesz się z tym podle?

Śmierć chłopca to coś, co skomplikowało Corze ucieczkę, podobnie jak brak pełni czy utrata przewagi na starcie przez to, że Lovey przyuważono, gdy wychodziła z chaty. Teraz jednak w jej duszy otworzyła się jakaś klapa i Cora zobaczyła chłopca dygoczącego na łożu śmierci, zobaczyła matkę zalaną łzami nad jego grobem. Jego również opłakiwała, choć nie zdawała sobie z tego sprawy. Kolejną osobę zaplątaną w ten proceder jednakowo wiążący niewolnika i pana. W myślach usunęła chłopca z osobnej listy i umieściła poniżej Martina i Ethel, chociaż nie znała jego imienia. X – tak jak się podpisywała, zanim poznała alfabet.

Mimo wszystko Ridgewayowi odpowiedziała:

– Nie.

– Oczywiście, że nie. To bez znaczenia. Już lepiej płakać po spalonych polach kukurydzy albo po tym wołu, który pływa w naszej zupie. Człowiek robi, co musi, żeby przeżyć. – Mężczyzna otarł usta. – Ale masz rację z tą swoją skargą. Wymyślamy różne ładne słowa, żeby

ukryć, jak jest naprawdę. Na przykład teraz w gazetach mądrzy ludzie rozpisują się o Boskim Przeznaczeniu. Jakby to była nowa myśl. Nie wiesz, o czym mówię, prawda?

Cora wyprostowała się na krześle.

– To następne słowa do upiększania rzeczywistości – odpowiedziała.

– Oznaczają branie tego, co swoje, swojej własności, cokolwiek się za nią uważa. A wszyscy inni muszą zająć przypisane im miejsca, żeby to umożliwić. Czerwonoskórzy i Afrykanie mają oddać siebie, dawać z siebie, żebyśmy dostali, co nam się słusznie należy. Francuzi mają zrezygnować z roszczeń terytorialnych. Brytyjczycy i Hiszpanie mają się wycofać. Mój ojciec lubił indiańskie bajanie o Wielkim Duchu. Wiele lat później ja wolę amerykańskiego ducha, tego, który przywołał nas ze Starego Świata do Nowego, żebyśmy podbijali, budowali i cywilizowali. I niszczyli to, co zniszczyć trzeba. Dźwigali gorsze rasy. A jeśli nie dźwigali, to podporządkowali sobie. A jeśli nie podporządkowali, to wytępili. Nasze przeznaczenie z boskiego przepisu, amerykański imperatyw.

– Muszę do wychodka – przerwała mu Cora.

Kąciki ust Ridgewaya opadły. Dał znak, żeby szła przodem. Stopnie wiodące do zaułka za knajpą były śliskie od wymiocin, więc złapał dziewczynę za łokieć, żeby ją przytrzymać. Zamknięcie drzwi wychodka, odcięcie się od tego człowieka, przyniosło Corze największą przyjemność od bardzo dawna.

Ridgeway niezrażony kontynuował przemowę.

– Weźmy twoją matkę – mówił. – Mabel. Wykradzioną właścicielowi przez zbłąkanych białych i ich kolorowych kompanów w ramach przestępczego spisku. Wypatrywałem jej od tamtej pory, przetrząsnąłem Boston i Nowy Jork, wszystkie osady czarnych. Syracuse. Northampton. Ona jest teraz w Kanadzie, śmieje się z Randallów i ze mnie. Uznaję to za osobistą zniewagę. To dlatego kupiłem ci tę sukienkę. Żeby łatwiej ją sobie wyobrazić opakowaną jak prezent dla jej pana.

Nienawidził matki Cory równie mocno jak ona sama. To oraz fakt, że oboje mieli parę oczu w czaszce, oznaczało, że łączą ich dwie rzeczy.

Łowca niewolników zamilkł na chwilę; jakiś pijak chciał skorzystać z wychodka. Ridgeway go przegonił.

– Uciekałaś przez dziesięć miesięcy – kontynuował. – To dostateczna obraza. Ty i twoja matka tworzycie ród, który trzeba wytępić. Teraz jesteś ze mną od tygodnia, skuta łańcuchami, i pyskujesz mi bez przerwy, choć w domu czeka cię krwawe powitanie. Lobby abolicjonistów uwielbia pokazywać takich jak ty, żeby wygłaszali przemówienia do białych ludzi niemających pojęcia o działaniu świata.

Ridgeway się mylił. Gdyby Cora dotarła na północ, zniknęłaby, zaczęła życie niedyktowane ich warunkami. Tak jak Mabel. To jedno matka jej wpoiła.

– Odgrywamy swoje role – ciągnął mężczyzna. – Niewolnik i łowca niewolników. Pan i kolorowy nadzorca. Nowo przybyli w portach, politycy, szeryfowie, dziennikarze, matki wychowujące silnych synów. Ludzie tacy jak ty i twoja matka to najlepsi przedstawiciele waszej rasy. Wasi słabeusze zostali wyplenieni, umierają na statkach, umierają na nasze europejskie choroby albo na polach przy uprawie naszej bawełny i indygo. Musicie być silni, żeby przetrwać tę pracę i czynić nas coraz większymi. Tuczymy wieprze nie dlatego, że sprawia nam to przyjemność, ale ponieważ potrzebujemy wieprzy, by przeżyć. Ale nie

możecie być zbyt mądrzy. Ani zbyt sprawni, bo biegalibyście szybciej od nas.

Cora skończyła i ze stosu kartek wzięła ogłoszenie o zbiegłym niewolniku, by się nim podetrzeć. Potem czekała. Nędzne to wytchnienie, ale dla niej jedyne.

– Usłyszałaś moje nazwisko, kiedy byłaś jeszcze małym murzyniątkiem – powiedział Ridgeway. – Nazwisko oznaczające karę, która ściga zbiega na każdym kroku, gnębi każdego, kto myśli o ucieczce. Jeden niewolnik sprowadzony przeze mnie do domu oznacza, że dwudziestu innych porzuci plany, by czmychnąć przy pełni księżyca. Symbolizuję porządek. Kiedy znika niewolnik, to też coś symbolizuje. Nadzieję. Niweczy moją pracę, bo niewolnikowi na sąsiedniej plantacji przychodzi do głowy, że on też może uciec. Jeśli na to pozwolimy, zaakceptujemy skazę imperatywu. Nie zgadzam się na to.

Z sąsiedniego lokalu płynęła teraz wolna muzyka. Pary obejmowały się, kołysały i obracały. Oto prawdziwa rozmowa – wolny taniec z drugą osobą, a nie te wszystkie słowa. Cora wiedziała to, chociaż nigdy nie tańczyła z nikim w taki sposób, a kiedy Caesar poprosił, odmówiła. Może wszystko, co powiedział łowca

niewolników, to prawda, pomyślała, każde jego usprawiedliwienie, może synowie Chama są przeklęci, a właściciel niewolników wypełnia Bożą wolę. A może po prostu człowiek gada do drzwi wychodka, czekając, aż ktoś w środku podetrze sobie dupę.

Cora i Ridgeway wrócili do wozu. Homer małymi kciukami pocierał lejce, a Boseman sączył whisky z butelki.

– To miasto już toczy choroba – wymamrotał. – Czuję jej zapach. – Ruszył przodem, opowiadając o swych rozczarowaniach. Udało mu się ogolić i wykąpać; z gładką twarzą wyglądał prawie niewinnie. Natomiast w burdelu nie spisał się jako mężczyzna. – Rajfurka pociła się jak mysz i wiedziałem, że mają chorobę, ona i jej dziwki. – Ridgeway pozwolił mu zdecydować, jak daleko od miasta rozbiją obóz.

Cora spała od niedawna, kiedy Boseman zakradł się do wozu i nakrył jej twarz dłonią. Była gotowa.

Przyłożył sobie palec do ust. Skinęła głową, na ile tylko pozwalał jego chwyt: nie będzie krzyczeć. Mogłaby teraz podnieść raban

i obudzić Ridgewaya; Boseman rzuciłby jakąś wymówką i na tym by się skończyło. Ona jednak myślała o tej chwili od wielu dni, czekała, aż Boseman przestanie panować nad cielesną chucią. Od wyjazdu z Karoliny Północnej nie był jeszcze tak pijany. Kiedy zatrzymali się na nocleg, skomplementował jej sukienkę. Cora zebrała się w sobie. Jeśli tylko zdoła go namówić, żeby ją rozkuł, tak ciemna noc stworzona jest do ucieczki.

Homer głośno chrapał. Boseman wysunął łańcuch dziewczyny z pierścienia w podłodze wozu, ostrożnie, tak by ogniwa nie brzęknęły. Rozpiął kajdany na kostkach, a łańcuchy łączące nadgarstki ścisnął, żeby nie dzwoniły. Wyszedł pierwszy, a potem pomógł Corze. Ledwo widziała drogę kilka metrów dalej. Dostatecznie ciemno.

Ridgeway z rykiem powalił go na ziemię i zaczął kopać. Boseman próbował się tłumaczyć, więc łowca niewolników kopnął go w twarz. Cora prawie rzuciła się do ucieczki. Prawie. Ale gwałtowność, wściekłość przemocy Ridgewaya zatrzymały ją w miejscu. Ten człowiek ją przerażał. Kiedy Homer zaszedł na tył wozu z latarnią i oświetlił twarz szefa, ten wpatrywał się w Corę z niepohamowanym gniewem. Miała

swoją szansę, przegapiła ją, a patrząc teraz na jego minę, czuła ulgę, że tak się stało.

– Co teraz zrobisz, Ridgeway? – wyjęczał Boseman. Opierał się o koło wozu. Przyglądał się krwi na swoich dłoniach. Naszyjnik z uszu pękł, przez co wyglądał tak, jakby to ziemia nasłuchiwała. – Szalony Ridgeway robi, co mu się podoba. Już tylko ja zostałem. Kiedy mnie zabraknie, tylko Homera będziesz miał do bicia. Chyba mu się to spodoba.

Homer zachichotał. Wyjął kajdany Cory z wozu. Ridgeway potarł kłykcie, dysząc ciężko.

– Ładną ma sukienkę – wycharczał Boseman. Z ust wyciągnął ząb.

– Pogubicie więcej zębów, jeśli któryś z was się teraz ruszy – odezwał się męski głos.

W krąg światła weszło trzech ludzi. Mówiącym był ów młody murzyn z miasta, który wtedy skinął do Cory. Tym razem na nią nie patrzył, bo obserwował Ridgewaya. Okulary w drucianej oprawce odbijały blask latarni, jakby to w nim płonął ogień. Lufa pistoletu bujała się między dwoma białymi niczym różdżka różdżkarza.

Drugi z mężczyzn trzymał strzelbę. Był wysoki, muskularny, nosił grube ubranie robocze, które Corze wydało się kostiumem. Miał

szeroką twarz, a długie rudokasztanowe włosy zaczesał do góry niczym lwią grzywę. Jego sylwetka wskazywała na to, że nie zwykł słuchać poleceń, a zuchwałość spojrzenia nie była zuchwałością niewolnika, bezsilną pozą, ale twardym faktem. Trzeci wymachiwał nożem myśliwskim. Cały trząsł się z nerwów, przerwy między słowami towarzysza wypełniał dźwięk jego szybkiego oddechu. Cora rozpoznawała tę postawę. To postawa zbiega, niepewnego następnego etapu ucieczki. Widziała ją u Caesara, u nowo przybyłych w domach noclegowych i wiedziała, że wielokrotnie zachowywała się tak sama. Mężczyzna wyciągnął drżący nóż w kierunku Homera.

Cora nigdy wcześniej nie widziała kolorowych z bronią palną. Wstrząsnął nią ten widok, nowa myśl nie mieściła jej się w głowie.

– Jesteście zagubieni, chłopcy – powiedział Ridgeway. Nie był uzbrojony.

– Zagubieni, bo nie podoba nam się Tennessee i wolelibyśmy być w domu, owszem – odparł przywódca. – Ty też wyglądasz na zagubionego.

Boseman zakasłał i wymienił spojrzenia z Ridgewayem. Usiadł i zesztywniał. W jego kierunku obróciły się dwie lufy.

– Zaraz sobie pójdziemy – odezwał się ten w okularach. – Ale najpierw postanowiliśmy zapytać, czy ta dama nie zechce iść z nami. Jesteśmy lepszymi towarzyszami podróży.

– Skąd jesteście, chłopcy? – zapytał Ridgeway. Po jego sposobie mówienia Cora poznawała, że coś knuje.

– Z różnych miejsc – odparł tamten. W jego głosie żyła północ, pobrzmiewała w jego akcencie, tak jak u Caesara. – Ale się znaleźliśmy i teraz działamy razem. Spokojnie, panie Ridgeway. – Lekko ruszył głową. – Słyszałem, że mówił do ciebie Cora. Tak masz na imię?

Dziewczyna przytaknęła.

– Ona jest Cora – powiedział Ridgeway. – Mnie znasz. To Boseman, a to Homer.

Słysząc swoje imię, Homer cisnął latarnią w mężczyznę z nożem. Szło roztrzaskało się dopiero wtedy, gdy odbiła się tamtemu od piersi i uderzyła o ziemię. Buchnął ogień. Przywódca strzelił do Ridgewaya, ale chybił. Łowca niewolników rzucił się na niego i obaj runęli w piach. Rudowłosy okazał się lepszym strzelcem. Boseman poleciał do tyłu, z jego brzucha nagle wykwitł czarny kwiat.

Homer pobiegł po broń, a rudowłosy za nim. Kapelusz chłopca poturlał się w ogień. Ridgeway

i jego przeciwnik tarzali się po piachu, stękając i krzycząc. Przetoczyli się na skraj płonącej oliwy. Powrócił strach Cory sprzed kilku chwil – Ridgeway dobrze ją wytresował. Teraz to on był górą, przygniatał tamtego do ziemi.

Mogłaby uciec. Miała tylko łańcuch na nadgarstkach.

Wskoczyła na plecy Ridgewaya i zaczęła go dusić tym łańcuchem, mocno zaciskając mu go na skórze. Krzyk wyrwał się jej gdzieś głęboko z piersi, jak gwizdek pociągu niosący się echem w tunelu. Szarpała i ciągnęła. Łowca niewolników odwinął się, żeby wgnieść ją w ziemię. Zanim zdołał ją z siebie zrzucić, mężczyzna z miasta znów miał w rękach pistolet.

Pomógł Corze wstać.

– Co to za chłopak? – zapytał.

Homer i rudowłosy strzelec nie wracali. Przywódca grupy kazał rozejrzeć się za nimi temu z nożem, a sam wciąż trzymał Ridgewaya na muszce.

Łowca niewolników potarł grubymi palcami rozoraną szyję. Nie patrzył na Corę, przez co znowu się bała.

Boseman jęczał.

– Spojrzy w duszę twą, grzeszniku, i ujrzy czyny twe… – bełkotał.

Blask płonącej oliwy drgał, ale wyraźnie dostrzegali rosnącą kałużę krwi.

– Wykrwawi się na śmierć – powiedział Ridgeway.

– To wolny kraj – odparł mężczyzna z miasta.

– Ta tutaj to nie twoja własność.

– Tak mówi prawo. Prawo białych. Ale są inne prawa. – Mężczyzna łagodniejszym tonem zwrócił się do Cory: – Jeśli chcesz, panienko, mogę go dla ciebie zastrzelić. – Jego twarz była spokojna.

Chciała, żeby Ridgewaya i Bosemana spotkało wszystko, co najgorsze. A Homera? Nie wiedziała, jakiego losu pragnie jej serce dla tego dziwnego czarnego chłopca, który wydawał się wysłannikiem z innego kraju.

Zanim zdążyła się odezwać, mężczyzna powiedział:

– Choć wolelibyśmy zakuć ich w żelazo.

Podniosła z piachu jego okulary, przetarła je rękawem, a potem we troje czekali. Towarzysze przywódcy wrócili z pustymi rękami.

Ridgeway uśmiechnął się, kiedy przykuwali mu nadgarstki do koła wozu.

– Chłopak jest przebiegły – stwierdził przywódca. – To widać. Musimy ruszać. – Spojrzał na Corę. – Pójdziesz z nami?

Cora trzy razy kopnęła Ridgewaya w twarz swoimi nowymi drewniakami. Skoro świat sam nie ukarze grzeszników, pomyślała. Nikt jej nie powstrzymywał. Potem mówiła, że to były trzy kopniaki za trzy morderstwa. Opowiedziała o Lovey, Caesarze i Jasperze, żeby w jej słowach ożyli jeszcze na chwilę. Ale to nieprawda. Wszystkie kopniaki były za nią samą.

Caesar

Dzięki podnieceniu wywołanemu urodzinami Jockeya Caesar mógł udać się do swego jedynego azylu na plantacji Randallów. Zrujnowana szkoła nieopodal stajni zazwyczaj była pusta. Nocą zakradali się tam kochankowie, ale on nigdy nie chodził nocą – potrzebował światła, a nie zaryzykowałby palenia świecy. Chodził do szkoły czytać książkę, którą po wielu protestach dał mu Fletcher; chodził, gdy czuł się źle, by opłakiwać swe brzemię; chodził patrzeć, jak inni niewolnicy krążą po plantacji. Kiedy patrzył z okna, to było tak, jakby nie należał do tego nieszczęsnego plemienia, był jedynie obserwatorem życia tych ludzi, oglądał ich, jak ogląda się nieznajomych spacerujących przed frontowymi drzwiami. W szkole Caesar czuł się tak, jakby w ogóle go tu nie było.

Zniewolonego. Żyjącego w strachu. Skazanego na śmierć.

Jeśli plan, który obmyślił, się ziści, będą to jego ostatnie obchody urodzin Jockeya. Jak Bóg da. Znając starego niewolnika, równie dobrze może ogłosić następne za miesiąc. Kwatera

ogromnie cieszyła się z najdrobniejszych przyjemności, jakie trafiały im się u Randallów: zmyślone urodziny, tańce po ciężkiej pracy w świetle jesiennej pełni. W Wirginii święta były wspaniałe. W święta Pańskie i Nowy Rok Caesar z rodziną jeździli powozikiem wdowy na farmy wolnych czarnych, odwiedzali krewnych w majątkach ziemskich. Świnie i steki z dziczyzny, placki imbirowe i ciasta kukurydziane. Zabawy trwały przez cały dzień, aż Caesar i jego kompani padali zdyszani. Panowie w Wirginii w te dni świąteczne trzymali się na dystans. Jakże niewolnicy u Randallów mogli naprawdę się cieszyć, skoro czyhało na nich tępe zagrożenie gotowe ziścić się w każdej chwili? Nie znali dat swoich urodzin, więc musieli je wymyślać. Połowa tych ludzi nie poznała nawet własnych rodziców.

Urodziłem się czternastego sierpnia. Moja matka ma na imię Lily Jane. Mój ojciec ma na imię Jerome. Nie wiem, gdzie są.

Przez okno szkoły, między dwiema starszymi chatami – których pobielone ściany od dawna były szare, umęczone tak samo jak śpiące w nich osoby – Caesar widział Corę pochyloną na linii startu nad swoim ulubieńcem, Chesterem, chłopcem, który biegał po kwaterze

z pozazdroszczenia godną wesołością. Widać, że nikt go nigdy nie bił.

Mały nieśmiało odwrócił głowę, kiedy Cora coś mu powiedziała. Uśmiechnęła się – szybko. Do Chestera, Lovey i kobiet ze swej chaty uśmiechała się krótko i wymownie. To zupełnie jak wtedy, gdy widzi się cień ptaka na ziemi, ale jeśli podnieść wzrok, w górze nic już nie ma. W jej życiu wszystko było racjonowane, pod każdym względem. Caesar nigdy z nią nie rozmawiał, tyle jednak zauważył. To rozsądne: rozumiała wartość tych nielicznych rzeczy, które do niej należą. Jej radości, jej działki, tego klocka klonu cukrowego, na którym przysiadała jak sęp.

Pewnej nocy, gdy Caesar pił z Martinem kukurydzianą whisky na strychu stodoły – chłopak nie chciał powiedzieć, skąd wziął dzbanek – zaczęli rozmawiać o kobietach z plantacji Randallów. Która najchętniej wepchnęłaby twoją twarz w cycuchy, która krzyczałaby tak głośno, że zwiedziałaby się cała kwatera, a która nic by nikomu nie powiedziała. Caesar spytał o Corę.

– Z babami z Hobu żaden czarnuch nie kręci – odparł Martin. – Obetnie ci taka interes i ugotuje w zupie.

Opowiedział starą historię o Corze, jej ogródku i budzie Blake'a, a Caesar pomyślał: to by się zgadzało. Potem Martin dodał, że dziewczyna lubi wymykać się nocą, żeby spółkować ze zwierzętami na bagnach. Wtedy Caesar zrozumiał, że ten zbieracz bawełny jest głupszy, niż się wydawało.

U Randallów w ogóle nie było bystrych mężczyzn. Ta plantacja ich wykończyła. Dowcipkowali i szybko zbierali bawełnę, kiedy czuli na sobie wzrok nadzorców, a do tego zgrywali twardych, ale po północy w swoich chatach płakali i krzyczeli, nękani przez koszmary i straszliwe wspomnienia. Tak było w chacie Caesara, w sąsiednich chatach i w każdej niewolniczej wiosce blisko i daleko. Każdego dnia, gdy dobiegła końca praca i wymierzono kary, czekała już noc – arena ich prawdziwej samotności i rozpaczy.

Okrzyki i wiwaty – odbyła się kolejna gonitwa. Cora wzięła się pod boki i przekrzywiła głowę, jakby polowała na melodię ukrytą w hałasie. W jaki sposób uchwycić ten jej profil w drewnie, jej szlachetność i siłę? Caesar nie ufał sam sobie, że tego nie zepsuje – zbieranie bawełny odebrało jego dłoniom zdolność misternego rzeźbienia w drewnie. Krzywizna kobiecego policzka, usta

w trakcie szeptu. Pod koniec dnia drżały mu ramiona, pulsowały mięśnie.

Ależ kłamała ta stara biała jędza! Powinien żyć z rodzicami w ich domku, zbijać beczki u bednarza albo uczyć się fachu u innego rzemieślnika w miasteczku. Rasa Caesara ograniczała jego perspektywy, oczywiście, ale dorastał w przekonaniu, że jest wolny w wyborze swojego losu.

– Możesz być, kimkolwiek chcesz – mawiał mu ojciec.

– Nawet pojechać do Richmond? – Z tego, co mówiono, Richmond wydawało się odległe i wspaniałe.

– Nawet do Richmond, jeśli masz ochotę.

Jednak stara kłamała i teraz na rozdrożu Caesara istniał tylko jeden kierunek: ku powolnej śmierci w Georgii. Dla niego, dla całej jego rodziny. Matka była drobna i krucha, nie nadawała się do pracy w polu, zbyt delikatna, by znieść lawinę okrucieństw na plantacji. Ojciec, zawsze uparty, wytrzyma dłużej, ale niewiele. Staruszka zniszczyła tę rodzinę tak doszczętnie, że nie mógł to być przypadek. Nie chodziło o chciwość siostrzenicy – to od początku był podstęp starej. Zaciskała pętlę za każdym razem,

gdy brała Caesara na kolana i uczyła go nowego słowa.

Wyobrażał sobie, jak ojciec ścina trzcinę cukrową w piekle Florydy, jak parzy się pochylony nad wielkimi kotłami roztopionego cukru. Wyobrażał sobie bicz wrzynający się w plecy matki nienadążającej ze swoim workiem. Uparty, który się nie zegnie, pęka, a rodzina Caesara zbyt dużo czasu spędziła z życzliwymi białymi ludźmi na północy. Życzliwymi w tym znaczeniu, że nie uznawali za stosowne zabić cię szybko. Jedno można powiedzieć o południu: jeśli chodzi o zabijanie murzynów, brakowało tu cierpliwości.

W starych kalekich ludziach Caesar widział przyszłość czekającą jego rodziców. A z czasem również własną. Nocą był pewien, że rodzice nie żyją; za dnia – tylko że są okaleczeni i półżywi. Tak czy inaczej został na świecie sam.

Podszedł do Cory po gonitwie. Oczywiście go przepędziła. Nie znała go. To mógł być żart, pułapka zastawiona z nudów przez Randallów. Idea ucieczki jest zbyt przytłaczająca – musi przez pewien czas dojrzewać, trzeba obracać ją w myślach. Caesar potrzebował wielu miesięcy, zanim sam dopuścił ją do siebie, a dopiero dzięki zachęcie Fletchera prawdziwie rozkwitła.

Niezbędny jest ktoś, kto pomoże ci w drodze. Nawet jeśli Cora jeszcze nie wiedziała, że się zgodzi, on wiedział. Powiedział, że chce wziąć ją ze sobą na szczęście, bo tylko jej matce udało się uciec. To chyba był błąd, a może wręcz obelga dla kogoś takiego jak ona. Cora to nie królicza łapka noszona w podróży, ale sama lokomotywa. Bez niej Caesar nie dałby rady.

Straszne zajście na potańcówce to potwierdziło. Jeden z niewolników ze służby powiedział mu, że bracia piją we dworze. Caesar uznał to za zły znak. Kiedy chłopiec przyniósł latarnię do kwatery, a za nim przyszli jego panowie, przemoc była murowana. Chestera nigdy wcześniej nie bito. Teraz już tak, a nazajutrz czekała go pierwsza chłosta. Dla niego to koniec dziecięcych zabaw, gonitw i gry w chowanego; zaczęła się niewolnicza udręka. Nikt inny z wioski nie ruszył mu na pomoc – jakże by mogli? Widzieli to już wcześniej sto razy jako ofiary albo świadkowie i mieli zobaczyć jeszcze drugie sto, zanim umrą. Ale Cora zareagowała. Osłoniła chłopca własnym ciałem i przyjęła za niego ciosy. Była zbłąkana w każdym calu, zboczyła ze ścieżki tak bardzo, jakby uciekła stąd już dawno temu.

Wtedy Caesar po raz pierwszy poszedł do szkoły nocą. Tylko po to, żeby wziąć książkę do ręki. Żeby upewnić się, że wciąż tam jest, pamiątka z czasów, kiedy miał wszystkie książki, jakie zechciał, i dość czasu, żeby je czytać.

Co przydarzyło się mym towarzyszom w łodzi i tym, którym udało się ujść na skałę, a także pozostałym na okręcie, nie umiem rzec, lecz sądzę, że wszyscy przepadli[6]. Książka, przez którą go zabiją, jak ostrzegał Fletcher. Caesar ukrył *Podróże do wielu odległych narodów świata*, zakopując je pod szkołą owinięte w dwa kawałki tkaniny workowej. Poczekaj jeszcze trochę, aż przygotujemy twoją ucieczkę, powiedział sklepikarz. Wtedy będziesz mógł dostać każdą książkę, jaką chcesz. Ale jeśli Caesar nie czytał, był niewolnikiem. Zanim zdobył ten tom, mógł czytać tylko to, co napisano na worku z ryżem. Nazwę producenta kajdan odciśniętą w metalu niczym obietnica bólu.

Teraz strona tu, strona tam, w złotym blasku popołudnia, podtrzymywały go na duchu. Spryt i hart ducha, spryt i hart ducha. Bohater książki, biały mężczyzna o nazwisku Guliwer, podróżował od niebezpieczeństwa do niebezpieczeństwa, a każda wyspa była kolejnym wyzwaniem, któremu musiał sprostać, zanim

będzie mógł wrócić do domu. Na tym polegał prawdziwy kłopot tego człowieka: nie na tym, że napotykał dzikie i niezwykłe cywilizacje – ale ciągle zapominał, co miał. Oto właśnie biali ludzie: zbudują szkołę i pozwolą jej niszczeć, zbudują dom i błąkają się. Gdyby Caesar znalazł drogę do domu, nie podróżowałby już nigdy więcej. W przeciwnym razie pewnie tułałby się od wyspy do wyspy, nigdy się nie orientując, gdzie jest, aż skończyłby mu się świat. Chyba że ona poszłaby z nim. Z Corą Caesar odnalazłby drogę do domu.

Indiana

50 NAGRODY

Opuściła mój dom w piątek, 26 dnia zeszłego miesiąca, około 10 wieczór (bez jakiejkolwiek prowokacji) moja murzynka SUKEY. Ma około 28 lat, cerę dosyć jasną, wysokie kości policzkowe, jest smukła z sylwetki i nader przyjemna z wyglądu. Odchodząc, była ubrana w pasiastą sukienkę. Sukey niedawno należała do mec. L.B. Pearce'a, a dawniej do śp. Williama M. Heritage'a. Jest obecnie (z wyglądu) oddaną członkinią Kościoła metodystów i bez wątpliwości zna ją większość wiernych.

JAMES AYKROYD
4 PAŹDZIERNIKA

Teraz to ona stała się tą osobą, która opóźnia się w nauce, otoczona przez zniecierpliwione dzieci. Cora czuła się dumna z postępów w czytaniu, jakie poczyniła w Karolinie Południowej oraz na strychu: na niepewnym gruncie każdego nowego słowa, nieznanym terytorium, które trzeba przebrnąć litera po literze. Każdą rundę po almanachach Donalda uznawała za zwycięstwo, a potem wracała do pierwszej strony, żeby zacząć od początku.

Lekcje Georginy pokazały, jak niewielkie były osiągnięcia Cory. W dniu, kiedy dołączyła do lekcji w domu spotkań, nie rozpoznała Deklaracji Niepodległości. Dzieci miały wyraźną, dojrzałą wymowę, jakże inną od sztywnych recytacji Michaela na farmie Randallów. Teraz w tych słowach żyła muzyka, melodia odznaczała się, kiedy każde kolejne dziecko odzywało się śmiało i pewnie. Chłopcy i dziewczęta wstawali w ławkach, odwracali kartki, na których spisali słowa, i wyśpiewywali obietnice Ojców Założycieli.

Razem z Corą klasa liczyła dwadzieścia pięć osób. Najmłodsze dzieci – sześcio- i siedmiolatki – były zwolnione z recytacji. Szeptały i wierciły się w ławkach, aż Georgina musiała je uciszać. Cora również nie brała w tym udziału jako nowa w klasie, na farmie, dopiero poznająca zwyczaje. Czuła, że zwraca na siebie uwagę – najstarsza i tak bardzo zapóźniona. Już rozumiała, dlaczego Howard płakał w szkole panny Handler. Była intruzem, jak gryzoń, który przebił się przez ścianę.

Jedna z kucharek zadzwoniła na posiłek, przerywając lekcję. Po jedzeniu młodsi uczniowie mieli wrócić do klasy, a starsi – zająć się obowiązkami. W drodze do wyjścia Cora przystanęła przy Georginie i powiedziała:

– Nauczyła pani te murzyniątka porządnie mówić, nie ma co.

Nauczycielka upewniła się, że uczniowie tego nie usłyszeli. Potem odparła:

– Tu nazywamy je dziećmi.

Corze zrobiło się gorąco. Szybko dodała, że nigdy nie zastanawiała się nad sensem takich wyrazów. A czy dzieci rozumieją wszystkie wielkie słowa?

Georgina pochodziła z Delaware i miała drażniącą manierę pań z Delaware, które lubują

się w zagadkach. Cora poznała już kilka takich kobiet na farmie Valentine'a i nie przepadała za tą regionalną cechą, nawet jeśli przy okazji umiały piec dobre placki. Georgina powiedziała, że dzieci rozumieją tyle, ile mogą. A czego nie rozumieją dziś, może zrozumieją jutro.

– Deklaracja Niepodległości jest jak mapa. Ufasz, że jest prawdziwa, ale przekonasz się, tylko wyruszając i sprawdzając samodzielnie.

– Wierzy pani w to? – spytała Cora.

Nie wiedziała, jak rozumieć minę nauczycielki.

Od tamtej pierwszej lekcji minęły cztery miesiące. Żniwa dobiegły końca. Dzięki nowym przybyszom na farmie Valentine'a Cora nie była już zagubionym żółtodziobem. Do lekcji w domu spotkań dołączyli dwaj mężczyźni w jej wieku, pilni zbiegowie, którzy umieli jeszcze mniej niż ona. Przesuwali palcami po książkach, jakby to były zaczarowane przedmioty, pełne magii. Cora umiała się znaleźć. Wiedziała, kiedy przygotować własny posiłek, bo kucharka, która akurat ma dyżur, popsuje zupę, a kiedy wziąć szal, bo noce w Indianie są lodowate, chłodniejsze niż wszystkie, jakich dotąd doświadczyła. Znała spokojne miejsca w cieniu, gdzie mogła być sama.

Teraz siedziała w pierwszej ławce, a gdy Georgina ją poprawiała – z kaligrafii, arytmetyki czy wymowy – nie było jej już przykro. Zaprzyjaźniły się. Georgina okazała się tak zawziętą plotkarą, że lekcje zapewniały Corze chwilę oddechu od jej ciągłych doniesień na temat tego, co się dzieje na farmie. „Ten kawał chłopa z Wirginii ma podłe spojrzenie, nie sądzisz? Kiedy nie patrzyłyśmy, Patricia zjadła wszystkie nóżki wieprzowe". To druga rzecz – kobiety z Delaware uwielbiały pytlować.

Tego akurat popołudnia Cora wyszła z Molly, gdy tylko zabrzmiał dzwonek. Dzieliła chatę z tą dziewczynką i jej matką. Molly miała dziesięć lat, migdałowe oczy, była ostrożna, niechętnie okazywała uczucia. Mimo wielu koleżanek wolała trzymać się nieco z boku. W swoim pokoju trzymała zielony słoik na skarby – kamyki, groty strzał, medalionik bez portretu – i więcej przyjemności znajdowała w rozkładaniu ich na podłodze chaty, czuciu dotyku zimnego niebieskiego kwarcu na policzku niż w zabawie na dworze.

Właśnie dlatego ostatnio ich rozkład dnia tak bardzo cieszył Corę. Rano, kiedy matka Molly wcześnie wychodziła do pracy, zaplatała małej warkocz, a od kilku dni, gdy szkoła się kończyła,

dziewczynka brała ją za rękę. To było między nimi coś nowego. Molly ciągnęła ją, mocno ściskając, a Corze sprawiało przyjemność bycie prowadzoną. Od czasu Chestera nie wybrało jej sobie żadne dziecko.

Tego dnia w południe nie było posiłku ze względu na dużą sobotnią kolację, której zapachy wabiły uczniów w kierunku dołów z paleniskami. Mężczyźni przygotowujący barbakoę już o północy zaczęli piec wieprze, roztaczając czar po całej posiadłości. Niejeden mieszkaniec śnił, że objada się na wspaniałej uczcie, a potem budził się rozczarowany. Zostało jeszcze kilka godzin. Cora i Molly dołączyły do głodnych gapiów.

Nad dymiącymi węglami ze świeżego drewna rozciągnięte były na długich kijach dwa wieprze. Paleniskiem zarządzał Jimmy. Jego ojciec wychował się na Jamajce i przekazał mu marońskie sekrety ognia. Jimmy dźgał piekące się mięso palcami i szturchał węgielki, krążył wokół ogniska, jakby mierzył wzrokiem rywala w zapaśniczym pojedynku. Należał do najbardziej sędziwych mieszkańców farmy, uciekł od masakr w Karolinie Północnej i lubił, kiedy miękkie mięso rozpływa się w ustach. Miał tylko dwa zęby.

Jeden z jego uczniów potrząsnął dzbanem z octem i pieprzem. Gestem przywołał dziewczynkę stojącą na skraju ognia. Pokierował jej dłońmi, tak by natarła tą miksturą wnętrze wieprza. Ociekający płyn zaskwierczał na węgielkach. Buchnęły kłęby białego dymu, zmuszając tłum do cofnięcia się. Dziewczynka zapiszczała. Zapowiadał się wyborny posiłek.

Cora i Molly były umówione w domu. Nie miały dalekiego spaceru. Podobnie jak większość budynków gospodarczych na farmie, starsze chaty z bali stały skupione na wschodnim skraju posesji, zbudowane w pośpiechu, zanim okazało się, jak bardzo urośnie tutejsza społeczność. Ludzie przybywali zewsząd, z plantacji, gdzie preferowano taki czy inny układ kwater, więc chaty miały różne kształty. Te nowsze – wybudowane najpóźniej, gdy już zaczęto tu zbierać kukurydzę – były utrzymane w tym samym stylu, miały obszerniejsze pokoje i rozmieszczono je z większą starannością.

Po tym, jak Harriet wyszła za mąż i wyprowadziła się, w chacie mieszkały tylko Cora, Molly i Sybil. Spały w dwóch pokojach przylegających do głównej przestrzeni

mieszkalnej. Co do zasady w każdym domu mieszkały trzy rodziny. Raz po raz Cora dzieliła pokój z kobietami nowo przybyłymi na farmę albo ją odwiedzającymi, zwykle jednak dwa pozostałe łóżka były wolne.

Jej własny pokój. Kolejny niespodziewany prezent na farmie Valentine'a po tylu różnych więzieniach.

Sybil z córką czuły się dumne ze swojego domu. Pobieliły zewnętrzne ściany wapnem palonym i zabarwiły je na różowo. Żółta farba z białymi akcentami sprawiała, że pokój przy wejściu jaśniał w słońcu. W ciepłą porę roku przystrajały go polnymi kwiatami, a jesienią pozostawał przyjemny dzięki wieńcom czerwonych i złotych liści. Okna zdobiły zebrane fioletowe zasłony. Dwaj stolarze mieszkający na farmie co pewien czas znosili tu meble – smalili cholewki do Sybil, więc woleli zająć czymś ręce, by nie myśleć o jej obojętności. Sybil ufarbowała kilka jutowych worków i zrobiła z nich dywan, na którym kładła się Cora, gdy znów bolała ją głowa. Pokój przy wejściu był przyjemnie przewiewny, co łagodziło napady.

Kiedy dotarły na werandę, Molly zawołała matkę. Gotował się korzeń sarsaparyli na jeden z balsamów Sybil; jego woń przeważała nad

zapachami pieczonego mięsa. Cora ruszyła wprost do fotela bujanego, który przywłaszczyła sobie pierwszego dnia. Molly i jej matka nie miały nic przeciwko temu. Wykonany przez mniej zdolnego zalotnika Sybil, straszliwie skrzypiał. Ona sama była zdania, że celowo zrobił go takim, żeby hałas przypominał kobiecie o jego uczuciu.

Sybil wyłoniła się zza domu, wycierając ręce w fartuch.

– Jimmy pracuje na całego – powiedziała i głodna pokręciła głową.

– Nie mogę się doczekać – odparła Molly.

Otworzyła sosnową skrzynię przy kominku i wyjęła kapy, które szyły. Uparła się, że do kolacji skończą tę najnowszą robótkę.

Wzięły się do pracy. Odkąd odeszła Mabel, Cora ani razu nie miała w ręce igły, nie licząc prostego łatania. Kobiety z Hobu bez skutku próbowały ją uczyć. Tak samo jak w klasie, stale zerkała na towarzyszki, szukając wskazówek. Wycięła ptaka, kardynała; wyglądał jak psu z gardła wyjęty. Sybil i Molly dodawały jej otuchy – to one namówiły Corę do swojej rozrywki – ale kapa była już zepsuta. Cora stwierdziła, że do bawełnianego wypełnienia dostały się pchły. Szwy się marszczyły, rogi

rozchodziły. Ta kapa symbolizowała rozchwianie jej myśli: można by ją wciągnąć na maszt jako flagę dzikiego kraju Cory. Dziewczyna chciała odłożyć na bok tę robotę, lecz Sybil nie pozwoliła.

– Zaczniesz coś innego, kiedy skończysz to – powiedziała. – Ale jeszcześ nie skończyła.

Cora nie potrzebowała porad sławiących zalety wytrwałości. Wzięła jednak do ręki to monstrum, które trzymała na kolanach, i ponownie przystąpiła do pracy.

Sybil była od niej dwanaście lat starsza. W swoich sukienkach wydawała się drobna, Cora wiedziała jednak, że to przebywanie poza plantacją tak dobrze na nią wpływa: nowe życie wymagało innego rodzaju siły. Sybil bardzo pilnowała sylwetki, była niczym chodzący oszczep. To typowe dla ludzi, których zmuszano, by się zginali, a teraz już więcej zginać się nie będą. Jej właściciel był przerażający, opowiadała Corze – plantator tytoniu, który co roku rywalizował z sąsiadami o to, czyje zbiory okażą się największe. Słabe wyniki wyzwalały w nim podłość. Zajeżdżał nas, mówiła, a jej myśli odfruwały ku dawnym nieszczęściom. Wtedy przychodziła do niej Molly, siadała matce na kolanach i tuliła się do niej.

Wszystkie trzy przez pewien czas pracowały w milczeniu. Od strony dołów z paleniskami dobiegły wiwaty, tak jak zawsze, gdy obracano wieprze. Cora była zbyt rozkojarzona, żeby naprawić błędy w szyciu kapy. Cichy teatr miłości Sybil i Molly zawsze ją poruszał. To, jak córka bez słów prosiła o pomoc w robótce, a matka wskazywała pewien punkt, kiwała głową i na migi pokazywała, jak rozwiązać trudność. Cora nie przywykła do ciszy w chacie – u Randallów zawsze ktoś krzyknął, zapłakał lub westchnął, żeby zmącić spokój – a tym bardziej do widoku takiej matczynej opieki.

Sybil uciekła z Molly, kiedy dziewczynka miała zaledwie dwa latka. Przez całą drogę niosła ją na rękach. Z dworu doszły plotki, że ich pan zamierza pozbyć się części swej własności, by móc spłacić długi po rozczarowujących zbiorach. Sybil czekała więc sprzedaż na aukcji. Zbiegła jeszcze tej samej nocy – pełnia księżyca dała jej błogosławieństwo i poprowadziła przez las. Molly ani pisnęła, powiedziała Sybil. Wiedziała, o co chodzi. Trzy mile za granicą z Pensylwanią zaryzykowały wizytę w chatce kolorowego farmera. Mężczyzna je nakarmił, wystrugał z drewna zabawki dla dziewczynki, a potem poprzez łańcuch pośredników skontaktował się

z koleją. Sybil przez pewien czas pracowała w Worcesterze u modystki, a potem dotarła z Molly do Indiany. Wieści o farmie się rozeszły.

Przez posiadłość Valentine'a przewinęło się już tylu zbiegów – nie sposób stwierdzić, kto spędził tu choć trochę czasu. Pewnego wieczoru Cora zapytała Sybil, czy poznała może kobietę z Georgii. Wtedy mieszkała u nich już od kilku tygodni, kilka razy przespała nawet całą noc, zaczęła odzyskiwać kilogramy utracone na strychu. Muchy przestały hałasować, noc sprzyjała zadawaniu pytań. Kobieta z Georgii, może używała imienia Mabel, może nie?

Sybil pokręciła głową.

Oczywiście, że nie. Ktoś, kto porzuca własną córkę, staje się potem kimś innym, żeby ukryć swój wstyd. Ale Cora wcześniej czy później pytała każdego na farmie, która sama była swego rodzaju stacją przyciągającą ludzi w drodze. Pytała tych mieszkających u Valentine'a od lat, pytała wszystkich nowo przybyłych, nękała odwiedzających, którzy przyjeżdżali na farmę przekonać się, czy to, co słyszeli, jest prawdą. Wolnych kolorowych, zbiegów, którzy tu zostawali, i tych, co ruszali dalej. Pytała na polu kukurydzy między jedną roboczą pieśnią a drugą oraz na tyle podskakującego powozika w drodze

do miasta: szare oczy, blizna po oparzeniu na wierzchu prawej ręki, może używała imienia Mabel, może nie?

– Być może jest w Kanadzie – odpowiedziała Lindsey, kiedy Cora uznała, że teraz jej kolej.

Lindsey była szczupłą, filigranową kobietą świeżo przybyłą z Tennessee, żywą i wciąż obłąkańczo pogodną, czego Cora nie potrafiła zrozumieć. Z tego, co widziała, Tennessee to pożoga, choroba i przemoc. Nawet jeśli właśnie tam uratowali ją Royal i pozostali.

– Dużo ludków teraz lubi Kanadę – dodała Lindsey. – Choć tam diablo zimno.

Zimne noce dla ludzi o zimnym sercu.

Cora złożyła kapę i poszła do swojego pokoju. Zwinęła się na łóżku, zajęta rozmyślaniem o matkach i córkach. Martwiła się o Royala, który spóźniał się już trzy dni. Ból głowy nadciągał niczym chmura burzowa. Odwróciła się twarzą do ściany i już się nie ruszała.

Kolację podawano przed domem spotkań, największym budynkiem w posiadłości. Legenda mówiła, że wzniesiono go w jeden dzień, przed którymś z pierwszych dużych zgromadzeń, gdy wyszło na jaw, że ludzie nie zmieszczą się już

w domu Valentine’a. Przez większość dni służył jako szkoła. W niedziele – jako kościół. W sobotnie wieczory cała farma spotykała się tu na wspólnym posiłku i zabawie. Murarze pracujący przy budowie gmachu sądu na południu stanu wracali głodni, szwaczki przychodziły po pracy dziennej u miejscowych białych pań i wkładały ładne sukienki. Na farmie regułą było umiarkowanie; nie obowiązywało tylko w sobotnie wieczory, kiedy ci z upodobaniem do wypitki mogli sobie dogodzić, a nazajutrz rano mieli o czym myśleć podczas kazania.

W pierwszej kolejności zabierano się do wieprzy, pokrojonych na długim sosnowym stole i oblanych sosem ze smalcu, octu i papryki. Na talerzach Valentine’ów czekały wędzony jarmuż, rzepa, placki ze słodkich ziemniaków oraz reszta kuchennych wytworów. Mieszkańcy farmy byli z natury ludźmi powściągliwymi, ale nie podczas barbakoi Jimmy’ego – stateczne panie rozpychały się łokciami. Mistrz schylał głowę, słuchając pochwał i już myślał, co poprawić następnym razem. Cora zręcznie urwała chrupiące ucho, ulubione przez Molly, by podać je dziewczynce.

Valentine przestał już liczyć, ile rodzin mieszka na jego ziemi. Sto dusz to zacna liczba,

żeby się na niej zatrzymać – fantastycznie wysoka, jakkolwiek by patrzył – a nie obejmowała jeszcze kolorowych farmerów, którzy wykupili sąsiednie tereny i uruchomili podobną działalność. Z około pięćdziesięciorga dzieci większość nie ukończyła pięciu lat. Wolność czyni ciało płodnym, powiedziała Georgina. Oraz świadomość, że nie zostaną sprzedane, dodała Cora. Kobiety w domach noclegowych dla kolorowych w Karolinie Południowej wierzyły, że zaznały wolności, ale skalpele chirurgów udowodniły im co innego.

Kiedy wieprze zniknęły, Georgina i kilka młodszych kobiet zabrały dzieci do stodoły, gdzie odbywały się zabawy i śpiewy. Dzieci nie siedziały spokojnie podczas rozmów na spotkaniach. Ich nieobecność tym bardziej podkreślała znaczenie dyskusji – ostatecznie to właśnie nad losem malców rozprawiano. Nawet jeśli dorośli wyzwolili się z okowów, niewola wykradła im zbyt wiele czasu. Dopiero dzieci w pełni skorzystają z ich marzeń. Jeśli biali ludzie na to pozwolą.

Dom spotkań się wypełniał. Cora dołączyła do Sybil w ławce. Tego wieczoru szykowało się stonowane zebranie. Za miesiąc, po zawodach w łuskaniu, na farmie miało się odbyć

najważniejsze jak dotąd zgromadzenie, poświęcone ostatnim dyskusjom o przenosinach. Valentine'owie z wyprzedzeniem ograniczyli sobotnie rozrywki. Przyjemna pogoda – i ostrzeżenia przed zimą w Indianie, napawającą strachem tych, którzy dotąd nie widzieli śniegu – sprawiała, że mieli co robić. Wypady do miasta zmieniły się w długie wyprawy. Wizyty towarzyskie przeciągały się teraz do wieczora, odkąd tylu kolorowych osadników zapuściło tu korzenie – jako szpica wielkiej migracji.

Wielu przywódców farmy było w rozjazdach. Sam Valentine przebywał w Chicago, gdzie spotykał się z bankierami. Wziął ze sobą dwóch synów, którzy dość już dorośli, by pomagać przy finansach. Lander wyruszył z wystąpieniami w trasę po Nowej Anglii razem ze świeżo zawiązanym towarzystwem abolicjonistów z Nowego Jorku; dbało o to, żeby nie próżnował. Tym, czego Lander dowie się podczas podróży po kraju, z pewnością podzieli się podczas nadchodzącego dużego spotkania.

Cora przyglądała się sąsiadom. Miała nadzieję, że wieprze Jimmy'ego w porę skuszą Royala do powrotu, ale on i jego towarzysze wciąż wykonywali misję dla kolei podziemnej. Nie było od nich wieści. Na farmę dotarły

makabryczne informacje o bandzie, która zeszłej nocy powiesiła paru kolorowych awanturników. Działo się to trzydzieści mil na północ od farmy, a ofiary podobno pracowały dla kolei, ale nie wiedziano nic ponadto. Piegowata kobieta, której Cora nie kojarzyła – tylu tu teraz nieznajomych – dalej głośno rozprawiała o linczu. Sybil odwróciła się, by ją uciszyć, a potem na moment przytuliła Corę. Wtedy na mównicę weszła Gloria Valentine.

Kiedy Gloria poznała Johna Valentine'a, pracowała w pralni na plantacji indygo. Tak pysznego zjawiska moje oczy nie widziały, lubił mawiać Valentine do nowo przybyłych, przeciągając słowo „pysznego", jakby nakładał chochlą gorący karmel. W owych czasach nie miał w zwyczaju odwiedzać posiadaczy niewolników, ale udał się do właściciela Glorii z dostawą paszy. Nie minął tydzień, a wykupił jej wolność. Po kolejnym tygodniu wzięli ślub.

Gloria nadal była przepyszna, a przy tym tak pełna wdzięku i opanowania, jakby uczęszczała do prywatnej szkoły dla białych dam. Upierała się, że nie lubi zastępować męża, ale swoboda, z jaką stawała przed widownią, świadczyła o czymś innym. Bardzo pracowała nad tym, żeby wyeliminować ze swej mowy nuty rodem

z plantacji – czasem Cora wychwytywała jej potknięcia, kiedy rozmowa przybierała swobodniejszy ton – ale zawsze robiła wrażenie, bez względu na to, czy mówiła jak kolorowa, czy jak biała. Kiedy wystąpienia Valentine'a przybierały surowszy charakter, a jego praktyczne usposobienie brało górę nad wielkodusznością, wkraczała Gloria, żeby załagodzić sprawę.

– Czy miło spędziliście dzień? – zapytała, gdy sala się uciszyła. – Od rana siedziałam w piwniczce, a potem wyszłam na górę zobaczyć, jaki dar zesłał nam dziś Bóg. To niebo. I te wieprze…

Przeprosiła za nieobecność męża. John Valentine chciał wykorzystać duże zbiory, żeby renegocjować warunki pożyczki.

– Bóg mi świadkiem, wkrótce tyle nas czeka, że miło mieć nieco spokoju.

Skłoniła się Mingowi, który siedział w pierwszym rzędzie obok pustego miejsca zwykle zarezerwowanego dla Valentine'a. Mingo był korpulentnym mężczyzną średniego wzrostu, miał zachodnioindyjską karnację ożywioną tego dnia przez czerwony garnitur w kratę. Powiedział: „amen", a potem odwrócił się, by

ruchem głowy pozdrowić towarzyszy w domu spotkań.

Sybil szturchnęła Corę, zwracając jej uwagę na takie potwierdzenie politycznego stanowiska na farmie, uznanie pozycji Minga. Ostatnio często rozmawiano o wyruszeniu na zachód, tam gdzie po drugiej stronie rzeki Arkansas wyrastały miasta kolorowych. Do miejsc, które nie graniczą ze stanami niewolniczymi, które nigdy nie tolerowały koszmaru niewolnictwa. Mingo opowiadał się za pozostaniem w Indianie, lecz przy jednoczesnym ograniczeniu liczby osób otrzymujących tu schronienie: zbiegów, zagubionych. Ludzi takich jak Cora. Pochód słynnych gości sławiących farmę sprawiał, że stawała się symbolem poprawy losu kolorowych – oraz celem. Bądź co bądź, to właśnie widmo rebelii kolorowych, te wszystkie gniewne ciemne twarze dokoła, skłaniały białych osadników do opuszczenia południa. Przybywali do Indiany, a tu po sąsiedzku napotykali rodzący się czarny naród. To zawsze kończy się przemocą.

Sybil nie znosiła Minga, jego śliskiej osobowości i ciągłego rozpychania się łokciami; ta jego towarzyskość skrywała apodyktyczną naturę. Owszem, okrywała go szlachetna

legenda: w soboty i niedziele najmował się do pracy dziennej, póki za zarobione pieniądze nie wykupił wolności dla swojej żony, dzieci, a wreszcie dla siebie. Sybil zbywała to niezwykłe osiągnięcie – poszczęściło mu się z właścicielem, nic więcej. Mingo zawsze będzie tylko oportunistą nękającym farmę swoimi poglądami na poprawę sytuacji kolorowych. W przyszłym miesiącu razem z Landerem staną na mównicy, by zdecydować o przyszłości ich wszystkich.

Cora postanowiła podzielać niechęć przyjaciółki. Mingo okazywał jej chłód, ponieważ przez zbiegów farma przyciągała większą uwagę, gdy zaś usłyszał, że dziewczynę ścigają za morderstwo, zaczął całkiem jej unikać. Niemniej ten człowiek uratował swoją rodzinę, choć mógł zginąć, nim mu się to udało – to wielka rzecz. Pierwszego dnia Cory w szkole jego dwie córki, Amanda i Marie, z pewnością siebie wygłosiły Deklarację Niepodległości. To były znakomite dziewczęta. Ale nie, Corze nie podobał się sposób, w jaki on mówił. Coś w jego uśmiechu przypominało jej Blake’a, tamtego hardego byczka z dawnych czasów. Mingo nie szukał miejsca na budę dla psa, ale z pewnością chciał rozszerzyć swoje terytorium.

Wkrótce pójdą na tańce, zapewniła Gloria. Tego wieczoru nie było wśród nich, jak mawiał Valentine, „dygnitarzy” – elegancko ubranych, z jankeskimi akcentami – chociaż drogą przybyło kilku gości z kraju. Gloria poprosiła, by wstali i przedstawili się, żeby można ich było powitać. Potem nadszedł czas na rozrywki.

– Gdy będziecie trawić ten wykwintny posiłek, mamy dla was wyborny kąsek – powiedziała. – Być może rozpoznacie go z poprzedniej wizyty na farmie. To wspaniały młody artysta.

Poprzednio był tu trzy miesiące wcześniej z delegacją z Ohio. Czy farma Valentine’a zasługiwała na swą reputację? Ekspedycję zorganizowała starsza biała kobieta oddana sprawie poprawy sytuacji murzynów. Była wdową po ważnym bostońskim prawniku i zbierała fundusze na różne przedsięwzięcia, zwłaszcza publikację i rozpowszechnianie literatury kolorowych. Usłyszawszy jedną z przemów Landera, zorganizowała dystrybucję jego autobiografii; wcześniej ten sam drukarz wydał serię tragedii Szekspira. Pierwszy nakład sprzedał się w kilka dni – ładnie wydany, z pozłacanym nazwiskiem Elijaha Landera na

okładce. Tomik samego Rumseya, jak powiedziała Gloria, miał się ukazać w przyszłym miesiącu.

Poeta ucałował dłoń gospodyni i poprosił o pozwolenie odczytania kilka swoich wierszy. Nie brakowało mu charyzmy, to Cora musiała przyznać. Jak opowiadała Georgina, Rumsey zalecał się do jednej z dziewcząt z mleczarni, tak bardzo jednak szastał pochlebstwami, iż nie ulegało wątpliwości, że jest młodym mężczyzną otwartym na różne słodkie tajemnice losu. Któż wie, jakie plany ma wobec nas przeznaczenie, powiedział do Cory podczas tamtej pierwszej wizyty. I jakich ludzi będziemy mieli przyjemność poznać? Nagle pojawił się przy niej Royal i odciągnął ją od poety i jego słodkich słów.

Powinna była rozpoznać intencje Royala. Gdyby wiedziała, jak bardzo będą ją martwić jego zniknięcia, odtrąciłaby go.

Z błogosławieństwem Glorii poeta odchrząknął.

– Wnet ujrzałem cud światłem nakrapiany – wyrecytował, a jego głos podnosił się i opadał, jakby walczył z przeciwnym wiatrem. – Osiadł na polach unoszony na anielskich skrzydłach, dzierżąc tarczę płonącą…

Cały dom spotkań wzdychał i wołał: „amen”. Rumsey starał się nie uśmiechać, oglądając te reakcje, efekt swojego występu. Cora niewiele rozumiała z jego wierszy: odwiedziny prześwietnej istoty oczekującej na wiadomość. Rozmowa między żołędziem, sadzonką i potężnym dębem. A także hołd dla Benjamina Franklina i jego pomysłowości. Forma wierszowana mało ją wzruszała. Wiersze za bardzo przypominały modlitwy, pobudzały niefortunne namiętności. Ludzie czekali, aż uratuje ich Bóg, choć powinni uratować się sami. Wiersze i modlitwa kładły im do głowy myśli, przez które dawali się zabić, odwracały uwagę od bezwzględnych mechanizmów świata.

Po recytacji poezji mieli wystąpić muzycy, jacyś grajkowie, którzy dopiero co przybyli na farmę. Poeta dobrze przygotował kręgi taneczne, odurzył słuchaczy wizjami ucieczki i ulgi. Jeśli to ich uszczęśliwiało, kim była Cora, żeby umniejszać ich przeżycia? Wkładali oni w bohaterów wierszy cząstkę siebie, przeszczepiali własne twarze postaciom z utworów. Czy widzieli siebie w Benjaminie Franklinie, czy w jego wynalazkach? Niewolnicy to narzędzia, więc pewnie w tym drugim, ale tu

nikt nie był niewolnikiem. Daleko stąd ktoś uznawał ich może za własność, lecz nie tutaj.

Cała ta farma przekraczała granice ich wyobraźni. Valentine'owie dokonali cudu. Cora siedziała wśród dowodów na ten cud – ba, sama była jego częścią. Wcześniej zbyt łatwo uwierzyła fałszywym obietnicom Karoliny Południowej. Teraz rozgoryczona cząstka jej duszy odrzucała skarby farmy Valentine'a, nawet jeśli co dnia wykwitało przed nią kolejne błogosławieństwo. W postaci małej dziewczynki, która bierze ją za rękę. Albo obaw o mężczyznę, którego zaczęła darzyć uczuciem.

Rumsey zakończył apelem o pielęgnowanie artystycznego temperamentu u młodych i starych, „podsycanie apollińskiego żaru w każdej żywej istocie". Jeden z nowo przybyłych przepchnął mównicę na bok sceny. To sygnał dla muzyków i sygnał dla Cory. Sala dusiła; na dworze było zimno i ciemno. Cora wyszła wśród szurania ławek przesuwanych, żeby zrobić miejsce na tańce. Na ścieżce minęła kogoś, kto zawołał:

– Idziesz nie w tę stronę, dziewczyno!

Kiedy dotarła do domu, Royal opierał się o słupek jej werandy. Rozpoznała jego sylwetkę, nawet w ciemności.

– Tak pomyślałem, że przyjdziesz, gdy tylko zaczęło grać banjo – powiedział.

Cora zapaliła lampę i zobaczyła jego podbite oko, żółto-siny guz.

– Och – szepnęła, obejmując go i wciskając twarz w jego szyję.

– Szamotanina, nic więcej – wyjaśnił. – Uciekliśmy. – Cora zadrżała, a wtedy szepnął: – Wiem, że się martwiłaś. Nie miałem dziś ochoty zadawać się z ludźmi, pomyślałem, że poczekam tu.

Usiedli na werandzie na krzesłach zbitych przez nieszczęśliwie zakochanych stolarzy i chłonęli noc. Przysunął się, tak że ich ramiona się stykały.

Opowiedziała mu, co przegapił: poetę i posiłek.

– Będą następne – powiedział. – Coś ci przywiozłem. – Pogrzebał w skórzanej torbie. – Tegoroczne wydanie, ale pomyślałem, że ci się spodoba, chociaż już październik. Kiedy trafię gdzieś, gdzie będą mieli przyszłoroczny, kupię.

Złapała go za rękę. Almanach miał dziwny mydlany zapach, a kartki trzaskały jak ogień, gdy je przewracała. Jeszcze nigdy nie otwierała żadnej książki jako pierwsza.

Po miesiącu na farmie Royal zabrał ją do widmowego tunelu.

Cora zaczęła pracować drugiego dnia pobytu, a w głowie rozbrzmiewało jej motto Valentine'a: „Zostań i przysłuż się". To prośba i lekarstwo. Najpierw przysłużyła się w pralni. Główna praczka miała na imię Amelia, poznała Valentine'ów w Wirginii i ruszyła za nimi dwa lata później. Łagodnie ostrzegła Corę, żeby „nie maltretowała ubrań". Na plantacji Randallów dziewczyna pracowała szybko. Praca fizyczna rozbudziła w niej dawną strachliwą pilność. Wraz z Amelią uznały, że bardziej odpowiadałoby jej pewnie inne zadanie. Przez tydzień pomagała w mleczarni, a potem przez jakiś czas u Aunty, opiekowała się dziećmi, gdy ich rodzice pracowali. Potem rozrzucała obornik na polach, kiedy liście kukurydzy pożółkły. Zginała się między rzędami upraw, nękana widmem nadzorcy.

– Wyglądasz na zmęczoną – zauważył Royal pewnego sierpniowego wieczoru, po tym jak Lander wygłosił jedną ze swych przemów.

To wystąpienie przypominało kazanie, dotyczyło kwestii znalezienia sensu w życiu po wyrwaniu się z jarzma niewoli. Różnorakich bolączek wolności. Tak jak reszta mieszkańców farmy Cora patrzyła na tego człowieka z zachwytem. Był egzotycznym księciem przybyłym z daleka, by nauczyć ich, jak zachowują się ludzie w przyzwoitych miejscach. W miejscach tak dalekich, że nie mieszczą się na żadnej mapie.

Ojciec Elijaha Landera był bogatym białym prawnikiem w Bostonie i jawnie żył z kolorową żoną. Znosili przygany w kręgu znajomych, a nocami szeptano, że potomek Landerów to owoc związku afrykańskiej bogini ze zwykłym śmiertelnikiem. Półbóg. Jak mawiali biali dygnitarze w rozwlekłych wstępach do jego wystąpień, Lander wykazywał geniusz od najmłodszych lat. Był chorowitym dzieckiem, dla którego placem zabaw stała się rodzinna biblioteka. Ślęczał nad opasłymi tomami, choć ledwo potrafił je unieść. Jako sześciolatek grał na fortepianie niczym europejski mistrz. Dawał koncerty przed pustym salonem, kłaniał się, słuchając bezgłośnych oklasków.

Dzięki wstawiennictwu przyjaciół rodziny został pierwszym kolorowym studentem na

jednej z prestiżowych uczelni dla białych. Dali mi niewolniczą przepustkę, opowiadał. A ja jej użyłem, żeby spłatać im figla. Zamieszkał w schowku na szczotki, bo nikt nie chciał dzielić z nim pokoju. Po czterech latach reszta studentów wybrała go, żeby wygłosił mowę na zakończenie nauki. Prześlizgiwał się między przeszkodami jak pradawna istota, która przechytrzyła współczesny świat. Mógł zostać, kimkolwiek zechciał. Chirurgiem, sędzią. Bostońscy patrycjusze namawiali go, by pojechał do stolicy i odcisnął swój ślad w polityce. Wdarł się do niewielkiego kręgu amerykańskich ludzi sukcesu, w którym jego rasa nie była przekleństwem. Wielu żyłoby w tej przestrzeni szczęśliwie, samodzielnie pnąc się wzwyż. Lander chciał zrobić miejsce dla innych. Ludzie to czasem wspaniałe towarzystwo.

W końcu postanowił wygłaszać przemowy. W salonie swoich rodziców przed widownią złożoną ze znakomitych bostończyków, potem w domach tych bostończyków, w domach spotkań kolorowych, zborach metodystycznych i salach wykładowych całej Nowej Anglii. Nieraz był pierwszym kolorowym, który postawił stopę w danym budynku, nie licząc mężczyzn, którzy go zbudowali, i kobiet, które w nim sprzątały.

Szeryfowie o czerwonych twarzach zatrzymali go za działalność wywrotową. Trafił do aresztu za podżeganie do zamieszek, choć nie były one zamieszkami, lecz pokojowymi spotkaniami. Czcigodny sędzia Edmund Harrison z Marylandu wydał nakaz jego aresztowania, oskarżając go o „propagowanie szatańskiego światopoglądu zagrażającego tkance zdrowego społeczeństwa". Został pobity przez tłum białych, a potem uratowany przez tych, którzy przyszli posłuchać, jak odczytuje fragmenty swojej *Deklaracji praw murzyna amerykańskiego*. Od Florydy po Maine jego broszury, a później autobiografię, palono publicznie razem z jego kukłą. Lepiej tak niż osobiście, mawiał.

Jakie prywatne żale dręczyły go pod tą maską spokoju, nikt nie wiedział. Pozostawał niewzruszony i dziwny.

– Jestem czymś takim, co botanicy nazywają hybrydą – powiedział w przemowie, kiedy Cora słuchała go po raz pierwszy. – Mieszanką dwóch różnych rodzin. W przypadku kwiatów taka krzyżówka cieszy oko. Gdy podobne połączenie zrodzi się z krwi i kości, niektórzy są oburzeni. W tej sali widzimy w nim to, czym jest: nowym pięknem, które przyszło na świat i kwitnie wokół nas.

Kiedy Lander skończył przemowę tamtego sierpniowego wieczoru, Cora i Royal usiedli na schodkach domu spotkań. Pozostali mieszkańcy sunęli obok nich strumieniem. Słowa Landera wprawiły Corę w melancholię.

– Nie chcę, żeby ktoś mnie zgasił – powiedziała.

Royal obrócił jej dłoń wnętrzem do góry i przesunął kciukiem po jej świeżych odciskach. Tym nie ma się co martwić, odparł. Zaproponował wycieczkę krajoznawczą po Indianie, żeby Cora oderwała się od ciężkiej pracy.

Nazajutrz wyruszyli powozikiem zaprzężonym w dwa srokate konie. Ze swych zarobków dziewczyna kupiła nową sukienkę i czepek. Czepek zakrywał prawie całą bliznę na skroni. Ostatnio czuła się przez nią nieswojo. Dotąd nigdy nie myślała zbyt wiele o piętnach, tych wszystkich literach X i T albo koniczynach, które panowie wypalali na ciele swojej własności. Na szyi Sybil marszczyła się podkowa, szpetna i sina – pierwszy właściciel kobiety hodował konie pociągowe. Cora dziękowała Bogu, że jej skóry nikt nigdy nie przypalił w taki sposób. Wszyscy jednak zostaliśmy naznaczeni piętnem, choćby nawet niewidzialnym, jeśli nie

na zewnątrz, to w środku – a blizna po lasce Randalla była dokładnie tym samym: znaczyła Corę jako jego własność.

Cora często bywała w mieście, weszła nawet po schodkach białej piekarni, żeby kupić ciasto. Tym razem Royal zabrał ich w przeciwnym kierunku. Niebo przypominało łupkową płytę, wciąż jednak było ciepło; to takie sierpniowe popołudnie, które przypomina, że podobne dni już się kończą. Zatrzymali się na piknik na skraju łąki, w cieniu rajskiej jabłoni. Royal wziął ze sobą chleb, dżem i kiełbasę. Cora pozwoliła mu położyć głowę na swoich kolanach. Zastanawiała się, czy nie wpleść palców w jego miękkie czarne kędziory nad uszami, ale powstrzymała się, gdy przebudziło się wspomnienie dawnej przemocy.

W drodze powrotnej Royal skręcił powozikiem w zarośniętą dróżkę, której Cora inaczej by nie zauważyła. Wlot zasłaniały topole. Powiedział, że chce jej coś pokazać. Pomyślała, że pewnie jakiś staw albo ciche miejsce, o którym nikt nie wie. Zamiast tego jednak wyjechali zza zakrętu i zatrzymali się przy opuszczonej, walącej się chacie, szarej niczym przeżute mięso. Okiennice wisiały krzywo, z dachu sterczały dzikie trawy. Sponiewierany – oto właściwe słowo. Ten dom był jak zbity pies. Cora zawahała

się na progu. Brud i mech sprawiały, że czuła się samotnie, mimo że był przy niej Royal.

Przez podłogę głównego pomieszczenia również przebijały chwasty. Dziewczyna zatkała nos od smrodu.

– Przy tym obornik pachnie słodko – powiedziała.

Royal roześmiał się i odparł, że on myślał tak o oborniku od zawsze. Otworzył właz do piwnicy i zapalił świeczkę. Schody trzeszczały. Po piwnicy pomykały zwierzęta oburzone ich najściem. Royal odliczył sześć kroków i zaczął kopać. Przestał, dopiero gdy odsłonił kolejny właz, a potem zeszli na stację. Ostrzegł Corę, że stopnie są śliskie od szarego szlamu.

To była jak dotąd najsmutniejsza, najżałośniejsza stacja. Żadnego spadku z peronu – tory zaczynały się na końcu schodów i znikały w ciemnym tunelu. Na torach stała nieduża drezyna. Żelazna dźwignia czekała, aż ożywi ją ludzki dotyk. Tak jak w kopalni miki w Karolinie Północnej, długie drewniane deski i rozpory podtrzymywały ściany i sufit.

– Ten tunel nie nadaje się dla lokomotywy – powiedział Royal. – Jest za wąski, widzisz? Nie łączy się z resztą linii.

Nikt nie był tam od bardzo dawna. Cora zapytała, dokąd prowadzi.

Royal uśmiechnął się szeroko.

– Jest sprzed moich czasów. Konduktor, którego zastąpiłem, pokazał mi go, kiedy przejmowałem ten odcinek. Przejechałem drezyną parę mil, ale to zbyt przerażające. Ściany napierały i były coraz bliżej.

Cora wiedziała, że nie warto pytać, kto zbudował tunel. Wszyscy ludzie kolei, od Lumbly'ego do Royala, odpowiadali jakąś wersją słów: A jak myślisz? Kto buduje cokolwiek? Uznała, że pewnego dnia przekona go, by jej powiedział.

Jak mówił, widmowego tunelu ponoć nigdy nie używano. Nikt nie wiedział, kiedy został wydrążony ani kto nad nim mieszkał. Część maszynistów twierdziła, że dom zbudował jeden z dawnych odkrywców, takich jak Lewis i Clark, którzy zbadali amerykańskie pustkowia i sporządzili ich mapy.

– Czy gdybyś poznała cały kraj, od Atlantyku po Pacyfik, od wielkiego wodospadu Niagara po Rio Grande, zamieszkałabyś tutaj, w lasach Indiany? – spytał Royal.

Pewien stary zawiadowca stacji uważał, że był to dom generała z czasów wojny o niepodległość,

który naoglądał się dość rozlewu krwi i wycofał z życia młodego narodu, po tym jak pomógł mu powstać.

Historia samotnika miała więcej sensu, ale Royal uważał, że fragment o wojskowym to bujda. Czy Cora zauważyła, że nie ma ani śladu, żeby ktoś tutaj mieszkał, choćby wykałaczki czy gwoździa w ścianie?

Pewna myśl opadła ją jak cień: że ta stacja to nie początek linii, ale koniec. Budowa nie zaczęła się pod tym domem, lecz na drugim końcu czarnej dziury. Jakby na świecie nie istniały żadne miejsca, do których można zbiec, a tylko takie, z których się ucieka.

W piwnicy nad nimi ruch obudził padlinożerców, rozległo się drapanie.

Co za zatęchła nora. Każda podróż zaczynająca się w takim miejscu musiała się źle skończyć. Poprzednia droga Cory rozpoczęła się na jasno oświetlonej stacji pełnej wygód, a doprowadziła do dostatków farmy Valentine'a. To było w Tennessee, gdy czekali, aż pociąg zabierze ich po niebezpiecznej eskapadzie z Ridgewayem. Na myśl o wydarzeniach tamtej nocy wciąż szybciej biło jej serce.

Kiedy zostawili łowcę niewolników i jego wóz, wybawcy Cory się przedstawili. Royal był tym mężczyzną, który zauważył ją w mieście. Jego towarzysz to Red; imię zawdzięczał rdzawej barwie kędzierzawych włosów. Ten nieśmiały nazywał się Justin, był zbiegiem tak jak ona, nienawykłym do grożenia białym ludziom nożem myśliwskim.

Gdy już Cora zgodziła się z nimi pójść – nigdy jeszcze czegoś nieuniknionego nie zaproponowano tak uprzejmie – trzej mężczyźni migiem zatarli ślady awantury. Świadomość, że gdzieś w mroku kręci się Homer, wzmagała ich pośpiech. Red stał na czatach ze strzelbą, tymczasem Royal i Justin przykuli Bosemana i Ridgewaya do wozu. Łowca niewolników nie odzywał się, wciąż tylko patrzył na Corę z zakrwawionymi ustami wygiętymi w drwiącym uśmiechu.

– Do tamtego – powiedziała dziewczyna, a wtedy Red przeciągnął łańcuch mężczyzny przez pierścień, który jej dręczyciele wcześniej przeznaczyli dla Jaspera.

Przejechali wozem Ridgewaya na najdalszy skraj pastwiska, tak by nie był widoczny z drogi. Red skuł łowcę niewolników pięciokrotnie, wykorzystując każdy łańcuch w kufrze wozu.

Klucze wyrzucił w trawę. Konie przegonili. Po Homerze wciąż nie było ani śladu; być może czaił się tuż poza zasięgiem światła latarni. Nie wiedzieli, jak dużą przewagę zapewnią te zabiegi, ale musiała wystarczyć. Kiedy odchodzili, Boseman wydał z siebie przeraźliwy jęk, który Cora wzięła za agonalne rzężenie.

Wóz jej wybawców stał niedaleko obozowiska Ridgewaya. Ona i Justin skryli się pod grubym kocem na tyle pojazdu, który wkrótce ruszył z niebezpieczną prędkością jak na mrok i kiepskie drogi Tennessee. Royal i Red tak byli podnieceni walką, że dopiero po kilku milach przypomnieli sobie o zawiązaniu oczu przewożonym. Royal wstydził się, że musi to zrobić.

– To dla dobra stacji, panienko.

Trzecia podróż Cory koleją podziemną zaczęła się pod stajnią. Dziewczyna wiedziała już, że czeka ją zejście niemożliwie głęboko po schodach i odkrycie specyfiki nowej stacji. Właściciel terenu wyjechał w interesach, wyjaśnił Royal, odwiązując szmaty zasłaniające oczy zbiegów. Ten fortel miał ukryć udział owego człowieka w przedsięwzięciu. Cora nigdy nie poznała jego nazwiska ani nazwy miasteczka, skąd wyruszyli. Dowiedziała się tylko tyle, że był on kolejnym

człowiekiem, który lubi podziemia – i ma słabość do importowanych białych płytek. Wyłożono nimi ściany stacji.

– Za każdym razem, kiedy tu schodzimy, zastajemy coś nowego – powiedział Royal.

We czwórkę czekali na pociąg przy stole przykrytym białym obrusem, siedząc w ciężkich fotelach obitych szkarłatną tapicerką. W wazonie stały świeże kwiaty, a na ścianach wisiały obrazy pól oprawione w ramy. Znaleźli tam kryształowy dzbanek z wodą, kosz owoców oraz duży bochen pumpernikla.

– To dom bogatych – stwierdził Justin.

– Właściciel lubi dbać o atmosferę – odparł Royal.

Red powiedział, że podobają mu się białe płytki, znacznie lepsze od sosnowych desek, które widzieli tu poprzednio.

– Nie wiem, jak je sam ułożył – dodał.

Royal miał nadzieję, że gospodarz trzyma język za zębami.

– Zabiłeś tamtego człowieka – powiedział Justin. Był otępiały. W szafce znaleźli dzban z winem, więc teraz pił je w zapamiętaniu.

– Zapytaj dziewczynę, czy sobie zasłużył – odparł Red.

Royal złapał przyjaciela za przedramię, żeby ten przestał się trząść. Red jeszcze nigdy nie odebrał nikomu życia. Sam charakter zajścia oznaczał, że grozi im stryczek, ale morderstwo gwarantowało straszliwe męczarnie, nim zawisną. Royal zdziwił się, gdy później Cora powiedziała mu, że ścigają ją za zabójstwo w Georgii. Otrząsnął się i odrzekł:

– W takim razie nasz los był przesądzony, odkąd tylko zobaczyłem cię na tamtej brudnej ulicy.

Royal był pierwszym wolno urodzonym czarnym, jakiego Cora poznała. W Karolinie Południowej widywała wielu wolnych, którzy przeprowadzili się tam, szukając tak zwanych okazji, oni jednak wcześniej odsłużyli swoje jako czyjaś własność. Royal wolności zaznał wraz z pierwszym oddechem.

Wychował się w Connecticut; jego ojciec był golibrodą, a matka akuszerką. Oni również urodzili się wolni, pochodzili z Nowego Jorku. Z ich polecenia poszedł terminować u drukarza, gdy tylko dorósł do pracy. Rodzice Royala wierzyli w godność uczciwych zawodów, wyobrażali sobie przyszłość rodziny na kilka pokoleń do przodu, a każdemu miał być pisany większy sukces niż poprzedniemu. Skoro północ

zniosła niewolnictwo, pewnego dnia ta haniebna instytucja zniknie wszędzie. Historia murzyna rozpoczęła się w tym kraju od poniżeń, ale pewnego dnia doczeka się on triumfu i dobrobytu.

Gdyby rodzice Royala zdawali sobie sprawę z tego, jak silnie działają na chłopca ich wspomnienia, być może nieco oszczędniej opowiadaliby o swym rodzinnym mieście. Royal wyruszył na Manhattan w wieku lat osiemnastu, a pierwsze spojrzenie na to majestatyczne miasto zza barierki promu przypieczętowało jego los. Wynajął pokój z trzema innymi mężczyznami w domu dla kolorowych w Five Points i rozpoczął praktykę golibrody, którą prowadził, dopóki nie poznał słynnego Eugene'a Wheelera. Biały mężczyzna zagadnął Royala na spotkaniu antyniewolniczym; był pod jego wrażeniem i zaprosił go nazajutrz do swojego gabinetu. Royal czytał o dokonaniach Wheelera w gazecie: prawnik, orędownik abolicji, zmora właścicieli niewolników oraz tych wykonujących za nich brudną robotę. Royal chadzał na zwiady do miejskiego aresztu, szukając zbiegów, których prawnik mógłby bronić, przenosił wiadomości między enigmatycznymi osobami i dostarczał przemyconym zbiegom fundusze od towarzystw

antyniewolniczych. Kiedy oficjalnie wstąpił w szeregi kolei podziemnej, służył jej już od dłuższego czasu.

Oliwię tłoki, lubił mawiać. Umieszczał w gazetach ogłoszenia drobne z zaszyfrowanymi informacjami, które powiadamiały zbiegów i konduktorów o odjazdach pociągów. Przekupywał kapitanów statków i konstabli, a zasępionym funkcjonariuszom w aresztach doręczał wydane przez sędziów nakazy zwolnienia. W zasadzie działał w parze z białym sprzymierzeńcem, ale jego bystrość umysłu i dumna postawa wyraźnie pokazywały, że kolor skóry nie jest dla niego przeszkodą. Wolny czarny chodzi inaczej niż niewolnik, mówił. Biali rozpoznają to natychmiast, nawet jeśli nie zdają sobie z tego sprawy. Inaczej chodzi, inaczej mówi, inaczej się nosi. To siedzi w człowieku.

Jego kooperacja z Redem zaczęła się wraz z przeprowadzką do Indiany. Red pochodził z Karoliny Północnej, uciekł, kiedy regulatorzy powiesili jego żonę i dziecko. Szedł Szlakiem Wolności długimi milami, szukając ich ciał, by móc się pożegnać. Nie udało mu się – szlak trupów biegł, zdało się, bez końca w każdą stronę. Gdy Red dotarł na północ, zaciągnął się do kolei podziemnej i poświęcił sprawie

z diaboliczną zaradnością. Usłyszawszy, że w Georgii Cora przypadkiem zabiła chłopca, uśmiechnął się i powiedział:

– Dobrze.

Misja związana z Justinem od początku była nietypowa. Tennessee leżało poza zasięgiem działań Royala, ale tamtejszy przedstawiciel kolei od czasu pożarów nie dawał znaku życia. Odwołanie pociągu miałoby katastrofalne skutki. Wobec braku innych ludzi zwierzchnicy Royala niechętnie wysłali dwóch kolorowych agentów daleko w głąb skalistych pustkowi Tennessee.

Broń to był pomysł Reda. Royal nigdy dotąd nie miał żadnej w ręku.

– Dobrze leży w dłoni – stwierdził. – Ale jest ciężka jak armata.

– Wyglądasz groźnie – powiedziała Cora.

– Trząsłem się, ale tylko wewnątrz – przyznał.

Pan Justina często wynajmował go do robót kamieniarskich i pewien życzliwy pracodawca umówił się z koleją w imieniu niewolnika. Postawił jeden warunek: Justin wstrzyma się z ucieczką do czasu, aż postawi kamienny mur wokół jego posesji. Uzgodnili, że Justin może zostawić szparę na trzy kamienie, jeśli udzieli dokładnych wskazówek, jak ukończyć budowę.

We wskazany dzień po raz ostatni wyszedł do pracy. Jego nieobecność miała pozostać niezauważona aż do zmierzchu; pracodawca nalegał, by tego ranka w ogóle się u niego nie pojawiał. Już o dziesiątej rano Justin siedział z tyłu wozu Royala i Reda. Plan uległ zmianie, kiedy mężczyźni napotkali w mieście Corę.

Pociąg zajechał na stację w Tennessee. Lokomotywa była najbardziej okazała z tych, które Cora widziała, czerwony lakier odbijał światło nawet mimo warstwy sadzy. Maszynista okazał się pogodnym osobnikiem o dudniącym głosie. Zamaszystym gestem otworzył drzwi do wagonu pasażerskiego. Cora przypuszczała, że maszynistów, co do jednego, ogarnia w tunelach swoisty obłęd.

Po rozklekotanym wagonie towarowym oraz platformie, która dowiozła ją do Karoliny Północnej, wejście do prawdziwego wagonu pasażerskiego – dobrze wyposażonego i wygodnego, zupełnie jak te, o których czytała w almanachach – było nadzwyczajną przyjemnością. Miejsc, wykwintnych i miękkich, starczyłoby dla trzydziestki, a mosiężne elementy połyskiwały w blasku świecy. Zapach świeżego lakieru sprawiał, że Cora czuła się jak pierwsza pasażerka podczas magicznej, dziewiczej

podróży. Spała rozciągnięta na trzech siedzeniach, po raz pierwszy od miesięcy wolna od łańcuchów i mroku poddasza.

Kiedy się obudziła, żelazny koń wciąż dudnił w tunelu. Przypomniały jej się słowa Lumbly'ego: „Jeśli ktoś chce zrozumieć ten kraj, musi pojechać koleją. Pędząc przed siebie, wyjrzyjcie z wagonu, a zobaczycie prawdziwą twarz Ameryki". Zatem to od początku był żart. Podczas podróży Cory za oknami znajdowała się tylko ciemność i zawsze miało tak pozostać.

Na siedzeniu przed nią mówił Justin. Opowiadał, że w Kanadzie mieszka jego brat z trzema bratanicami, których nigdy nie widział. Chciał spędzić kilka dni na farmie, a potem ruszyć na północ.

Royal zapewnił go, że kolej jest do jego dyspozycji. Cora usiadła, a wtedy powtórzył to, co przed chwilą powiedział Justinowi. Mogła jechać w dalszą drogę do następnej stacji w Indianie albo zostać na farmie Valentine'a.

Biali wzięli Johna Valentine'a za jednego ze swoich, mówił Royal. Miał bardzo jasną skórę. Każdy kolorowy natychmiast jednak rozpoznawał jego etiopskie korzenie. Ten nos, te usta, bez względu na zdrowe włosy czy ich brak. Jego matka była szwaczką, a ojciec białym

domokrążcą, który przejeżdżał przez okolicę co parę miesięcy. Kiedy zmarł, zapisał majątek synowi, po raz pierwszy przyznając się do chłopca poza murami domu.

Valentine spróbował hodowli ziemniaków. Zatrudniał na swej ziemi sześciu wolnych czarnych. Nigdy nie twierdził, że jest kimś, kim nie był, ale nikogo nie wyprowadzał z błędu. Kiedy kupił Glorię, nie zwróciło to niczyjej uwagi. Jednym ze sposobów na utrzymanie kobiety było utrzymanie jej w niewoli, zwłaszcza gdy dla kogoś, jak dla Johna Valentine'a, związki romantyczne stanowiły nowość. Tylko John, Gloria i sędzia na drugim końcu stanu wiedzieli, że jest wolna. John lubił książki, więc nauczył żonę czytać. Wychowali dwóch synów. To, że ich wyzwolił, sąsiedzi uznali za wielkoduszne, acz niepotrzebne.

Kiedy starszy z chłopców miał pięć lat, jednego z woźniców Valentine'a powieszono i spalono za nierozważne gapienie się. Przyjaciele Joego utrzymywali, że tamtego dnia w ogóle nie było go w mieście; życzliwy Valentine'owi urzędnik w banku podzielił się plotką, że kobieta, o którą poszło, chciała wprawić w zazdrość ukochanego. Z upływem lat, zauważył Valentine, przemoc rasowa staje się

coraz gwałtowniejsza w wyrazie. Nie zelżeje i nie zniknie, na pewno nie wkrótce i nie na południu. Wraz z żoną uznali, że Wirginia nie jest miejscem, gdzie można wychowywać dzieci. Sprzedali farmę i wyruszyli w drogę. W Indianie ziemia była tania. Tam również mieszkali biali ludzie, ale nie tak blisko.

Valentine nauczył się temperamentu kukurydzy. Trzy pomyślne zbiory z rzędu. Gdy odwiedzał krewnych w Wirginii, chwalił zalety nowego domu. Zatrudniał dawnych kompanów. Mogli nawet mieszkać na jego ziemi, dopóki sami nie staną na nogi; powiększył swój teren.

Tamtych gości zaprosił sam. Farma, którą zastała Cora, narodziła się pewnej zimy, kiedy spadł powolny, gęsty śnieg. Kobieta na progu Valentine'ów wyglądała straszliwie, przemarznięta niemal na śmierć. Margaret zbiegła z Delaware. Jej podróż była burzliwa – kilku osobników o surowej powierzchowności zabrało ją zygzakowatą trasą z posiadłości jej pana. Traper, obwoźny handlarz cudownych leków. Włóczyła się z miasta do miasta z wędrownym dentystą, dopóki nie posunął się do przemocy. Śnieżyca złapała ją w drodze. Margaret modliła się do Boga o wybawienie, obiecała skończyć z grzechem i moralną

niedoskonałością, którą wykazała podczas ucieczki. Z mroku wyłoniły się światła Valentine'ów.

Gloria zatroszczyła się o przybyszkę najlepiej, jak mogła; kucykiem na farmę przyjechał lekarz. Drgawki Margaret nie ustały. Zmarła kilka dni później.

Kiedy Valentine następnym razem pojechał w interesach na wschód, zatrzymał go afisz zapowiadający spotkanie antyniewolnicze. Kobieta w śniegu stała się emisariuszką wykluczonego plemienia. Valentine poświęcił się służbie tym ludziom.

Nim nadeszła jesień, jego farma stała się najnowszą placówką kolei podziemnej, w której kłębiło się od zbiegów i konduktorów. Część uciekinierów się tu zatrzymywała; jeśli tylko byli gotowi się przysłużyć, mogli zostać, jak długo chcieli. Posadzili kukurydzę. Na zarośniętym skrawku gospodarstwa dawny plantacyjny murarz zbudował kuźnię dla dawnego plantacyjnego kowala. Kuźnia wypluwała gwoździe w nadzwyczajnym tempie. Mężczyźni pocięli drzewa i zbudowali chaty. Znaczący abolicjonista zatrzymał się tu na jeden dzień w drodze do Chicago i został na cały tydzień. Luminarze, oratorzy i artyści zaczęli

uczestniczyć w sobotnich wieczornych dyskusjach poświęconych kwestii murzyńskiej. Pewna wolna kobieta miała siostrę w Delaware, która wpadła w kłopoty; siostra ta przyjechała na zachód, żeby zacząć od nowa. Valentine i rodzice na farmie płacili jej za uczenie dzieci, bo tych stale było coraz więcej.

Ze swoją białą twarzą, opowiadał Royal, Valentine jeździł do siedziby hrabstwa, gdzie kupował paczki dla swoich przyjaciół z czarnymi twarzami, dawnych parobków, którzy udali się na zachód, zbiegów, którzy znaleźli schronienie na jego farmie. Znaleźli cel. Kiedy przybyli tu Valentine'owie, ta część Indiany była niezamieszkana. Gdy zaczęły wyrastać miasta, tym szybciej, że napędzane niewyczerpanym amerykańskim apetytem, czarna farma stanowiła równie naturalny element krajobrazu jak góra czy strumień. Na tamtejszej klienteli polegał co drugi biały sklep; mieszkańcy gospodarstwa Valentine'a wypełniali place i niedzielne targi, gdzie sprzedawali swoje towary. To miejsce zdrowienia, powiedział Corze Royal podczas jazdy pociągiem na północ. Można tam przemyśleć swoje położenie i przygotować się do następnego etapu podróży.

Poprzedniej nocy w Tennessee Ridgeway nazwał Corę i jej matkę skazą na amerykańskim planie. Jeśli dwie kobiety są skazą, czym w takim razie jest cała społeczność?

Royal nie wspomniał o filozoficznych dysputach, które dominowały podczas sobotnich spotkań. Mingo prezentował plany następnego etapu awansu kolorowego plemienia, a Lander wygłaszał eleganckie, lecz niejasne apele pozbawione prostych rozwiązań. Konduktor pominął także bardzo realną kwestię narastającej niechęci białych osadników do murzyńskiej placówki. Z czasem musiały się ujawnić podziały.

Kiedy razem z Corą pędził podziemnym korytarzem w maleńkim statku na morzu niemożliwości, rekomendacje Royala osiągnęły swój prawdziwy cel. Cora klepnęła dłońmi w poduszki wagonu pasażerskiego i oznajmiła, że farma będzie jej pasowała w sam raz.

Justin spędził tam dwa dni, napełnił brzuch, a potem dołączył do krewnych na północy. Przysłał później list, w którym opisywał ich powitanie i swoją nową posadę w firmie budowlanej. Jego bratanice podpisały się innym

kolorem tuszu, rozbrykanym, naiwnym charakterem pisma. Kiedy przed Corą rozpostarła się farma Valentine'a w całej swej uwodzicielskiej obfitości, nie wchodziło w grę, żeby dziewczyna stąd odeszła. Dołożyła swoją cegiełkę do życia na farmie. To była praca, jaką znała; rozumiała podstawowe rytmy sadzenia i zbiorów, lekcje i nakazy zmieniających się pór roku. Jej wizje życia w wielkim mieście zaszły mgłą – co ona wiedziała o takich miejscach jak Nowy Jork czy Boston? Wychowała się z rękami ubrudzonymi ziemią.

Miesiąc po przybyciu, stojąc u wlotu widmowego tunelu, pozostawała przekonana o słuszności swojej decyzji. Wraz z Royalem już mieli wrócić na farmę, kiedy z ciemnych trzewi tunelu buchnął powiew. Jakby coś poruszało się w ich kierunku, starego i mrocznego. Złapała Royala za rękę.

– Dlaczego mnie tu przyprowadziłeś? – zapytała.

– Nie powinniśmy opowiadać o tym, co robimy tu na dole – powiedział. – A nasi pasażerowie nie powinni opowiadać o działaniu kolei. Naraziłoby to wielu ludzi na niebezpieczeństwo. Mogliby mówić, gdyby chcieli, ale nie mówią.

Rzeczywiście. Ilekroć Cora opowiadała o swojej ucieczce, pomijała tunele i trzymała się ogólnych zarysów. To było coś prywatnego, własny sekret, którego nikomu nie przyszłoby do głowy wyjawić innym. Nie dlatego, że to zła tajemnica, ale intymna i tak bardzo zespolona z sednem tego, kim się jest, że nie sposób tych rzeczy rozłączyć. Cora umarłaby, gdyby się nią podzieliła.

– Pokazałem ci to, bo widziałaś więcej kolei niż większość ludzi – ciągnął Royal. – Chciałem, żebyś to zobaczyła: jak to się ze sobą łączy. Albo nie.

– Jestem tylko pasażerką.

– Właśnie dlatego – odparł. Wytarł okulary połą koszuli. – Kolej podziemna to coś większego niż tylko ci, którzy ją obsługują. To także wy wszyscy. Małe bocznice, duże magistrale. Mamy najnowsze lokomotywy i przestarzałe parowozy, a także drezyny takie jak ta. Kolej biegnie wszędzie, do miejsc, które znamy, i do tych nieznanych. Mamy tunel taki jak ten biegnący pod nami, i nikt z nas nie wie, dokąd on prowadzi. Jeśli zadbamy, żeby kolej nie przestała działać, ale nie zdołamy tego ustalić, może tobie się uda.

Cora powiedziała mu, że nie wie, dlaczego ten tunel tu jest ani co to oznacza. Wiedziała tylko tyle, że nie chce już dłużej uciekać.

Listopad przyniósł wyczerpujące chłody Indiany, ale dwa wydarzenia pozwoliły Corze zapomnieć o pogodzie. Pierwszym było pojawienie się na farmie Sama. Kiedy zapukał do drzwi jej chaty, uściskała go tak mocno, że musiał prosić, by go puściła. Rozpłakali się. Kiedy dochodzili do siebie, Sybil zaparzyła herbatki korzennej.

W jego szorstkiej brodzie pojawiły się siwe włosy, a brzuch urósł mu spory, ale Sam pozostał tym samym gadatliwym jegomościem, który przed długimi miesiącami przygarnął Corę i Caesara. Noc, kiedy do miasta przybył łowca niewolników, na zawsze położyła kres jego dawnemu życiu. Ridgeway dopadł Caesara w fabryce, zanim Sam zdążył go ostrzec. Mężczyźnie drżał głos, gdy opowiadał o tym, jak w areszcie ich przyjaciel został pobity. Na temat swych towarzyszy Caesar nie pisnął ani słowem, ale pewien człowiek nieraz widział, jak ten czarnuch gadał z Samem. To, że Sam wyszedł z baru w połowie swojej zmiany – oraz że niektórzy w mieście znali go od dziecka i nie

lubili jego samozadowolenia – wystarczyło, by doszczętnie spalono mu dom.

– Dom mojego dziadka. Mój dom. Wszystko, co miałem.

Kiedy motłoch wyrwał Caesara z aresztu i zamordował, Sam dawno był już w drodze na północ. Zapłacił za przewóz jakiemuś domokrążcy i już nazajutrz płynął statkiem do Delaware.

Miesiąc później pod osłoną nocy agenci zasypali wejście do tunelu pod jego domem zgodnie z zasadami kolei podziemnej.

– Ze stacją Lumbly'ego zrobiono to samo – powiedział Sam.

Agenci przynieśli mu pamiątkę: miedziany kubek wykrzywiony przez ogień. Nie poznawał go, ale i tak zatrzymał.

– Byłem zawiadowcą stacji. Znaleźli mi inne zadania.

Woził zbiegów do Bostonu i Nowego Jorku, ślęczał nad najnowszymi badaniami, obmyślając drogi ucieczki, i dbał o ostatnie ustalenia, które mogły uratować życie uciekinierom. Podawał się nawet za łowcę niewolników, „Jamesa Olneya", by wyciągać niewolników z aresztów pod pretekstem dostarczenia ich właścicielom. Głupi konstable i ich zastępcy. Od uprzedzeń rasowych

gnije rozum, stwierdził Sam. Rozbawił Corę i Sybil, demonstrując swój ton i krok łowcy niewolników.

Właśnie przywiózł na farmę Valentine'a swój najnowszy ładunek, trzyosobową rodzinę, która ukrywała się w New Jersey. Wtopili się w tamtejszą społeczność kolorowych, powiedział, ale w okolicy zaczął węszyć łowca niewolników, więc nadszedł czas ucieczki. To była ostatnia misja Sama dla kolei podziemnej. Teraz wyruszał na zachód.

– Co spotkam pioniera, to ma słabość do whisky. W Kalifornii będą potrzebni barmani.

Corę pokrzepiło, że widzi przyjaciela grubego i szczęśliwego. Tylu ludzi, którzy jej pomogli, spotkał straszny los. Przynajmniej on przez nią nie zginął.

Potem Sam podzielił się wiadomościami z jej dawnej plantacji. To była druga z rzeczy, które złagodziły mrozy Indiany.

Terrance Randall nie żył.

Wszystkie sygnały wskazywały na to, że z czasem jego obsesja na punkcie Cory i jej ucieczki tylko się pogłębiała. Zaniedbywał sprawy plantacji. Na jego codzienność składały się plugawe przyjęcia we dworze i zmuszanie niewolników, by dostarczali mu ponurych

rozrywek, służyli za ofiary zamiast Cory. Stale wzywał do jej złapania, umieszczał ogłoszenia w dalekich stanach, podając rysopis i szczegóły jej zbrodni. Niejeden raz znacznie podnosił nagrodę – oszołomiony Sam na własne oczy widział afisze – i gościł każdego przejezdnego łowcę niewolników, by przedstawić mu dokładniejszy portret podłości Cory, a także zawstydzić nieudolnego Ridgewaya, który zawiódł najpierw ojca, a teraz jego samego.

Terrance zmarł w Nowym Orleanie w pokoju kreolskiego domu publicznego. Jego serce nie wytrzymało, wycieńczone miesiącami rozpusty.

– Albo nawet ono miało już dość jego podłości – stwierdziła Cora. Gdy oswoiła się z wiadomością, zapytała o Ridgewaya.

Sam lekceważąco machnął dłonią.

– Teraz jest już tylko pośmiewiskiem. Jego kariera dobiegała końca jeszcze przed… – zawiesił głos – incydentem w Tennessee.

Cora skinęła głową. O morderstwie popełnionym przez Reda nie mówiono. Kolej zwolniła go, gdy cała historia wyszła na jaw. On się tym nie przejął. Miał już nowe pomysły na złamanie jarzma niewolnictwa i nie zgodził się oddać broni.

– Jest z tych, co gdy już przyłożą rękę do pługa, nie będą się oglądać – mruknął Royal.

Żal mu było patrzeć za odjeżdżającym przyjacielem, ale po Tennessee ich metod nie dało się pogodzić. Zabójstwo popełnione przez Corę usprawiedliwiał jako działanie w obronie własnej, ale jawna krwiożerczość Reda to inna sprawa.

Skłonność Ridgewaya do przemocy i jego osobliwe fiksacje sprawiały, że z trudem znajdował towarzyszy. Splamiona reputacja w połączeniu ze śmiercią Bosemana i upokorzeniem przez czarnuchów wyjętych spod prawa uczyniły go pariasem w swym fachu. Szeryfowie w Tennessee wciąż oczywiście szukali morderców, ale Ridgeway wypadł z polowania. Od lata nikt o nim nie słyszał.

– A co z tamtym chłopcem, Homerem?

Sam słyszał o tej dziwnej istotce. To właśnie ten mały w końcu sprowadził do lasu pomoc dla łowcy niewolników. Cudaczny sposób bycia Homera bynajmniej Ridgewayowi nie pomagał – ich wzajemny układ rodził niestosowne spekulacje. Tak czy owak, napad nie naruszył ich więzi, bo zniknęli razem.

– W mokrej grocie – podsumował Sam. – Jak przystoi takim nędznym gnojom.

Zabawił na farmie trzy dni, bez skutku zabiegając o względy Georginy. Dostatecznie długo, by wziąć udział w zawodach w łuskaniu.

Zawody odbyły się pierwszej nocy pełni księżyca. Dzieci przez cały dzień układały kukurydzę w dwa olbrzymie stosy wewnątrz obwódki z czerwonych liści. Kapitanem jednego z zespołów był Mingo – już drugi rok z rzędu, zauważyła Sybil z niesmakiem. Wybrał sobie zespół sprzymierzeńców, nie zważając na to, by reprezentowali pełen przekrój społeczności farmy. Najstarszy syn Valentine'a, Oliver, skomponował różnorodną grupę złożoną z nowo przybyłych i starych parobków.

– I oczywiście jeszcze nasz znakomity gość – powiedział na koniec, wskazując Sama.

Jakiś mały chłopiec dmuchnął w gwizdek i rozpoczęło się szaleńcze łuskanie. Tegoroczną nagrodą było duże srebrne lustro, które Valentine przywiózł z Chicago. Stało między stosami owinięte niebieską wstążką i odbijało pomarańczowy blask lamp z wydrążonych dyń. Kapitanowie wykrzykiwali polecenia do swych podkomendnych, a widownia klaskała i pokrzykiwała. Skrzypek grał do

akompaniamentu szybką, komiczną melodię. Mniejsze dzieci biegały dokoła stosów i chwytały łuski, często zanim jeszcze te spadły na ziemię.

– Łap tamtą kukurydzę!

– Pośpiesz no się!

Cora przyglądała się z boku. Royal trzymał dłoń na jej biodrze. Poprzedniego wieczoru pozwoliła mu się pocałować, co wziął, nie bez kozery, za znak, że wreszcie zgodziła się, by nasilił starania. Kazała mu czekać. Poczekałby jeszcze. Ale po wiadomości Sama o śmierci Terrance'a Cora złagodniała, nawet jeśli rodziła ona w jej głowie mściwe wizje. Dziewczyna wyobrażała sobie dawnego pana zaplątanego w pościel, z sinym językiem wywalonym z ust. Wołającego o pomoc, która nigdy nie nadeszła. Topiącego się w trumnie na krwawą miazgę, a potem znoszącego cierpienia w piekle rodem z Apokalipsy. Przynajmniej w tę część świętej książki Cora wierzyła. To był opis niewolniczej plantacji.

– U Randallów zbiory nie wyglądały tak jak tutaj – powiedziała. – Też zbieraliśmy bawełnę podczas pełni, ale wszędzie była krew.

– Nie jesteś już u Randallów – odparł Royal. – Jesteś wolna.

Cora powściągnęła nerwy i szepnęła:

– Jak to? Ziemia to własność. Narzędzia to własność. Ktoś wystawi plantację Randalla na aukcję, niewolników też. Kiedy ktoś umiera, zawsze pojawiają się krewni. Wciąż jestem własnością, nawet w Indianie.

– On nie żyje. Żaden krewny nie będzie zawracał sobie głowy odzyskaniem ciebie tak jak Terrance. Jesteś wolna.

Royal dołączył do śpiewów, żeby zmienić temat, a także by przypomnieć Corze, że istnieją rzeczy, z których ciało może się cieszyć. Społeczność działała wspólnie od sadzenia przez zbiory aż po to łuskanie. Śpiewano jednak roboczą pieśń znaną Corze z pól bawełny. Przypomniała jej okrucieństwa Randallów i sprawiła, że serce zaczęło łomotać. Connelly zwykle zaczynał śpiewać ją po chłoście na znak, żeby wracać do pracy.

Jak coś tak przykrego może stać się źródłem przyjemności? Na farmie Valentine'a wszystko było odwrotnie. Praca nie musiała być katuszą, mogła jednoczyć ludzi. Bystre dziecko takie jak Chester mogło rosnąć szczęśliwie tak jak Molly i jej koleżanki. Matka wychowywała córkę w miłości i dobroci. Tutaj człowiek o pięknej duszy taki jak Caesar mógł być, kim zechce, wszyscy oni mogli: mieć własną ziemię, uczyć

w szkole, walczyć o prawa kolorowych. Nawet zostać poetą. Podczas cierpień w Georgii Cora wyobrażała sobie wolność i wcale nie tak ona wtedy wyglądała. Wolność jest wówczas, gdy wspólnota razem pracuje na coś, co piękne i cenne.

Wygrał Mingo. Jego ludzie, schrypnięci od okrzyków, wozili go na krześle wokół stosów nagich kolb. Jimmy stwierdził, że jeszcze nigdy nie widział, by jakiś biały tak ciężko pracował, a Sam promieniał z radości. Georgina pozostała jednak niewzruszona.

W dniu jego wyjazdu Cora uściskała go i pocałowała w zarośnięty policzek. Obiecał, że gdziekolwiek osiądzie, napisze stamtąd list.

To była pora krótkich dni i długich nocy. Kiedy psuła się pogoda, Cora często zaglądała do biblioteki. Brała ze sobą Molly, gdy tylko zdołała ją namówić. Siedziały obok siebie, ta starsza z książką historyczną albo romansem, młodsza – przewracając strony bajki. Pewnego dnia w drodze do wejścia zatrzymał je woźnica.

– Mój pan powtarzał – powiedział im – że od czarnucha z bronią groźniejszy jest tylko czarnuch z książką. No to musi tu być cała kupa czarnego prochu!

Kiedy wdzięczni mieszkańcy zaproponowali dostawienie do domu Valentine'a przybudówki na jego książki, Gloria zasugerowała wzniesienie oddzielnego budynku. „Dzięki temu każdy, kogo najdzie ochota na książkę, mógłby po nią sięgnąć w dowolnej chwili". Rodzinie zapewniało to również więcej prywatności. Byli wielkoduszni, ale wszystko ma granice.

Bibliotekę zbudowano opodal wędzarni. Kiedy Cora siadała z książkami Valentine'a w jednym z dużych foteli, pomieszczenie przyjemnie pachniało dymem. Royal mówił, że to największy zbiór literatury murzyńskiej stąd do Chicago. Nie wiedziała, czy to prawda, ale lektur bynajmniej jej nie brakło. Oprócz traktatów na temat rolnictwa i uprawy różnych zbóż były tam całe rzędy książek historycznych. O ambicjach Rzymian, triumfach Maurów, królewskich waśniach w Europie. Ogromne tomy zawierały mapy ziem, o których Cora nigdy nie słyszała, zarysy niepodbitego świata.

Do tego różnorodna literatura o kolorowych plemionach. Opisy afrykańskich imperiów i cudów dokonanych przez egipskich niewolników, którzy wznieśli piramidy. Stolarze na farmie byli istnymi mistrzami w swoim

fachu – musieli nimi być, skoro udało im się sprawić, że wszystkie te książki pełne wspaniałości nie powyskakiwały z półek. Broszury z wierszami murzyńskich poetów, autobiografie kolorowych oratorów. Phillis Wheatley i Jupiter Hammon. Był też niejaki Benjamin Banneker, który przygotowywał almanachy – almanachy! Cora pochłonęła je wszystkie – i służył jako powiernik Thomasa Jeffersona, autora Deklaracji Niepodległości. Cora czytała o niewolnikach, którzy urodzili się w okowach, a potem nauczyli się czytać i pisać. O Afrykanach wykradzionych, wyrwanych od domów i rodzin, którzy opisali swe cierpienia w niewoli, a następnie mrożące krew w żyłach ucieczki. Rozpoznawała ich historie jako własne. To były historie wszystkich kolorowych ludzi, jakich kiedykolwiek znała, historie czarnych, którzy mieli się dopiero urodzić, fundamenty ich triumfu.

Ludzie spisali to wszystko na papierze w maleńkich pokojach. Niektórzy nawet mieli ciemną skórę tak jak ona. Czuła mętlik w głowie, ilekroć przestępowała próg biblioteki. Powinna brać się do roboty, jeśli chciała to wszystko przeczytać.

Pewnego popołudnia dołączył do niej Valentine. Cora była w przyjaznych stosunkach z Glorią – która nazywała ją „awanturniczką” ze względu na liczne komplikacje podczas jej podróży – z nim samym natomiast jeszcze nigdy nie rozmawiała poza spotkaniami. Miała wobec Valentine’a dług tak wielki, że nie sposób tego wyrazić, wolała więc go unikać.

Zerknął na okładkę jej książki, romansu o młodym Maurze, który staje się postrachem siedmiu mórz. Powieść napisano prostym językiem, więc lektura szła Corze szybko.

– Tego nie czytałem – powiedział. – Słyszałem, że lubisz tu bywać. Ty jesteś tą dziewczyną z Georgii?

Kiwnęła głową.

– Nigdy tam nie byłem. Historie docierają stamtąd tak koszmarne, że gdy o nich myślę, krew mnie zalewa i boję się, że żona mi owdowieje.

Cora odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech. W letnich miesiącach Valentine był stale obecny, doglądał kukurydzy. Parobkowie znali się na indygo, tytoniu – na bawełnie, oczywiście – ale kukurydza to całkiem inna rzecz. Wskazówek udzielał serdecznie i cierpliwie. Po zmianie pór roku mało go było

widać. Marnie się czuł, mówili. Większość czasu spędzał w domu na porządkowaniu rachunków farmy.

Podszedł do półek z mapami. Teraz, gdy oboje przebywali w jednym pomieszczeniu, Cora czuła się zobowiązana nadrobić miesiące milczenia. Zapytała o przygotowania do narady.

– Ach, to – odparł Valentine. – Czy myślisz, że do niej dojdzie?

– Musi – powiedziała Cora.

Spotkanie przesuwano już dwukrotnie z powodu zaplanowanych wystąpień publicznych Landera. Kultura debaty na farmie narodziła się przy kuchennym stole Valentine'a, przy którym on i jego przyjaciele – a później odwiedzający gospodarstwo uczeni i znani abolicjoniści – zostawali długo po północy, spierając się o kwestię kolorowych. Dyskutowali o potrzebie stworzenia szkół handlowych, szkół medycznych dla kolorowych. O potrzebie głosu w Kongresie, jeśli nie za pośrednictwem własnego reprezentanta, to silnego sojuszu z liberalnie nastawionymi białymi. O tym, jak zniwelować szkody wyrządzone przez niewolnictwo w umysłach – tylu wyzwolonych ludzi nadal pozostawało w niewoli koszmarów, których doświadczyli.

Rozmowy przy kolacji stały się rytuałem, nie wystarczało dla nich miejsca u Valentine'ów, więc przeniosły się do domu spotkań. Gloria przestała serwować dyskutantom jedzenie i picie, więc musieli radzić sobie sami. Zwolennicy bardziej stopniowej poprawy sytuacji kolorowych wymieniali docinki z opowiadającymi się za szybszymi rozwiązaniami. Wraz z przybyciem Landera – najdostojniejszego i najbardziej elokwentnego kolorowego, jakiego wszyscy poznali – dyskusje przybrały bardziej lokalny charakter. Kierunek, w którym zmierza naród, to jedno; przyszłość farmy to co innego.

– Mingo obiecuje, że to będzie wiekopomne spotkanie – powiedział Valentine. – Istny spektakl retoryki. W moim wieku mam już nadzieję, że spektakl zakończy się wcześnie, bym mógł pójść spać o porządnej godzinie. – Zmęczony naciskami Minga Valentine zrzekł się organizacji debaty.

Mingo mieszkał na farmie już od dawna, a w odpowiedzi na apele Landera przydałby się miejscowy głos. Nie był równie wytrawnym mówcą, ale jako dawny niewolnik wypowiadał się w imieniu znacznej części mieszkańców.

Skorzystał z opóźnienia, żeby naciskać na poprawę stosunków z białymi miastami. Skaptował kilku ludzi z obozu Landera – choć właściwie nie było zupełnej jasności, co Lander ma na myśli. Zwykł mówić szczerze, ale niejednoznacznie.

– A jeśli oni zdecydują, że powinniśmy stąd odejść? – Cora była zaskoczona tym, jak trudno jej wydusić te słowa.

– Oni? Przecież jesteś jedną z nas. – Valentine usiadł w fotelu, który lubiła zajmować Molly. Z bliska rzucało się w oczy, jak bardzo odbiło się na nim brzemię odpowiedzialności za tylu ludzi. Był wyczerpany. – Możemy mieć niewiele do powiedzenia – rzekł. – To, co tu zbudowaliśmy… Zbyt wielu białych nie chce, żebyśmy to mieli. Nawet jeśli nie podejrzewają naszych związków z koleją. Rozejrzyj się. Skoro niewolnika zabijają za naukę czytania, to jak sądzisz, co myślą o bibliotece? Znajdujemy się w pomieszczeniu naszpikowanym ideami. Zbyt wieloma dla kolorowego. Albo kolorowej.

Cora tak bardzo przywiązała się do nierealnych skarbów farmy Valentine’a, że zapomniała, jak bardzo są one nierealne. Ta farma i sąsiednie zarządzane przez kolorowych były zbyt duże, zbyt dobrze prosperowały.

Gniazdo czarności w młodym stanie. Murzyńskie korzenie Valentine'a odkryto już wiele lat temu. Niektórzy czuli się oszukani tym, że traktowali czarnucha jak równego sobie – a potem ten sam przemądrzały czarnuch zawstydził ich swoim sukcesem.

Cora opowiedziała mu o zajściu, które miało miejsce tydzień wcześniej. Kiedy szła drogą, o mały włos nie przejechał jej wóz. Mijając ją, woźnica wykrzykiwał szkaradne wyzwiska. Nie ona jedna padła ofiarą obelg. Nowi przybysze w okolicznych miasteczkach – rozrabiaki i biała biedota – wszczynali bójki z mieszkańcami farmy przyjeżdżającymi uzupełnić zapasy. Zaczepiali kobiety. W zeszłym tygodniu w sklepie z paszą wywieszono tabliczkę TYLKO DLA BIAŁYCH – doganiał ich koszmar rodem z południa.

– Jako amerykańscy obywatele mamy prawo tutaj być – rzekł Valentine. Ale ustawa o zbiegłych niewolnikach to również fakt prawny. A współpraca z koleją podziemną komplikowała sprawę.

Łowcy niewolników nieczęsto się pokazywali, nie było to jednak niespotykane. Poprzedniej wiosny dwaj tacy pojawili się z nakazem przeszukania każdego domu w gospodarstwie. Osoba, którą ścigali, dawno stąd wyjechała, ale

przypomnienie o istnieniu patroli obnażyło niepewny charakter życia na farmie.

– Indiana była kiedyś stanem niewolniczym – ciągnął Valentine. – Takie zło wnika w glebę. Niektórzy twierdzą, że nasiąka wodą i rośnie w siłę. Może to nie jest właściwe miejsce. Może po Wirginii Gloria i ja powinniśmy byli jechać dalej.

– Czuję to, kiedy teraz chodzę do miasteczka – powiedziała Cora. – Widzę w ich oczach spojrzenie, które znam.

Rozpoznawała nie tylko spojrzenia Terrance'a, Connelly'ego i Ridgewaya, zwyrodnialców. W Karolinie Północnej obserwowała twarze ludzi w parku w ciągu dnia oraz nocą, kiedy zbierali się, by oglądać okrucieństwa. Okrągłe białe twarze niczym bezkresne pole torebek nasiennych bawełny, wszystkie z tego samego materiału.

Widząc jej przygnębioną minę, Valentine powiedział:

– Jestem dumny z tego, co tu zbudowaliśmy, ale już raz zaczynaliśmy od nowa. Damy radę ponownie. Teraz mam do pomocy dwóch silnych synów, a za ziemię dostaniemy ładną sumę. Gloria zawsze chciała zobaczyć Oklahomę,

chociaż za nic nie pojmuję dlaczego. Staram się ją uszczęśliwiać.

– Gdybyśmy zostali – odparła Cora – Mingo nie zgodzi się, żeby mieszkali tu tacy jak ja. Zbiegowie. Ci, co nie mają się gdzie podziać.

– Rozmowa jest dobra – rzekł Valentine. – Rozmowa pozwala oczyścić atmosferę i przekonać się, co i jak. Przekonamy się, jakie nastroje panują na farmie. Ona jest moja, ale należy do wszystkich. Do ciebie też. Zaakceptuję decyzję ludzi.

Cora widziała, że jest zmęczony dyskusją.

– Dlaczego pan to robi? – zapytała. – Dla nas wszystkich?

– Miałem cię za jedną z tych mądrych – odrzekł. – Nie wiesz? Biały tego nie zrobi. Musimy to zrobić sami.

Jeśli Valentine przyszedł po konkretną lekturę, wyszedł z pustymi rękami. Wiatr zagwizdał w otwartych drzwiach i Cora otuliła się szalem. Jeżeli nie przerwie czytania, może do kolacji zacznie następną książkę.

Ostatnie zebranie na farmie Valentine'a odbyło się w rześką grudniową noc. Przez kolejne lata ci, którzy przeżyli, opowiadali własne wersje tego, co wydarzyło się owego wieczoru i dlaczego. Aż do dnia swojej śmierci Sybil utrzymywała, że to Mingo doniósł. Była już wtedy staruszką, mieszkała nad jeziorem w Michigan z gromadą wnuków zmuszonych słuchać jej wielokrotnie powtarzanych historii. Według niej Mingo powiedział konstablom, że na farmie ukrywają się zbiegowie, i podał szczegóły umożliwiające skuteczną zasadzkę. Dramatyczny nalot ukróciłby kontakty z koleją, przerwał niekończący się strumień murzynów w potrzebie i zapewnił farmie stabilną przyszłość. Pytana, czy Mingo przewidział również przemoc, Sybil zaciskała usta i nie mówiła nic więcej.

Inny ocalały – kowal Tom – zwracał uwagę na to, że prawo ścigało Landera od wielu miesięcy. To on miał być celem. Jego retoryka rozbudzała namiętności, podżegał do buntu, za bardzo zadzierał nosa, by pozwolono mu chodzić wolno. Tom nigdy nie nauczył się czytać, ale lubił

demonstrować swój egzemplarz *Apelu* Landera, w którym ten wielki mówca umieścił dedykację dla niego.

Joan Watson urodziła się na farmie. Tamtej nocy miała sześć lat. Po ataku włóczyła się w lesie przez trzy dni, jedząc orzechy, zanim nie znalazła jej karawana wozów osadników. Gdy dorosła, przedstawiała się jako badaczka amerykańskiej historii wyczulona na nieuniknione. Mówiła, że miasteczka białych po prostu się skrzyknęły, żeby pozbyć się bastionu czarnych, który wyrósł pomiędzy nimi. Właśnie tak działają europejskie plemiona, twierdziła. Jeśli czegoś nie mogą kontrolować, to to niszczą.

Jeżeli ktokolwiek na farmie wiedział, co się zbliża, nie dał po sobie poznać. Sobota mijała spokojnie i leniwie. Cora większość dnia spędziła w swoim pokoju nad najnowszym almanachem, który dostała od Royala. Kupił go w Chicago. Zapukał do drzwi około północy, żeby jej go dać. Wiedział, że dziewczyna nie śpi. Było późno, więc nie chciała przeszkadzać Sybil i Molly. Po raz pierwszy zaprosiła go do swojego pokoju.

Odebrało jej mowę na widok przyszłorocznego almanachu. Grubego jak modlitewnik. Opowiadała Royalowi o czasie spędzonym na strychu w Karolinie Północnej, ale

widok roku na okładce – to był przedmiot wyczarowany z przyszłości – rozbudził w Corze jej własną magię. Powiedziała Royalowi o swoim dzieciństwie na plantacji Randallów, gdzie ciągnąc worek, zbierała bawełnę. Mówiła o swojej babce, Ajarry, która została porwana od rodziny w Afryce i która uprawiała maleńki skrawek ziemi, jedyne, co mogła nazwać swoim. O matce, Mabel, która pewnego dnia uciekła, zostawiając córkę na pastwę zmiennego losu. O Blake'u i budzie oraz o tym, jak stawiła mu czoło z siekierą. Gdy opowiedziała o tamtej nocy, kiedy zabrali ją za wędzarnię, i przeprosiła Royala, że do tego dopuściła, uciszył ją. To jej należą się przeprosiny za wszystkie cierpienia, odparł. Powiedział, że wszyscy jej wrogowie, wszyscy panowie i nadzorcy jej cierpienia, zostaną ukarani, jeśli nie na tym świecie, to w przyszłym, gdyż sprawiedliwość może jest nierychła i niewidzialna, ale ostatecznie zawsze wydaje słuszny werdykt. Otulił jej ciało swoim, by ukoić płacz i drżenie, i tak zasnęli, w pokoju na tyłach chaty na farmie Valentine'a.

Nie wierzyła w to, co mówił o sprawiedliwości, ale miło było słyszeć to z jego ust.

Potem obudziła się nazajutrz rano, czuła się lepiej i musiała przyznać, że jednak w to wierzy, chociaż odrobinę.

Sądząc, że dziewczynę zmógł kolejny ból głowy, Sybil około południa przyniosła jej coś do jedzenia. Droczyła się z Corą, że Royal został na noc. Właśnie łatała sukienkę, którą zamierzała włożyć na zgromadzenie, gdy „wymknął się stąd z butami w ręku i wyglądał jak pies, co wykradł trochę żarła". Cora tylko się uśmiechnęła.

– Nie tylko twój chłop się tu wczoraj pojawił – powiedziała Sybil. Na farmę wrócił Lander.

To tłumaczyło jej wesołość. Lander robił na niej ogromne wrażenie, każda jego wizyta dodawała jej siły na kolejne dni. Te jego słowa słodkie jak miód. A teraz wreszcie wrócił. Zebranie się odbędzie, z niewiadomym skutkiem. Sybil nie chciała wyjeżdżać na zachód i zostawiać domu, co jak wszyscy sądzili, proponował Lander. Stanowczo opowiadała się za pozostaniem, odkąd tylko zaczęto mówić o przenosinach. Nie zamierzała jednak przystać na warunki Minga, który chciał zaprzestać udzielania pomocy potrzebującym.

– Nie ma drugiego takiego miejsca, nigdzie. On chce je zabić.

– Valentine nie pozwoli mu go zniszczyć – powiedziała Cora, choć po rozmowie w bibliotece miała wrażenie, że w myślach już się spakował.

– Zobaczymy – odparła Sybil. – Może sama będę musiała zagaić przemowę, coby powiedzieć ludziom to, co potrzebują usłyszeć.

Tego wieczoru Royal i Cora siedzieli w pierwszym rzędzie obok Minga i jego rodziny, żony i dzieci, które uratował z niewoli. Jego żona, Angela, jak zawsze milczała; żeby usłyszeć, jak mówi, trzeba się było schować pod oknem ich chaty, kiedy na osobności radziła mężowi. Ich córki włożyły jasnoniebieskie sukienki, a długie warkoczyki przewiązały białymi wstążkami. Podczas gdy mieszkańcy wypełniali salę spotkań, Lander bawił się w zgadywanki z najmłodszą córką Minga. Nazywała się Amanda. Trzymała bukiet kwiatów z materiału; zażartował na ich temat i oboje się roześmiali. Kiedy Cora widziała go w takich chwilach, podczas krótkich przerw między występami, przypominał jej Molly. Choć odnosił się do ludzi przyjaźnie, miała wrażenie, że wolałby siedzieć sam w domu i grać koncerty w pustych pokojach.

Miał długie, smukłe palce. Jakie to niezwykłe, że ktoś, kto nigdy nie zbierał bawełny, nie kopał rowów i nie posmakował bicza, mówił teraz

w imieniu ludzi, których te doświadczenia określały. Był szczupły, a lśniąca skóra świadczyła o mieszanym pochodzeniu. Cora nigdy nie widziała, żeby się śpieszył. Poruszał się z wybornym spokojem niczym liść dryfujący po powierzchni stawu, podążający w swoją stronę na łagodnych prądach. Potem otwierał usta i okazywało się, że siły, które go tu skierowały, wcale nie były łagodne.

Tego wieczoru nie pojawili się żadni biali goście. W domu spotkań stawili się wszyscy, którzy mieszkali i pracowali na farmie, a także rodziny z sąsiednich kolorowych gospodarstw. Widząc ich razem w jedynym pomieszczeniu, Cora po raz pierwszy mogła pojąć, jak liczni się stali. Byli tu ludzie, których dotąd nigdy nie widziała, na przykład psotny chłopczyk puszczający do niej oko, gdy ich spojrzenia się spotykały. Obcy, ale rodzina; krewni, ale nigdy sobie nieprzedstawieni. Corę otaczali ludzie urodzeni w Afryce albo w okowach, którzy wyzwolili się albo uciekli. Napiętnowani, bici, gwałceni. Teraz byli tutaj. Byli wolni, byli czarni, byli panami własnego losu. Przyprawiło ją to o dreszcze.

Valentine chwycił się mównicy, żeby się przytrzymać.

– Nie wychowywałem się tak jak wy – mówił. – Moja matka nigdy nie bała się o moje bezpieczeństwo. Nie groziło mi, że handlarz porwie mnie w nocy i sprzeda na południe. Biali widzieli kolor mojej skóry i to im wystarczyło, by dali mi żyć. Mówiłem sobie, że nie robię nic złego, ale trwałem w ignorancji. Dopóki nie przybyliście tu i nie związaliście z nami życia.

Powiedział, że opuścił Wirginię, żeby oszczędzić swoim dzieciom koszmaru, jaki niosą uprzedzenia i ich brutalny towarzysz, przemoc. Ale uratowanie dwójki dzieci to za mało, kiedy Bóg dał ci w darze tak wiele.

– W samym środku okrutnej zimy przyszła do nas kobieta, chora i zrozpaczona. Nie zdołaliśmy jej uratować. – Valentine chrypiał. – Zaniedbałem swej powinności. Jak długo członek naszej rodziny znosił cierpienia niewoli, ja byłem wolny jedynie z nazwy. Pragnę podziękować wszystkim obecnym za pomoc w naprawieniu tego. Czy jesteście wśród nas od lat, czy dopiero od kilku godzin, uratowaliście mi życie.

Głos mu się załamał. Gloria podeszła do niego i objęła go mocno.

– Teraz członkowie naszej rodziny chcą się z wami podzielić pewnymi sprawami – powiedział Valentine, odchrząknąwszy. – Liczę,

że wysłuchacie ich tak, jak wysłuchujecie mnie. Znajdzie się miejsce na różne opinie, jeśli chodzi o wytyczenie naszej drogi przez pustkowie. Kiedy noc jest ciemna, a grunt zdradliwy.

Patriarcha farmy zszedł z mównicy, a jego miejsce zajął Mingo. Jego dzieci ruszyły za nim, ucałowały mu dłonie na szczęście, a potem wróciły do ławek.

Rozpoczął od historii swojej podróży, opowiedział o nocach, kiedy błagał Pana, żeby wskazał mu drogę, o długich latach potrzebnych, by wykupić wolność rodziny.

– Uczciwą pracą, jedno po drugim, tak samo jak wy się uratowaliście. – Potarł oko wierzchem dłoni. Potem skierował przemowę na inne tory. – Dokonaliśmy niemożliwego – powiedział – ale nie każdemu starcza na to siły. Nie wszyscy damy radę. Dla części z nas jest już za późno. Niewolnictwo wypaczyło umysły, jest jak diabeł napełniający głowy plugawymi myślami. Niektórzy oddali się whisky i jej fałszywemu pocieszeniu. Beznadziei i jej wiecznym demonom. Widzieliście tych straconych ludzi na plantacjach, na ulicach miast i miasteczek, ludzi, którzy nie chcą, nie mogą szanować samych siebie. Widzieliście ich także tutaj, gdy przyjęli dar tego miejsca, ale nie potrafili się w nie

wpasować. Zawsze znikają w nocy, bo w głębi serca wiedzą, że są niegodni. Dla nich już za późno.

Kilku jego kompanów na tyłach sali zakrzyknęło: „Amen”. Są fakty, którym musimy stawić czoło, tłumaczył Mingo. Biali nie zmienią się z dnia na dzień. Marzenia przyświecające farmie są godne i szlachetne, ale wymagają, by urzeczywistniać je stopniowo.

– Nie możemy uratować każdego, a zachowując się tak, jakby to było możliwe, zgubimy nas wszystkich. Myślicie, że ci biali, zaledwie parę mil stąd, wiecznie będą znosić naszą zuchwałość? Obnażamy ich słabość. Dajemy schronienie zbiegom. Uzbrojeni agenci kolei podziemnej krążą to w jedną, to w drugą stronę. Ludzie ścigani za morderstwo. Kryminaliści. – Cora zacisnęła pięści, gdy wzrok Minga padł na nią.

Farma Valentine’a poczyniła wspaniałe kroki w przyszłość, powiedział mężczyzna. Biali dobroczyńcy zapewnili podręczniki jej dzieciom – czemu nie poprosić ich o składkę na całe szkoły? I to nie tylko na jedną czy dwie, ale dziesiątki? Dowodząc zaradności i inteligencji, argumentował Mingo, murzyn dołączy do amerykańskiego społeczeństwa jako pożyteczny,

pełnoprawny członek. Po co narażać to wszystko na niebezpieczeństwo? Musimy zwolnić. Ugadać się z sąsiadami, a przede wszystkim zaprzestać działań, które ściągną na nas ich gniew.

– Zbudowaliśmy tu rzecz zdumiewającą – podsumował. – Jest jednak cenna i należy ją chronić, dbać o nią, inaczej zmarnieje jak róża przy nagłym przymrozku.

W czasie braw Lander szepnął coś do córki Minga i znowu zachichotali. Wyjęła z bukietu jeden materiałowy kwiat i wcisnęła do butonierki jego zielonego fraka. Lander udał, że wącha jego aromat i mdleje.

– Już czas – powiedział Royal, kiedy Lander uścisnął dłoń Minga i zajął miejsce na mównicy.

Royal spędził z nim cały dzień, chodzili po terenie i rozmawiali. Nie zdradził, o czym wieczorem będzie mówić Lander, ale bił od niego optymizm. Wcześniej, kiedy pojawiła się kwestia przeprowadzki, powiedział Corze, że od zachodu woli Kanadę. Tam wiedzą, jak traktować wolnych murzynów, stwierdził. A jego praca dla kolei? Kiedyś w końcu trzeba się ustatkować, odrzekł. Biegając w kółko w sprawach kolei, nie da się założyć rodziny. Gdy zaczął mówić o takich rzeczach, Cora zmieniła temat.

Teraz sama miała się przekonać – razem ze wszystkimi zebranymi – co umyślił sobie bostończyk.

– Brat Mingo poruszył kilka słusznych kwestii – stwierdził Lander. – Nie możemy uratować każdego. Ale to nie znaczy, że nie trzeba próbować. Nieraz przydatne złudzenie lepsze jest od bezużytecznej prawdy. W tym podłym mrozie nic nie urośnie, ale i tak możemy mieć kwiaty.

Oto pierwsze złudzenie: że możemy uciec przed niewolnictwem – ciągnął. – Nie możemy. Jego blizny nigdy nie znikną. Kiedy widzieliście, jak sprzedają waszą matkę, biją ojca, jak waszą siostrę niewoli nadzorca lub pan, czy myśleliście, że kiedyś będziecie siedzieć tutaj, bez łańcuchów, bez jarzma, wśród nowej rodziny? Wszystko, czego nauczyliście się od urodzenia, mówiło wam, że wolność to tylko sztuczka, a jednak tu jesteście. Wciąż uciekamy, przy pełni księżyca szukając schronienia.

Farma Valentine'a to złudzenie – mówił. – Kto wam powiedział, że murzynowi należy się bezpieczny azyl? Kto wam powiedział, że macie do niego prawo? Każda minuta cierpienia w waszym życiu świadczyła o czymś przeciwnym. Każdy fakt historyczny wskazuje na

to, że taki azyl nie może istnieć. Zatem to miejsce również musi być złudzeniem. A jednak tu jesteśmy. Sama Ameryka to także złudzenie, największe ze wszystkich. Biała rasa wierzy, wierzy z całego serca, że przywłaszczenie tej ziemi jest jej prawem. Zabijanie Indian. Prowadzenie wojny. Zniewolenie swoich braci. Ten naród nie powinien istnieć, jeżeli istnieje sprawiedliwość na tym świecie, jest bowiem zbudowany na mordzie, kradzieży i okrucieństwie. A jednak tu jesteśmy.

Mam odpowiedzieć na apel Minga o stopniowy postęp, o zamknięcie drzwi przed ludźmi w potrzebie. Mam odpowiedzieć tym, którzy uważają, że zbyt bliskie są tu zgubne wpływy niewolnictwa, więc powinniśmy wyruszyć na zachód. Nie mam dla was odpowiedzi. Nie wiem, co powinniśmy zrobić. To słowo: „my". Pod pewnymi względami jedyne, co nas łączy, to kolor skóry. Nasi przodkowie pochodzili z całego kontynentu afrykańskiego. Jest on dość duży. Brat Valentine w swej wspaniałej bibliotece ma mapy świata, możecie sprawdzić sami. W inny sposób zapewniali sobie byt, inne mieli zwyczaje, mówili setką różnych języków. Całą tę wielką mieszankę zwieziono do Ameryki w ładowniach statków niewolniczych.

Na północ i na południe. Synowie i córki tych ludzi zbierali tytoń, hodowali bawełnę, pracowali w największych majątkach i na najmniejszych farmach. Jesteśmy rzemieślnikami, akuszerkami, kaznodziejami, handlarzami. Czarne ręce zbudowały Biały Dom, siedzibę władz naszego narodu. To słowo: „my”. My nie jesteśmy jednym ludem, lecz wieloma różnymi ludźmi. Jakże jeden człowiek może mówić w imieniu tej wielkiej, pięknej rasy – która nie jest jedną rasą, ale wieloma, z milionem życzeń, nadziei i pragnień dla nas samych i dla naszych dzieci? Jesteśmy bowiem Afrykanami w Ameryce. Czymś nowym w historii świata, pozbawieni modelu tego, czym się staniemy. Musi nam wystarczyć kolor. Przywiódł nas tutaj, w ten wieczór, do tej dyskusji, i poprowadzi nas w przyszłość. Wiem tylko tyle – zakończył Lander – że podnosimy się i upadamy razem, jako jedna kolorowa rodzina żyjąca po sąsiedzku z jedną białą rodziną. Może nie znamy drogi przez las, ale kiedy ktoś z nas upadnie, drugi pomoże mu wstać, i razem dotrzemy na miejsce.

Kiedy dawni mieszkańcy farmy Valentine’a wspominali ten moment, kiedy

opowiadali obcym ludziom oraz wnukom, jak kiedyś żyli i w jaki sposób dobiegło to końca, po tych wszystkich latach nadal drżał im głos. W Filadelfii, w San Francisco, w pasterskich miasteczkach i na ranczach, gdzie w końcu znaleźli dom, opłakiwali ludzi, którzy tamtego dnia zginęli. Powietrze w sali stało się ostre, opowiadali rodzinom, wprawiła je w ruch niewidzialna siła. Bez względu na to, czy urodzili się wolni, czy w okowach, wszyscy jak jeden mąż widzieli siebie w tym momencie: momencie, w którym kierujesz się na Gwiazdę Polarną i postanawiasz uciekać. Być może znajdowali się na skraju stworzenia nowego porządku, na skraju spięcia nieładu klamrą rozumu, wcielenia w życie wszystkich nauk ze swej historii, tak by przełożyły się one na przyszłość. A może czas, jak to miewa w zwyczaju, nadał tej chwili podniosłości, której wcale nie miała, a wszystko było takie, jak twierdził Lander: ulegli złudzeniu.

Ale to nie znaczyło, że to nieprawda.

Kula trafiła Landera w pierś. Runął do tyłu, ciągnąc za sobą mównicę. Royal jako pierwszy zerwał się na nogi. Kiedy biegł do leżącego, trzy pociski trafiły go w plecy. Zatrząsł się jak w tańcu świętego Wita i upadł. Potem rozległ się chór

wystrzałów, krzyków i brzęku tłuczonego szkła, a w sali spotkań zapanował dziki popłoch.

Biali na zewnątrz wyli i ryczeli do wtóru rzezi. Mieszkańcy na oślep rzucili się do wyjść, przeciskali się między ławkami, przełazili po nich, przełazili jeden po drugim. Gdy główne drzwi się zakorkowały, ludzie wychodzili po parapetach. Huknęły kolejne strzelby. Synowie Valentine'a zaprowadzili ojca do drzwi. Na lewo od sceny Gloria klęczała nad Landerem. Zobaczyła, że nic już się nie da zrobić, więc wyszła za rodziną.

Cora trzymała głowę Royala na kolanach tak samo jak owego popołudnia, kiedy urządzili piknik. Wplatała palce w jego włosy, kołysała go i płakała. Royal uśmiechnął się przez krew, która bulgotała mu na wargach. Powiedział, żeby się nie bała. Że tunel znowu ją uratuje.

– Idź do domku w lesie. Powiesz mi, dokąd prowadzi. – Jego ciało zwiotczało.

Dwaj mężczyźni chwycili ją za ręce i odciągnęli od ciała Royala. Tu nie jest bezpiecznie, powiedzieli. Jednym z nich był Oliver Valentine, który wrócił, żeby pomóc innym w ucieczce z domu spotkań. Krzyczał i nawoływał. Cora wyrwała się wybawcom, gdy wyprowadzili ją na dwór i zeszli po schodkach.

Na farmie panował zamęt. Banda białych zaciągała kobiety i mężczyzn w mrok, ich szkaradne twarze oblewała rozkosz. Strzał z muszkietu ściął z nóg jednego ze stolarzy Sybil – mężczyzna trzymał dziecko w ramionach i oboje runęli na ziemię. Nikt nie wiedział, dokąd najlepiej uciekać, a w zgiełku nie dało się dosłyszeć żadnego rozsądnego głosu. Każdy radził sobie sam, tak jak od początku.

Amanda, córka Minga, drżała na kolanach w pyle. Osamotniona, bez rodziny. Jej bukiet pogubił płatki. Ściskała nagie łodyżki, żelazne druciki, które kowal wykonał tydzień wcześniej specjalnie dla niej. Tak mocno je ściskała, że wrzynały się w dłonie. Jeszcze więcej krwi na piachu. Jako stara kobieta czytała później o wielkiej wojnie w Europie i wspominała tę noc. Mieszkała wtedy na Long Island, przemierzywszy wcześniej cały kraj, żyła w małym domku z marynarzem z Shinnecock, który świata poza nią nie widział. Spędziła trochę czasu w Luizjanie i Wirginii, gdzie ojciec otworzył placówki kształcenia kolorowych, a także w Kalifornii. Krótko też w Oklahomie, dokąd przeprowadzili się Valentine'owie. Konflikt w Europie był okrutny i straszliwy, mówiła swojemu marynarzowi, ale nie zgadzała

się na tę nazwę. Wielka wojna zawsze toczyła się między białymi a czarnymi. I zawsze tak będzie.

Cora wołała Molly. Nie widziała żadnych osób, które by rozpoznawała; wszystkie twarze odmienił strach. Buchnął w nią żar ognia. Dom Valentine'a stał w płomieniach. O ścianę na pierwszym piętrze rozbił się słój z oliwą, a wtedy ogniem zajęła się sypialnia Johna i Glorii. Roztrzaskały się szyby biblioteki i Cora zobaczyła, jak na półkach płoną książki. Zrobiła w tamtą stronę dwa szybkie kroki, a potem złapał ją Ridgeway. Szarpali się, on uchwycił ją w swych wielkich ramionach i podniósł. Wierzgała w powietrzu jak ci ludzie powieszeni na drzewie.

Towarzyszył mu Homer – to on był owym chłopcem w ławce puszczającym do niej oko. Nosił szelki i białą koszulę, wyglądał jak niewinne dziecko, którym byłby w innym świecie. Na jego widok Cora dołączyła swój głos do chóru lamentów niosącego się echem po farmie.

– Jest tunel, proszę pana – powiedział Homer. – Słyszałem, jak tamten mówił.

Mabel

Pierwszą i ostatnią rzeczą, jaką dała swojej córce, były przeprosiny. Cora spała na brzuchu, mała niczym piąstka, kiedy Mabel przeprosiła za to, że sprowadziła ją na taki świat. Cora spała obok niej na poddaszu dziesięć lat później, kiedy Mabel przeprosiła za to, że czyni ją zbłąkanym dzieckiem. Obu tych przeprosin dziewczynka nie słyszała.

Na pierwszej polanie Mabel odnalazła Gwiazdę Polarną i zmieniła kierunek. Zebrała się w sobie i kontynuowała ucieczkę przez czarną wodę. Patrzyła naprzód, bo gdy się oglądała, widziała twarze tych, których zostawiła.

Widziała twarz Mosesa. Pamiętała go z czasów, kiedy był mały. Nikt się nie spodziewał, że ta wijąca się słabowita kruszynka dożyje wieku, w którym nada się do pracy dla małych murzynków, takiej jak robota przy śmieciach czy noszenie wody na pole bawełny. Przecież większość dzieci na plantacji Randallów umierała przed postawieniem pierwszych kroków. Jego matka stosowała leki od wiedźmy, okłady z papki, korzenne eliksiry i co noc mu

śpiewała. Kołysanki, robocze pieśni i własne matczyne życzenia ubrane w melodyjny rytm: nie zwróć jedzenia, zwalcz gorączkę, oddychaj do rana. Przeżył większość chłopców urodzonych w tamtym roku. Wszyscy wiedzieli, że to jego matka, Kate, ocaliła go przed chorobą i wczesnym przesiewem, pierwszą próbą każdego niewolnika na plantacji.

Mabel pamiętała, że Stary Randall sprzedał Kate, kiedy odrętwiało jej ramię i nie mogła dłużej pracować. Pamiętała pierwszą chłostę Mosesa za kradzież ziemniaka i drugą za próżniactwo. Connelly kazał przemywać rany chłopca wodą z ostrym pieprzem, aż mały wył. Żadna z tych rzeczy nie uczyniła Mosesa podłym. Uczyniły go cichym, silnym i szybkim, szybszym od reszty zbieraczy w ekipie. Nie był podły, dopóki Connelly nie zrobił go nadzorcą, oczami i uszami pana pośród pobratymców. To wtedy narodził się Moses potwór, Moses, przed którym drżeli inni niewolnicy, czarny postrach pól.

Kiedy kazał jej przyjść do szkoły, podrapała mu twarz i go opluła, a on tylko uśmiechnął się i powiedział: skoro ty się nie piszesz, znajdę sobie inną – ile lat ma teraz twoja Cora? Jej Cora miała osiem lat. Od tamtej pory Mabel już mu się nie opierała. Po tym pierwszym razie rozprawiał się

z nią szybko i nie był gwałtowny. Kobiety i zwierzęta wystarczy wytresować raz, powiedział. Potem już są uległe.

Te wszystkie twarze, żyjących i martwych. Ajarry szarpana drgawkami wśród bawełny, z krwawą pianą na ustach. Mabel widziała Polly dyndającą na sznurze, kochaną Polly, z którą wychowała się w kwaterze. Urodziły się w tym samym miesiącu. Connelly tego samego dnia przeniósł je z podwórka na pola bawełny. Zawsze we dwie, do czasu, aż Cora przeżyła, a dziecko Polly nie. Obie młode kobiety urodziły w przeciągu dwóch tygodni, ale jedna dziewczynka głośno płakała, kiedy wyciągnęła ją akuszerka, a druga nie wydała żadnego dźwięku. Urodziła się martwa i nieruchoma. Kiedy Polly powiesiła się w stodole na pętli konopnej, stary Jockey powiedział: wszystko robiłyście razem. Jakby Mabel też powinna się teraz powiesić.

Zaczęła widzieć twarz Cory i wtedy odwróciła wzrok. Biegła.

Ludzie sami z siebie są dobrzy, a potem świat czyni ich podłymi. Świat jest podły od początku i robi się podlejszy z każdym dniem. Zużywa cię, aż w końcu marzysz tylko o śmierci. Mabel nie zamierzała umrzeć na plantacji Randallów, nawet jeśli przez całe życie nie oddaliła się od

niej ani na milę. Pewnego razu o północy na dusznym poddaszu postanowiła: ja przeżyję – a nazajutrz o północy była na bagnach, szła za księżycem w skradzionych butach. Przez cały dzień obracała w myślach tę ucieczkę, żeby nic nie przeszkodziło ani jej nie odwiodło. Na bagnach są wyspy – mogła iść ich śladem na kontynent wolności. Zabrała warzywa, które wyhodowała, hubkę i krzesiwo, maczetę. Wszystko inne zostawiła, włącznie ze swoją małą.

Cora spała w chacie, w której się urodziła, w której urodziła się Mabel. Była jeszcze dziewczynką, najgorsze dopiero ją czekało, dopiero miała poznać rozmiar i ciężar brzemienia kobiety. Gdyby ojciec Cory żył, czy teraz Mabel byłaby tutaj, brnęłaby przez trzęsawisko? Skończyła czternaście lat, kiedy Grayson przybył na południową połówkę, sprzedany na południe przez pijanego farmera indygo z Karoliny Północnej. Wysoki i czarny, z uroczym charakterem i roześmianym spojrzeniem. Butny nawet po najcięższym znoju. Nie mogli go tknąć.

Wybrała go sobie owego pierwszego dnia i zdecydowała: on. Gdy się uśmiechał, to jakby księżyc na nią świecił, błogosławiła ją istota

w niebie. Kiedy tańczyli, podrywał ją z ziemi i obracał. Kupię nam wolność, powiedział z sianem we włosach, gdy leżeli w stodole. Stary Randall nie zgadzał się na takie rzeczy, ale on go przekona. Będzie ciężko harował, zostanie najlepszym parobkiem na całej plantacji – zapracuje na wyzwolenie i weźmie Mabel ze sobą. Obiecujesz? – zapytała, na wpół wierząc, że potrafi to zrobić. Słodki Grayson, zmarł z gorączki, zanim odkryła, że nosi ich dziecko. Nigdy więcej nie wymówiła jego imienia.

Potknęła się o korzeń cyprysu i jak długa runęła do wody. Zataczając się, przebrnęła przez sitowie na leżącą przed nią wyspę i wyciągnęła się na ziemi. Nie miała pojęcia, jak długo biegła. Zdyszana i wycieńczona.

Wyjęła rzepę z worka, młodą i miękką. Ugryzła kawałek. Najsłodsza rzecz, jaką wyhodowała na działce Ajarry, nawet mimo posmaku wody z bagna. Przynajmniej tyle matka zostawiła jej w spadku, uładzony kawałek ziemi, którym mogła się opiekować. Dzieciom należy przekazać coś przydatnego. W Mabel najlepsze cechy Ajarry nigdy nie zapuściły korzeni. Jej nieugięcie, jej wytrwałość. Była jednak trzymetrowa działka i były zdrowe rzeczy, które

na niej rosły. Matka broniła jej ze wszystkich sił. To najcenniejsza ziemia w całej Georgii.

Mabel leżała na plecach. Zjadła jeszcze jedną rzepę. Gdy zabrakło odgłosów chlupotu i sapania, powróciły dźwięki mokradeł. Ropuch, żółwi i wijących się istot, cykanie czarnych owadów. W górze – za liśćmi i gałęziami bagiennych drzew – przesuwało się nad nią niebo. Gdy się odprężała, wirowały w ciemności nowe gwiazdozbiory. Nie było patrolowców, nie było nadzorców, nie było okrzyków cierpienia, które na powrót pogrążyłyby ją w rozpaczy. Nie było ścian chaty niosącej ją przez nocne morze niczym ładownia statku niewolniczego. Żurawie i lasówki, chlupoczące wydry. Na łożu z wilgotnej ziemi oddech Mabel zwolnił, a to, co oddzielało ją od bagna, zniknęło. Była wolna.

Ten moment.

Musiała wrócić. Córeczka na nią czekała. Na razie to musiało wystarczyć. Nad Mabel wzięła górę beznadzieja, szeptała w tle jej umysłu niczym demon. Zachowa ten moment w sercu, to będzie jej skarb. Kiedy znajdzie słowa, które pozwolą podzielić się nim z Corą, dziewczynka pojmie, że istnieje coś poza plantacją, poza tym wszystkim, co zna. Że pewnego dnia, jeśli pozostanie silna, może to być jej.

Możliwe, że świat jest podły, ale ludzie nie muszą. Nie, jeśli odmówią.

Mabel chwyciła worek i zorientowała się w kierunkach świata. Jeśli narzuci sobie dobre tempo, wróci na plantację, nim pobudzą się pierwsi ludzie. Ucieczka była niedorzecznym pomysłem, ale nawet ten jej okruch stał się największą przygodą jej życia.

Kobieta wyjęła jeszcze jedną rzepę i ugryzła. Naprawdę była słodka.

Wąż znalazł ją wkrótce po wyruszeniu w drogę powrotną. Mabel przedzierała się przez kępę sztywnych trzcin, kiedy zbudziła go ze snu. Mokasyn błotny ugryzł ją dwa razy, w łydkę i głęboko w mięsień uda. Żadnego dźwięku, tylko ból. Mabel nie chciała wierzyć. To zaskroniec, na pewno. Wredny, ale niegroźny. Kiedy poczuła miętowy smak w ustach i mrowienie w nodze, wiedziała. Przebyła jeszcze milę. Po drodze upuściła worek, zgubiła drogę w czarnej wodzie. Zabrnęłaby jeszcze dalej – praca na ziemi Randallów uczyniła ją silną, przynajmniej ciałem, jeśli nie inaczej – ale upadła na miękki mech i poczuła, że to dobre miejsce. Powiedziała: „tutaj”, a potem pochłonęło ją bagno.

Północ

ZBIEGŁA

przed piętnastoma miesiącami od swego prawnego, ale nie prawowitego pana niewolnica CORA; przeciętnego wzrostu, o ciemnobrązowej cerze; ma na skroni gwiaździsty ślad po urazie; wyróżnia ją rzutka natura i przebiegła zaradność. Może reagować na imię BESSIE.

Ostatnio widziana w Indianie wśród kryminalistów z farmy Johna Valentine'a.

Przestała uciekać.

Nagroda pozostaje nieodebrana.

NIGDY NIE BYŁA WŁASNOŚCIĄ.

23 GRUDNIA

Punktem rozpoczęcia jej ostatniej podróży koleją podziemną była maleńka stacja pod opuszczonym domem. Stacja widmo.

Cora zaprowadziła ich tam, gdy została złapana. Kiedy opuszczali farmę Valentine'a, wciąż grasowała po niej banda krwiożerczych białych. Strzały i krzyki dobiegały z oddali, z głębi posiadłości. Od strony nowszych chat, młyna. Może aż z ziemi Livingstone'a, jeśli tumult przeniósł się na sąsiednie gospodarstwa. Biali chcieli wybić wszystkich kolorowych osadników.

Dziewczyna szarpała się i wierzgała, kiedy Ridgeway niósł ją do wozu. Okolicę oświetlały płomienie biblioteki i domu. Homer najpierw dostał kilka kopniaków w twarz, a potem wreszcie złapał Corę za nogi i wspólnie wepchnęli ją do środka. Została przykuta za nadgarstki do swego dawnego pierścienia w podłodze. Jeden z młodych białych mężczyzn pilnujących koni krzyknął na wiwat i powiedział, że też chce, kiedy oni już skończą. Ridgeway zdzielił go w pysk.

Wyjawiła lokalizację domu w lesie, kiedy łowca niewolników przyłożył jej pistolet do oka. Położyła się na ławie, ścięta z nóg kolejnym bólem głowy. Jak zdławić własne myśli niczym płomień świecy? Royal i Lander nie żyli. Zabito tylu innych.

– Jeden z zastępców konstabla powiedział, że to mu przypomina stare czasy porządnych najazdów indiańskich – odezwał się Ridgeway. – Bitter Creek i Blue Falls. Chyba za młody jest, żeby to pamiętać. Może tatuś mu opowiadał.

Usiadł z tyłu wozu na ławie naprzeciw Cory. Teraz został mu już tylko ten wóz i dwa chude konie, które go ciągnęły. Na zewnątrz tańczył ogień, ujawniając dziury i długie rozdarcia w płótnie.

Ridgeway zakasłał. Od czasu Tennessee zmalał. Był całkiem siwy, nieuczesany, cerę miał ziemistą. Nawet mówił inaczej, mniej władczo. Proteza zastąpiła zęby, które Cora wybiła mu przy ostatnim spotkaniu.

– Pochowali Bosemana na jednym z cmentarzy dla ofiar zarazy – powiedział. – Byłby oburzony, ale mało miał do powiedzenia. Tamten, co się wykrwawiał na podłogę, to ten zarozumiały sukinsyn, który na nas napadł, tak? Poznałem go po okularach.

Dlaczego tak długo odwlekała sprawę z Royalem? Sądziła, że mają dość czasu. Kolejna rzecz, która mogła się ziścić, teraz została ucięta w zarodku jak skalpelem doktora Stevensa. Na farmie Cora pozwoliła sobie wierzyć w to, że świat jest inny, niż będzie zawsze. Royal musiał wiedzieć, że ona go kocha, nawet jeśli nigdy mu tego nie powiedziała. Musiał.

Skrzeczały nocne ptaki. Po pewnym czasie Ridgeway kazał Corze wypatrywać ścieżki. Homer zwolnił. Dwukrotnie ją przegapiła i dopiero rozwidlenie drogi pokazywało, że zabrnęli zbyt daleko. Łowca niewolników spoliczkował ją i kazał na siebie patrzeć.

– Trochę mi zajęło, zanim po Tennessee znowu stanąłem na nogi – wychrypiał. – Ty i twoi koleżkowie podle mnie urządziliście. Ale już po wszystkim. Wracasz do domu, Coro. Nareszcie. Jak tylko obejrzę sobie tę słynną kolej podziemną.

Znowu ją spoliczkował. Przy następnym podejściu znalazła topole, obok których należało skręcić.

Homer zapalił latarnię, a potem weszli do smętnego starego domu. Przebrał się już z kostiumu i znowu nosił swój czarny garnitur i cylinder.

– Pod piwnicą – powiedziała Cora.

Ridgeway był nieufny. Odciągnął klapę i odskoczył, jakby mogła się tam czaić banda czarnych kryminalistów. Oddał świecę dziewczynie i kazał iść przodem.

– Większość ludzi myśli, że to tylko taka przenośnia – stwierdził. – Kolej podziemna. Ale ja zawsze wiedziałem swoje. Sekret cały czas był pod naszymi stopami. Po dzisiejszej nocy odkryjemy wszystko. Każdą linię, każdą.

Zwierzęta, które mieszkały w piwnicy, tym razem były cicho. Homer rozejrzał się po kątach. Znalazł łopatę i wręczył ją Corze.

Uniosła ręce, pokazując łańcuchy. Ridgeway skinął głową.

– Inaczej będziemy tu tkwili całą noc.

Homer rozpiął okowy. Biały mężczyzna był podniecony, w jego głosie zaczynała pobrzmiewać dawna władczość. W Karolinie Północnej Martin sądził, że w kopalni znajdzie zakopany skarb ojca, a trafił na tunel. Dla łowcy niewolników to właśnie tunel wart był całego złota świata.

– Twój pan nie żyje – powiedział Ridgeway, gdy Cora kopała. – Nie zdziwiła mnie ta wiadomość. Był degeneratem. Nie wiem, czy obecny właściciel plantacji Randallów zapłaci za

ciebie nagrodę. Właściwie mnie to nie obchodzi. – Zaskoczyły go jego własne słowa. – Od początku powinienem był wiedzieć, że nie będzie łatwo. Jesteś córką swojej matki, kropka w kropkę.

Łopata uderzyła o właz. Cora oczyściła cały kwadrat. Przestała słuchać Ridgewaya i niezdrowego chichotu Homera. Może ona, Royal i Red pognębili łowcę niewolników przy poprzednim spotkaniu, ale to Mabel pierwsza go poniżyła. Matka Cory dała początek wszystkiemu, całej manii Ridgewaya na punkcie ich rodziny. Gdyby nie ona, nie ogarnęłaby go obsesja złapania Cory. Tej, która uciekła. Po tym, ile ją to kosztowało, dziewczyna sama nie wiedziała, czy napawa ją to dumą, czy jeszcze większym żalem wobec własnej matki.

Tym razem to Homer uniósł klapę włazu. Z dołu buchnęła woń stęchlizny.

– To jest to? – zapytał Ridgeway.

– Tak, proszę pana – odpowiedział chłopak.

Ridgeway machnął pistoletem na znak, że dziewczyna ma iść przodem.

Nie miał być pierwszym białym człowiekiem, który zobaczy kolej podziemną, ale pierwszym wrogiem. Do wszystkiego, co spotkało Corę, teraz dojdzie wstyd, że zdradziła tych, którzy

umożliwili jej ucieczkę. Zawahała się na najwyższym stopniu. U Randallów, u Valentine'ów nigdy nie dołączała do kręgu tańczących. Stroniła przed wirującymi ciałami, obawiała się, że druga osoba znajdzie się tak blisko, tak nieokiełznana. Mężczyźni przed laty zaszczepili w niej strach. Dziś, powiedziała sobie. Dziś przytulę go mocno, jak w wolnym tańcu. Jakbyśmy byli tylko we dwoje w samotnym świecie, związani ze sobą aż do końca melodii. Odczekała, aż handlarz niewolników stanie na trzecim schodku. Obróciła się i oplotła go ramionami niczym żelaznym łańcuchem. Świeca spadła. Ridgeway obciążony ciężarem Cory próbował utrzymać równowagę, wyciągnął ręce, żeby oprzeć się o ścianę, ale ona trzymała go mocno jak kochanka i oboje potoczyli się po kamiennych stopniach w ciemność.

Spadając gwałtownie, szarpali się i walczyli. Przy jednym z wielu uderzeń Cora stuknęła głową o kamień. Nogę wyrwało jej w jedną stronę, ramię wykręciło się pod nią u stóp schodów. Większość impetu przyjął Ridgeway. Homer skamlał, słysząc jęki spadającego pracodawcy. Zszedł powoli. Chwiejny blask latarni wyławiał stację z cienia. Cora wyplątała się z ciała Ridgewaya i poczołgała w stronę

drezyny. Ból w lewej nodze był przeraźliwy. Łowca niewolników nie wydawał z siebie żadnego dźwięku. Rozejrzała się za bronią, lecz nic nie znalazła.

– Jesteś tu, mój chłopcze?

– Tak, proszę pana.

– To dobrze. – Ridgeway usiadł i zawył z bólu. Rozejrzał się w mroku stacji, niczego nie poznając. Omiótł wzrokiem Corę bez zainteresowania. – Gdzie jesteśmy?

– Na łowach – odpowiedział Homer.

– Nigdy nie braknie czarnuchów do złapania. Masz swój dziennik?

– Tak, proszę pana.

Homer wyjął notes z torby i otworzył na pustej stronie.

– Imperatyw jest… nie, nie. To nie to. Amerykański imperatyw jest rzeczą wspaniałą… latarnią… świecącą latarnią. – Zakaszlał, a jego ciałem wstrząsnął spazm. – Zrodzony z konieczności i cnoty, między młotem… a kowadłem… Jesteś tam, Homerze?

– Tak, proszę pana.

– Zacznę od początku…

Cora nacisnęła dźwignię drezyny. Nie chciała drgnąć, choćby napierała na nią całym swym ciężarem. U stóp dziewczyny na drewnianej

platformie znajdowała się nieduża metalowa klamra. Cora odpięła ją, a wtedy dźwignia zapiszczała. Po kolejnym naciśnięciu drezyna poturlała się naprzód. Cora obejrzała się na Ridgewaya i Homera. Łowca niewolników szeptem dyktował przemowę, a czarny chłopiec zapisywał jego słowa. Cora pompowała i pompowała, i wytoczyła się z zasięgu światła. Wjechała w tunel, którego nikt nie zbudował, który prowadził donikąd.

Odkryła rytm, pompowała ramionami, wkładała całą siebie w ten ruch. W północność. Czy podróżowała tunelem, czy go drążyła? Za każdym razem, gdy naciskała dźwignię, wbijała kilof w skałę, spuszczała młot na gwóźdź przy torach. Nie zdążyła namówić Royala, by opowiedział jej o mężczyznach i kobietach, którzy zbudowali kolej podziemną. Tych, którzy wydobyli miliony ton kamienia i ziemi, w trzewiach ziemi z mozołem pracowali na ratunek niewolników takich jak ona. Stali oni ramię w ramię ze wszystkimi ludźmi, którzy przygarniali zbiegów w swoich domach, karmili ich, nieśli na północ na własnym grzbiecie, umierali za nich. Z zawiadowcami, konduktorami i sympatykami. Kim jest się po skończeniu czegoś równie wspaniałego –

budując, jednocześnie odbywa się podróż na drugą stronę. Na jednym końcu jest osoba, którą było się przed zejściem pod ziemię, a na drugim nowa, która wychodzi w światło. Świat na górze musi wydawać się taki zwyczajny w porównaniu z tym cudem pod spodem, cudem stworzonym własną krwią i potem. Tajnym triumfem, który zachowuje się w sercu.

Zostawiała za sobą kolejne mile, zostawiała fałszywe oazy i niekończące się łańcuchy, zostawiała mordy na farmie Valentine'a. Istniały tylko ciemność tunelu oraz coś przed nią, wyjście. Albo ślepy koniec, jeśli tak zadecyduje los – gładka bezlitosna ściana. Ostatni okrutny żart. Wreszcie Cora wyczerpana zwinęła się na drezynie i zasnęła, unosząc się w ciemności jakby wtulona w najgłębsze zakamarki nocnego nieba.

Gdy się obudziła, postanowiła resztę drogi przebyć pieszo – jej ramionom zabrakło już siły. Kulała, potykała się o podkłady. Przesuwała dłonią po ścianie tunelu, po wypukłościach i wnękach. Jej palce tańczyły nad dolinami, rzekami, szczytami gór, konturami nowego kraju ukrytego pod starym. „Pędząc przed siebie, wyjrzyjcie z wagonu, a zobaczycie prawdziwą twarz Ameryki". Nie widziała jej, ale ją czuła, poruszała się przez jej serce. Obawiała się, że we

śnie zmieniła kierunek. Czy zagłębia się coraz dalej, czy wraca tam, skąd przyszła? Zaufała wyborowi niewolnika – dokądkolwiek, dokądkolwiek, byle nie tam, skąd uciekasz. Doprowadził ją aż tutaj. Cora znajdzie stację końcową albo umrze na torach.

Zasypiała jeszcze dwukrotnie, śniła o sobie i Royalu w swojej chacie. Opowiedziała mu o dawnym życiu, a on ją przytulał. Potem ją obrócił, by spojrzeli sobie w oczy. Ściągnął jej sukienkę przez głowę, a sam zdjął spodnie i koszulę. Cora całowała go i przesuwała dłońmi po terytorium jego ciała. Kiedy rozchylił jej nogi, była mokra. Wsunął się w nią, wypowiadając jej imię tak, jak nie wypowiedział go jeszcze nikt i nikt nigdy nie wypowie, słodko i czule. Za każdym razem budziła się, zastając pustkę tunelu, a gdy kończyła opłakiwać Royala, wstawała i szła.

Koniec tunelu zaczął się jako maleńki otwór w ciemności. Kroki Cory zmieniły go w koło, a potem w wylot jaskini zasłonięty przez pnącza i zarośla. Odgarnęła je na bok i wyszła na powietrze.

Było ciepło. Wciąż to samo skąpe zimowe światło, ale cieplej niż w Indianie. Słońce wisiało niemal pionowo w górze. Z rozpadliny

wychodziło się wprost do lasu karłowatych sosen i jodeł. Cora nie wiedziała, jak wyglądają Michigan, Illinois czy Kanada. Może nie znajdowała się już w Ameryce, ale przebiła się poza nią? Gdy napotkała strumyk, przyklękła, żeby się napić. Chłodna, przejrzysta woda. Dziewczyna zmyła brud i sadzę z rąk i twarzy.

– Z gór – powiedziała, przywołując artykuł z któregoś zakurzonego almanachu. – Roztopy.

Z głodu kręciło jej się w głowie. Słońce pokazywało, gdzie jest północ.

Ściemniało się, kiedy natrafiła na szlak, choć był tylko marną koleiną pełną dziur. Usiadła na kamieniu, a po pewnym czasie usłyszała wozy. Trzy, wyładowane na długą podróż, pełne sprzętów, z dobytkiem przytroczonym po bokach. Jechały na zachód.

Pierwszym woźnicą był wysoki biały mężczyzna w słomkowym kapeluszu, siwobrody i tak niewzruszony jak kamienna ściana. Obok na koźle siedziała jego żona – spod koca w szkocką kratę wystawały różowa twarz i szyja. Popatrzyli na Corę obojętnie i pojechali dalej. Ona w żaden sposób nie zareagowała na ich obecność. Drugim wozem kierował młody człowiek, rudzielec o irlandzkich rysach. Zmierzył dziewczynę spojrzeniem niebieskich oczu. Stanął.

– Jak ty wyglądasz! – odezwał się. Miał wysoki głos, jakby to ptak ćwierkał. – Potrzebujesz czegoś?

Cora pokręciła głową.

– Pytałem, czy czegoś potrzebujesz.

Jeszcze raz pokręciła głową i potarła ramiona jakby z zimna.

Trzecim wozem powoził starszy murzyn. Był przysadzisty, posiwiały, ubrany w grube odzienie ranczera, które widziało już niemało trudów. Stwierdziła, że jego spojrzenie jest życzliwe. Znajome, choć nie umiała go umiejscowić. Dym jego fajki pachniał ziemniakami i Corze zaburczało w brzuchu.

– Głodna jesteś? – zapytał mężczyzna. Pochodził z południa, sądząc po głosie.

– Bardzo głodna – odpowiedziała.

– Chodź no tutaj, weź coś sobie.

Wdrapała się na kozioł. Woźnica otworzył kosz. Urwała trochę chleba i natychmiast go pochłonęła.

– Jedzenia mam pod dostatkiem – rzekł. Na szyi miał piętno w kształcie podkowy. Podciągnął kołnierz, żeby je ukryć, gdy zawiesił się tam wzrok Cory. – Dogonimy ich?

– Dobrze.

Warknął na konie i potoczyli się naprzód koleiną.

– Dokąd jedziecie? – zapytała Cora.

– Do Saint Louis. A stamtąd szlakiem do Kalifornii. My i trochę ludzi, z którymi spotkamy się w Missouri. – Kiedy nie odpowiadała, dodał: – Idziesz z południa?

– Byłam w Georgii. Uciekłam. – Powiedziała, że ma na imię Cora. Rozwinęła koc leżący u jej stóp i owinęła się nim.

– Na mnie mówią Ollie – rzekł. Za zakrętem pojawiły się dwa pozostałe wozy.

Koc pod brodą Cory był sztywny i szorstki, ale jej to nie przeszkadzało. Zastanawiała się, skąd uciekł ten człowiek, jak bardzo tam było źle i jak długą drogę przebył, nim zostawił to za sobą.

Podziękowania

Dziękuję Nicole Aragi, Billowi Thomasowi, Rose Courteau, Michaelowi Goldsmithowi, Duvall Osteen i Alison Rich (wciąż) za to, że ta książka trafiła w Wasze ręce. W wydawnictwie Hanser przez lata wdzięczny jestem Annie Leube, Christinie Knecht i Pierowi Salabemu. Dziękuję również Franklinowi D. Rooseveltowi za ufundowanie Federal Writers' Project, który w latach trzydziestych XX wieku zebrał historie życia byłych niewolników. Frederickowi Douglassowi i Harriet Jacobs, oczywiście. Bardzo pomogły mi prace Nathana Hugginsa, Stephena Jaya Goulda, Edwarda E. Baptista, Erica Fonera, Fergusa Bordewicha i Jamesa H. Jonesa. Teorie „mieszania" Josiah Notta. *The Diary of a Resurrectionist* Jamesa Blake'a Baileya. Ogłoszenia o zbiegłych niewolnikach pochodzą z cyfrowych zbiorów Uniwersytetu Karoliny Północnej w Greensboro. Pierwsze sto stron

napędzali wcześni Misfitsi (*Where Eagles Dare [fast version]*, *Horror Business*, *Hybrid Moments*) i Blanck Mass (*Dead Format*). David Bowie jest w każdej książce, a pisząc ostatnie strony, zawsze włączam *Purple Rain* i *Daydream Nation*; dziękuję więc jemu, Prince'owi i Sonic Youth. I wreszcie Julie, Maddie i Beckettowi za całą miłość i wsparcie.

Przypisy

[1] *Deklaracja Niepodległości*, [w:] *Encyklopedia historii Stanów Zjednoczonych Ameryki*, pod red. A. Bartnickiego, K. Michałka, I. Rusinowej, Warszawa 1992.

[2] Liczba przypadających na każdy stan członków Izby Reprezentantów oraz głosów elektorskich w wyborach prezydenckich zależy od liczby mieszkańców. Niewolników liczono jako trzy piąte wolnych obywateli.

[3] Ks. Wyjścia 21:16, Biblia Gdańska.

[4] List do Tytusa 2:9, na podstawie Biblii Gdańskiej – podobnie jak w wielu polskich przekładach Biblii (wyjątkiem jest np. współczesna katolicka Biblia Tysiąclecia) w Biblii Gdańskiej w tym miejscu zamiast słowa „niewolnik” pojawia się słowo„sługa”.

[5] List do Kolosan 3:22, Biblia Gdańska.

[6] J. Swift *Podróże do wielu odległych narodów świata*, przeł. M. Słomczyński, Kraków 1982.